

UPADAJAÇE IMPERIUM



JOHN SCALZI



JOHN SCALZI

**UPADAJĄCE
IMPERIUM**

TŁUMACZENIE

PAWEŁ GRYSZTAR

OŚWIĘCIM 2019

Pierwsza powieść nowej serii książek w konwencji space opera, osadzonych w całkowicie nowym uniwersum, napisana przez laureata nagrody Hugo, autora bestsellerów z listy *New York Timesa*: Wojna starego człowieka oraz Czerwone koszule.

Naszym Wszechświatem rządzi fizyka, więc podróżowanie szybciej niż prędkość światła nie jest możliwe. Tak było, dopóki nie odkryto Nurtu – pozawymiarowego pola, do którego możemy uzyskać dostęp w określonych punktach Czasoprzestrzeni, a ono niesie nas do innych światów, krążących wokół innych gwiazd.

Ludzkość wybrała się z Ziemi w kosmos i z czasem zapomniała o swoim rodzimym świecie, tworząc nowe imperium, Wspólnotę, której etos mówi, że żadna z placówek zamieszkałych przez człowieka nie jest w stanie przetrwać bez pozostałych. To stanowi barierę dla międzygwiazdnych wojen, ale też system kontroli władców nad imperium.

Nurt jest wieczny, ale nie statyczny – tak jak rzeka zmienia swój bieg, odcinając różne światy od reszty ludzkości. Kiedy przemieszczanie się Nurtu zostaje odkryte – co może się zakończyć odizolowaniem wszystkich miejsc zamieszkałych przez człowieka poprzez uniemożliwienie podróży szybszych niż prędkość światła – troje ludzi: naukowiec, kapitan statku kosmicznego oraz cesarzowa Wspólnoty, prowadzą wyścig z czasem, żeby zbadać co, jeśli w ogóle cokolwiek, da się uratować z międzygwiazdznego imperium, znajdującego się na krawędzi rozpadu.

Tytuł oryginału
The Collapsing Empire
Copyright © 2017 by John Scalzi
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Krzysztof Wojdyło
Korekta:
Michał Swędrowski
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowane okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-964-8

Skład wersji elektronicznej:

Kamil Raczyński

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Książka ta stanowi fikcję literacką. Wszelkie postacie, organizacje i wydarzenia przedstawione na jej kartach są albo wytworami wyobraźni autora, albo zostały wykorzystane jako fikcja.

Wszystkim z Tor w ogóle, a szczególnie Tomowi Doherty'emu.

Dzięki, że we mnie wierzyliście.

Oto mamy następną dekadę.

(Nareszcie.)

Spis treści

Prolog

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Część druga

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Interludium

Część trzecia

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Epilog

Podziękowania

Przypisy

PROLOG

Bunt uszedłby na sucho, gdyby nie rozpad Nurtu.

Jasne, istnieje legalny, mający już całe stulecia, standardowy dla gildii protokół, według którego załoga może się zbuntować. Starszy jej członek – najlepiej zastępca dowódcy/pierwszy oficer, choć równie dobrze mógł to być główny inżynier, starszy technik, główny lekarz lub, w naprawdę dziwnych okolicznościach, przedstawiciel właściciela – przedkłada asystentowi imperialnemu formalną Listę Zażaleń Uprawniających do Buntu, wszystko zgodnie z protokołem gildii. Tenże asystent powinien z kolei naradzić się z głównym kapelanem, wzywając, jeśli istnieje taka potrzeba, świadków i zbierając zeznania, by wreszcie, w terminie nie dłuższym niż miesiąc, Wydać Zgodę na Bunt albo Odmówić Zgody na Bunt.

Jeśli nastąpi to pierwsze, szef ochrony statku formalnie usuwa ze stanowiska i aresztuje kapitana, którego w najbliższym miejscu docelowym będzie czekać formalne przesłuchanie; po nim zostanie on poddany karze, od utraty statku, stopnia i przywilejów kwaterunkowych, po najzwyczajsze zarzuty cywilne lub karne, zagrożone pobytom w więzieniu lub, w najbardziej rażących przypadkach, karą śmierci. Jeżeli następuje drugie orzeczenie, to członek załogi, który wystąpił ze skargami, zostaje zamknięty przez szefa ochrony, czeka go formalne przesłuchanie gildii itd., itd.

Oczywiście tu nikt nie miał zamiaru bawić się w takie rzeczy.

Istnieje bowiem sposób, w jaki *faktycznie* rozgrywają się bunty, z bronią, przemocą, nagłymi zgonami, oficerami rzucającymi się na siebie jak zwierzęta i załogą próbującą zrozumieć, co do kurwy nędzy się wyprawia. Później, w zależności od tego, jak się sprawy potoczą, albo kapitan zostaje zamordowany i wyrzucony w próżnię, a na koniec wszystko zostaje spisane z datą wsteczną, żeby wyglądało pięknie i legalnie, albo to zbuntowanym oficerom i załodze pokazuje się drugą stronę służby, zaś kapitan spisuje Dokument o Nielegalnym Buncie, w ten sposób pozbawiając buntowników, którym udało się przeżyć, pensji i przywilejów. W praktyce oznacza to, że ich współmałżonkowie i dzieci będą głodować, a także zostaną pozbawieni swoich ról w ramach gildii na dwa pokolenia, tak jakby bunt był zapisany w DNA, jak kolor oczu czy zespół jelita drażliwego.

Na mostku *Mów do mnie jeszcze* kapitan Arullos Gineos była właśnie zajęta radzeniem sobie z *faktycznym*, nie papierowym, buntem i jeśli miała być ze sobą całkiem szczerą, na tę chwilę trudno było uznać, że sprawy przybrały dla niej korzystny obrót. Mówiąc konkretniej, pierwszy oficer i jego koledzy przepalali się akurat przez przegrodę przy pomocy spawarek kadłubowych, toteż Gineos i obsada mostka byli na dobrej drodze do

stania się ofiarami „wypadku”, jak to się zwykle nazywa po fakcie.

– Skrytka na broń pusta – powiedział trzeci oficer Nevin Bernus.

Gineos tylko skinęła głową. Oczywiście, że pusta. Skrytka była zaprogramowana tak, że otworzyć ją mogło dokładnie pięć osób: kapitan, oficerowie wachtowi i szef ochrony. Ktoś z tej piątki zabrał broń na poprzedniej wachtcie. Logika podpowiadała, że zrobił to pierwszy oficer Ollie Inverr, który usiłował się właśnie przebić przez ścianę ze swoją wesołą kompanią.

Gineos nie była całkowicie bezbronna. Miała miotacz strzałek o niskiej prędkości wylotowej, który trzymała w bucie – nawyk z czasów, kiedy jako nastolatka ganiała z gangiem Rapid Dogs po miejskiej dżungli Grussgott. Załadowana w niego pojedyncza strzałka była przeznaczona do użycia w bezpośrednim starciu. Z odległości większej niż metr wszystko, co by wskórała, to wkurwienie osobnika, który by nią zarobił. Gineos nie łudziła się, że miotacz strzałek ocali ją samą albo jej podkomendnych.

– Status? – zapytała Likę Dunn, która była zajęta próbami skontaktowania się z innymi oficerami *Mów do mnie*.

– Z przedziału napędowego nic, od kiedy zgłosiła się szef Fanochi – odparła Dunn.

Eva Fanochi jako pierwsza podniosła alarm, że jej przedział został przejęty przez uzbrojoną załogę pod komendą zastępcy dowódcy, na co Gineos zamknęła mostek i postawiła statek w stan gotowości.

– Starszy technik Vossni nie odpowiada. Podobnie doktor Jutmen. Bremman jest odcięty w swojej kwaterze.

Chodziło o Pitera Bremmana, szefa ochrony na *Mów do mnie*.

– A co z Egertim?

Lup Egerti był przedstawicielem właściciela. Przeważnie była to funkcja równie pożyteczna jak przysłowiowe cycki na dziku, ale to zarazem wykluczało go jako współpracownika buntowników, bo oni z kolei rzadko sprzyjali robieniu interesów.

– Nic. Tak samo Slavin i Preen. – Dwaj ostatni to odpowiednio asystent imperialny i kapelan. – Drugi oficer Niin także się nie zgłasza.

– Już prawie się przepalili – powiedział Bernus, wskazując na przegrodę.

Gineos skrzywiła się pod nosem. Nigdy nie była zbytnio zadowolona ze swojego zastępcy, którego narzuciła jej gildia z poparciem rodziny Tois, właścicieli *Mów do mnie*. Drugi oficer Niin stanowił jej wybór na następnego w hierarchii dowodzenia. Powinna była naciskać mocniej. Następnym razem. „Nie żeby w obecnej sytuacji zanosilo się na następny raz” – pomyślała. Była martwa. Oficerowie, którzy pozostali względem niej lojalni, wkrótce podzielą jej los, o ile już ich to nie spotkało. Ponieważ *Mów do mnie* znajdował się w Nurcie i miał tam pozostać przez najbliższy miesiąc, nie było możliwości, żeby wypuścić czarne skrzynki statku i tym samym dać komukolwiek znać, co się właściwie stało. Kiedy statek wyleci z Nurtu przy Kresie, cały bałagan będzie już posprzątnany, a dowody spreparowane

i dopasowane do niebudzących wątpliwości historyjek. „To straszne, co spotkało Gineos – powiedzą. – Wybuch. Tylu zabitych... A ona dzielnie wróciła, żeby spróbować uratować więcej członków załogi”.

Albo coś w ten deseń.

Przegroda została przepalona i jakąś minutę później metalowa płyta leżała na pokładzie, a do środka wkroczyło trzech członków załogi uzbrojonych w miotacze bełtów, którzy ustawili się tak, żeby mieć na oku obsadę mostka. Nikt się nie poruszył. I w sumie o to chodziło. Jeden z uzbrojonych załogantów rzucił: „Czysto”, i zastępca dowódcy Ollie Inverr kucnął, aby przejść przez dziurę w przegrodzie, po czym wyprostował się na pokładzie. Uważnie przyjrzał się Gineos, a następnie podszedł prosto do niej. Jeden z jego uzbrojonych ludzi celował ze swojego miotacza prosto w nią.

– Pani kapitan Gineos – przywitał się Inverr.

– Ollie – odparła.

– Kapitan Arullos Gineos, zgodnie z artykułem 38, paragraf 7 Ujednoliconego Kodeksu Spedycyjnych Gildii Handlowych, niniejszym przejmuję...

– Nie pierdolmy na próżno, Ollie – przerwała mu Gineos.

– Zgoda – uśmiechnął się na to Inverr.

– Muszę powiedzieć, że odwalileś niezłą robotę z tym buntem. Zająłeś najpierw przedział napędowy, tak aby móc zagrozić zniszczeniem napędu, nawet gdyby cała reszta poszła nie po twojej myśli.

– Dziękuję, pani kapitan. Muszę podkreślić, że starałem się dokonać tego przejęcia przy minimalnych ofiarach w ludziach.

– Czy to znaczy, że Fanochi nadal żyje?

– Powiedziałem „minimalnych”. Przykro mi panią powiadomić, że szef Fanochi nie wykazała się dostatecznymi zdolnościami adaptacyjnymi. Awansowano Hyberna, asystenta głównego inżyniera.

– Ilu z pozostałych oficerów masz w swoich rękach?

– Nie sędzę, kapitanie, aby musiała się pani o to martwić.

– No, przynajmniej nie twierdzisz, że mnie *nie* zabijesz.

– Tak od siebie muszę powiedzieć, że przykro mi, że do tego doszło, kapitanie. Naprawdę panią podziwiam.

– Już ci mówiłam, Ollie, żebyśmy nie pierdolili po próżnicy.

Inverr ponownie się uśmiechnął.

– Nigdy nie byłaś łasa na komplementy.

– Zechcesz mi powiedzieć, *po co* zaplanowaliście to wszystko?

– W sumie to... nie.

– Nie bądź taki. Chciałabym wiedzieć, dlaczego mam umrzeć.

Inverr wzruszył ramionami, po czym odpowiedział:

– Oczywiście z powodu pieniędzy. Wieziemy spory ładunek broni przeznaczony dla wojsk na Kresie, co ma im pomóc tłumić tamtejsze powstanie. Karabiny, miotacze, granatniki... Zresztą sama pani wie. Podpisywała pani list przewozowy. Kiedy byliśmy na Alpine, ktoś do mnie podszedł i zagadnął, czy nie sprzedalibyśmy jednak tej broni rebeliantom. Trzydzieści procent ekstra. Wyglądało to na niezły kontrakt. Powiedziałem „tak”.

– Ciekawa jestem, jak planowałaś dostarczyć im towar? Port kosmiczny na Kresie znajduje się pod kontrolą sił rządowych.

– Nigdy tam nie dotrzemy. Zaraz po tym, jak wyjdziemy z Nurtu, zostaniemy zaatakowani przez „piratów”, którzy rozładują towar. Pani oraz wszyscy członkowie załogi, którzy będą się sprzeciwiać naszym planom, zginą w ataku. Proste jak drut, a każdy, kto przeżyje, dostanie swoją dolę i będzie szczęśliwy.

– Rodzina Tois nie będzie szczęśliwa – powiedziała Gineos, przypominając o właścicielach *Mów do mnie*.

– Mają wykupione ubezpieczenie na statek i ładunek. Nie będą stratni.

– Nie będą zadowoleni z losu Egertiego. Będziecie musieli go zabić, a to zięć Yannera Toisa.

Inverr uśmiechnął się na dźwięk imienia patriarchy rodu Tois.

– Wiem z dobrego źródła, że Tois nie pogńiewa się tak bardzo, jeśli jego ulubiony syn zostanie wdowcem. Ma jeszcze parę innych sojuszy, które mogłyby wzmocnić małżeństwem.

– Czyli wszystko sobie zaplanowaliście.

– To nic osobistego, pani kapitan.

– Bycie ofiarą morderstwa z powodu pieniędzy to dla mnie coś osobistego, Ollie.

Inverr już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale wtedy *Mów do mnie* jeszcze wyskoczył z Nurtu, włączając tym samym zestaw alarmów, których nikt z obecnych na statku, wliczając Gineos oraz Inverra, nigdy nie słyszał, z wyjątkiem symulacji na studiach.

Oboje stali przez kilka sekund, gapiąc się na kontrolki, po czym pognali na swoje stanowiska i zabrali się do pracy. *Mów do mnie* niespodziewanie wypadł z Nurtu, więc wiedzieli, że jeśli nie wymyślą nic, aby z powrotem w niego wejść, to niewątpliwie mają zamazyście przejebane.

A teraz kilka słów wyjaśnienia.

W tym Wszechświecie nie istnieje coś takiego jak przemieszczanie się szybciej niż światło. Prędkość światła to nie tylko dobry pomysł, ale też prawo. Nie możesz jej osiągnąć. Im bliżej niej jesteś, tym więcej energii wymaga przyspieszanie. Co więcej, myśl o poruszaniu się tak szybko przyprawia o ciarki, bo próżnia kosmosu jest pusta tylko w większości i jeśli z czymś się zderzysz – z czymkolwiek – poruszając się z jakimś solidnym ułamkiem prędkości światła, to twój kruchy stateczek zmieni się w kawałeczki roztrzaskanego metalu. A nawet *mimo to* wrakowi zajmie całe lata albo dekady, albo wręcz

stulecia, zanim przeleci obok miejsca, do którego planowałeś dotrzeć.

Nie ma podróży szybszej od prędkości światła. Ale jest Nurt.

Ogólnie, na potrzeby dyletantów, Nurt opisywany jest jako rzeka w innej czasoprzestrzeni, która umożliwia podróże z prędkością większą od światła przez Święte Imperium Wspólnoty Państw i Gildii Kupieckich, w skrócie zwane „Wspólnotą”. W Nurt można się dostać przez „płycizny”, które tworzą się, kiedy grawitacja gwiazd i planet odpowiednio z nim oddziałuje, co pozwala statkom wślizgnąć się w prąd i lecieć do innej gwiazdy. Nurt zapewnił ludzkości przetrwanie po tym, jak utraciła ona Ziemię. Pozwolił, aby w ramach Wspólnoty kwitł handel, dzięki czemu każda placówka ludzkości dysponowała zasobami koniecznymi do przetrwania – zasobami, jakich niemal żadna z nich nie byłaby w stanie pozyskać na własną rękę.

Oczywiście, stanowi to absurdalny sposób patrzenia na Nurt. Nie ma on nic wspólnego z rzeką, nawet w przybliżeniu. To wielowymiarowa, branopodobna, metakosmologiczna struktura, która miejscowo przenika się z czasoprzestrzenią w złożony sposób, przypominający topografię terenu. Wpływ na to, częściowo i chaotycznie, *aczkolwiek nie wyłącznie*, ma grawitacja. W strukturze tej statki nie poruszają się w żadnym tradycyjnym sensie tego słowa, lecz po prostu wykorzystują jej wektorową naturę, relatywną względem miejscowej czasoprzestrzeni i niezwiązaną z rządzącymi naszym kosmosem prawami dotyczącymi szybkości, przyspieszenia czy energii, co daje miejscowym obserwatorom *złudzenie* podróżowania szybciej niż światło.

Nawet jednak *takie* wyjaśnienie jest do kitu, bo ludzkie języki są do kitu, kiedy przychodzi do opisywania rzeczy bardziej złożonych niż budowa domku na drzewie. Dokładny opis Nurtu musiałby zawierać taką dozę wyższej matematyki, jaką zdołałoby zrozumieć zaledwie kilka setek ludzi spośród miliardów żyjących w ramach Wspólnoty, a jeszcze mniej byłoby w stanie samodzielnie i z sensem jej użyć. Prawdopodobnie nie jesteście jednymi z nich. Kapitan Gineos i jej zastępca Inverr również, jeśli już o tym mowa. Oboje jednak wiedzieli co najmniej tyle, że nagłe wyjście przez statek z Nurtu graniczyło z niemożliwością, i przez stulecia istnienia Wspólnoty niemal nikt nie słyszał o czymś podobnym. Przypadkowa szczelina mogła wyrzucić statek o całe lata świetlne od jakiegokolwiek planety lub placówki zamieszkałej przez ludzi. Jednostki gildii były projektowane tak, aby móc samodzielnie funkcjonować przez wiele miesięcy, a nawet lat. Musiały takie być, bo czas przemieszczenia się pomiędzy systemami należącymi do Wspólnoty przy wykorzystaniu Nurtu wahał się od dwóch tygodni do dziewięciu miesięcy. Istniała jednak różnica między samodzielnym funkcjonowaniem przez pięć lat lub dekadę, co były w stanie robić największe spośród statków należących do gildii, a przetrwaniem samodzielnie przez *wieczność*.

Wszak nic nie porusza się szybciej od światła. Jest tylko Nurt.

Jeśli przypadkowo z niego wypadłeś gdzieś pomiędzy gwiazdami, to jesteś martwy.

- Potrzebuję odczytów naszego położenia – rzucił Inverr ze swojego stanowiska.
- Robi się – odparła Lika Dunn.
- Wsuńcie też anteny – dodała Gineos. – Jeśli wypadliśmy, musi być jakaś płycizna wylotowa. Musimy znaleźć tę wlotową.
- Już się tym zajmę – poinformował Bernus znad konsoli.
- Gineos otworzyła komunikację z przedziałem napędu.
- Szefie Hybern – powiedziała – wypadliśmy przez szczelinę w Nurcie. Potrzebujemy silników w natychmiastowej gotowości i chcę, żebyś się upewnił, że mamy wystarczającą moc w polach dociskowych, aby zneutralizować ekstremalne manewry przy wysokich przeciążeniach. Nie chcemy się zmienić w dżem.
- Ajajaj – nadeszła odpowiedź.
- Do kurwy nędzy – wypaliła Gineos i spojrzała na Inverra. – To twój przydupas, Ollie. Zajmij się nim.
- Inverr otworzył własny kanał łączności.
- Hybern, mówi pierwszy oficer Inverr. Jakies problemy ze zrozumieniem rozkazów kapitana?
- Nie mieliśmy się czasem buntować? – zapytał Hybern. Był niezwykle uzdolnionym inżynierem, co wywindowało go w górę w hierarchii gildii. Jednak był bardzo, bardzo młodym człowiekiem.
- Właśnie wyskoczyliśmy z Nurtu, Hybern. Jeśli wkrótce nie znajdziemy sposobu, żeby tam wrócić, wszyscy mamy przejebane. Tak więc rozkazuję ci słuchać instrukcji kapitana Gineos. Zrozumiano?
- Tak jest – nadeszła odpowiedź, a zaraz potem Hybern zameldował: – Robi się. Zaczynam procedurę awaryjnego użycia silników. Pięć minut do pełnej mocy. Ech, to robi niezły bałagan w silnikach, proszę pana. I pani.
- Będzie czas się tym martwić, jeśli uda nam się wejść z powrotem w Nurt – odparła Gineos. – Daj znać, gdy tylko będą gotowe. – Przerwała połączenie. – Wybraliście sobie wyjątkowo kiepski moment na bunt – powiedziała do Inverra.
- Mamy dane na temat naszego położenia – poinformowała Dunn. – Jesteśmy około dwudziestu trzech lat świetlnych od Kresu i sześćdziesiąt od Shirak.
- Jakies studnie grawitacyjne w okolicy?
- Nie, proszę pani. Najbliższa gwiazda to czerwony karzeł, jakies trzy lata świetlne od nas. Poza tym w najbliższym sąsiedztwie nie ma niczego, o czym warto by wspomnieć.
- Więc jak to możliwe, że wypadliśmy, skoro nie ma studni grawitacyjnych? – zapytał Inverr.
- Na to pytanie pewnie mogłaby ci odpowiedzieć Eva Fanochi – stwierdziła Gineos. – To znaczy, gdybyś jej nie zamordował.
- To doprawdy doskonały moment na tę rozmowę, pani kapitan.

– Mam ją! – powiedział Bernus. – Płycizna wejściowa, sto tysięcy klików od nas! Tylko że...

– Że co? – zapytała Gineos.

– Oddała się od nas – odparł Bernus. – I kurczy.

Gineos i Inverr spojrzeli po sobie. O ile oboje wiedzieli, wejścia i wyjścia z Nurtu były stabilne, jeśli chodzi o umiejscowienie i rozmiar. Dzięki temu w ogóle dało się ich używać do transportu towarów. Kurczenie się i przemieszczanie płycizny stanowiło dla nich całkowitą nowość.

„Później będziesz się zastanawiać” – powiedziała do siebie Gineos w myślach, a głośno rzuciła:

– Jak szybko się przemieszcza w stosunku do nas? I jak szybko się kurczy?

– Oddała się od nas z prędkością mniej więcej dziesięciu tysięcy klików na godzinę. Co do kurczenia, wygląda na to, że jakieś dziesięć metrów na sekundę – odpowiedział Bernus, a minutę później dodał: – Nie potrafię stwierdzić, czy to stałe wartości, ani w przypadku prędkości, ani kurczenia. Tyle po prostu widzę na tę chwilę.

– Prześlij mi dane na temat płycizny – nakazał Inverr Bernusowi.

– Zechciałbyś powiedzieć swoim pachołkom, żeby poczekali na zewnątrz? – zwróciła się Gineos do Inverra, wskazując na uzbrojonych członków załogi. – Mam problemy z koncentracją, kiedy ktoś celuje mi w głowę z miotacza.

Inverr spojrzął na swoich ludzi i skinął głową. Skierowali się do dziury w przegrodzie.

– Zostańcie w pobliżu – rozkazał, kiedy wychodzili.

– Jesteś w stanie wyznaczyć kurs w tamto miejsce? – zapytała Gineos. – Tak żebyśmy dolecieli, zanim zamknie nam się przed nosem?

– Dajcie mi minutę – odpowiedział Inverr. Kiedy pracował, na mostku panowała cisza. – Tak – odrzekł w końcu – jeśli Hybern rozkręci silniki w ciągu następnych kilku minut, dolecimy tam, nawet z pewnym marginesem.

Gineos skinęła głową i otworzyła kanał komunikacyjny z przedziałem napędu.

– Hybern, gdzie te moje silniki?

– Jeszcze trzydzieści sekund, proszę pani.

– A jak tam pola dociskowe? Będziemy poruszać się naprawdę szybko.

– Zależy, jak bardzo ma pani zamiar forsować silniki. Jeśli przekieruje pani całą energię, żeby rozpędzić statek, to komputer będzie zbierał ją skąd tylko się da. Najpierw zabierze ją ze wszystkich innych miejsc, ale w końcu także z naszych pól.

– Jak już mam umierać, to wolę szybko niż powoli, prawda, Hybern?

– Och – brzmiała odpowiedź.

– Silniki na chodzie – oznajmił Inverr.

– Widzę – Gineos uderzyła w swój ekran. – Masz współrzędne – zwróciła się do Inverra.

– Zabieraj nas stąd, Ollie.

- Mamy problem – zameldował Bernus.
- Zdążyłam zauważyć – odparła Gineos. – Jaki tym razem?
- Płycizna coraz szybciej się oddala i kurczy.
- Widzę – powiedział Inverr.
- Uda się mimo wszystko? – zapytała Gineos.
- Zapewne. W każdym razie jakiejś części statku.
- A co to znaczy?

– Znaczy to dokładnie tyle, że w zależności od tego, jak wielka jest płycizna, część statku może zostać tutaj. Mamy kadłub i mamy pierścień. Kadłub to po prostu długa igła. Pierścień ma klik średnicy. Może się zdarzyć, że kadłub przejdzie, a pierścień nie.

- Ale to zniszczy statek – stwierdziła Dunn.

Gineos potrząsnęła głową.

– To nie tak, jakbyśmy uderzyli w jakąś fizyczną barierę. Wszystko, co znajdzie się poza obwodem płycizny, po prostu zostanie poza nią. Odetnie tę część jak żyłkę. Zamkniemy przegrody prowadzące do szprych pierścienia i przeżyjemy. To znaczy – tu zwróciła się do Inverra – jeśli uda nam się stworzyć bańkę.

Bańka stanowiła mały kloz w czasoprzestrzeni, otoczony polem energetycznym wytwarzanym przez *Mów do mnie*, które otaczało statek w Nurcie. Technicznie bowiem rzecz biorąc, *tam* nie było żadnego „tam”. Każdy statek, który by nie zabrał ze sobą do Nurtu paczki z czasoprzestrzenią, przestałby istnieć w jakimkolwiek sensie.

- Damy radę – powiedział Inverr.
- Na pewno?
- Jeśli nie, to i tak bez znaczenia.

Na takie postawienie sprawy Gineos tylko odchrząknęła i zwróciła się do Dunn.

– Nadaj na całym statku wiadomość alarmową, że wszyscy mają opuścić pierścień i przejść do kadłuba. – Następnie znów odezwała się do Inverra: – Jak długo nam zajmie dotarcie do płycizny?

- Dziewięć minut.

– Trochę dłużej – powiedział Bernus. – Płycizna nadal przyspiesza.

– Powiedz ludziom, że mają pięć minut – Gineos rozkazała Dunn. – Potem blokujemy wyjścia z pierścienia. Jeśli zostaną po niewłaściwej stronie przegród, mogą się znaleźć poza statkiem.

Dunn skinęła głową i nadała komunikat.

– Zakładam, że pozwolicie wyjść tym, których zamknęliście w ich kwaterach – powiedziała do Inverra.

– Pitera wpakowaliśmy do jego kajuty – odparł Inverr, mając na myśli szefa ochrony. Patrzył w monitor i dokonywał drobniutkich poprawek w kursie *Mów do mnie*. – Szybko da się to naprawić.

– Cudownie.

– Zdaje pani sobie sprawę, że będzie ciężko?

– Wlecieć w płyciznę?

– Też, ale miałem na myśli raczej sytuację, jeśli stracimy pierścień. Na statku jest nas dwie setki. Prawie cały prowiant i inne zapasy znajdują się w pierścieniu. A my nadal jesteśmy jakiś miesiąc od Kresu. Nawet w najlepszym przypadku nie wszystkim uda się przeżyć.

– Cóż – stwierdziła Gineos – zakładam, że już planujesz, jak w pierwszej kolejności zjesz moje ciało.

– To by była szlachetna ofiara z pani strony, kapitanie.

– Nie potrafię powiedzieć, Ollie, czy żartujesz, czy mówisz serio.

– Na tę chwilę, pani kapitan, ja też nie.

– To chyba moment równie dobry jak każdy inny, żeby ci powiedzieć, że tak naprawdę nigdy cię nie lubiłam.

Na te słowa Inverr się uśmiechnął, ale mimo wszystko nie odrywał wzroku od monitora.

– Wiem, kapitanie. To jeden z powodów, dla których stanąłem po stronie buntowników.

– To i pieniądze.

– Tak, to i pieniądze – zgodził się Inverr. – A teraz proszę dać mi pracować.

W ciągu kolejnych kilku minut pierwszy oficer udowodnił, że chociaż miał swoje wady, to zapewne był najlepszym nawigatorem, jakiego Gineos kiedykolwiek widziała. Płycizna wejściowa nie oddalała się od *Mów do mnie* liniowo. Zdawała się robić uniki i skakać do przodu i do tyłu. Zachowywała się jak jakiś niewidzialny tancerz, możliwy do wykrycia tylko dzięki emisjom fal radiowych w miejscach, gdzie Nurt napierał na czasoprzestrzeń. Bernus śledził płyciznę i przekazywał najświeższe dane. Inverr nanosił poprawki i niewzruszenie przysuwał statek coraz bliżej wejścia. Było to wielkie wydarzenie w dziejach podróży kosmicznych, może nawet w dziejach ludzkości. Mimo dramatycznych okoliczności, Gineos czuła się zaszczycona, mogąc brać w tym udział.

– Aj, mamy problem – zawiadomił kanałem łączności wewnętrznej Hybern, tymczasowy główny inżynier. – Jesteśmy na etapie, na którym silniki muszą zacząć pobierać energię z innych systemów.

– Potrzebujemy przednich pól dociskowych – stwierdziła Gineos. – Wszystko inne jest mało ważne.

– Muszę mieć system nawigacji – wtrącił się Inverr, nadal nie odrywając wzroku od przyrządów.

– Potrzebujemy pól dociskowych i nawigacji – poprawiła się Gineos. – Cała reszta jest mało ważna.

– A co z systemami podtrzymywania życia? – zapytał Hybern.

– Jeśli nam się nie uda w ciągu następnych trzydziestu sekund, to czy oddychamy, czy nie,

i tak nie będzie miało znaczenia – powiedział Inverr do Gineos.

– Przekierowujemy wszystko poza systemami nawigacji i polami dociskowymi – zdecydowała Gineos.

– Zrozumiałem – odparł Hybern i natychmiast powietrze na *Mów do mnie* zaczęło być jakby chłodniejsze i niezbyt świeże.

– Płycizna skurczyła się do niespełna dwóch klików średnicy – oświadczył Bernus.

– Przejdziemy na styk – zgodził się Inverr. – Piętnaście sekund do płycizny.

– Jeden i osiem dziesiątych średnicy.

– Damy radę.

– Jeden i pięć dziesiątych średnicy.

– Bernus, do kurwy nędzy, zamknij się, bardzo cię proszę.

Na tak usilną prośbę Bernus, do kurwy nędzy, się zamknął. Gineos wstała, poprawiła ubranie i stanęła obok swojego zastępcy.

Inverr odliczał ostatnie dziesięć sekund, przerywając na „sześć”, żeby zakomunikować formowanie bąbla czasoprzestrzennego, i licząc dalej od „trzy”. Na „zero” – Gineos widziała to dobrze, stojąc obok i trochę za nim – Inverr uśmiechnął się szeroko.

– Udało się! Cały statek. Wlecieliśmy! – powiedział.

– To był kawał niesamowicie dobrej roboty, Ollie – pochwaliła go Gineos.

– No, ja myślę. Nie żebym się przechwalał czy coś.

– A przechwalaj się. Załoga żyje dzięki tobie.

– Dziękuję, pani kapitan.

Nadal się uśmiechając, Inverr odwrócił się przodem do Gineos. Wtedy kapitan włożyła w jego lewy oczodół lufę miotacza strzałek, który przed momentem wyjęła z buta, i pociągnęła za spust. Strzałka wleciała w oko z miękkim „pop”. Drugie oko Inverra wyglądało na bardzo zaskoczone, kiedy osuwał się martwy na ziemię.

Po drugiej stronie przegrody stronnicy Inverra krzyknęli zaalarmowani i unieśli miotacze. Gineos uniosła rękę, a oni, na Boga, zatrzymali się.

– Nie żyje – oznajmiła, po czym położyła drugą dłoń na monitorze panelu Inverra. – A ja właśnie uruchomiłam komendę, która sprawi, że każda śluza na statku wyleci w bąbel czasoprzestrzenny. W tej samej sekundzie, w której moja dłoń oderwie się od monitora, wszyscy na statku zginą. Wy również. Tak więc teraz musicie zdecydować, kto dzisiaj umiera: tylko Ollie Inverr czy wszyscy. Jeśli do mnie strzelicie, zginiemy wszyscy. Jeśli nie rzucicie broni w ciągu dziesięciu sekund, zginiemy wszyscy. Decydujcie.

Wszyscy trzej rzucili miotacze. Gineos dała gestem znak Dunn, która podeszła i je podniosła, jeden z nich podając Bernusowi, a zaraz potem drugi swojej kapitan, która zdjęła rękę z monitora, żeby go wziąć. Jeden z buntowników omal się nie zadławił powietrzem na ten widok.

– Ja pierdołę, ależ jesteście naiwni – zwróciła się do niego Gineos, po czym przełączyła

miotacz na „ogłuszenie” i strzeliła kolejno do wszystkich trzech. Padli nieprzytomni. Odwróciła się do Dunn i Bernusa.

– Gratulacje, właśnie zostaliście awansowani – powiedziała. – A teraz mamy trochę buntowników do załatwienia. Bierzmy się do roboty.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

W ciągu tygodnia poprzedzającego śmierć jej ojca Batrina Cardenia Wu-Patrick spędzała większość czasu, opiekując się nim. Odkąd Batrin został poinformowany, że współczesna medycyna nie jest w stanie już nic poradzić na stan jego zdrowia, zdecydował, że chce umrzeć w domu – w swoim ulubionym łóżku. Cardenia, już od pewnego czasu świadoma, że koniec jest bliski, wyczyściła swój terminarz na czas opieki nad ojcem i kazała zainstalować obok jego łóżka wygodne krzesło.

– Nie masz nic lepszego do roboty niż przesiadywanie tutaj – zażartował Batrin, kiedy jego córka, a zarazem jedyne żyjące dziecko, usiadła, by zacząć z nim poranną sesję.

– W tej chwili nie – odparła.

– Wątpię. Jestem pewien, że za każdym razem, kiedy wychodzisz z tego pokoju i idziesz do łazienki, dopadają cię interesanci, którzy potrzebują na coś twojego podpisu.

– Nie – zapewniła Cardenia. – Wszystko jest obecnie w rękach komitetu wykonawczego. Na dającą się przewidzieć przyszłość wszelkie sprawy znajdują się w trybie tymczasowym.

– Dopóki nie umrę – stwierdził Batrin.

– Dopóki nie umrzesz.

Ojciec roześmiał się słabo.

– Obawiam się, że to akurat da się przewidzieć aż nadto dobrze.

– Postaraj się o tym nie myśleć – powiedziała Cardenia.

– Łatwo ci mówić.

Oboje umilkli i siedzieli w ciszy przez kilka chwil, aż w końcu Batrin, słysząc hałas, skrzywił się i odwrócił do córki.

– A to co?

Cardenia przekrzywiła lekko głowę.

– Chodzi ci o śpiewanie?

– Ktoś tu *śpiewa*?

– Masz pod oknami cały tłum sympatyków – odparła, na co Batrin się uśmiechnął.

– Jesteście pewni, że to sympatycy?

Batrin Wu, ojciec Cardenii, oficjalnie znany był jako Attavio VI, imperoks Świętego Imperium Wspólnoty Państw i Gildii Kupieckich, Król Hubu i Narodów Powiązanych, Głowa Kościoła Wspólnoty, Spadkobierca Ziemi i Ojciec Wszystkich, a także osiemdziesiąty siódmy Imperoks z rodu Wu, który wywodził swoje korzenie od Prorokini-Imperoks Racheli I, założycielki Wspólnoty i Zbawczyni Ludzkości.

– Jesteśmy pewni – odparła Cardenia.

Oboje znajdowali się w Brighton, imperialnej rezydencji w Hubfall – stolicy Hubu i ulubionej siedzibie jej ojca. Formalna rezydencja władcy znajdowała się kilka tysięcy klików w górę studni grawitacyjnej, w Xi’an – olbrzymiej stacji kosmicznej wiszącej nad powierzchnią Hubu, widocznej z Hubfall w postaci ogromnego, odbijającego światło talerza, który ktoś wyrzucił w ciemność, a przynajmniej tak by było, gdyby większość tego miasta znajdowała się gdzieś przy powierzchni planety. Hubfall, tak jak wszystkie miasta Hubu, zostało wydrążone w skale planety, najpierw przy pomocy materiałów wybuchowych, potem maszyn, tak że nad powierzchnię wystawały tylko tu i ówdzie pojedyncze kopuły robocze i inne konstrukcje. Pograżone one były w wiekiustym półmroku, jakby czekając na wschód słońca, który wszakże na obracającej się synchronicznie planecie nigdy nie nadejdzie. Gdyby jednak jakimś sposobem to się kiedyś zdarzyło, mieszkańcy Hubu upiekliby się niczym wieprzek na ruszcie.

Attavio VI nienawidził Xi’an i nigdy nie przebywał tam dłużej niż to było absolutnie konieczne, a już na pewno nie miał zamiaru tam umierać. Brighton stanowiło jego dom, a pod bramami tłoczyło się tysiąc albo więcej sympatyków, wiwatując na jego cześć i co jakiś czas śpiewając imperialny hymn lub „Co powiesz” – kibicowską przyśpiewkę imperialnej drużyny futbolowej. Cardenia wiedziała, że wszyscy sympatycy zostali solidnie sprawdzeni, zanim pozwolono im podejść na klik od bram Brighton i znaleźć się w zasięgu słuchu imperoksa. Niektórym nawet nie trzeba było płacić, żeby przyszli.

– Ilu musieliśmy opłacić? – spytał Batrin.

– W zasadzie to nikogo – odparła Cardenia.

– Musiałem zapłacić, i to niemało, wszystkim spośród trzech tysięcy ludzi, którzy się zjawili, aby wiwatować na cześć mojej matki, kiedy leżała na łożu śmierci.

– Jesteś bardziej popularny niż twoja matka.

Cardenia nigdy nie poznała swojej babci, imperoksa Zetian III, ale opowieści o tych czasach wywoływały u niej zakłopotanie.

– Kamień byłby bardziej popularny od mojej matki – oświadczył Batrin. – Jednak nie powinnaś się oszukiwać, moje dziecko. Żaden imperoksa Wspólnoty nie był aż tak popularny. To nie jest w jego, że tak powiem, zakresie obowiązków.

– Przynajmniej jesteś bardziej popularny niż większość z nich.

– I właśnie dlatego musiałaś zapłacić tylko *niektórym* spośród ludzi pod oknami.

– Jeśli chcesz, mogę ich odesłać.

– Nie przeszkadzają mi. Jeśli będą mieli jakieś prośby, zajmij się tym.

Po tych słowach Batrin zapadł w drzemkę i kiedy Cardenia upewniła się, że śpi, wstała z krzesła i wyszła do prywatnego gabinetu ojca. Przyzwyczajająca się już do pomieszczenia, które wkrótce, jakby nie patrzeć, miało stać się jej gabinetem. Gdy tylko wyszła z sypialni, zobaczyła profesjonalny zespół medyczny, na którego czele stał Qui Drinin, imperialny lekarz. Medycy przyszli do imperoksa, aby go umyć, sprawdzić jego funkcje życiowe

i upewnić się, że czuje się na tyle komfortowo, na ile to możliwe w przypadku kogoś, kto zмага się z bolesną i nieuleczalną chorobą.

W prywatnym gabinecie czekała Naffa Dolg, niedawno mianowana szefem personelu Cardenii. Przyglądała się swojej pracodawczyni, która podeszła do małej lodówki i wyciągnęła z niej napój. Cardenia usiadła, otworzyła pojemnik, upiła dwa solidne łyki, po czym odstawiła napój na biurko ojca.

– Podkładka – powiedziała Naffa do szefowej.

– Serio? – spytała Cardenia.

– To biurko – Naffa wskazała na mebel – należało kiedyś do imperoksa Turinu II. Ma sześćset pięćdziesiąt lat. Stanowiło prezent od ojca Genevieve N'don, która miała zostać jego żoną po...

– Wystarczy! – Cardenia uniosła dłoń. Sięgnęła na drugi koniec biurka, po małą, oprawioną w skórę książkę. Położyła ją przed sobą i na niej postawiła pojemnik z napojem. Zauważyła wyraz twarzy Naffy.

– Co znowu?

– Nic, nic – odparła Naffa. – Tylko że twoja „podkładka” to pierwsze wydanie *Komentarzy do nauk Racheli Chao*, a to oznacza, że ma prawie tysiąc lat. Powiedzieć, że jest bezcenna, to poważne niedomówienie. Nawet myśl o tym, aby postawić na niej pojemnik z napojem, jest zapewne bluźnierstwem najwyższej kategorii.

– Na litość boską. – Cardenia pociągnęła kolejny haust, po czym odłożyła napój na dywan, obok biurka. – Zadowolona? To znaczy, o ile ten dywan również nie jest absolutnie bezcenny.

– W zasadzie...

– Czy możemy przyjąć, że wszystko w tym pokoju, no może z wyjątkiem ciebie i mnie, ma zapewne kilkaset lat, pierwotnie zostało подарowane któremuś z moich przodków przez jakąś inną, niezmiernie sławną, historyczną osobistość i jest bezcenne lub przynajmniej warte więcej niż większość ludzi jest w stanie zarobić przez całe życie? Jest w tym pomieszczeniu coś, co nie pasuje do tego opisu?

– Myślę, że chyba ta lodówka – Naffa wskazała urządzenie.

Ostatecznie Cardenia znalazła podkładkę, położyła ją na biurku i tam postawiła swój napój.

– Ta podkładka pewnie też ma ze czterysta lat i stanowi dar od księcia Kresu – powiedziała, po czym zerknęła na asystentkę. – Nie mów mi, jeśli tak jest.

– Nie powiem. – Naffa wyciągnęła tablet.

– Ale wiesz, prawda?

– Masz prośby od komitetu wykonawczego – oznajmiła Naffa, ignorując ostatni komentarz swojej szefowej.

Cardenia wzruszyła ramionami.

– To ci niespodzianka.

Komitet wykonawczy składał się z przedstawicieli trzech gildii, trzech ministrów z parlamentu i trzech arcybiskupów z Kościoła. Dawniej komitet stanowił bezpośredni łącznik imperoksa z trzema ośrodkami władzy we Wspólnocie. Teraz jego zadanie polegało na zachowaniu ciągłości rządów w ostatnich dniach panowania. Członkowie komitetu przyprawiali Cardenię o lekkie szaleństwo.

– Po pierwsze chcę, abyś pojawiła się w sieci i wzięwszy pod uwagę stan twojego ojca, jak to ujęli, „uspokoiła obawy o imperium”.

– On umiera, i to szybko – odparła Cardenia. – Nie jestem pewna, czy to uspokajające wieści.

– Chyba woleliby coś bardziej tchnącego nadzieją. Przesyłają mowę.

– Nie ma sensu uspokajać sytuacji w imperium. Kiedy ta mowa dotrze do Kresu, on już nie będzie żył od dziewięciu standardowych miesięcy. Nawet Bremen jest o dwa tygodnie drogi stąd.

– Są jeszcze Hub i Xi’an, razem ze stowarzyszonymi narodami z tego systemu. Najdalszy z nich znajduje się zaledwie pięć godzin świetlnych stąd.

– Oni już wiedzą, że umiera.

– Tu nie chodzi o jego umieranie, tylko o ciągłość.

– Dynastia Wu sięga tysiąca lat wstecz, Naffo. Tak naprawdę nikt *aż tak* nie martwi się ciągłością władzy.

– To nie o samą ciągłość się martwią, tylko o swoje codzienne życie. Niezależnie od tego, kto zostanie imperoksem, znajdą zmiany. W systemie żyje trzysta milionów imperialnych poddanych, Cardenio. Jesteś dziedziczką. Wiedzą, że dynastia się nie zmieni. Chodzi o wszystkie inne kwestie.

– Nie mogę uwierzyć, że w tej sprawie stoisz po stronie komitetu wykonawczego.

– Dwa razy dziennie nawet zepsuty zegar pokazuje właściwą godzinę.

– Czytałaś przemówienie?

– Czytałam. Tragedia.

– Przerabiasz je?

– Owszem, już przerobiłam.

– Co jeszcze? – zapytała Cardenia.

– Chcę wiedzieć, czy zmieniłaś swoje stanowisko w sprawie Amita Nohamapetana.

– Stanowisko co do czego? Spotkania się z nim czy poślubienia go?

– Jestem skłonna przypuszczać, że mają nadzieję, iż to pierwsze doprowadzi do tego drugiego.

– Już raz go spotkałam. I właśnie dlatego nie mam ochoty spotykać się z nim ponownie. A już absolutnie nie mam zamiaru za niego wychodzić.

– Komitet wykonawczy, zapewne przewidując wspomnianą przez ciebie niechęć, chciałby

przypomnieć, że twój brat, nieodżałowanej pamięci arcyksiążę, zasadniczo zgodził się ożenić z Nadashe Nohamapetan.

– To już wolę poślubić ją niż jej brata.

– Przewidując, że możesz coś takiego powiedzieć, komitet wykonawczy pragnie ci przypomnieć, że taka opcja prawdopodobnie również zadowoli wszystkie zainteresowane strony.

– *Jej* też nie mam zamiaru poślubić – stwierdziła Cardenia. – Nie lubię żadnego z tych dwojga. To okropni ludzie.

– To okropni ludzie, których ród rośnie w siłę wśród gildii kupieckich, a ich pragnienie sojuszu z rodziną Wu da imperium najsilniejsze od stuleci narzędzie do wywierania na nie wpływu.

– To zdanie twoje czy komitetu wykonawczego?

– W osiemdziesięciu procentach komitetu.

– Popierasz to w dwudziestu procentach? – Cardenia zareagowała zaskoczeniem, w dużej mierze udawanym.

– Te dwadzieścia procent mnie dostrzega fakt, że małżeństwa polityczne to coś, co się zdarza ludziom takim jak ty, stojącym u progu stania się imperoksem, którzy mimo wiarygodności opartej na tysiącletniej dynastii, nadal potrzebują sojuszników, aby trzymać gildie w ryzach.

– I to jest ten moment, kiedy mówisz mi o wszystkich tych przypadkach w ciągu ostatniego tysiąca lat, kiedy imperoksxowie z dynastii Wu zasadniczo pozostawali marionetkami, za których sznurki pociągała gildia, czyż nie?

– To jest ten moment, kiedy przypomnę ci, że nie obdarzyłaś mnie tym stanowiskiem wyłącznie z powodu osobistej przyjaźni i doświadczenia w radzeniu sobie z dworską polityką, lecz ponieważ mam doktorat z dziejów dynastii Wu i wiem o twojej rodzinie więcej niż ty sama. Ale, oczywiście, mogę też zrobić to, o czym wspomniałaś.

Cardenia westchnęła.

– Tyle tylko, że nam nie grozi zostanie marionetkami gildii.

Naffa w odpowiedzi milcząco przypatrywała się szefowej.

– Chyba żartujesz – powiedziała Cardenia, widząc wyraz jej twarzy.

– Ród Wu sam również jest rodziną kupiecką i ma monopol na budowę okrętów oraz broni dla wojska – odparła Naffa. – Podobnie kontrola nad armią spoczywa w rękach imperoksa, nie gildii. Tak więc nie, mimo wszystko trudno by było gildiom, czy też którejs z kontrolujących je rodzin, próbować w krótkim horyzoncie czasowym wpływać na dynastię albo na imperium. Niemniej twój ojciec bardzo luźno sprawował kontrolę nad rodzinami kupieckimi i niektórym z nich, w tym Nohamapetanom, pozwolił zbudować ośrodki władzy, które od dwustu lat nie miały precedensu. To znaczy, rzecz jasna, nie licząc Kościoła, który sam w sobie jest ośrodkiem władzy. Ty zaś nie zdziw się, jeśli wszyscy oni spróbują

uszczańć dla siebie jeszcze więcej władzy, bo również wszyscy spodziewają się, że będziesz słabą imperoks.

- Dzięki – sucho odrzekła Cardenia.
- To nic osobistego. Twoje dojście do władzy było dosyć niespodziewane.
- Co ty nie powiesz.
- Nikt tak naprawdę nie wie, co o tobie myśleć.
- Z wyjątkiem komitetu wykonawczego, który koniecznie chce mnie za kogoś wydać.
- Chcą wykorzystać istniejący potencjał sojuszu.
- Sojuszu z okropnymi ludźmi.
- Naprawdę mili ludzie zwykle nie sięgają po władzę – stwierdziła Naffa.
- Chcesz przez to powiedzieć, że ja odstaję od normy? – spytała Cardenia.
- Nie przypominam sobie, żebym mówiła, że jesteś miła.

– Żaden z tych problemów nie miał być twoim zmartwieniem – powiedział jakiś czas później Batrin do Cardenii.

Znów siedziała na krześle w jego sypialni. Zespół medyczny, który troszczył się o niego podczas snu, teraz wycofał się do pobliskich pomieszczeń. Byli w pokoju tylko we dwoje, a oprócz nich mnóstwo sprzętu medycznego.

– Wiem – odparła Cardenia.

Już raz odbyli tę rozmowę, ale wiedziała, że do niej wróca.

– To twój brat był przygotowywany do tego wszystkiego – kontynuował Batrin monotonnym głosem, a Cardenia skinęła głową.

Rennered Wu tak naprawdę był jej bratem przyrodnim i synem małżonki imperoksa Glenny Costu, zaś Cardenia stanowiła rezultat jego krótkiego romansu z Hannah, profesorką języków starożytnych. Hannah Patrick spotkała imperoksa, pokazując mu kolekcję rzadkich książek w Spode Library na Uniwersytecie Hubfall. Później korespondowali ze sobą na tematy akademickie. Natomiast kilka lat po nagłej śmierci swej małżonki imperoksa obdarował Hannah Patrick rzadkim wydaniem *Qaṣīdat-ul-Burda*, a następnie – niedługo potem i ku niejakiemu zaskoczeniu obojga – Cardenią.

Rennered był już wtedy dziedzicem korony i Hannah Patrick po pewnym namyśle zdecydowała, że wolałaby wyskoczyć przez śluzę niż zostać stałym elementem imperialnego dworu. Rezultat był taki, że dzieciństwo Cardenii upłynęło beztriosko, a równocześnie z dala od pułapek prawdziwej władzy. Została uznana za córkę imperoksa i widywała swego słynnego ojca regularnie, choć rzadko. Co jakiś czas dokuczano jej w klasie, nazywając ją „księżniczką”, ale niezbyt często ani też złośliwie, bo okazało się, że *była* księżniczką, a jej imperialna obstawa wykazywała niską tolerancję wobec zniewag.

Dzieciństwo i wczesne lata dorosłości pozostawały tak normalne, jak to tylko możliwe, kiedy jest się córką najpotężniejszego człowieka w znanym Wszechświecie – czyli niezbyt, ale wystarczająco, by Cardenia postrzegała świat w normalny sposób, z dystansem. Studiowała na Uniwersytecie Hubfall i zdobyła stopnie naukowe z literatury współczesnej oraz edukacji. W chwili ukończenia nauki poważnie zastanawiała się nad patronowaniem jakimś programom i inicjatywom związanym ze sztuką, przeznaczonym dla nieuprzywilejowanych.

I właśnie wtedy Rennered musiał zginąć w czasie wyścigu, rozbijając o ścianę siebie oraz swój uroczy automobil w stylu retro. Stało się to podczas charytatywnego wyścigu pokazowego z prawdziwymi kierowcami. W zasadzie to absolutnie dosłownie stracił przy tej okazji głowę. Cardenia nigdy nie oglądała filmu z katastrofy – to był jej brat, po cóż miałaby to robić? Czytała jednak późniejszy raport kryminalistyczny, który wprawdzie wykluczał jakiegokolwiek podejrzenia co do nieczystej gry, ale odnotowywał mechanizmy zabezpieczające zastosowane w automobiliu i bardzo nikłe prawdopodobieństwo, aby wypadek okazał się śmiertelny, a tym bardziej zakończył się dekapitacją.

Cardenia dowiedziała się później, że na aukcji charytatywnej, jaką zaplanowano po wyścigu, Rennered miał się publicznie oświadczyć Nadashe Nohamapetan. Zbieżność tych dwóch wydarzeń mocno zapadła jej w pamięć.

Brat nigdy nie był jej szczególnie bliski. Kiedy Cardenia się urodziła, Rennered był już nastolatkiem, więc kręgi ich znajomości oraz zainteresowań praktycznie nigdy na siebie nie zachodziły. Co nie zmienia faktu, że traktował ją bardzo miło. Jako dziecko ubóstwiała go i jego sposób bycia playboya. Gdy trochę podrosła i dostrzegła, jak wiele z ciężaru, jaki niosła ze sobą chwala imperium, ją omijało, by spocząć na jego ramionach, poczuła ulgę, że on tam jest i bierze go na siebie. Zdawał się czerpać z tego radość, jakiej ona na pewno by nie odczuwała.

Rennered odszedł i nagle imperium potrzebowało nowego dziedzica tytułu imperoksa.

– Chyba błędzisz gdzieś myślami – stwierdził fakt Batrin.

– Przepraszam – odparła. – Myślałam o Renneredzie. Chciałabym, żeby nadal tu był.

– Ja również. Choć zapewne z innych powodów.

– Byłabym szczęśliwsza, gdyby to on obejmował po tobie władzę. Wielu ludzi by było.

– Z pewnością, moje dziecko. Jednak posłuchaj, Cardenio. Wcale nie żałuję, że to ty przejmiesz po mnie rządy.

– Dziękuję.

– Naprawdę. Rennered byłby doskonałym imperoksem. Dosłownie urodził się do tej roli, tak samo zresztą jak ja. Ty jednak nie. Lecz to nie jest takie złe.

– Myślę, że jest. Ja nie mam pojęcia, co robię – wyznała Cardenia.

– Nikt z nas nie wiedział, co robi – zapewnił Batrin. – Różnica polega na tym, że ty zdajesz sobie z tego sprawę. Gdyby Rennered był tutaj, byłby równie zdezorientowany, ale

bardziej pewny siebie. I dlatego właśnie walnąłby głową w mur zaraz po wyjściu przez bramę, tak jak ja, i moja matka, i mój dziadek. Może przełamiesz tę tradycję.

Na te słowa Cardenia się uśmiechnęła.

Batrin niemal niezauważalnie uniósł głowę.

– Nadal nie wiesz, co ze mną począć, prawda? – zapytał.

– Nie wiem – przyznała Cardenia. – Cieszę się, że udało nam się lepiej poznać w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy. Gdyby nie... – rozłożyła ręce w pełnym bezradności geście – cała reszta tego wszystkiego.

Batrin się uśmiechnął.

– Chcesz poznawać swojego ojca, ale zamiast tego musisz się skupić na przygotowaniach do objęcia rządów nad Wszechświatem?

– Brzmi to groteskowo, ale tak.

– To moja wina. Wiesz, że byłaś wpadką, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. – Cardenia kiwnęła głową. – Wszyscy, nie wyłączając twojej matki, mówili mi, że lepiej będzie trzymać cię na dystans. A ja z radością się z nimi zgadzałem.

– Wiem. Nigdy cię za to nie obwiniałam.

– Nie obwiniałaś, ale musisz przyznać, że to dziwne.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Jesteś, jak najbardziej dosłownie, księżniczką, ale nie żyłaś jak księżniczka. Myślę, że nikogo nie skrzywdzimy, jeśli powiem, że większość ludzi w takiej sytuacji czułaby urazę.

Cardenia wzruszyła ramionami.

– Podobało mi się, że to majaczy gdzieś na horyzoncie. Kiedy miałam osiem lat, trochę mnie to uwierało. Lecz gdy dojrzałam na tyle, aby zrozumieć, co oznacza bycie księżniczką, cieszyłam się, że ominęła mnie spora tego część.

– A jednak los pchnął cię w tę rolę.

– Tak – zgodziła się.

– Nadal nie masz ochoty być imperoksem, prawda?

– Nie, nie mam. Wolałabym, żebyś przekazał władzę kuzynowi albo bratankowi, czy jeszcze komuś innemu.

– Gdyby Rennered ożenił się wcześniej i miał dziecko, to by rozwiązało twój problem. Tak się jednak nie stało. Nawet gdyby poślubił tę córkę Nohamapetanów, a ona urodziłaby dziedzica, zostałaby teraz regentką. Zaś pomysł, żeby oddać jej stery nieograniczonych rządów, nie brzmi za dobrze.

– Sam go nakłaniałeś do tego małżeństwa.

– Polityka... Zakładam, że ciebie już namawiają, żebyś poślubiła jej brata.

– Tak.

– To by było korzystne politycznie.

– Chciałbyś, abym to zrobiła?

Batrin zakaszłał, długo i mocno. Cardenia naląła mu szklanę wody, po czym przytrzymała ją przy jego ustach, żeby się napił.

– Dziękuję. I nie. Nadashe Nohamapetan jest bezduszna i okrutna, ale Rennered też nie był niewiniątkiem. Pod tym względem przypominał moją matkę. Trzymałby ją w szachu. Co więcej, cieszyłoby go to wyzwanie, podobnie jak ją. Ty jednak nie jesteś Renneredem, zaś Amit Nohamapetan nie został obdarzony błyskotliwością, jaką posiada jego siostra.

– To nudziarz.

– Tak, jeśli chcemy ująć rzecz zwięźle.

– Ale powiedziałeś, że to małżeństwo byłoby korzystne politycznie.

Batrin bardzo lekko wzruszył ramionami.

– Bo tak jest, ale co z tego? Niedługo i tak będziesz imperoksem.

– A wtedy nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

– Ależ wręcz przeciwnie – stwierdził Batrin. – Wszyscy będą ci mówili, co masz robić. Tyle że nie zawsze musisz słuchać.

– Ile czasu mu zostało? – Cardenia zwróciła się do Qui Drinina podczas kolacji.

Mówiąc ściślej, to ona jadła kolację w prywatnej jadalni w swoich apartamentach, która w przeciwieństwie do zatrważająco bogato zdobionej większości jej prywatnych pomieszczeń była urządzona jedynie nedorzecznie bogato. Drinin wcale nie jadł, tylko stał, czekając, aż będzie mógł złożyć raport. Cardenia zapytała go, czy zechce coś zjeść, ale odmówił tak pospiesznie, że zaczęła się zastanawiać, czy nieświadomie nie naruszyła jakiejś zasady imperialnego protokołu.

– Myślę, pani, że co najwyżej jeden dzień – odparł Drinin. – Jego nerki zasadniczo już nie działają i choć możemy na to coś poradzić, to pozostałe układy organizmu nie wyglądają wiele lepiej. Płuca i układ oddechowy, podobnie jak inne, wykazują wartości krytyczne. Pani ojciec rozumie, że można przedsięwziąć pewne kroki na dużą skalę, ale to wydłużyłoby mu życie co najwyżej o kilka dni. Zdecydował, że nie będziemy ich podejmować. Na tym etapie właściwie już tylko staramy się, żeby czuł się komfortowo.

– Zachował jasność umysłu – powiedziała Naffa.

Ona także nie jadła. Drinin skinął na to głową i zwrócił się do Cardenii.

– Nie można się spodziewać, że to potrwa długo, proszę pani. Zwłaszcza w miarę jak w jego krwi będą się gromadzić toksyny. Mam nadzieję, że nie zabrzmi to arogancko z mojej strony, ale jeśli masz, pani, swojemu ojcu coś bardzo ważnego do powiedzenia, należałoby to zrobić dość szybko.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała Cardenia.

– Zawsze do usług, proszę pani. Mogę jeszcze zapytać, jak się pani miewa?

– Jako człowiek czy w sensie medycznym?

– Jedno i drugie, proszę pani. Wiem, że kilka tygodni temu kazała pani zainstalować u siebie sieć. Chciałem się upewnić, że nie wywołało to u pani żadnych efektów ubocznych.

Nie trzymając akurat żadnych sztuczków, Cardenia sięgnęła do miejsca na swoim karku, zaraz u podstawy czaszki, gdzie wszczepiono jej ziarenko z imperialną siecią neuronową, która w przeciągu około miesiąca miała z niego wrosnąć w mózg.

– Tydzień po wszczepieniu trochę bolała mnie głowa – odparła. – Teraz już wszystko jest w porządku.

Drinin skinął głową.

– Dobrze. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że bóle głowy nie są rzadkością. Oczywiście, jeśli wystąpią jakieś inne efekty uboczne, proszę dać mi znać. Teraz już powinno się w pełni wszczepić, ale nigdy nie wiadomo.

– Dziękuję, doktorze.

Drinin skłonił lekko głowę i odwrócił się do wyjścia.

– Doktorze Drinin.

Stanął i odwrócił się z powrotem.

– Tak, proszę pani?

– Po objęciu rządów będzie mi miło, jeśli pan i pański zespół pozostaniecie w służbie imperoksa.

Drinin uśmiechnął się i nisko się uklonił.

– Oczywiście, proszę pani – powiedział, po czym wyszedł.

– Wiesz, że nie musisz prosić każdego człowieka służącego rodzinie imperialnej, żeby został na służbie – odezwała się Naffa, kiedy zostały same. – Spędziłabyś na tym cały pierwszy miesiąc rządów.

– Ten człowiek – Cardenia wskazała na drzwi, którymi wyszedł jej poprzedni rozmówca – będzie dbał o moje zdrowie przez następne dziesięciolecia. Myślę, że nie od rzeczy jest poprosić go osobiście, aby został. – Spojrzała w górę, na swoją asystentkę. – To dziwne, wiesz? Nie jemy razem, stoisz tu tylko z tym swoim tabletem, czekając, żeby mi coś powiedzieć.

– Personel nie jada z imperoksem.

– Jada, jeśli imperoks mu każe.

– Czyżbyś mi rozkazywała, abym zjadła to ohydne coś, co sama właśnie zajadasz?

– Nie jest ohydne. To bouillabaisse z cynamonowca. I nie, nie rozkazuję ci. Mówię, że jeśli zechcesz, możesz coś zjeść ze swoją przyjaciółką Cardenią.

– Dzięki, Car – powiedziała Naffa.

– Ostania rzecz, jakiej teraz potrzebuję, to ty zachowująca się jak członek personelu. Wciąż potrzebuję przyjaciół, i to takich, których nie będzie męczyło to, kim jestem. Byłaś jedynym dzieckiem, które w czasie, gdy dorastałyśmy, nie robiło wielkiej afery z tego, że

jestem księżniczką.

– Moi rodzice są republikanami – przypomniała przyjaciółce Naffa. – Gdybym traktowała cię inaczej tylko z powodu tego, kim jest twój ojciec, to by mnie wydziedziczyli. Nadal nie są szczególnie zadowoleni z faktu, że dla ciebie pracuję.

– To mi przypomina, że gdy zostanę imperoksem, będę mogła nadać ci tytuł.

– Ani się waż, Car – wzburzyła się Naffa. – Nie będę się mogła pokazać w domu na święta.

– „Baronowa Dolg” całkiem nieźle by brzmiała.

– Jeśli nie przestaniesz, wyleję ci tę zupę rybną na głowę – ostrzegła Naffa.

Cardenia tylko się uśmiechnęła.

– Widziałem film, który nakręciłaś – powiedział Batrin, kiedy znów się obudził. Cardenia zauważyła, że Drinin miał rację. Ojciec wyglądał teraz niewyraźnie i zachowywał się w sposób mało skoordynowany. – Ten, na którym o mnie mówisz.

– I co sądzisz?

– Ładne. Nie napisał tego komitet, prawda?

– Nie.

Komitet wykonawczy uskarżał się na przerobioną mowę autorstwa Naffy, dopóki Cardenia nie poinformowała go, że albo zostanie użyty tekst jej asystentki, albo żaden. Cieszyła się z tego pierwszego zwycięstwa nad trójcą sił politycznych, które stanowiły przeciwwagę dla imperoksa. Nie oszukiwała się, że odniesie ich wiele, kiedy już obejmie rządy.

– Dobrze – stwierdził Batrin. – Sama powinnaś decydować, jakim jesteś imperoksem. Tylko ty i nikt inny.

– Zapamiętam.

– Zapamiętaj.

Batrin zamknął na chwilę oczy i zdawał się odpływać. Zaraz jednak otworzył je ponownie i spojrzał na córkę.

– Wybrałaś już imię, jakie przyjmiesz po objęciu władzy?

– Pomyślałam, że może zachowam własne – odparła.

– Co? Nie – skrytykował pomysł Batrin. – Dotychczasowego imienia będziesz używała w swoim prywatnym świecie. Będą tak do ciebie mówić przyjaciele i małżonkowie, dzieci i kochankowie. Będziesz potrzebować tego prywatnego imienia. Nie oddawaj go na pastwę imperium.

– A którym z imion zwracała się do ciebie moja matka?

– Mówiła do mnie Batrin, przynajmniej na tyle długo, żeby to miało znaczenie. Jak ona

się miewa?

– W porządku.

Trzy lata wcześniej Hannah Patrick przyjęła stanowisko rektora w Instytucie Technologicznym w Guelph, dziesięć tygodni podróży Nurtem od Hubu. Mniej więcej teraz powinny do niej dotrzeć wieści o pogarszającym się stanie zdrowia imperoksa. Nie dowie się o tym, że jej córka objęła rządy, aż będzie już sporo po fakcie. Cardenia wiedziała, że matka miała bardzo ambiwalentne odczucia względem jej wstąpienia na tron.

– Zastanawiałem się, czy jej nie poślubić – powiedział Batrin.

– Mówiłeś już. – Cardenia słyszała od matki coś innego, ale to nie był czas na wyciąganie tych spraw.

Imperoks skinął głową i zmienił temat.

– Mogę ci zasugerować imię? Na użytek imperialny.

– Tak, proszę.

– Grayland.

Cardenia uniosła brew.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Kiedy umrę, znajdź je. A potem przyjdź do mnie i porozmawiaj o tym.

– Tak zrobię.

– Dobrze, dobrze. Będziesz dobrą imperoks, Cardenio.

– Dziękuję.

– Będziesz musiała być. Imperium pod koniec będzie tego potrzebować.

Cardenia nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc tylko kiwnęła głową i chwyciła ojca za rękę. Wydawał się tym zaskoczony i bardzo delikatnie ją uścisnął.

– Chyba teraz zasnę – powiedział. – Usnę, a potem będziesz już imperoksem. W porządku?

– Tak – odparła Cardenia.

– Dobrze, w porządku. – Batrin uścisnął jej rękę tak delikatnie, że ledwo dało się to wyczuć. – Żegnaj Cardenio, moja córko. Żałuję, że nie poświęciłem więcej czasu, aby cię kochać.

– Już dobrze – odpowiedziała.

Uśmiechnął się.

– Przyjdź do mnie.

– Przyjdę.

– Dobrze – odrzekł Batrin, po czym odpłynął.

Cardenia siedziała przy ojcu i czekała, aż zostanie imperoksem.

Nie musiała czekać długo.

ROZDZIAŁ 2

Kiva Lagos upojnie pieprzyła się z asystentem ochmistrza, z którym bujała się przez ostatnie sześć tygodni na statku *Tak, drogi panie, to moje dziecko*, zdążającym z Lankaran do Kresu, kiedy do jej prywatnej kajuty bezceremonialnie wszedł drugi oficer Waylov Brennir.

– Jest pani potrzebna – powiedział.

– W tej chwili jestem krzynkę zajęta – odparła Kiva.

Wreszcie zaczęła dobrze się bawić, więc jebać Waylova (nie dosłownie, wyglądał ohydnie), jeśli miała z tego zrezygnować tylko dlatego, że tu wszedł. Niełatwo było o dobrą zabawę. Ludzie uprawiają seks, a ten włazi bez zapowiedzi. To nie jej wina, że się wpakował na taką sytuację. Asystent był nieco skonsternowany, ale Kiva trochę mocniej go przycisnęła, dając znać, że impreza się jeszcze nie skończyła.

– To ważne.

– Zaufaj mi, to również.

– Mamy na pokładzie urzędników celnych, którzy nie pozwolą nam rozładować żadnych hawerfrutów ze statku – oświadczył Brennir. Jeśli był zszokowany albo zgorszony tym, co robiła Lagos, to całkiem nieźle mu szło ukrywanie tego faktu. Najbardziej wyglądał na znudzonego. – To właśnie z powodu wyładunku hawerfrutów przylecieliśmy na Kres. Jeśli nie sprzedamy ich albo licencji, mamy przesrane. Jest pani przedstawicielem właściciela. Będzie pani musiała wyjaśnić swojej matce, dlaczego ten rejs okazał się finansową katastrofą dla pani rodziny. Tak więc może zechce pani *natychmiast* dołączyć do kapitana Blinnikki, który właśnie rozmawia z celnikami, celem sprawdzenia, czy da pani radę pomóc w załatwieniu problemu. Może też pani oczywiście kontynuować pierdolenie się z tym młodszym członkiem załogi. Z całym szacunkiem. Niewątpliwie obie te rzeczy są tak samo ważne, jeśli chodzi o przyszłość pani, statku i rodziny.

– Żeż kurwa mać – zaklęła Kiva. Nastrój zdecydowanie szlag trafił i asystent ochmistrza, jej mała zabawka, wyglądał na ten moment dość mizernie. – Całkiem niezła pyskówka do kogoś, kto może cię wykopać, Brennir.

– Nie może mnie pani zwolnić – odparł Brennir. – Mam gwarancje gildii w kwestii zatrudnienia. To idzie pani czy nie?

– Myślę.

– Chyba powinienem iść – powiedział asystent. – To znaczy, mogę już iść.... Może powinienem iść?

Kiva westchnęła i spojrzała w dół, na przedmiot swojego podboju.

– Kiedy znowu zaczynasz służbę?

- Za trzy godziny.
- To nigdzie się stąd nie ruszaj.

Zwlekła się z asystenta, założyła na siebie coś, co było do przyjęcia dla świata zewnętrznego, po czym wyszła razem z Brennirem ze swojej kajuty i ruszyła wzdłuż statku.

Tak, drogi panie, to moje dziecko był piątkiem, czyli statkiem, którego rozmiary i konstrukcja sprawiały, że teoretycznie w oparciu o własne zasoby mógł zapewnić pełnej obsadzie załogi funkcjonowanie przez pięć standardowych lat, zanim wszystko zacznie się rypać, pokładowe systemy biologiczne i podtrzymywania życia zaczną się psuć, a członków załogi ogarną ostatnie, krótkie spazmy niewypowiedzianego horroru, który zresztą sami sobie zafundują, jak to zwykle ostatecznie się dzieje, kiedy ludzie zostają uwięzieni w bezkresnej przestrzeni, bez nadziei na ratunek.

Jednak patrząc na sprawę praktycznie, w ramach Wspólnoty prądami Nurtu do żadnej z ludzkich placówek nie podróżowało się dłużej niż dziewięć miesięcy. W piątkach i dziesiątkach – większym rodzeństwie tych pierwszych, na utrzymanie załogi przeznaczano standardowo tyle ładowności statku, aby dało się przetrwać rok. Trzy miesiące stanowiły margines błędu. Resztę miejsca i systemów używano na potrzeby ładunku oraz, jak w przypadku *Tak, drogi panie*, astroponików, gdzie hodowano produkty rolnicze, na które właściciele statku mieli monopol. Jednostka podróżowała od placówki do placówki i je sprzedawała.

Ród Lagos, właściciel *Tak, drogi panie*, miał monopol na wszelakie cytrusy, od korzenia do owocu, od pochodzących jeszcze z Ziemi roślin, takich jak cytryny czy pomarańcze, po nowsze hybrydy, jak gabiny, pięcioskórki i hawerfruty. To właśnie z tymi ostatnimi *Tak, drogi panie* przyleciał na Kres w interesach – miał sprzedać owoce, które dojrzały i zostały zebrane w trakcie podróży bezpośrednio do tego miejsca, oraz wynegocjować udzielenie licencji miejscowym rolnikom, aby uprawiali te rośliny na rzecz rodziny Lagos.

W każdym razie taki był plan. Tyle tylko, że jacyś pierdoleni celnicy właśnie próbowali ich wszystkich wyruchać.

Kiva weszła do pokoju konferencyjnego na *Tak, drogi panie*, gdzie czekali kapitan Tomi Blinnikka, ochmistrz Gazson Magnut i kilka żałosnych pierdół z imperialnej służby celnej. Kiva skinęła głową Blinnikke oraz Magnutowi i dosiadła się do nich przy stole. Blinnikka odesłał Brennira, który, wychodząc, zasunął za sobą drzwi.

- No dobrze, w czym problem? – zapytała Kiva, kiedy tamten już wyszedł.
- Pani Kivo, jestem inspektor Pretan Vanosh, asystent naczelnika urzędu celnego na Kresie – zaczęła jedna z żałosnych pierdół.
- Czarujące – powiedziała Kiva. – To w czym problem?
- Problem stanowi closterovirus – odparł Vanosh. – To rodzaj wirusa...
- Mój rząd ma monopol na uprawę cytrusów od ośmiuset lat, panie Vanosh – przerwała Kiva. – Wiem, co to jest closterovirus. Wiem również, że od dwustu lat nie było

potwierzonego przypadku, by wirus z tej rodziny zainfekował uprawy, które sprzedajemy albo licencjonujemy. Nasze uprawy są genetycznie modyfikowane, żeby wykluczyć taką możliwość.

Vanosh rozciągnął wargi w uśmiechu i podał Kivie folder, a gdy ta go wzięła, powiedział:

– Właśnie nastąpił reset zegara, pani Kivo. Dziewięć miesięcy temu statek pani siostry, *Nie, drogi panie, to nie znaczy może*, przyleciał z ładunkiem szczepków grejpfruta, a także przywiózł nowy szczep wirusa. Ten rozniósł się w sadach pozostających na waszej licencji i zniszczył uprawy waszego klienta.

– No dobra, ale co z tego? – odparła Kiva. – Jeśli faktycznie tak było, a nie mam zamiaru zakładać niczego podobnego, dopóki nie sprawdzą tego nasi ludzie, to wypłacimy klientom rekompensatę i zaoramy sady. To nie ma nic wspólnego z tym ładunkiem hawerfrutów.

– To nie takie proste – stwierdził Vanosh. – Wirus jest kompatybilny z niektórymi z lokalnych upraw na Kresie, w tym banu, które stanowią jeden z kluczowych tutejszych towarów. Musieliśmy objąć kwarantanną całą prowincję, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się choroby. Ceny żywności są niebotyczne. Ludzie martwią się perspektywą głodu. Książę Kresu już teraz musi sobie radzić z tłumieniem powstania. To tylko zaostrzyło sytuację. – Vanosh nachylił się ku Lagos. – Ujmując rzecz dosadnie, pani Kivo, ród Lagos przyczynił się do destabilizacji całej tej planety.

Kiva patrzyła na tego urzędniczego kutasa z niedowierzaniem.

– Nie możecie zakładać, że umyślnie...

– Pani Kivo – teraz to Vanosh wszedł jej w słowo – *nie ma znaczenia*, co pani ród zamierzał, za to *ma znaczenie*, co zrobił. A w tym konkretnym przypadku dołał oliwy do ognia. Póki sprawa nie rozstrzygnie się w sądzie, obawiam się, że wasze uprawnienia handlowe na Kresie zostają zawieszane.

– Nic nie wiem na ten temat – powiedziała Kiva.

– Wszystko na temat wirusa znajduje się w raporcie.

– Nie mówię o pierdolonym *wirusie*. Chodzi mi o destabilizację, głód czy jakiegokolwiek inne cholerstwo. Nie możecie nas tym obarczyć.

– Zapewniam, że to nie jest tak, że wszystkim obarczamy twoją rodzinę, pani Kivo. Jednakże można wam przypisać dostatecznie dużo, aby uzasadnić wspomniane zawieszenie.

– Czy to wymuszenie? – spytała Kiva.

– Przepraszam, co takiego? – Vanosh zamrugął oczami.

– Słyszałaś, co powiedziałam. Czy próbujecie tu wymuszenia? Chcecie wydebić łapówkę?

– Łapówkę?

– Tak.

– Nie jestem pewien, która część tej rozmowy zasugerowała pani, że to próba wyciągnięcia łapówki, pani Kivo.

– No ja pierdołę, nie bądź niewiniątkiem – powiedziała poirytowana Kiva. – Przyjmijmy,

że wszyscy w tym pomieszczeniu jesteście dorośli i nie musimy udawać w kwestii tego, jak się robi interesy. Powiedz, czego *chcesz*, a Magnut zajmie się resztą. – Tu wskazała kciukiem na ochmistrza, którego wyraz twarzy sugerował, że nie może uwierzyć, iż rozmowa zesłała na taki temat.

– Ochmistru Magnut – zwrócił się do niego Vanosh – czy często usiłujecie przekupywać imperialnych celników?

– Nie odpowiadaj – wtrącił się kapitan Blinnikka. Magnutowi ewidentnie ulżyło, że nakazano mu milczenie, a kapitan zwrócił się do Vanosha. – Zechce pan przyjąć przeprosiny, inspektorze. Nasza przedstawicielka właścicieli jest w tej chwili ze zrozumiałych powodów sfrustrowana i dobiera słowa w sposób nierozsądny. Zapewniam pana, że absolutnie w ramach naszej polityki nie znajduje się przekupstwo imperialnych urzędników, podobnie jak pani Kiva nie powinna pod wpływem emocji sugerować, że ktokolwiek na tym statku jest przekonany o waszej przekupności. Mam rację, pani Kivo?

Zapytana posłała kapitanowi długie spojrzenie, mające oznaczać „Chyba sobie, kurwa, jaja robisz”, po czym, otrzymawszy od niego zwrotne spojrzenie znaczące z grubsza „Wcale nie żartuję, ty jebnięta idiotko”, skierowała się znów do Vanosha ze słowami:

– Tak, to był z mojej strony bardzo kiepski żart. Przepraszam.

– Może opowiadanie dowcipów faktycznie nie jest twoją najmocniejszą stroną, pani Kivo – odparł Vanosh.

– Słuszna uwaga, dziękuję.

– W każdym razie, pani Kivo, kapitanie Blinnikka, wydajecie się przekonani, że to *ja* jestem powodem, dla którego wasze towary zostaną odizolowane, a przywileje handlowe zawieszono.

– A tak nie jest? – zapytała Kiva.

Vanosh znów rozciągnął wargi w uśmiechu, co skłoniło Lagos do zastanowienia się, czy potrafi to robić w jakikolwiek inny sposób.

– Gdyby to zależało ode mnie, pani Kivo, wziąłbym łapówkę, po czym zagroziłbym aresztowaniem całej waszej trójki, żeby zgarnąć drugą, jeszcze sowitszą.

– *Wiedziałam* – powiedziała Kiva – ty mały, śliski jebańcu.

Vanosh lekko skinął głową.

– W tym jednak przypadku dyrektywa wyszła z samej góry. W zasadzie, pani Kivo, zakaz handlu waszymi hawerfrutami i wszelkimi innymi towarami, jakie mógłby dostarczyć na Kres twój statek lub twoja rodzina, pochodzi od samego księcia. – Podał Kivie kolejny dokument. Był to tradycyjny list, wypisany na złożonym kilkakrotnie, grubym papierze, zapieczętowany woskiem z wyciśniętym na nim książęcym znakiem, co znaczyło, że książę Kresu podchodził do sprawy cholernie poważnie. – Będziecie musieli załatwić to z nim – dodał Vanosh.

Kiva wzięła papier.

- No to, kurwa, pięknie, nieprawdaż?
- Istotnie – odparł Vanosh. – I jeśli mógłbym coś zasugerować, pani Kivo.
- Tak?
- Księżę Kresu jest właścicielem większości planety. Może lepiej nie próbować go przekupić.

Zorganizowanie spotkania z księciem zajęło dzień. Do portu kosmicznego w Kresninie nie można się było dostać przy pomocy promów, bezpośrednio ze statku, gdyż ostrzeliwano je, kiedy podchodziły do lądowania. Tak więc Kiva musiała przelecieć promem na stację imperialną, wielki obiekt, gdzie imperium załatwiało większość swoich spraw, i tam wsiąść do windy orbitalnej, silnie opancerzonej na wypadek ataku powstańców. Dopiero tak można było dotrzeć do portu. Tam Kiva spotkała się z człowiekiem służącym jej rodzinie, który przywitał ją i zaprowadził do auta.

– Co to jest, do cholery? – zapytała Kiva, kiedy ujrzała swój środek transportu, gdyż był to nie tyle samochód, co mały czołg.

– Aby się dostać do pałacu księcia, będziemy musieli przejechać przez dość nieprzyjemne okolice, pani Kivo.

– Nie wydaje ci się, że to trochę rzuca się w oczy? Że równie dobrze moglibyśmy jechać z migocącym napisem „Tutaj strzelać”?

– Obecnie, proszę pani, strzelają właściwie do wszystkiego, co się rusza – powiedział służący, otwierając drzwi przedziału pasażerskiego. – A skoro już przy tym jesteśmy, to jeśli coś zbyt długo stoi w miejscu, również strzelają. – Gestem zaprosił ją do środka. Kiva zrozumiała aluzję.

Przedział pasażerski był przynajmniej względnie luksusowy. Usiadła i przywitała się z dwoma innymi osobami, czekającymi na nią wewnątrz. Kierowały one sprawami jej rodziny na Kresie. Jedna z nich wyciągnęła rękę do Lagos.

– Pani Kivo, jestem Eiota Finn, lokalny wicedyrektor rodziny Lagos. – Kiva uścisnęła jej dłoń, po czym Finn wskazała lewą ręką na drugiego współpasażera. – A to jest Jonan Rue, stojący na czele miejscowego działu prawnego.

Rue skinął głową.

– Cześć – powiedziała Kiva do obojga.

– Zapewne nie będzie pani pamiętać, ale już się kiedyś spotkałyśmy – zwróciła się Finn do Kivy. – Zanim skierowano mnie na Kres, pracowałam w biurze pani matki na Ikoyi. Oczywiście wtedy była pani dzieckiem.

– Jasne. Co za historia, Finn! Teraz jednak musisz mi wybaczyć, że w sumie wali mnie to, czy spotkałyśmy się, kiedy miałam sześć lat. Chciałabym za to wiedzieć, co, do chuja, się

wyprawia z tym embargiem.

Finn się uśmiechnęła.

– Zdecydowanie jest pani dzieckiem swej matki – stwierdziła. – Zawsze mówiła dosadnie i z miejsca przechodziła do rzeczy.

– Tak, jesteśmy rodziną samych dupków – odparła Kiva, a samochód wyrwał naprzód. – A teraz wyjaśnij.

Finn skinęła głową w kierunku Rue.

– W tej chwili mamy dwa problemy, pani Kivo, i oba są ze sobą powiązane. Pierwszy to embargo. Drugi to powstanie.

Kiwa uniosła brwi.

– A co rebelia ma wspólnego z nami?

– Z politycznego punktu widzenia nic. To po prostu kolejna rebelia.

– „Po prostu kolejna”? Ile powstań ma za sobą ta cholerna planeta?

– Na dekadę wypada jedno lub dwa – odparła Finn. – Planeta nie bez powodu nazywa się „Kresem”, pani Kivo. To najdalej wysunięta placówka ludzi we Wspólnocie i najtrudniej tu dotrzeć. Co więcej, mieszkańcom nie gwarantuje się przywilejów podróżowania. To tutaj przez stulecia trafiali rebelianci i dysydenci. I nie zaczynali nagle być grzeczni, kiedy już się tu znaleźli.

Jak gdyby dla zaakcentowania ostatniego zdania, od jednej z bocznych ścian dało się słyszeć głośnie *tuk*.

– A to co? – zapytała Kiva kierowcę.

– Strzał sondujący, proszę pani. Nie ma się czym przejmować.

– Nie przejmować się tym, że do nas strzelają?

– Gdyby na poważnie chcieli nas ostrzelać, użyliby rakiety.

Kiwa znów spojrzała na Finn.

– I wy tak macie raz na dziesięć lat?

– Owszem, raz albo dwa.

– Nie macie innych rzeczy do roboty w wolnym czasie? Powiedzmy drużyn sportowych albo gier planszowych?

– Zazwyczaj rebelie ograniczają się do prowincji zewnętrznych – powiedział Rue. – Wybuchają, aktualnie panujący książę wysyła siły porządkowe i w ciągu kilku miesięcy jest po wszystkim. Tym razem jednak jest inaczej.

– To powstanie jest zorganizowane – kontynuowała Finn. – Buntownicy dysponują niełichą siłą ognia.

– Tak, o tym już się przekonałam na własnej skórze – stwierdziła Kiva. – Tylko dalej nie wiem, co to ma wspólnego z nami?

– Jak już wspomniałem, pod względem politycznym nic – mówił dalej Rue. – Jednak walka z tą konkretną rebelią jest kosztowna. Przychody z podatków topnieją, bo handel,

ekonomia i biznes uległy dezorganizacji. No więc skądś trzeba wziąć pieniądze.

– Od nas?

– Od nas – zgodził się Rue.

– Ale nie tylko – uściśliła Finn. – Książę ciśnie tutejsze interesy wszystkich gildii. Na początek wyższe podatki i taryfy celne. Już podniósł je do poziomu, na jaki pozwala imperialne prawo.

– To jednak nie wystarczyło – dodał Rue. – Tak więc na tym etapie książę zaczął być bardziej kreatywny.

– Kiedy w grejfrutach stwierdzono wirusa, książę zamroził konta bankowe rodziny Lagos – powiedziała Finn. – Teoretycznie są w depozycie do czasu prawnego stwierdzenia szkód, jakie rozprzestrzeniający się wirus wyrządzi miejscowym plonom.

– Na ile ponosimy za to odpowiedzialność? – zapytała Kiva.

– Możliwe, że wcale – odparł Rue. – To się ustali w sądzie. Jeśli jednak książę zdoła udowodnić, że wirus trafił do ekosystemu Kresu z powodu naszego zaniedbania, zgodnie z imperialnym prawem otrzyma rekompensatę i grzywny.

– A tymczasem, aby nie pozwolić nam wycofać zysków na Ikoyi, a co za tym idzie poza zasięg rąk księcia, pieniądze umieszczono w depozycie – powiedziała Finn.

– Czy się pomyłę, mówiąc, że wcale nie są w depozycie? – spytała Kiva. – Książę używa ich, aby zwalczać rebeliantów. – Wskazała palcem za małe, solidne okno z kuloodpornego tworzywa.

Rue rozciągnął usta w wąskim uśmiechu. Najwyraźniej wszyscy na Kresie uśmiechali się w ten sposób.

– Teraz zaś, kiedy książę ogłosił stan wyjątkowy, znacjonalizowano banki. Oficjalnie tłumaczy się, że ma to na celu zapobieżenie panicznym ruchom finansowym i spekulacjom, jednak zarządzający bankami gildii mówią nam, że czyści konta.

– No to *pięknie* – parsknęła Kiva.

– Nie jest to taki zły plan, przynajmniej jeśli chodzi o ród Lagos – przyznała Finn. – Jeśli książę upora się z powstaniem, będzie miał dość czasu na spieranie się o zwrot pieniędzy, które ukradł. A to zajmie lata.

– A jeżeli przegra, to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia, bo najpewniej będzie martwy – dodał Rue.

Kiva na te słowa chrząknęła i wyjrzała przez okno. Stolica Kresu, miasto Inverness, przetaczała się za szybą, niszcząca, nieszczęśliwa, a w dali widać było kilka pożarów kopających czarnym dymem.

– A będzie?

– To znaczy? – zapytała Finn.

– Czy będzie martwy? Czy przegra?

Rue i Finn spojrzeli po sobie.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy księżę Kresu zostaje pozbawiony władzy – powiedziała Finn.

– No dobra, ale co z *tym* konkretnym księciem? – dopytywała Kiva. – Może tracimy nasz pieprzony czas, jadąc na pogaduszki z tym kutasem?

– Dla księcia sytuacja wcale nie przedstawia się zbyt dobrze – powiedział Rue po dłuższym zastanowieniu. – Słyszeliśmy pogłoski o dezercjach w prowincjach i o dowódcach przechodzących na stronę przeciwnika, razem z żołnierzami. Zapewne w ciągu najbliższego tygodnia okaże się, jak sprawy się potoczą.

– A co z *tymi* kutafonami? – Kiva wskazała palcem ku górze. – Z przedstawicielami imperium? Ostatecznie księżę jest pieprzonym szlachcicem. Pewnie nie postawi ich to w korzystnym świetle, jeśli po prostu zostanie wywleczone na ulicę i zastrzelony.

– To Kres, pani Kivo – wyjaśnił Rue. – Póki Wspólnota dostaje swoją działkę z handlu, cała reszta to sprawy wewnętrzne.

– Wliczając w to śmierć księcia?

– Nie byłby to pierwszy raz, gdy księżę zostaje pozbawiony władzy – powtórzyła Finn.

– Dojechaliśmy do pałacu – powiedział kierowca. – Przedostanie się przez posterunki zajmie kilka minut. Czy mógłbym prosić pani zaproszenie?

Kiva podała je, po czym znów skupiła się na podwładnych.

– Zasadniczo więc mam tam iść i błagać tego fajfusa, żeby pozwolił mi sprzedać hawerfruty. Jeśli się na to zgodzi, wszelkie zyski prawdopodobnie trafią do tego tak zwanego depozytu i w życiu ich już nie zobaczymy?

– Co najmniej przez kilka lat – odparła Finn. – Oczywiście zakładając najlepszy scenariusz.

– Dlaczego, do ciężkiej cholery, nie zauważyliście, co się dzieje? – Lagos zwróciła się do Finn, równocześnie celując palcem w silnie ufortyfikowany pałac, widoczny przez przednią szybę pancerną. – Siedzimy tu, trzymając się za cycki, podczas gdy ten złamas za nasze pieniądze bawi się z powstańcami w polowanie na kreta.

– Owszem, zauważyłam, co się dzieje, tak samo zresztą jak we wcześniejszych, podobnych przypadkach – odparła Finn. – Właśnie dlatego konta, które trafiły do depozytu, były tylko w połowie tak zasobne, jak jeszcze w pierwszej minucie po tym, jak zaczęły do nas spływać meldunki o wirusie.

– A gdzie reszta pieniędzy? Zakopaliście je w ogródku?

– W pewnym sensie. Ród Lagos, poprzez kilku pośredników, stał się właścicielem całkiem sporych nieruchomości.

– Mam nadzieję, że nie *tutaj* – Kiva zatoczyła ręką koło. – To pieprzone miasto stoi w ogniu.

– Nie. Większość znajduje się w prowincjach Tomnahurich i Claremont. Szczególnie w tej ostatniej. Miejscowy hrabia koniecznie chciał się pozbyć kilku bardzo ładnych włości.

Musiał prędko uzyskać płynność finansową.

– Jasne, że musiał. Szlachetnie urodzeni nie są zbyt popularni wśród rebeliantów.

– Zdecydowanie nie są, pani Kivo.

Samochód znów ruszył.

– Są jeszcze dwie sprawy, o których musi pani wiedzieć, zanim uda się na spotkanie z księciem – powiedział Rue.

– Mów.

Rue podał Kivie plik dokumentów.

– Po pierwsze, zrobiliśmy jak pani kazała i przyjrzelśmy się rozprzestrzenianiu wirusa. Absolutnie *nie ma* dowodów na infekcję wirusową tych szczepiek grejpfruta, zanim trafiły do sadów tutaj, na Kresie. Nic nie znaleziono także na owocach w magazynie, jak również na próbkach przebadanych na *Nie, drogi panie*, zanim odleciał.

Kiva wzięła dokumenty i na nie zerknęła.

– A więc myślicie, że to sabotaż.

– Właściwie jesteśmy tego pewni. Czy będziemy w stanie udowodnić to przed sądem, to już inna sprawa. I tu dochodzimy do tej drugiej kwestii. Księżę ma doradcę pochodzącego z jednej z gildii. Nie spodoba się pani, która to gildia.

Kiva spojrzała na niego znad dokumentów.

– No, nawet, kurwa, nie mów.

– Jest z rodu Nohamapetan.

Księżęcy pałac nazywał się Kinmylies. Był przesadnie luksusowy, na sposób, który wskazywał, iż jego mieszkańcy mylili przepych z elegancją. Kiva, pochodząca z długiej linii niezmiernie bogatych ludzi, których gównem obchodziło, czy ich bogactwo robi wrażenie, czy nie, natychmiast poczuła się w tych murach nieco podenerwowana.

„Kurwa, to miejsce potrzebuje oczyszczającego ognia”, pomyślała, idąc kolejnymi korytarzami w drodze do biura księcia Kresu.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział Finn do Kivy, kiedy zbliżył się służący, aby ją poprowadzić dalej. – Księżę uważa przeklinanie za objaw słabego intelektu. W miarę możliwości proszę się postarać unikać tego w rozmowie z nim.

„Co za fiut”, pomyślała, wchodząc do księżęcego biura, zdobionego równie przesadnie jak reszta pałacu.

Legenda rodzinna głosiła, że pierwszym słowem Kivy Lagos jako dziecka było „kulwa”. Legenda była absolutnie wiarygodna, biorąc pod uwagę to, jak często klęła hrabina Huma Lagos – jej matka i głowa rodu. W zasadzie bardziej zaskakujące by było, gdyby legenda okazała się nieprawdą. Kiva nie pamiętała, aby kiedykolwiek nie przeklinała, i rzecz jasna –

jako że była córką hrabiny Lagos, a na dodatek jej szóstym dzieckiem, bez bodaj marnej szansy na odziedziczenie tytułu – nikomu nawet nie przyszło do głowy powiedzieć jej, żeby tego nie robiła.

A teraz *ten kutas* miał o to ból dupy, jakby mu tkwił w niej grejpfrut.

Wspomniany kutas, ten, który niedawno dopieprzył się właśnie do grejpfrutów, stał teraz przy barku w swoim biurze, ze szklanką jakiegoś bursztynowego płynu w ręce. Był wysoki i miał brodę, w której mogłyby się chować ptaki. Śmiał się. Obok niego, również ze szklanką i również śmiejąc się, w pretensjonalnie prostej czerni noszonej przez jego rodzinę stał nie kto inny jak Ghreni Nohamapetan.

Służący odchrząknął, żeby oczyścić gardło, a księżę spojrzał na nich.

– Pani Kiva Lagos – powiedział sługa, po czym opuścił pokój.

– Najdroższa pani Kivo – odezwał się księżę Kresu, wychodząc zza barku. – Witamy, witamy.

– Wasza książęca mość – odpowiedziała i zwyczajnie lekko skinęła głową. Jako córka głowy rodu i jego odpowiedniej rangi przedstawiciel na planecie, Lagos mogła się do niego zwracać po prostu per „księżę” i przestać się bawić w cały ten ceremoniał. Niemniej była tu, aby lizać mu dupę, więc równie dobrze mogła już teraz wystawić język.

– Niech mi będzie wolno przedstawić mojego doradcę, pana Ghreniego z rodu Nohamapetan.

– My się znamy – powiedział Ghreni do księcia.

– Doprawdy?

– Chodziliśmy razem do szkoły – wyjaśnił Nohamapetan.

– Jaki ten świat mały – stwierdził księżę.

– Nieprawdaż? – odparła Kiva.

– Tak, cóż. Proszę usiąść, pani Kivo. – Księżę wskazał na krzesło po swojej lewej, z drugiej strony biurka. Lagos przyciągnęła potwornie miękki mebel, w którym omal nie zniknęła, gdy usiadła, zaś Ghreni zajął miejsce po prawej. Księżę usiadł w swojej własnej pieprzonej parodii krzesła, za biurkiem, z którego biedna rodzina mogłaby zrobić sobie dom. – Żałuję, że okoliczności naszego spotkania nie są lepsze.

– Rozumiem, panie. Nie jest to łatwe, kiedy powstańcy niemal pukają do twoich drzwi.

– Co? Nie! – odparł księżę, a Kiva zobaczyła na twarzy Ghreniego delikatny cień uśmiechu. – Nie to mam na myśli. Chodziło mi o trudności z tym wirusem, który pani rodzina sprowadziła na planetę.

– Doprawdy? – zapytała Kiva. – Jesteś, panie, pewien, że to my?

– Co masz na myśli, pani?

– To, że śledczy tu, na miejscu, nie znaleźli go w próbkach z naszych magazynów, podobnie jak nie stwierdzono obecności wirusa na *Nie, drogi panie*. Znajdujemy go jedynie w sadach.

– A to ci nowina – powiedział Ghreni.

– Doprawdy? – odparowała Kiva, patrząc wprost na niego. – Cóż, jeśli to faktycznie nowość, moi przedstawiciele przygotowali raport. – Przeniosła wzrok na księcia. – Przekazali go do biura sekretarza waszej książęcej mości, wraz z prośbą o zniesienie embarga.

– Nie sądzę, aby taki krok był rozważny – orzekł Ghreni. – Z całym szacunkiem do waszych przedstawicieli i ich śledczych, Kivo, do chwili aż będzie można gruntownie zapoznać się z tym opracowaniem, księżę dla bezpieczeństwa obywateli Kresu musi założyć, że wszelkie przewożone przez was produkty również są zainfekowane.

– Obawiam się, że pani przyjaciel ma rację – zauważył księżę. – Słyszałaś, pani, jak wirus przedostał się na nasze uprawy banu, niszcząc je na znacznych obszarach. Nie możemy ryzykować czegoś takiego po raz kolejny. Problem z banu jest jednym z powodów, dla których rebelia jest teraz naszym głównym zmartwieniem.

– Rozumiem twoje troski, panie, dlatego też rząd Lagos jest skłonny cię wesprzeć.

Księżę zmrużył oczy, patrząc na Kivę.

– Co masz na myśli?

– Rozumiem, że przeniosłaś pieniądze z naszych kont do depozytu w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie sądowe w sprawie wirusa.

Kiva dostrzegła, jak oczy księcia na krótko przeskoczyły na Ghreniego, zanim znów spojrzął na nią.

– Tak właśnie zrobiłem. To legalny sposób postępowania.

– Niech mi będzie wolno je zaoferować w imieniu rodu Lagos jako pożyczkę, celem wsparcia cię w walce z rebeliantami. Będziemy szczęśliwi, mogąc zaoferować doskonałe warunki.

– To bardzo... hojne z waszej strony – powiedział księżę.

– To biznes – odparła Kiva. – Nie jest w interesie rodziny Lagos, aby odsunięto cię od władzy, panie. To daje ci dostęp do funduszy, którymi w innym wypadku nie mógłbyś dysponować. Dlaczegoż te pieniądze miałyby bez żadnej dla ciebie korzyści leżeć w depozycie? Wykorzystaj je.

– Obawiam się, że to nie jest takie proste – odezwał się Ghreni.

– W zasadzie *to jest* takie proste – odparowała Kiva. – Możemy formalnie określić te pieniądze jako pożyczkę, a jeśli rodzina Lagos okaże się odpowiedzialna za sprowadzenie wirusa, pożyczone pieniądze zostaną zaliczone na poczet pokrycia szkód, zaś to, co zostanie, oraz odsetki potraktujemy jako grzywnę.

– To nie jest wyłącznie kwestia zapisów prawnych, lecz postrzegania – powiedział Ghreni.

– Czyżby księżę dzielnie broniący swego ludu był postrzegany źle? Gorzej niż księżę rzucony z tronu, bo zanadto się przejmował tym, czy będzie źle wyglądał?

– To wygląda jak łapówka, panie – zwrócił się Ghreni do księcia.

– Łapówka *za co?* – wykrzyknęła Kiva.

– Cóż, oto jest pytanie, nieprawdaż? – odparł Ghreni.

– Czego takiego ród Lagos oczekiwałby w zamian za swą hojność, pani Kivo? – zapytał księżę.

– Powtórzę raz jeszcze i z całym szacunkiem, panie, że to nie hojność. Jeśli pozew okaże się bezzasadny, rodzina Lagos oczekuje, że pożyczka zostanie zwrócona. To interesy.

– Ale chcesz czegoś jeszcze, prawda? – spytał Ghreni.

– Oczywiście, że chcę. Chcę móc sprzedać moje pie... – Kiva w ostatniej chwili się pohamowała – ...łęgnowane z taką pieczołowitością hawerfruty, panie. A kiedy już to zrobię, pieniądze zarobione na sprzedaży i udzielaniu licencji *nie* zostaną zabrane na *Tak, drogi panie*, kiedy odlecimy. Pozostaną tutaj, jako część pożyczki.

– Razem z wszelkimi innymi wirusami, jakie jeszcze mogą się znajdować na waszych płonach – odparował Ghreni.

Kiva przeniosła wzrok na księcia.

– Na stacji imperialnej są inspektorzy, panie. Tak czy inaczej wrywkowo pobierają próbki naszego ładunku. Będę szczęśliwa, mogąc zlecić im uważną inspekcję hawerfrutów, aby można było uzyskać pewność, że są czyste i nie stanowią jakiegokolwiek zagrożenia dla biomu na planecie.

Księżę Kresu przynajmniej wydawał się rozważać całą sprawę, jednak ostatecznie spojrzał na Ghreniego, który siedział nieporuszony i tylko pokręcił głową.

– Pani Kivo, byłaś bardzo uprzejma, zarówno jeśli chodzi o propozycję, jak i troskę, lecz jestem przekonany, że takie środki nie będą konieczne. Sądzę, że wkrótce uporamy się z rebeliantami, toteż nie będziemy musieli korzystać z pani propozycji. Jeśli zaś chodzi o wasze hawerfruty, do czasu aż będziemy w stanie gruntownie zapoznać się z raportem, nie mogę sobie pozwolić na żadne ustępstwo w kwestii ostrożności. Obawiam się, że nie mogę znieść embarga na wasze towary, dopóki proces się nie rozstrzygnie. Ufam, że to rozumiesz.

– Możesz dać w zakład własną dupę, że tak – powiedziała Kiva, wstając.

– Co proszę? – oburzył się księżę, podnosząc się. To samo zrobił Ghreni.

– Dziękuję za poświęcony czas, panie. Czy zechcesz użyczyć mi sługi, żebym mogła się wydostać z tego cholernego labiryntu?

– Pozwól panie, że odprowadzę panią Kivę – powiedział łagodząco Ghreni do księcia.

– Tak, oczywiście – księżę skinął głową obojgu na pożegnanie i skierował się za barek.

– Ty jebańcu – powiedziała Kiva do Ghreniego, jak tylko wyszli z biura.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparł.

– Lepiej się módl, żebym nie znalazła śladów, że ty albo rodzina Nohamapetan maczaliście palce w tym jebanym wirusie, bo jeśli tak będzie, to wrócę tu, na Kres, i zeżrę na surowo twoje pierdolone serce.

– Oczywiście, zawsze jesteś mile widziana w moich progach.

– To jak?

– Chodzi ci o wirusa?

– Tak.

– Absolutnie nie mamy z tym nic wspólnego, a nawet gdyby było inaczej, myślę, że nie jesteś aż tak głupia, aby sądzić, że bym ci powiedziała.

– Tym sposobem zaoszczędziłbyś mi wracania po ciebie.

– A dlaczego miałbym oszczędzać ci czegokolwiek?

– Nie zmieniłeś się, Ghreni.

– A ty nie powinnaś się czuć tak znowu źle, Kivo – wskazał za siebie, w kierunku biura księcia. – Prawie go miałaś tą ofertą pożyczki. Swoją drogą, to było sprytne. Wszelkie kredyty, których jako gildia udzielacie szlachcicowi celem obrony systemu imperialnego, cieszą się ochroną samego imperium. Niezły sposób na osłonięcie swojego tyłka.

– Dopóki mnie nie wydymałeś.

– Myślałem, że do tej pory zdążyłaś już do tego przywyknąć.

Na te słowa Kiva prychnęła.

– Nie myśl, że *tego* nie zauważyłam, Ghreni. „Chodziliśmy razem do szkoły”. Ja pierdołę!

– To znacznie bardziej rozsądne niż sposób, w jaki ty byś to przedstawiła. „Pieprzyłam się z nim do upadłego za każdym razem, kiedy przychodził odwiedzić swoją siostrę w uniwersyteckim dormitorium”.

– Nic takiego bym nie powiedziała – odparła Kiva. – Zwrócono mi uwagę, że mam nie kłąć. A właśnie, jak się miewa twoja zasrana siostrzyczka?

– Jest niepokieszona. Miała zostać arcyksiężną imperium, ale Rennered Wu stracił głowę w wypadku podczas wyścigu.

– To musiała być dla niej prawdziwa tragedia.

– Tak właśnie uważa. Jasne, dla samego Rennereda to też nic wesołego. Jeśli się nie mylę, to teraz dziedzicem tronu jest córka imperoksa z nieprawego łoża. Tak więc przypuszczam, że mój brat będzie do niej uderzał.

– Oto rodzina Nohamapetan, jaką pamiętam. Pełna romantyków.

– Kiedyś nie narzekałaś.

Kiva zatrzymała się i spojrzała na Ghreniego, który także stanął.

– Cóż, kiedyś byłam cholerną idiotką. Teraz już nie jestem.

– No, to byłby chyba pierwszy taki przypadek wśród Lagosów – stwierdził Ghreni.

– Co to za machloje uskuteczniasz rękami tego gównianego księciunia?

– Po pierwsze, ma na imię Fred i nie jest „gówniany”. Po drugie, obrażasz mnie, sugerując, że wykorzystuję go do jakichś machloi.

– Za twoją radą odrzucił wielomilionową łapówkę.

– Widzisz, mówiłem, że to była łapówka. Miałem rację.

– Nikt nie odrzuca takich pieniędzy, chyba że ktoś mu zaoferował coś lepszego.
– Nie mogę na to odpowiedzieć, Kivo. A już na pewno nie tobie.
– Dajże spokój, Ghreni. Nie pytam cię o wirusa. No i jesteśmy na pierdolonym Kresie. Dziewięć miesięcy zajmie mi dotarcie z powrotem do Hubu, a potem kolejne trzy do Ikoyi. Cokolwiek mi teraz powiesz, wtedy już będzie mało ważne.

Ghreni się rozejrzył, po czym znów zaczął iść. Kiva się z nim zrównała.

– Powiedz mi. Powiedz, co planujecie na Kresie.

– Twoim pierwszym błędem, Kivo, było założenie, że to, co robię *tutaj*, dotyczy tylko tej planety.

– Nie nadążam.

– Wiem że nie. Taki miałem zamiar. – Ghreni znów się zatrzymał, a następnie pokazał coś palcem. – Idź tym korytarzem, miniesz jedno wejście, skręcisz w lewo w drugie, a zaraz potem w pierwsze po prawej. Znajdziesz się w tym samym foyer, z którego tu przyszedłeś.

Kiva skinęła głową.

– Nigdy nie należałeś do tych, którzy doprowadzają rzeczy do samego końca, prawda Ghreni?

– Mógłbym cię zaskoczyć. – Pochylił się i cmoknął ją w policzek. – Żegnaj, droga Kivo. Nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedyś zobaczę, wiesz? Na Kresie nie zjawia się nikt ważny. I teraz, po tym wszystkim, też nie spodziewam się zobaczyć cię ponownie. Mimo wszystko coś do ciebie czuję. Tak więc cieszę się, że mieliśmy na to tę chwilę.

– Cokolwiek to jest.

Ghreni się uśmiechnął.

– Wkrótce sama znajdziesz na to nazwę – powiedział i odszedł.

– Dobra, dawajcie to na klatę – powiedziała Kiva, kiedy już wróciła na *Tak*, drogi panie z kapitanem Blinniką i Gazsonem Magnutem.

– Mieliśmy tu, na Kresie, odebrać pokwitowanie na mniej więcej sześćdziesiąt milionów marek z opłat licencyjnych i innych należności – zaczął Magnut. – Znosi się na to, że odlecimy stąd z zerem, bo wszystko jest w depozycie i prawdopodobnie go nie odzyskamy. Szacowaliśmy, że hawerfruty przyniosą dwadzieścia milionów marek za gotowy produkt oraz kolejne dziesięć za wstępne opłaty licencyjne i sprzedaż zbiorów. Odlatujemy z kolejnym zerem. Następne dziesięć milionów marek w rozmaitych towarach, które zabraliśmy w innych punktach po drodze. Ponieważ nie pozwolono nam ich rozładować i sprzedać, tutaj też mamy okrągłe zero. Jest jeszcze ładunek wart około miliona marek, który wysłano na Kres, a my przewozimy go w charakterze przesyłek, i to pozwolono nam wyładować, ale umieszczono w kilkutygodniowej kwarantannie w otwartej próżni kosmosu.

Kiedy przesyłki zostaną dostarczone, nas już tu nie będzie, więc opłaty zgarbie następny statek rodu Lagos, jaki tu przyleci. Będzie to *Myszę, że już jesteśmy sami*, który zawita tu za dwadzieścia standardowych miesięcy.

– No to mamy stumilionową stratę – skwitowała Kiva.

– Na poprzednich trzech postojach zarobiliśmy na czysto czterdzieści milionów marek, więc per saldo wychodzi sześćdziesiąt milionów, mniej więcej. Według planu to ostatni przystanek w trakcie rejsu. Potem przez Hub wracamy na Ikoyi.

Lagos skinęła głową. Istniało kilka sposobów na dostanie się na Kres przy użyciu Nurtu, ale tylko jeden na powrót – strumień biegnący stąd do Hubu. Prędzej czy później wszystkie strumienie Nurtu prowadziły do Hubu. To oznaczało, że nie było możliwości powetowania sobie strat nigdzie między Kresem a Hubem.

– Jestem w tym momencie otwarta na propozycje – powiedziała Kiva. – Tomi?

– W całym przedsięwzięciu chodziło o wprowadzenie hawerfrutów na Kresie – odparł kapitan. – Wszyscy inni we Wspólnocie mają ich już pełno. Możemy zebrać to, co mamy – właściwie to nie mamy teraz w tej kwestii wyjścia – próżniowo odessać wodę i sprzedać na Hubie koncentrat. Jednak twoja rodzina ma już tam właścicieli licencji. Mogą się skarżyć przed imperialną komisją do spraw handlu, że przylecieliśmy i robimy im konkurencję.

– Kapitan ma rację – potwierdził Magnut. – Nawet jeśli sprzedamy to po tamtejszych cenach, stworzymy nadwyżkę na rynku. Wyciągniemy z tego najwyżej kilka milionów marek, a wkurzymy ludzi działających w oparciu o licencje rodziny Lagos, która musi mieć na uwadze czerpanie długoterminowych zysków.

– Czyli z naszej rozmowy wynika, że zostaliśmy wydymani.

– Ujęła pani samo sedno sprawy.

Kiva na kilka chwil ukryła twarz w dłoniach, a następnie spojrzała na Blinnikę.

– Kiedy wyruszamy z Kresu?

– Mamy tu, na stacji imperialnej, do załatwienia kilka spraw związanych z konserwacją statku, a Gazson mustruje trochę członków załogi, żeby zastąpić tych, których straciliśmy na Lankaran. Będziemy tu jeszcze przez tydzień.

– Damy radę przeciągnąć to w czasie?

– Nie za bardzo – odparł Blinnikka. – Obecnie używany przez nas dok ma rezerwację za dziewięć dni. Stacja imperialna potrzebuje całego dnia na odprawę i przygotowanie się na przyjęcie kolejnej jednostki. Mamy siedem dni, a potem musimy ruszać.

– No to niech będzie siedem dni.

– Siedem dni na co? – zapytał Magnut.

– Na jebany cud, który uratuje nasze dupski – powiedziała Kiva. – To chyba nie jakieś wygórowane oczekiwania, no nie?

ROZDZIAŁ 3

Technicznie rzecz biorąc, w chwili śmierci imperoksa Attavio IV Cardenia została nową władczynią. Realnie rzecz biorąc, nic nigdy nie jest takie proste.

– Będziesz musiała oficjalnie ogłosić okres żałoby – powiedziała do niej Naffa Dolg w ramach swojego świeżo objętego urzędu.

Ojciec zmarł przed zaledwie paroma chwilami. Ciało właśnie zabierano z jego sypialni – jej sypialni – przy pomocy noszy, na których wynoszono niemal wszystkich zmarłych imperoksów, mających dość szczęścia, by zakończyć żywot w domu. Cardenia widziała nosze stojące w jednym z innych pomieszczeń prywatnych apartamentów i pomyślała o makabrycznej stronie tego wszystkiego, uświadamiając sobie, że z dużym prawdopodobieństwem pewnego dnia również jej ciało zostanie na nich wyniesione. Tradycja miała swoje minusy.

Cardenia zaśmiała się pod nosem.

– Car? – odezwała się Naffa.

– Mam niezdrowe przemyślenia – odparła.

– Mogę dać ci kilka minut na osobności.

– Ale tylko kilka?

– Objęcie władzy przez nowego imperoksa to pracowity okres – powiedziała Naffa tak delikatnie, jak się dało.

– Jak długo powinien trwać oficjalny czas żałoby?

– Tradycyjnie jest to pięć standardowych dni.

Cardenia skinęła głową.

– Reszta Wspólnoty będzie mieć pięć dni. Sama sobie dam pięć minut.

– Niedługo wrócę – powiedziała Naffa, wstając.

– Nie – Cardenia potrząsnęła głową. – Zajmij mnie czymś, Naf.

I Naffa ją zajmowała.

Po pierwsze: oficjalne ogłoszenie żałoby. Cardenia ruszyła korytarzem do biura Gella Denga, osobistego sekretarza ojca (a teraz jej, chyba że zdecyduje inaczej). Miał on wydać oświadczenie w tej sprawie. Cardenia martwiła się, że będzie musiała podyktować coś brzmiącego formalnie i sucho, ale Deng miał już przygotowany komunikat, co w sumie nie powinno ją dziwić. W ciągu całych dziejów Wspólnoty przyszło i odeszło wielu imperoksów.

Cardenia przeczytała tekst uświęcony czasem i tradycją. Stwierdziła, że jest napisany skostniałym i archaicznym językiem, ale psychicznie nie była w stanie zdobyć się na jego

poprawianie. Tak więc skinęła zatwierdzająco głową i wzięła pióro, by podpisać dokument, ale wtedy się zawahała.

– Co się stało, wasza wysokość? – zapytał Deng i do jakiejś części mózgu Cardenii dotarło, że to pierwszy raz, kiedy ktoś się do niej zwrócił w ten sposób.

– Nie wiem, jak się podpisać – odparła nowa imperoksa. – Nie wybrałam jeszcze swojego oficjalnego imienia.

– Jeśli wasza wysokość woli, może na razie zatwierdzić dokument imperialną pieczęcią.

– Tak, dziękuję.

Deng wyjął pieczęć i wosk, który stopił, a następnie podał Cardenii, żeby opieczętowała oświadczenie. Tak też zrobiła, wyciskając na wosku herb rodu Wu z imperialną koroną nad nim. Jej koroną.

Cardenia oddała pieczęć Dengowi i zauważyła, że sekretarz płacze.

– Stało się – stwierdził. – Jesteś teraz imperoksem, wasza wysokość.

– Jak długo służyłeś memu ojcu? – zapytała Cardenia.

– Trzydzieści dziewięć lat – odparł Deng i wyglądał, jakby zaraz miał się załamać. Cardenia odruchowo wyciągnęła ręce i go przytuliła, ale po chwili się odsunęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam tego robić.

– Jesteś imperoksem, pani. Możesz robić, co tylko chcesz.

– Na przyszłość powstrzymuj mnie, proszę, od niestosownego spoufalania się – odezwała się Cardenia do Naffy, kiedy wyszły z biura sekretarza.

– Myślałam, że to było słodkie – powiedziała przyjaciółka. – To biedny staruszek. Ten dzień nie jest dla niego łatwy.

– Zmarł jego szef.

– Tak, ale poza tym zakłada, że stracił pracę. Zazwyczaj na tym etapie kumple nowego imperoksa są zajęci sadowieniem się na stołkach zapewniających władzę. Jego stanowisko, przynajmniej nominalnie, zapewnia władzę.

– Nie mam żadnych kumpli – stwierdziła Cardenia. – To znaczy z wyjątkiem ciebie.

– Nie martw się. Znajdziesz masę ochotników.

– Co tam mamy dalej?

– Za pół godziny spotykasz się z komitetem wykonawczym.

Cardenia zmarszczyła czoło zdziwiona.

– Nie dotrzemy na Xi'an tak szybko.

Komitet wykonawczy, tak jak niemal cały imperialny aparat państwowy, wykonywał swoje zadania w ogromnej stacji kosmicznej ponad Hubem.

Na te słowa brew Naffy wygięła się w łuk.

– Ty nie musisz się nigdzie wybierać – powiedziała. – Teraz jesteś imperoksem. Oni przyjdą do ciebie. Doktor Drinin kilka godzin temu poinformował ich, że twój ojciec umiera. Członkowie komitetu mieli nadzieję, że uda im się być przy tobie, aby ulżyć w cierpieniu,

kiedy on już odejdzie. Tak przy okazji, to ich własne słowa.

Cardenia wyobraziła sobie dziewięciu członków komitetu wykonawczego, sterczących nad łóżem śmierci jej ojca i pozbawiających ich ostatnich, tak-intymnych-jak-to-tylko-możliwe-w-tych-okolicznościach chwil we dwoje. Stłumiła nieprzyjemne uczucie.

– Muszę pamiętać, żeby im podziękować.

Naffa znów uniosła jedną brew, ale nic na to nie odpowiedziała.

– W tej chwili są w formalnej sali balowej – poinformowała Cardenię. – To po drugiej stronie budynku.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Co chciałabyś teraz zrobić?

– Chyba powinnam się wysikać.

Naffa skinęła głową i odprowadziła Cardenię do jej kompleksu pokoi.

– Wróć za piętnaście minut – powiedziała do szefowej.

– Co zrobisz z tą chwilą wolnego czasu?

– To samo co ty, tylko że w nieco mniej luksusowej toalecie.

Na te słowa Cardenia się uśmiechnęła. Naffa odeszła.

Kiedy Cardenia znalazła się w swoich komnatach, część jej mózgu odnotowała, że wszystko robi po raz pierwszy.

„To pierwszy raz, kiedy jestem w tym pokoju jako imperoks. To pierwszy raz, kiedy biorę do ręki tablet jako imperoks. To pierwszy raz, kiedy weszłam do tej łazienki jako imperoks. To pierwszy raz, kiedy ściągam majtki jako imperoks. To pierwszy raz, kiedy siadłem na klozecie jako imperoks. Aaaaa teraz pierwszy raz wysikałam się jako imperoks”.

Mnóstwo pierwszych razów.

– Powiedz mi coś na temat imperoks Grayland – powiedziała Cardenia do swojego tabletu, usiadłszy na sedesie.

– Imperoks Grayland panowała od 220 do 223 roku ZW – odpowiedział jej tablet miłym głosem, wyświetlając wyszukiwaną stronę. Wspólnota liczyła lata od założenia imperium przez prorokinię-imperoks Rachelę I. Było to aroganckie, bowiem wówczas używano już świetnego kalendarza, wedle którego Wspólnota została założona w dwudziestym szóstym wieku. Cardenia podejrzewała jednak, że nie był to krok bardziej arogancki niż to, co robi każde imperium, o ile tylko ma ku temu okazję. – Znaczące wydarzenia z okresu jej panowania to założenie Lamphun, zniknięcie Dalasýsli i zamordowanie imperoks przez Gunnara Olafsena w 223 roku.

– Dlaczego została zamordowana?

– Podczas procesu Gunnar Olafsen utrzymywał, że imperoks nie zrobiła wystarczająco wiele, aby uratować obywateli Dalasýsli.

– To prawda?

– Jestem wyszukiwarką. Nie mam opinii na tematy polityczne.

Zirytowana Cardenia zrobiła zeza. „Słuszna uwaga, bezduszny komputerze”.

– Jak utracono Dalasýslę?

– Strumień Nurtu do niej zniknął w roku 222 – odparł tablet.

„No tak, oczywiście” – pomyślała Cardenia.

Teraz przypomniła sobie lekcje podstaw historii Wspólnoty, jakie pobierała w szkole. Dalasýsła stanowiła jedną z kilku pierwszych kolonii, które źle skończyły, jeszcze zanim imperokowie z dynastii Wu wraz z doktrynami społecznymi i religijnymi Wspólnoty stłumili większość opozycji. Znaczną część z tych kolonii utracono jednak w wyniku wojen, głodu lub chorób. Z Dalasýslą było inaczej, gdyż nagle nie było sposobu, aby się do niej dostać lub z niej wydostać przy pomocy Nurtu. Po prostu... całkowicie zniknęła z mapy.

Cardenia wywołała artykuł encyklopedyczny na temat zabójstwa, uzupełniony o zdjęcie Olafsena, mechanika na statku z Dalasýsli, który był członkiem załogi *Toun Sandin*, imperialnego dziesiątaka. Zamordował imperoksa Grayland wraz z ponad setką ludzi z jej świty, odcinając segment pierścieniowy, gdzie znajdowały się jej kajuty, w czasie gdy statek wracał z wizyty państwowej na Jendoubie. Odrzucił segment pierścieniowy, który w ten sposób wyszedł poza bąbel czasoprzestrzenny otaczający statek i wpadł w Nurt, gdzie natychmiast przestał istnieć.

– Ha, to dopiero radosna historia – mruknęła pod nosem Cardenia.

Nie bardzo rozumiała, dlaczego ojciec zasugerował jej imię Grayland, chyba że był przekonany, iż zostanie zamordowana przez niezadowolonego sługę. To ją nieco zdezorientowało. Przejrzała pobieżnie resztę artykułu i zauważyła, że najwyraźniej Grayland, opierając się na danych dostarczonych przez naukowców, faktycznie nakazała ewakuację Dalasýsli, ale sprzeciwiał się temu parlament, w tym delegaci z samej Dalasýsli, jak również gildie, które opóźniały ją do czasu aż było za późno. Olafsen obwiniął o opóźnienie imperoksa, a tymczasem wina leżała po stronie kogoś zupełnie innego.

„Ale imperoksa jest jedna – pomyślała Cardenia – i akurat znajdowała się na jego statku”.

– Hej – zawołała Naffa z innego pokoju – kończysz już?

– Prawie – odpowiedziała Cardenia.

Dokończyła, co miała dokończyć, umyła się i gdy tylko wyszła z łazienki, zobaczyła Naffę trzymającą bardzo poważny uniform, skrojony na miarę Cardenii.

– Co to jest? – zapytała.

– Masz się spotkać z dziewięcioma najpotężniejszymi ludźmi we Wszechświecie, nie licząc ciebie samej. Może zechcesz ubrać się trochę lepiej.

Bardzo Poważny Uniform nieco uwierał, ale nawet w ułamku procenta nie tak bardzo jak komitet wykonawczy.

Kiedy Cardenia weszła do ogromnej sali balowej, dziewięciu członków komitetu podeszło i skłoniło się jej głęboko.

– Wasza wysokość – powiedziała nisko zgięta Gunda Korbijn, arcybiskup Xi’an i nominalna przewodnicząca komitetu wykonawczego. – Niech mi będzie wolno wyrazić najgłębszy smutek i współczucie w dniu odejścia twego ojca, imperoksa. Niewątpliwie zasiądzie u boku Prorokini w Zaświatach.

Cardenia, znając całkowity brak religijności imperoksa, mimo iż oficjalnie był on głową Kościoła Wspólnoty, powstrzymała delikatny uśmiech wpełzający na jej usta.

– Dziękuję, wasza wielebność.

– W imieniu całej rady chciałam zadeklarować naszą nieodmienną wierność tobie, rodowi Wu i Wspólnocie.

– Oczywiście, dziękujemy – odpowiedziała Cardenia, po raz pierwszy używając imperialnego „my” w odniesieniu do samej siebie, a także nieco bardziej formalnego stylu wypowiedzania się, którego uczono ją przez ostatni rok.

„Trochę to potrwa, zanim się przyzwyczaję” – pomyślała. Zerknęła na Naffę, która niczego nie zasygnalizowała uniesieniem brwi. Bez wątpienia zrobi to później.

Członkowie komitetu pozostali w głębokim ukłonie, co wprawiło Cardenię w niejakie zakłopotanie, aż w końcu uświadomiła sobie, że czekają, aż pozwoli im się wyprostować.

– Proszę – powiedziała tylko trochę speszona, pokazując im, aby przestali się giąć w ukłonie. Tak też zrobili. Następnie wskazała na długi stół, który ustawiono pośrodku sali balowej. – Usiądźmy i przejdźmy do konkretów.

Komitet usiadł. Jego najstarsi członkowie najbliżej krzesła imperoksa, przy jednym końcu stołu, z wyjątkiem arcybiskup Korbijn, która zajęła miejsce naprzeciwko niej. Cardenia przyjrzała się ich ubiorom: biskupi Kościoła w pięknych, czerwonych szatach z purpurowymi obszyciami, przedstawiciele gildii w formalnej czerni i złocie, zaś reprezentanci parlamentu w ciemnoniebieskich garniturach. Jej własny Bardzo Poważny Uniform był koloru imperialnej zieleni, ciemny ze szmaragdowymi lamówkami.

„Wyglądamy jak pudełko kredek”, uznała Cardenia.

– Wasza wysokość raczy się uśmiechać – odezwała się arcybiskup Korbijn.

– Wspominamy naszego ojca, który często opowiadał o spotkaniach z komitetem.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

„Właściwie to nie bardzo”.

– Tak, oczywiście.

– Wasza wysokość, kolejne kilka dni będą kluczowe. Musisz ogłosić okres żałoby...

– Już to uczyniliśmy, wasza wielebność. Będziemy jej przestrzegać przez tradycyjne pięć dni.

– Bardzo dobrze – powiedziała Korbijn, nie okazując w żaden sposób, że przerwanie w pół zdania ją zirytowało. – W tym czasie niestety ty sama będziesz dość mocno zajęta. –

Skinęła głową w kierunku Vaera, biskupa Hubu, siedzącego na prawo od Cardenii, a ten wyciągnął skórzaną teczkę, z niej zaś gruby plik papierów, który podał władczyni. – Przygotowaliśmy dla waszej wysokości propozycję terminarza, aby ci usłużyć. Obejmuje on sporo odpraw, a także formalnych i nieformalnych spotkań z gildiami, parlamentem i przedstawicielami Kościoła.

Cardenia wzięła kartki, ale nie spojrzawszy na nie, przekazała je stojącej za jej krzesłem Naffie.

– Dziękujemy.

– Chcielibyśmy zapewnić waszą wysokość, że w czasie obejmowania rządów wszystko będzie się odbywało płynnie i przy najwyższej trosce oraz szacunku. Wiemy, że to niełatwy okres dla waszej wysokości, a wiele z tych spraw stanowi nowość. Chcielibyśmy pomóc waszej wysokości w płynnym przyzwyczajeniu się do nowej roli.

„Chcecie mi pomóc w objęciu władzy czy mną kierować?”

– Raz jeszcze dziękuję, wasza wielebność. Nasze serce się raduje, widząc waszą troskę.

– Mamy również inne troski – powiedział Lenn Edmunk, jeden z przedstawicieli gildii. Ród Edmunk dzierżył monopole na krowy, świnie i wszelkie produkty pochodne, od mleka po świńskie skóry. – Twój ojciec pozostawił trochę nierozwiązanych spraw dotyczących gildii, między innymi kwestie przekazywania monopoli i przecierania dróg handlowych.

Cardenia zauważyła, że arcybiskup Korbijn zacisnęła usta. Edmunk ewidentnie odezwał się poza kolejnością.

– Wyjaśniono nam, że takie sprawy muszą zostać procedowane w parlamencie, a następnie przedstawione nam do zatwierdzenia bądź odrzucenia.

– Twój ojciec, wasza wysokość, zapewnił nas, że kwestie te zostaną załatwione.

– Czy miało się to odbyć w sposób, który nie uwzględniałby roli parlamentu, panie Edmunk?

– Oczywiście że nie, wasza wysokość – odpowiedział po chwili Edmunk.

– Cieszy nas to. Na tym wczesnym etapie rządów nie chcielibyśmy, aby parlament odniósł wrażenie, że jego rola jest jedynie doradcza, a bieg spraw zależy wyłącznie od kaprysu imperoksa. – Zwróciła się do Upekshy Ranatungi, członkini parlamentu, której ranga dawała prawo do zasiadania w komitecie. Siedziała u jej lewego boku i podziękowała za te słowa skinieniem głowy. – Nasz ojciec wierzył w równowagę władzy, która pozwoliła Wspólnocie rozkwitnąć: domeną parlamentu jest stanowienie praw i wymiar sprawiedliwości, gildii – handel i dobrobyt, zaś duchowość i poczucie wspólnoty należą do spraw Kościoła. Ponad nimi zaś jest imperoks, matka wszystkich, która zapewnia porządek.

– Mówiąc to, wasza wysokość...

– Nie zapominaj, że ród Wu także stanowi gildię – powiedziała Cardenia, przerywając Edmunkowi, którego te słowa wyraźnie zbiły z pantałyku. – Dlatego też nie zaniedbamy interesów gildii. Jesteśmy również matką Kościoła i zwyczajnym członkiem parlamentu.

Wszystko stanowi przedmiot naszego zainteresowania, aby sprawiedliwie wszystkich traktować. Omówimy sprawy gildii, kiedy nadejdzie właściwy czas, panie Edmunk. Nie jesteśmy jednak naszym ojcem. Nie jestem głucha na obietnice, które wam złożył, ale też mnie one nie wiążą. Teraz *ja* jestem imperoksem, nie mój ojciec.

„No – pomyślała Cardenia, beznamiętnie wpatrując się w Edmunka – przetrwaj to sobie przez chwilę”.

Edmunk spuścił wzrok, kłaniając się.

– Wasza wysokość – powiedział.

– Jeśli chodzi o parlament, wasza wysokość, jest jeszcze jedna, niezwykle ważka kwestia – odezwała się Ranatunga. – Doszły nas słuchy, że rebelia na Kresie weszła w nową i bardziej niebezpieczną fazę. Księżę śle zapewnienia, że wszystko ma pod kontrolą, ale tamtejszy dowódca Imperialnych Marines ocenia sytuację mniej optymistycznie. Uważa, że księżę zostanie usunięty w ciągu dwóch standardowych lat. Oczywiście tę notatkę wysłano dziewięć miesięcy temu. Nikt nie wie, jak sytuacja przedstawia się teraz.

– Nasi marines interweniowali?

– Polityka ojca waszej wysokości, podobnie jak kilku imperoków przed nim, opierała się na przyzwoleniu, aby Kres zajmował się swoimi sprawami we własnym zakresie. Marines stacjonują tam głównie po to, żeby nie pozwolić komukolwiek opuścić planety bez zezwolenia. Dowódca pisze, że od imperoksa, poprzedniego imperoksa, otrzymali tylko zadanie pilnowania bezpieczeństwa hrabiego Claremont.

– Kto to taki?

– Pamiętam go, pani – wtrąciła się Korbijn. – Pomniejszy szlachcic z Sofali, którego znaczenie wzrosło za sprawą twego ojca. Był jego przyjacielem z uniwersytetu. To fizyk, który badał Nurt.

– Dlaczego nasz ojciec go wygnał?

– Ojciec waszej wysokości zaoferował mu tytuł tuż przed małżeństwem z panią Glenną.

„A to dopiero mało subtelna wskazówka” – pomyślała Cardenia. Arcybiskup w niezbyt oględny sposób sugerowała, że kwestia ojca i tego hrabiego była jedną ze spraw poruszonych przed małżeństwem Batrina, które ewidentnie stanowiło związek dynastyczny. To dzięki temu ród Costu wyrósł na jedną z najpotężniejszych gildii.

Wiadomość nieco zaskoczyła Cardenię, bowiem przez cały czas, kiedy znała ojca, nieodmiennie pozostawał niezbyt roznamiętnionym heteroseksualistą. Jednak jest takie miejsce i czas, że może się zdarzyć praktycznie wszystko, a zwie się „uniwersytet” i jak by nie było, rzeczony hrabia stanowiłby pierwszego niewygodnego kochanka, którego imperoks musiał usunąć z widoku, równocześnie awansując go w hierarchii tytułów szlacheckich i wysyłając gdzieś bardzo, bardzo daleko. To by też tłumaczyło obserwację Claremonta ze strony imperialnego wojska.

Cardenia kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– Na razie chcemy kontynuować politykę naszego ojca, ale będziemy chcieli wysłuchać pełnego sprawozdania.

– To jedno ze spotkań uwzględnionych w zaproponowanym harmonogramie – powiedziała Korbijn. – A skoro wreszcie dochodzimy do tematu małżeństwa...

– Masz zamiar podnieść kwestię Amita Nohamapetana, prawda? – Cardenia weszła jej w słowo tonem nieco mniej formalnym niż ten, jaki udawało jej się utrzymywać do tej pory.

– Nohamapetanowie usilnie na nie nalegają – odparła niemal przepraszająco Korbijn.

– Nie jesteśmy naszym bratem. Nie poczyniliśmy żadnych zobowiązań względem poślubienia kogoś z ich rodziny.

– Z całym szacunkiem, wasza wysokość, ród Nohamapetan uważa, że zobowiązania zostały zawarte nie między bratem waszej wysokości a panią Nadashe, lecz między ich rodem a rodem Wu. Precedens wskazuje na słuszność ich argumentu. W roku 512 arcyksiężna Davina była zaręczona z członkiem rodu Edmunk, ale zmarła przed ślubem. Jej brat, który miał wkrótce zostać Chonglinem I, poślubił kuzynkę poprzedniego narzeczonego, wychodząc z założenia, że sprawy już zostały wprowadzone w ruch.

Cardenia odwróciła się do Naffy.

– Jak zmarła arcyksiężna Davina?

– Samobójstwo, wasza wysokość – odparła Naffa. Cardenia wiedziała, że przyjaciółka będzie znała odpowiedź albo natychmiast ją znajdzie. – Wskoczyła ze służby w Xi'an. W liście pożegnalnym wskazała, że zaręczyny nie leżały w jej najlepiej pojętym interesie.

Teraz Cardenia zwróciła się do Lenna Edmunka.

– Mamy nadzieję, że nie uważasz, iż stawia cię to w negatywnym świetle, panie Edmunk.

– Dziękuję, wasza wysokość.

– Wasza wysokość, czy mogę zasugerować, aby wasza wysokość chociaż rozważyła roszczenia Amita Nohamapetana – nalegała Korbijn. – Odkładając na bok wszelkie teoretyczne ustalenia między waszymi rodzinami, jego ród stanowi wielką potęgę pośród gildii. – Zerknęła na Edmunka, który patrzył na imperoksa i zdawał się nieobecny. – Wiele z potencjalnych problemów i spraw związanych z gildiami można by od ręki rozwiązać dzięki takiemu przymierz.

Cardenia uśmiechnęła się ponuro.

– I żadne inne rody nie sprzeciwiają się temu związkowi?

– Nie, wasza wysokość – odparł Edmunk.

– Cóż – powiedziała zaskoczona Cardenia – zatem mamy tu rzadki przypadek jednomyślności wśród gildii. Niemal bez precedensu w ciągu ostatniego tysiąclecia.

– Jestem przekonana, że każdy się zgodzi, iż w interesie Wspólnoty leży ustalenie wszelkich kwestii związanych z sukcesją raczej wcześniej niż później – stwierdziła Korbijn.

To podniosło Cardenii ciśnienie.

– Jesteśmy ukontentowani, wasza wielbność, że ten komitet zdaje się być jednomyślny

co do tego, iż najważniejszą częścią naszej osoby jest macica.

Korbijn miała przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić.

– Proszę waszą wysokość o wybaczenie. Nic nie jest odleglejsze od prawdy. Z pewnością jednak imperoks musi mieć świadomość, że gdyby waszej wysokości coś się stało, natychmiast pojawiłyby się roszczenia do tronu w obrębie rodu Wu ze strony licznych kuzynów waszej wysokości. Wielu z nich było dalekich od zadowolenia, kiedy, niewątpliwie słusznie, zostałaś uznana za drugą w linii sukcesji po swoim bracie. Wyraźna kolejność sukcesji zażegna wszelkie wątpliwe kwestie.

– Zażegna groźbę wojny domowej – dodała Ranatunga.

– Czy zgodzicie się z nami, że wydaje się mało prawdopodobne, abyśmy zginęli przed naszą koronacją? – zwróciła się Cardenia do komitetu.

– Takie założenie wydaje się rozsądne, wasza wysokość – zgodziła się Korbijn z uśmiechem.

– Zatem sugerujemy, by omówić ten temat po koronacji. Jeśli chcesz – Cardenia skinęła głową w kierunku Korbijn – możesz podczas ceremonii usadzić ród Nohamapetan na najlepszych miejscach, a później pomówimy z Amitem Nohamapetanem.

– Tak, wasza wysokość.

– Podkreślamy słowo „pomówimy”. Mamy nadzieję, że nie zostanie to inaczej przedstawione panu Nohamapetanowi.

– Tak, wasza wysokość.

– Dobrze. Zostało jeszcze coś do omówienia?

– Jedna drobna rzecz – powiedziała Korbijn. Cardenia czekała. – Chcielibyśmy poznać twoje imię jako władcy.

– Zwiemy się Grayland – odparła Cardenia po chwili milczenia. – Grayland II.

– Nie znoszę tego imperialnego „my” – wyznała Naffie Cardenia.

Po spotkaniu z komitetem wykonawczym obie udały się windą orbitalną do Xi’an, serca Wspólnoty, żeby Cardenia, teraz już Grayland II, mogła rozpocząć formalne obejmowanie władzy po zmarłym ojcu. Natychmiast po przybyciu nowa imperoks została otoczona przez doradców, dworzan, pochlebców i asystentów, a każdy z nich miał programy i plany. Nie minęła godzina, a Cardenia poczuła się zmęczona tym wszystkim. A przecież tak miała wyglądać reszta jej życia.

– Jaki masz z tym problem? – zapytała Naffa.

– To takie pretensjonalne.

– Jesteś imperoksem – zauważyła Naffa. – Czyli dosłownie jedyną osobą we Wszechświecie, która może tak mówić bez jakiegokolwiek pretensjonalności.

– Wiesz, co mam na myśli.
– Wiem. Ale uważam, że nie masz racji.
– Więc myślisz, że powinnam używać tej formy cały czas?
– Tego nie powiedziałam – odparła Naffa. – Musisz jednak przyznać, że to daje fantastyczną władzę. „Aha, masz swoje zdanie? Cóż, wal się, bo *mój głos liczy się podwójnie*”.

Cardenia się uśmiechnęła.

Były nareszcie same w ogromnych prywatnych apartamentach imperialnego pałacu w Xi'an. Wszyscy asystenci i dworzanie zostali wypchnięci przez Naffę za drzwi. Została jeszcze tylko jedna rzecz, którą Cardenia musiała zrobić tego dnia, a w tym celu należało przejść przez pewne drzwi tutaj, w prywatnych apartamentach. Tylko imperoks mógł otworzyć te drzwi i przez nie wejść. Tak przynajmniej powiedziała Naffie Cardenia.

– Tylko imperoks?

– Tak.

– A co się stanie, jeśli wejdzie ktoś inny? Są tam psy? Lasery, które spalą cię na popiół?

– Nie sądzę.

– A mogą tam wejść twoi słudzy? Albo technicy? Jako imperoks odpowiadasz też za sprzątanie tego pomieszczenia? Jest tam malutki odkurzacz? Do twoich obowiązków należy odkurzanie za tymi drzwiami?

– Chyba nie podchodzisz do tematu zbyt poważnie – orzekła Cardenia.

– Podchodzę – zapewniła Naffa. – Tyle tylko, że jestem sceptyczna co do tego, jak to wygląda w praktyce.

Obie spojrzały na drzwi.

– No? – powiedziała Naffa. – Chyba możesz się brać do rzeczy.

– A co ty będziesz robiła?

– Mogę tu zostać, jeśli chcesz, i poczekać aż skończysz.

Cardenia pokręciła głową.

– Nie wiem, ile mi to zajmie.

– No więc pójdę do swoich pokoi, tych po drugiej stronie pałacu. Wiesz, tam, gdzie mnie wygnał pałacowy majordomus.

– Nakażemy to zmienić.

– Nie, nie zmieniaj – odparła Naffa. – Potrzebujesz czasu dla siebie, z dala od wszystkich, nie wyłączając mnie. – Wstała. – Znajdujemy się przecież w tym samym budynku. Będę zaledwie szesnaście skrzydeł od ciebie.

– Nie sądzę, żeby było tu aż szesnaście skrzydeł.

– Pałac ma dwadzieścia cztery główne sekcje.

– No cóż, na pewno masz lepszą wiedzę.

– Istotnie – potwierdziła Naffa. – Ale wkrótce ty też będziesz ją miała. – Ukłoniła się. –

Dobrej nocy, wasza wysokość.

Wyszła, uśmiechając się. Cardenia patrzyła za nią, a kiedy Naffa opuściła pokój, odwróciła się do drzwi. Były bogato zdobione, jak wszystko w pałacu, i Cardenia uświadomiła sobie, że „bogate zdobienia” to motyw architektoniczny, w którym teraz utknęła. Nie mogła po prostu spalić wszystkiego i zbudować coś o prostych liniach i powierzchniach, choć taki pomysł ją kusił. Była imperoksem, ale nawet oni mieli swoje ograniczenia.

Drzwi nie miały pokręta ani panelu dostępu czy też czegokolwiek, co by wskazywało, że można je otworzyć. Cardenia bardzo nieśmiało położyła na nich dłoń i wyczuła sekretny przycisk.

Drzwi się odsunęły.

„Dostosowane do moich odcisków palców?” – zastanawiała się w myślach, po czym weszła do środka. Drzwi zamknęły się za jej plecami.

Pomieszczenie było wielkie, tak wielkie jak sypialnia w imperialnych komnatach, czyli ten jeden pokój był większy niż apartamenty, w których Cardenia dorastała. Pomieszczenie było puste, z wyjątkiem pojedynczej ławki, która sterczała ze ściany po lewej stronie. Cardenia podeszła i usiadła.

– Jestem – powiedziała, nie kierując tego słowa do nikogo konkretnego.

Pośrodku pokoju pojawiła się świetlista postać i podeszła do niej. Kiedy się zbliżała, Cardenia spojrzała w górę. Mikroprojektory zainstalowane w suficie wyświetlały obraz, który właśnie kroczył w jej stronę. Na próżno zastanawiała się nad fizyką całego zjawiska, ale tylko przez moment, bo obraz już stał przed nią.

– Imperoks Grayland II – powiedział i się pokłonił.

– Wiesz, kim jestem – odparła Cardenia, zapominając o imperialnym „my”.

– Tak – potwierdził obraz. Nie miał widocznych cech pozwalających określić płeć lub wiek. – Jestem Jiyi. Znajdujesz się w Pokoju Pamięci. Powiedz, proszę, w czym mogę służyć.

Cardenia wiedziała, po co tu przyszła, lecz się wahała.

– Czy kiedykolwiek wszedł tu ktoś inny niż imperoks?

– Nie – odparło Jiyi.

– A co, jeśli kogoś tu zaproszę?

– Koncentracja fal świetlnych i dźwiękowych sprawi, że każdy, kto nie jest panującym imperoksem, nie będzie w stanie znieść przejścia przez drzwi.

– Nie mogę tego ominąć?

– Nie.

– Jestem imperoksem.

„I kłócę się z maszyną” – pomyślała Cardenia, ale nie powiedziała tego na głos.

– Zakaz został nałożony przez Prorokinię – powiedziało Jiyi – której słowo jest

niepodważalne.

To zaskoczyło Cardenię.

– To pomieszczenie pamięta czasy pierwszego imperoksa?

– Tak.

– Wtedy jeszcze *nie było* Xi'an.

– Kiedy Xi'an powstało, pomieszczenie zostało przeniesione z Hubfall razem z innymi elementami pałacu. Pozostałe części obecnej siedziby imperoksov zostały zbudowane wokół niego.

Cardenii stanął przed oczami obraz stacji kosmicznej Xi'an budowanej wokół imperialnego pałacu. Był on tak absurdalny, że niemal komiczny.

– A więc masz tysiąc lat – powiedziała do Jiyi.

– Przechowuję informacje sięgające utworzenia Wspólnoty – padła odpowiedź. – Fizyczne urządzenia, na których są zapisane, regularnie się unowocześnia, podobnie jak funkcjonalne elementy tego pomieszczenia oraz manifestację, która stoi przed twoimi oczami.

– Jeśli dobrze cię zrozumiałam, do tego pokoju nie może wejść nikt z wyjątkiem imperoksa.

– Zautomatyzowany serwis, wasza wysokość – powiedziało Jiyi, a Cardenia pomyślała, że słyszy w jego głosie lekką nutkę rozbawienia. To z kolei sprawiło, że najpierw poczuła się troszkę głupia, a później zaintrygowana.

– Czy ty jesteś żywe, Jiyi? – zapytała.

– Nie – odparło. – Nic, co widzisz w tym pokoju, wasza wysokość, nie jest żywe, z wyjątkiem ciebie.

– Oczywiście – powiedziała Cardenia, tylko trochę rozczarowana.

– Mam niejasne poczucie, że doszliśmy do końca tej specyficznej konwersacji – stwierdziło Jiyi. – Czy mogę ci służyć w czymś jeszcze?

– Tak. Chciałabym porozmawiać ze swoim ojcem.

Jiyi skinęło głową i zniknęło, a równocześnie pośrodku pokoju ukształtowała się kolejna postać.

Był to ojciec Cardenii, Batrin, zmarły imperoks Attavio VI. Gdy tylko się pojawił, spojrzął na córkę, uśmiechnął się i podszedł do niej.

Pokój Pamięci został ustanowiony przez prorokinię-imperoksa Rachelę I wkrótce po założeniu Wspólnoty i jej wstąpieniu na tron jako pierwszego władcy. Każdy z imperoksov miał własną sieć sensorów rozmieszczonych w całym ciele, które rejestrowały nie tylko wszystko, co zobaczył, i każdy dźwięk, który usłyszał lub wypowiedział, ale również wszelkie jego odczucia, działania, emocje, myśli i pragnienia.

W Pokoju Pamięci znajdowały się myśli i wspomnienia wszystkich imperoksov, którzy władali Wspólnotą, począwszy od prorokini-imperoksa Racheli I we własnej osobie. Gdyby

Cardenia chciała, mogła zadać pytanie dowolnemu ze swoich przodków, dotyczące jego samego, jego panowania i czasów, a on odpowiedziałby w oparciu o swoją pamięć, myśli i zapisy, które komputer przemodelowywał na to, kim był dany władca, w oparciu o dziesięciolecia zarejestrowanych na potrzeby tego pokoju wszystkich elementów jego wewnętrznego życia.

Istniało tylko jedno miejsce, gdzie trafiały te informacje – Pokój Pamięci. Istniał tylko jeden ich odbiorca – aktualnie panujący imperoks.

Cardenia odruchowo dotknęła swojego karku, tam, gdzie wszczepiono jej sieciowe ziarenko, aby urosło wewnątrz niej. „Któregoś dnia wszystko, co robię jako imperoks, znajdzie się tutaj – pomyślała – tak aby mogło to zobaczyć moje dziecko i jego dzieci. Każdy imperoks będzie mógł dowiedzieć się, kim byłam. Pozna mnie lepiej niż jakikolwiek historyk mojego panowania”.

Spojrzała na projekcję swojego ojca stojącego tuż przed nią i zadrzała.

Widmo to zauważyło.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytał Attavio VI.

– Widziałam cię zaledwie kilka godzin temu – odparła Cardenia, wstając z ławki i przyglądając się zjawie ojca. Była doskonale odwzorowana. Można jej było niemal dotknąć. Cardenia tego nie zrobiła. – Byłeś wtedy martwy.

– Nadal jestem. Świadomość, która była mną, już odeszła. Cała reszta została zapisana.

– Więc nie masz teraz świadomości?

– Nie, nie mam, ale mogę z tobą rozmawiać tak, jakbym miał. Możesz mnie zapytać o cokolwiek, a ja ci odpowiem.

– Co o mnie sądzisz? – wypaliła bez większego namysłu.

– Zawsze uważałem cię za miłą młodą damę. Mądrą, troszczącą się o mnie. Myślę, że nie będziesz zbyt dobrym imperoksem.

– Dlaczego nie?

– Bo Wspólnota nie potrzebuje teraz *miłego* imperoksa. Właściwie nigdy takiego nie potrzebowała, ale jest skłonna go tolerować, jeśli nie dzieje się nic ważnego. Trudno coś takiego powiedzieć o obecnych czasach.

– Nie byłam dzisiaj zbyt miła dla komitetu wykonawczego – powiedziała Cardenia, zdając sobie sprawę, że jej słowa przypominają dziecinne tłumaczenie się.

– Jestem przekonany, że tuż po mojej śmierci, na pierwszym spotkaniu z tobą, komitet dał całkiem przekonujący pokaz uległości i powściągliwości. Sprawdzają też, jak długi łańcuch będzie dla ciebie najlepszy, tak aby mogli uzyskać od ciebie wszystko, czego tylko zapragną. Wkrótce zaczną pociągać za ten łańcuch.

– Nie wiem, czy podobasz mi się w tej zupełnie szczerzej wersji – skomentowała Cardenia.

– Jeśli chcesz, możemy dostosować moje modelowanie bliżej tego, jaki byłem za życia.

– Chcesz mi powiedzieć, że za życia mnie okłamywałeś?

– Nie bardziej niż wszyscy inni.

– No to mnie uspokoiłeś.

– Za życia byłem człowiekiem, posiadałem ego, tak jak każdy. Miałem własne pragnienia i zamiary. Tu jestem wyłącznie wspomnieniami i moim zadaniem jest ci towarzyszyć, jako obecnemu imperoksovi. Nie mam ego, któremu można by schlebiać, a twojemu będę schlebiał, tylko jeśli mi rozkażesz. Radziłbym jednak, żebyś tego nie robiła. To by mnie uczyniło mniej użytecznym.

– Kochałeś mnie?

– To zależy, jak rozumiesz miłość.

– To brzmi jak dyktowana przez ego próba uniknięcia odpowiedzi.

– Wywoływałaś we mnie czułość. Byłaś niewygodna, dopóki nie stałaś się konieczna na potrzeby sukcesji. Gdy zostałam arcyksiężną, poczułem ulgę, że mnie nie nienawidzisz. Nikt nie mógłby cię krytykować, gdyby było inaczej.

– Kiedy umierałaś, powiedziałaś, że żałujesz, że nie poświęciłaś więcej czasu, aby mnie kochać.

Attavio VI skinął głową.

– Tak, mogłem powiedzieć coś takiego. Wyobrażam sobie, że faktycznie mogłem wówczas tak myśleć.

– Nie pamiętasz tego.

– Jeszcze nie. Ostatnie chwile mojego życia jeszcze nie zostały zgrane.

Cardenia nie drążyła tematu.

– Na swoje imperialne imię wybrałam Grayland II, tak jak sugerowałeś.

– Tak, przynajmniej ta informacja jest już w naszej bazie. Dobrze.

– Czytałam o niej.

– Tak, zamierzałem cię o to poprosić.

– Poprosiłeś, zanim umarłeś. Dlaczego chciałeś, żebym przyjęła imię po niej?

– Bo miałem nadzieję, że zainspiruje cię, aby poważnie podejść do tego, co stanie się później i czego będzie to od ciebie wymagać – powiedział Attavio VI. – Wiesz już o hrabim Claremont, tym z Kresu?

– Tak, wiem. – odparła Cardenia. – Twój dawny kochanek.

Attavio VI się uśmiechnął.

– W żadnym wypadku. To przyjaciel. Bardzo dobry przyjaciel i naukowiec. Przyszedł do mnie z informacją, której nikt inny nie posiadał i wolałby jej nie poznać. Musiał prowadzić swoje prace i badania z dala od głupoty dworu, rządu, a nawet od społeczności naukowej Wspólnoty. Jest kimś, kto gromadził dane przez bardzo długi czas, teraz już będzie ponad trzydzieści lat. O tym, co się stanie, wie więcej, niż ktokolwiek inny. Musisz być na to przygotowana. Obecnie nie jesteś na to gotowa w najmniejszym stopniu. Obawiam się, że nie będziesz dostatecznie silna, aby spojrzeć w przyszłość.

Cardenia wpatrywała się w ducha Attavio VI, który przed nią stał: mały, sympatyczny, ze strapionym uśmiechem na twarzy.

– No więc? – zapytała w końcu Cardenia. – Co to takiego?

ROZDZIAŁ 4

– Kto z was wie, co to jest Wspólnota? – zapytał Marce Claremont z mównicy planetarium.

Kilka dłoni ośmiolatków siedzących na krzesłach wystrzeliło w górę. Marce przyglądał się rękoma w poszukiwaniu tej, która musiała należeć do malca najusilniej chcącego odpowiedzieć na pytanie. Wybrał tę z drugiego półokręgu krzesel.

– Tak, ty.

– Muszę do łazienki – powiedziało dziecko.

Za jego plecami Marce dostrzegł, jak jeden z dorosłych opiekunów przewraca oczami, wstaje, chwytając dziecko za rękę i prowadzi je do ubikacji, po czym wskazał kolejnego malucha.

– To naród złożony z systemów, w którym wszyscy żyjemy – powiedziała dziewczynka.

– Masz rację – zgodził się Marce i tapnął na tablicy przycisk, aby przygasić światła i rozpocząć prezentację. – To naród złożony z systemów i w nim wszyscy żyjemy. Ale co to tak naprawdę oznacza?

Zanim dane mu było kontynuować, planetarium lekko się zatrzęsło, gdy coś, co brzmiało jak dwa myśliwce przechwytyjące, przeleciało nad uniwersyteckim centrum naukowym, którego część stanowiło planetarium. Dzieci zaczęły hałasować, podczas gdy opiekunowie próbowali je uciszyć, mówiąc, że wszystko jest w porządku.

Marce szczerze wątpił, czy faktycznie wszystko było w porządku. Uniwersytet w Opolu, gdzie mieściło się centrum naukowe, znajdował się daleko od stolicy i głównych walk. Jednak w ostatnim tygodniu sprawy przybrały obrót zdecydowanie niekorzystny dla księcia i lojalnych wobec niego sił. Teraz nawet w odległych prowincjach zaczęła kiełkować rebelia, podobnie jak przemoc, którą niosły ze sobą rewolucje.

Był naprawdę zaskoczony, gdy dzisiaj w centrum naukowym zjawił się ten autobus pełen dzieci. Zakładał, że szkoły zawiesiły zajęcia, tak jak to zrobił uniwersytet. I wtedy dostrzegł wyraz twarzy dorosłych, którzy prowadzili maluchy. Zdawali się zdeterminowani, aby dać dzieciom tak duże poczucie codzienności jak tylko mogli, przez tak długi czas jak zdołają.

Marce, będący w gruncie rzeczy jedynym człowiekiem spoza personelu ochrony, który zjawił się na uniwersytecie tego ranka, a i to tylko po to, żeby zabrać trochę materiałów niedostępnych w sieci, nie miał zamiaru ich zawieść. Zaprowadził całą grupę do planetarium i przekopał swój mózg, aby przypomnieć sobie standardową prezentację na temat Wspólnoty, z jaką zwykle występowali objazdowi docenci.

– Wszystko w porządku – powiedział do dzieci. – Te samoloty tylko tędy przelatywały. Znajdowaliśmy się na ich trasie, nic więcej. Na uniwersytecie jest bezpiecznie.

To zapewne również nie była prawda, bowiem na Uniwersytecie w Opolu było niemało sympatyków rebeliantów, od naćpanych studentów szukających jakiegoś ruchu, do którego mogliby dołączyć, po profesorów, którzy koniecznie chcieli być inni niż większość i lubili dopiec księciu, ale zarazem pasowała im ciepła posadka. Teraz większość z nich, zarówno studentów, jak i kadry, siedziała zapewne w piwnicach. Marce, który osobiście był zdecydowanie apolityczny i czuł się z tym dobrze, wcale ich nie winił.

W każdym razie, sianie paniki wśród ośmiolatków, mówiąc im, że istnieje możliwość, iż uniwersytet zostanie zajęty albo przez rebeliantów, albo oddziały księcia, nie miało sensu. Teraz zadanie Marce'a sprowadzało się do skupienia ich uwagi na czymś innym. Dzisiejszy dzień mógł być ostatnim normalnym w ich życiu, przynajmniej na pewien czas. Nie zaszkodzi dobrze go wykorzystać.

Marce po raz kolejny dotknął swojego tabletu i z projektora na pustą przestrzeń ponad mównicą planetarium wyskoczyło pole gwiazd, czemu towarzyszyła uspokajająca muzyka grana na dzwoneczkach. Na ten widok ośmiolatki, jeszcze pięć sekund temu wystraszone, ochnęły i achnęły. Podobnie jak dorośli.

– To, co właśnie widzicie, to wszystkie gwiazdy, które znajdują się na obszarze zajmowanym przez Wspólnotę – zaczął Marce – od Hubu po Kres. Można tu znaleźć wszystkie gwiazdy, wokół których żyjemy. Ktoś spróbuje zgadnąć, która z nich jest nasza?

Palce wszystkich dzieci wystrzeliły w górę – wszystkie w kompletnie różne punkciki światła. Marce dotknął jednej z gwiazd na swoim tablecie. Wyświetlany obraz najechał ku niej, robiąc powiększenie, i zatrzymał się nieruchomo, ukazując system gwiazdny złożony z pięciu planet: dwóch skalistych i trzech gazowych gigantów.

– To my – powiedział Marce. – Druga planeta, licząc od naszego słońca. To Kres, zwany tak, bo jest położony dalej niż cokolwiek innego we Wspólnocie. – Znow oddalił obraz, tak że widać było cały obszar Wspólnoty. – Wszystkie te gwiazdy znajdują się w przestrzeni, którą Wspólnota przyjęła uważać za własną, ale nie wszystkie systemy nadają się do zamieszkania przez ludzi. Spośród tych ponad pięć tysięcy systemów gwiazdnych człowiek zamieszkuje zaledwie czterdzieści siedem.

Podświetlił mocniej systemy należące do Wspólnoty, tak aby dzieci mogły je zobaczyć. Ogólnie rzecz biorąc, w czasoprzestrzeni wcale nie znajdowały się one blisko siebie. Wydawało się, że ich układ jest dość przypadkowy. Przypominały diamenty rozrzucone pośród ziarenek piasku.

– Dlaczego są od siebie tak daleko? – zapytało jedno z dzieci, bardzo ładnie kładąc fundament pod kolejną część standardowej prezentacji.

– Świetne pytanie! – orzekł Marce. – Mogłoby się wydawać, że systemy zamieszkałe przez ludzi powinny być niedaleko od siebie, tak aby łatwo było między nimi podróżować, ale łączy je nie bliskość w przestrzeni, lecz Nurt. – Z systemów zamieszkałych przez ludzi wystrzeliła płatanina linii, które łączyły je ze sobą, co wywołało kolejny pełen zachwyty

szmer wśród dzieciaków. – Nurt jest jak megaskróty w przestrzeni – kontynuował Marce. – Dotarcie z jednego systemu gwiazdowego do drugiego normalnie zajęłoby lata, a nawet stulecia. Nawet systemy położone bardzo blisko siebie dzieli kilka lat świetlnych i gdyby korzystać z normalnych sposobów poruszania się, to przebycie choćby stosunkowo krótkich odległości zajęłoby dwadzieścia czy trzydzieści lat. Nawet najbardziej zaawansowane z naszych statków, zwane „dziesiątakami”, nie są w stanie odbyć takiej podróży. Dzięki Nurtowi możemy przemieszczać się między systemami i zajmuje nam to tygodnie, a w najgorszym razie miesiące. Jednak tu właśnie jest pies pogrzebany. Możemy podróżować tylko do tych systemów, w pobliżu których znajduje się Nurt. – Zrobił zbliżenie innego systemu. Było w nim dziesięć planet. Przybliżył obraz jeszcze bardziej. – Czy ktoś wie, co to za planeta? – Nikt nie odpowiedział. – To Hub. Jest stolicą Wspólnoty. Czy ktoś wie, dlaczego?

– Bo tam mieszka imperoks?

– Cóż, tak, ale imperoks mieszka tam nie bez powodu, a jest on następujący. – Marce tapnął palcem na tablicy i planetę otoczył niemal wir linii, które kłębiły się w przestrzeni ponad globem. – Hub jest jedynym miejscem we Wspólnocie, gdzie łączą się *wszystkie* prądy Nurtu. Można się stąd dostać bezpośrednio do niemal każdego systemu we Wspólnocie i odwrotnie. Sprawia to, że jest on najważniejszą planetą z punktu widzenia podróżowania i handlu. Gdybyśmy nie mogli podróżować przez Hub, odległości między niektórymi systemami liczono by w latach. Dlatego właśnie planeta jest nazywana „Hubem”¹. To centrum naszego Wszechświata, że się tak wyrażę.

– A nie możemy po prostu wytyczyć ścieżki pomiędzy planetami przez Nurt?

Pytanie padło z ust jednego z dorosłych, który najwyraźniej tak dał się wciągnąć prezentacji, że zapomniał, iż czas na pytania przeznaczony był dla dzieci.

– Chcielibyśmy, ale nie jesteśmy w stanie – mimo wszystko odpowiedział Marce. – Nurt nie jest czymś, co możemy kontrolować i, jeśli mam być szczery, również dobrze zrozumieć. Jest jak pewna naturalna cecha Wszechświata. Możemy uzyskać do niej dostęp, ale w zasadzie nie potrafimy nic z nią zrobić i jedynie podążamy tam, gdzie nas prowadzi. W zasadzie jest to jedna z naprawdę niezwykłych cech Wspólnoty.

Znów oddalił widok, zwinął pole gwiazd i wyświetlił sieć czterdziestu siedmiu systemów Wspólnoty. Ich gwiazdy były różne, od czerwonych karłów po żółte, podobne do słońca, a wokół nich krążyło od jednej do nawet tuzina dużych planet. Prezentacja nie przedstawiała systemów proporcjonalnie, zgodnie ze skalą. Planety zostały powiększone i poruszały się po orbitach, niektóre tak szybko, że wyglądało to wręcz komicznie. Kilkoro dzieci się zaśmiało.

– We wszystkich tych systemach żyją ludzie, ale planety tworzące większość z nich nie należą do tych, które sprzyjają zamieszkaniu przez nasz gatunek. – Marce znów przybliżył widok. – Hub jest tego przykładem. Nie ma na nim powietrza, a na dodatek obraca się synchronicznie. To oznacza, że jedna strona planety zawsze jest zwrócona ku słońcu, więc

jest potwornie gorąca, zaś druga w ogóle nie jest przez nie oświetlana, więc zamarza. Ludzie mieszkający na Hubie muszą żyć pod ziemią. – Oddalił widok i wybrał kolejną gwiazdę. – Tutaj, w systemie Morobe, wszystkie planety to gazowe giganty. To ogromne globy, gdzie nie ma nawet powierzchni, na której dałoby się wylądować. Nie dalibyśmy rady na nich żyć. Planety te mają księżyce, lecz większość z nich również nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi. Tak więc tutaj żyjemy w habitatach w przestrzeni kosmicznej, które znajdują się w miejscach zwanych punktami Lagrange’a, albo w innych, które da się ustabilizować. I tak właśnie żyje obecnie większość ludzkości: na skalistych planetach, pod powierzchnią, albo w wielkich, kosmicznych habitatach. Jest tylko jedno miejsce we Wspólnocie, gdzie ludzie żyją na powierzchni planety. – Marce znów oddalił widok, a następnie zrobił zbliżenie na Kres, który zawisł w powietrzu; niebiesko-zielony marmur, otulony bielą chmur. – To właśnie my. Oto Kres.

– A co z Ziemią? – zapytało jedno z dzieci, jak to zwykle bywało.

– Dobre pytanie! – pochwalił Marce. – To właśnie z Ziemi pochodzą ludzie i tak jak na Kresie można tam chodzić po powierzchni. Jednak Ziemia nie jest częścią Wspólnoty. Utraciliśmy z nią kontakt ponad tysiąc lat temu, kiedy zniknął jedyny prąd Nurtu, który tam prowadził.

– Jak to się stało?

To znów był jakiś dorosły, którego natychmiast zaczął uciszać inny rodzic. Marce się uśmiechnął.

– To skomplikowane – powiedział. – Najlepsza odpowiedź, jaką mogę dać, nie używając specjalistycznego języka, jest taka, że wszystko we Wszechświecie nieustannie się porusza, w tym systemy gwiazdne. Ten ruch czasami wpływa na Nurt. Krótko mówiąc, Ziemia się poruszyła, my się poruszyliśmy i prąd Nurtu się oddalił.

– Czy to się może zdarzyć ponownie?

– Bint! – upomniał ktoś dorosłego, który zadawał pytania.

– Hej, chcę wiedzieć, dobra? – odpowiedział Bint.

– W porządku – odezwał się Marce, wyciągając przed siebie rękę w pojednawczym geście. – W zasadzie to się *zdarzyło* ponownie, ponad siedemset lat temu, kiedy straciliśmy kontakt z systemem zwanym Dalasýsła. Stało się to, gdy lokalne prądy Nurtu nie zostały jeszcze skartografowane tak dokładnie, jak to jest obecnie. Wygląda na to, że prąd prowadzący do Dalasýsli już się rozpadał, kiedy system został skolonizowany po raz pierwszy. Po prostu minęło kolejnych kilkaset lat, zanim zamknął się całkowicie. Reszta prądów Nurtu używanych przez Wspólnotę pozostaje solidna i niezmienna od kilku stuleci.

To, jak się wydawało, zadowoliło Binta i Marce był szczęśliwy, że facet nie zauważył, iż tak naprawdę nie odpowiedział na jego pytanie.

W ciszy, jaka zapanowała na chwilę w planetarium, rozbrzmiał przytłumiony pomruk ostrzału artyleryjskiego. Jeden z dorosłych zaczął gwałtownie wciągać powietrze, ale zaraz

przestał.

– Czas, jaki mieliśmy dzisiaj do dyspozycji, chyba właśnie dobiegł końca – oznajmił Marce. – Dziękuję wam wszystkim za przybycie i mam nadzieję, że zjawicie się tutaj ponownie. Z wielką chęcią was powitamy.

„W dniu, w którym jedni nie będą pracować z artylerii do drugich zaledwie parę klików stąd”, dodał w myślach. Wyłączył światła w budynku i pomachał dzieciom na pożegnanie, gdy dorośli wyprowadzali je z pomieszczenia. Jeden z nich odwrócił się i ruchem ust przekazał słowo „dziękuję”. Marce się uśmiechnął i pomachał ponownie.

– Nadal oprowadzasz wycieczki w samym środku wojennej zawieruchy – powiedział ktoś stojący z tyłu planetarium. – To bardzo szlachetne. Głupie, ale szlachetne.

Marce spojrział w górę, aby zobaczyć, kto to taki, i znów się uśmiechnął.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, *jesteśmy szlachcicami*, czyż nie, siostrze?

Vrenna Claremont, ubrana w pełny mundur konstabla, odwzajemniła uśmiech i zaczęła iść po schodach w kierunku brata.

– Być szlachcicem na Kresie, to jak zostać najbogatszą osobą na stercie śmieci. Nie za wiele to znaczy. Zwłaszcza teraz, kiedy zanosi się na solidne trzepanie książęcego dupska, a rebelianci plątają się tu i tam, wyzwalając jego włości. Nie trzeba się zanadto wysilać, aby dojść do wniosku, że pozostali szlachcice również doczekają się wyzwolenia ich własności.

– Moja własność ogranicza się do paru książek w mieszkaniu dla absolwentów – odparł Marce. – Myślę, że poczują się rozczarowani.

– Jesteś już profesorem. Powinieneś się wyprowadzić z mieszkania dla absolwentów.

– Jestem opiekunem budynku. Oszczędzam na czynszu.

– Syn hrabiego martwi się o czynsz – powiedziała Vrenna.

– Cóż, nie jesteśmy zbyt imponującymi szlachcicami.

Gdzieś daleko znów dało się słyszeć pomruk ostrzału, ale nie był tak odległy jak ten poprzedni.

– W tym momencie całkiem nieźle wychodzi mi niepanikowanie – stwierdził Marce.

– Zauważyłam – odparła Vrenna. – To znaczy nie chciałam o tym wspominać, ale zauważyłam.

– Nie wszyscy możemy mieć w żyłach lodowatą wodę.

– Nie mam w żyłach lodowatej wody. Po prostu wiem, jak daleko stąd eksplodują te pociski, więc na razie nie mam zamiaru się nimi martwić.

– Czyli jak daleko?

– Jakieś pięć klików, w dokach, gdzie wojska księcia próbują pogrzebać oddział rebeliantów pod szczątkami kontenerów. Zapewne im się nie uda. Większości z powstańców już dawno tam nie ma. Przemieszczają się, aby przejąć kontrolę nad strategicznymi surowcami. Tak czy inaczej, ty i ja wybieramy się w innym kierunku.

– Tak?

– Tak. Tata wysłał mnie, żebym zabrała cię ze sobą.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, toczy się wojna, i choć nie sądzę, by ten ostrzał artyleryjski jeszcze się do nas przybliżył, nie ma żadnej gwarancji, że uniwersytet, wliczając w to twój budynek z mieszkaniem dla absolwentów, nie będzie płonął, zanim dzisiaj zajdzie słońce.

– To niedobrze – powiedział Marce.

– Uhm – kiwnęła głową Vrenna. – Może nie pamiętasz, ale nasz dom znajduje się pod strażą Imperialnych Marines. Jeśli rebelianci zbliżą się bodaj na klik, zapewne zostaną odparowani z orbity. A to czyni z niego obecnie najbezpieczniejsze miejsce na powierzchni planety.

– Tata powiedział o tym księciu?

– Wiesz co, myślę, że mógł o tym zapomnieć. – Na te słowa Marce wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Po drugie, tata chciałby ci coś pokazać.

– Co takiego?

– Dane.

– Wiesz, Vren, jeśli kiedyś najdzie cię ochota być mniej tajemniczą, to się nie krępuj.

– Powiedział, że będziesz wiedział, co to takiego, i że to nie jest coś, o czym można rozmawiać publicznie.

– Aha – mruknął Marce.

– No.

Kolejny odległy huk.

– Brzmiało, jakby było bliżej – powiedział Marce.

– Nie było bliżej. Ale i tak powinniśmy ruszać. Jak będziemy dłużej zwlekać, komuś może przyjść do głowy pomysł, żeby postrzelać sobie do ślizgacza.

Mimo wszystko komuś wpadło do głowy, żeby postrzelać do bezbronnego ślizgacza, i to kilka razy w czasie lotu.

– Szybciej! – popędzał siostrę Marce.

– Gdy tylko *sam* będziesz chciał lecieć ślizgaczem tuż nad dachami miejskich domów, nie rozbijając się przypadkowo o jakiś komin, to daj znać – odparła.

Zamiast dalej zawracać głowę Vrennie, Marce wyjrzał przez szybę kopuły ślizgacza na ulice Opola. Większość dzielnic mieszkalnych pozostawała nietknięta, tylko gdzieś tam było widać ludzi wynoszących różne rzeczy do aut, jakby pakowali się do wyjazdu. Jednak główne ulice były zapełnione samochodami, a na kilku utworzył się nieruchomy korek.

Doprowadzenie do takiej sytuacji nie było proste. Marce podejrzewał, że kilku kierowców wyłączyło automatyczną jazdę, żeby móc prowadzić pojazdy samodzielnie. Może zrobili to,

bo spanikowali, a może podejrzewali, że rząd chce im w jakiś sposób uniemożliwić poruszanie się. Koniec końców te samochody, które właśnie zyskały niezależność, narobiły problemów wszystkim.

Marce nieustannie dostrzegał kolumny żołnierzy przemierzające się wzdłuż ulic. Pomędzy nimi jechały pojazdy opancerzone. Zmierzali, aby zabezpieczyć i/lub zdobyć ten czy inny punkt w mieście.

– To się nie skończy dobrze – powiedział Marce do siostry.

– A kiedykolwiek się skończyło?

Lecieli wzdłuż Warty, szerokiej rzeki płynącej przez Opole. Vrenna pilotowała ślizgacz tak, żeby trzymać się jej środka – dostatecznie daleko od obu brzegów, aby zniechęcić do strzelania każdego, kto ich zobaczy. Marce podejrzewał, że ściśle rzecz biorąc, Vrenna pilotuje maszynę nielegalnie. Ślizgacze miały latać automatycznie, wzdłuż dokładnie wyznaczonych dla nich w mieście tras powietrznych, tak by uniknąć problemów z pozostałym ruchem lotniczym. Środek Warty nie był jedną z takich tras. Równocześnie jednak Marce przypuszczał, że miejscowi stróże prawa mieli dziś inne zmartwienia.

Ślizgacz właśnie zostawił Opole za sobą, a krajobraz zmienił się w łagodne wzgórza. Warta spokojnie meandrowała pomiędzy nimi, a do stoków tuliły się przedmieścia i tereny wiejskie. Do Warty wpadał niewielki dopływ, który płynął przez inne skupisko wzgórz. Vrenna poleciała wzdłuż niego i po minucie byli już w domu.

Tak właściwie „dom” był Pałacem Claremont, nazwanym od okręgu prowincji, którego hrabią prawie czterdzieści lat wcześniej został ich ojciec, a rodzina przybrała takie samo nazwisko. Mieszkał tutaj poprzedni hrabia, którego Marce nigdy nie spotkał, bo nie było go jeszcze wtedy na świecie. Nakłoniono go, aby zrzekł się tytułu, oferując mu w zamian przydział do dworu imperialnego. Marce’owi powiedziano, że faceta nie trzeba było zbyt długo przekonywać. Lepiej być funkcjonariuszem na dworze niż szlachcicem na planecie wygnańców. Poprzedni hrabia wyjechał tak szybko, że pozostawił większość swoich mebli i co najmniej kilka zwierzątek – kotów, które doskonale czuły się pod opieką nowych właścicieli, dopóki, jak to ujął ojciec, dostawy jedzenia były regularne.

– Chodź – powiedziała Vrenna, gdy tylko wyszli ze ślizgacza na lądowisku w pobliżu garażu. – Nie pozwólmy tacie czekać.

Ich ojciec, Jamies, hrabia Claremont, był w swoim biurze, oglądając rewolucję na monitorze ściennym. Zauważył, że weszli i wskazał na ekran.

– Spójrzcie na ten bezsens.

– Oto mamy rewolucję – stwierdziła Vrenna.

Jamies prychnął.

– To nie rewolucja. „Rebelianci” są prawdopodobnie sponsorowani przez gildie kupieckie, które chcą ulg podatkowych na import. Albo coś w tym guście. Książę na to nie pozwoli. Albo coś w tym guście. Tak więc „rebelianci” pozbawią go władzy i zamiast niego

posadzą na tronie jakiegoś ambitnego szlachcica, który obniży cła. Imperoks przyklepie ten układ, bo tak naprawdę nikogo nie obchodzi, co się dzieje na Kresie. No i dlatego, że wszyscy są przekonani, że za jakieś dwadzieścia lat będziemy mieli powtórkę z rozrywki.

– A nie będziemy?

– Nie tym razem. – Jamies podszedł do biurka, znalazł tablet i podał go Marce'owi. – Mamy to. Pistolet z gorącą lufą. I ostatni zestaw danych, jakich potrzebowałem do skonstruowania modelu prognostycznego.

Marce wziął od ojca tablet i zaczął wertować zapisaną tam pracę.

– Kiedy to się stało?

– Sześć tygodni temu. Statek o nazwie *Mów do mnie jeszcze* natknął się na anomalię w Nurcie i zarejestrował przejściową płyciznę, która jest zgodna z moim modelem. Wszystko zostało zaobserwowane, zarejestrowane, zweryfikowane i prześledzone. Wszystko do siebie pasuje. Wszystko jest dokładnie takie, jak się spodziewaliśmy. Potwierdza to nasze podejrzenia na temat Nurtu.

Marce zaprzestał przeglądania pracy, bo przeczytanie i przetrwanie całości wymagałoby wielu godzin. Popatrzył na ojca.

– Jesteś tego *pewien*?

– A myślisz, że bym ci mówił o wszystkim, gdybym nie był? – odpowiedział Jamies. – Czy kiedykolwiek zauważyłeś, abym nie zachowywał *szczególnej* ostrożności, jeśli chodzi o tę hipotezę? Myślisz, że nie usiłowałem na wszelkie sposoby jej obalić? Czy może jednak uważasz, że chcę, aby była dokładna?

Marce pokiwał głową.

– Tak, tato.

– Nie zrozum mnie źle, Marce. Musisz to przeczytać. Musisz mi powiedzieć, czy jest coś, co mi umknęło, co przeoczyłem. Wprawdzie siedzący we mnie naukowiec dostaje dreszczy na myśl o tym skoku w naszym pojmowaniu fizyki Nurtu...

– ... Ale jako człowiek wolałbyś się mylić – dokończył Marce.

– Tak – potwierdził Jamies – i to bardzo.

Od kiedy Marce pamiętał, tata nazywał to „Rodzinną Tajemnicą” – jego sprawdzanie danych nawigacyjnych ze wszystkich statków, jakie dotarły do Kresu w ciągu ostatnich czterech dekad. Oficjalnie hrabia Claremont pełnił na planecie funkcję głównego imperialnego kontrolera. Sprawdzał dane, aby upewnić się, że żaden statek nie zboczył z zatwierdzonych przez władze imperialne tras handlowych, tym samym unikając ceł i innych podatków, które były na nich pobierane. Trasy te planowano całe lata, a nawet dziesięciolecia z wyprzedzeniem. Pod tym względem hrabia był tylko jednym z wielu imperialnych kontrolerów, po jednym w każdym z systemów, który upewniał się, że pieniądze zostają tam, gdzie powinny: po pierwsze w kieszeni imperoksa, po drugie gildii, a na dalekim, dalekim końcu – wszystkich pozostałych.

Tak naprawdę Jamies, hrabia Claremont, miał w dupie cały ten nonsens. Pełnił obowiązki głównego imperialnego kontrolera wystarczająco dobrze. Przede wszystkim delegował swoje uprawnienia podwładnym, dając im jednak do zrozumienia, że każda łapówka, która będzie zbyt ewidentna, by ją zignorować, spotka się z karą. Lecz nie z tego powodu przybył na Kres, czy raczej został tu przysłany przez swojego przyjaciela, imperoksa Attavio VI. Trafił tu, żeby bacznie przyglądać się zapisom urządzeń nawigacyjnych statków, szukając w nich wszelkich nieprawidłowości, ale nie tych związanych z handlem. Poszukiwał danych, które potwierdzałyby jego hipotezę, po raz pierwszy sformułowaną, gdy jeszcze był studentem Uniwersytetu w Hubfall. Mówiła ona, że prądy Nurtu, które stanowią podstawę funkcjonowania Wspólnoty, nie mają „stabilności wynikającej z rezonansu”, jak to twierdziła teoria głosząca, że niezwykle zagęszczenie i interakcja prądów Nurtu w obrębie Wspólnoty pomogły wytworzyć stabilne fale, które sprawiają, że prądy pozostaną otwarte i niezmiennie przez całe tysiąclecia.

Jamies zapoznał się z matematyką, na której opierała się teoria, i domyślił się czegoś, co innym umknęło, albo nie umknęło, ale woleli w to nie uwierzyć: „stabilność wynikająca z rezonansu” to nonsens ignorujący dane, a zaniknięcie prądów Nurtu prowadzących do Ziemi i Dalasysli było preludium, a nie wyjątkiem, jak mówiła obecna teoria na temat tych kluczowych kwestii. Tyle zdążył powiedzieć swemu przyjacielowi Batrinowi, świeżo koronowanemu imperoksovi Attavio VI. Pokazał mu dane i ostrzegł, że rozpad może nastąpić w przeciągu najbliższego stulecia.

Batrin dostrzegł możliwość, że dane mogą stanowić odbicie faktycznego obrazu sytuacji. Zauważył też, że to, co one mówią, jest zagrożeniem dla handlu i stabilności Wspólnoty, a ponadto będzie uważane przez Kościół za bluźnierstwo. Tak więc zrobił dla swojego przyjaciela dwie rzeczy. Po pierwsze kupił jego milczenie, mianując go hrabią, a następnie wysłał na Kres, czyli tak daleko, jak tylko w całej Wspólnocie się dało, oraz dał mu pracę, dzięki której mógł pozyskiwać dane potrzebne do potwierdzenia lub obalenia jego hipotezy. Nakazał mu również, aby nikomu, poza samym Batrinem, nie mówił o swojej pracy.

Jamies go posłuchał – no, z grubsza. Najpierw powiedział swej żonie Guice, a później ich bliźniakom, Marce’owi i Vrennie, gdy tylko były dostatecznie dorosłe. Wyszedł z założenia, że imperoks nie będzie miał nic przeciwko temu. Guice zabrała tajemnicę do swego przedwczesnego, tragicznego grobu. Vrenna dochowała sekretu, ponieważ była w tym dobra. Natomiast Marce go dochował, bo odkąd wykazał odpowiednie zdolności i zainteresowanie fizyką Nurtu, Jamies polegał na nim w kwestii sprawdzania swojej pracy.

Teraz, po wszystkich tych latach ciszy, metodyczne zbieranie danych i ich interpretacja się opłaciły. Jamies, hrabia Claremont, potwierdził najważniejsze odkrycie w dziejach ludzkości od chwili odnalezienia samego Nurtu. Gdyby wiedzieli o tym inni naukowcy, obsypaliby go wszystkimi istniejącymi nagrodami.

To znaczy, o ile ciągle żyliby we Wspólnocie i mieli taką możliwość.

– A więc to prawda – powiedziała Vrenna. – Nurt się rozpada.

– Nurt to Nurt – odparł Jamies. – On nic nie *robi*. Jednak nasz *dostęp* do niego zdecydowanie dobiega końca. Niezwykła stabilność prądów Nurtu, która pozwoliła na rozwój Wspólnoty, właśnie się kończy. Jeden po drugim prądy zaczną ustawać. Systemy Wspólnoty jeden po drugim będą pozostawiane same sobie. Na długo. Możliwe, że na zawsze.

– Ile mamy czasu? – zapytała Vrenna.

– Dziesięć lat – odparł Marce. – W najlepszym razie. – Tu zerknął na ojca. – Jeśli modelowanie taty jest bardzo dokładne, to mniej. Zapewne bliżej siedmiu lub ośmiu, zanim wszystkie lokalne prądy Nurtu znikną. Do większości utracimy dostęp wcześniej.

Jamies zwrócił się do syna.

– Dlatego właśnie musisz lecieć.

– Że co?

– Musisz lecieć – powtórzył Jamies.

– Gdzie?

– Na Hub, oczywiście. Musisz zawieźć te dane imperokswi.

– Myślałam, że regularnie wysyłasz mu aktualizacje – wtrąciła Vrenna.

– Jasne, robiłem to. Dane są szyfrowane i wysyłane co miesiąc. Zabierają je wyruszające stąd statki.

– No to wyślij tę wiadomość w ten sam sposób – zaproponował Marce.

Jamies potrząsnął głową.

– Nie rozumiesz. Co innego przesyłać imperokswi dane na bieżąco, w czasie gdy ja po prostu przebijam się przez nie i udoskonalam model, a całkowicie co innego, gdy model został potwierdzony i unaocznia realne zagrożenie dla Wspólnoty. Potrzebny będzie ktoś, kto mu to wszystko objaśni. A potem objaśni wszystkim innym. Ktoś, kto będzie dyskutował ze wszystkimi naukowcami i politykami, którzy będą ze swej strony szukać w niej dziur. Ktoś musi lecieć.

– Zgadzam się – powiedział Marce. – I tą osobą powinieneś być ty.

Jamies już otwierał usta, ale w tym momencie do pokoju wsunęła się głowa Dounga Xavosa, sekretarza hrabiego.

– Panie, jego wielmożność Ghreni Nohamapetan przybył, aby się z tobą zobaczyć. Twierdzi, że przychodzi na prośbę księcia.

– Wprowadź go – powiedział Jamies i spojrzął na dzieci.

– Mamy wyjść? – spytała Vrenna.

– Wolałbym, żebyście zostali.

Jamies wykonał gest w kierunku ekranu, gdzie co i rusz pojawiały się informacje na temat rewolucji. Monitor się wyłączył. Usiadł za biurkiem i wskazał bliźniakom, aby zrobiły to samo.

Do pokoju wszedł odziany w czerń Ghreni Nohamapetan. Marce przyglądał się, jak szlachcic podchodzi, by powitać jego ojca. Ghreni i rodzeństwo Claremontów byli w podobnym wieku, ale bliźniaki nigdy nie miały okazji nawiązać relacji towarzyskich z potomkiem Nohamapetanów. Ghreni przybył na Kres zaledwie kilka lat wcześniej, aby pilnować interesów swojego rodu. Claremontowie widzieli go raz czy dwa podczas pełnienia jego funkcji w pałacu księcia i pewnego dnia zostali sobie formalnie przedstawieni. Marce pamiętał, jak Ghreni prędko zlustrował oboje, oceniając, czy znajomość z nimi może mu dać jakąś przewagę w polityce, a gdy stwierdził, że odpowiedź raczej brzmi „nie”, uprzejmie ich od tamtej pory ignorował. Marce’a nadal trochę to drażniło. Vrenna, jak to ona, uznała to za zabawne.

– Hrabio Claremont – powiedział Ghreni Nohamapetan, kłaniając się.

– Panie Ghreni – odparł Jamies. – Cała przyjemność po mojej stronie. – Wskazał na Marce’a i Vrennę, którzy wstali. – Z pewnością pamiętasz moje dzieci.

– Oczywiście. Panie Marce, pani Vrenno.

Ghreni skinął w ich kierunku głową, na co oni odpowiedzieli podobnym powitaniem, po czym usiedli. Mając formalności za sobą, Nohamapetan skupił całą uwagę na ich ojcu.

– Panie hrabio, mój księżę przysyła mnie z misją wymagającą niejakiej delikatności. Zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy porozmawiali w cztery oczy.

– Dzieci są moimi najlepszymi doradcami i nie mam przed nimi tajemnic. Możesz ze mną rozmawiać w ich obecności, mając taką samą pewność co do poufności naszej konwersacji, jak gdybyśmy byli sami.

Ghreni przez chwilę nic nie mówił i Marce był pewien, że będzie nalegał na rozmowę bez świadków. Nohamapetan spojrzał na Vrennę, która miała na twarzy krzywy uśmiech. Wreszcie skinął głową.

– Cóż, dobrze.

– Z czym przychodzisz, panie Ghreni?

– Jak wiecie, księżę mierzy się z poważnym wyzwaniem, jakim są rebelianci.

Vrenna parsknęła.

– Ma pan na myśli, że jest na skraju utraty księstwa – stwierdziła.

– Księżę wykazuje w tej kwestii nieco więcej optymizmu niż pańska córka – powiedział Ghreni do Jamiesa. – Mimo to wyzwanie jest realne, a księżę obecnie szuka sposobów na uzyskanie przewagi taktycznej.

– Jakiej?

– Broń, panie.

– Mam tu gdzieś antyczny miotacz bełtów pozostawiony przez poprzedniego hrabiego – odparł Jamies. – Poza tym sądzę, że Vrenna cały czas ma przy sobie jakąś podręczną broń. O ile mi wiadomo, nie posiadamy żadnej innej broni.

– Księżę ma świadomość, że nie macie broni, mój panie. Macie jednak pieniądze.

– Nie za bardzo. Tytuł „hrabiego Claremont” wiąże się z niezwykle małą ilością gruntów czynszowych i, niestety, żadnymi lokalnymi czy też rozleglejszymi monopolami. W dużej mierze jest to tytuł reprezentacyjny. Otrzymuję pensję jako główny kontroler oraz pieniądze na utrzymanie pałacu. Niedawno sprzedałem kilka nieruchomości, ale to nadal nie jest zbyt wiele.

Ghreni się roześmiał.

– Nie *twoje*, panie, pieniądze. Imperoksa. Chcemy ich użyć, aby kupić broń, której potrzebuje książę.

Jamies na te słowa sposepniał.

– Proszę się wytłumaczyć.

– Książę wie, że ze względu na pańską rolę jako głównego kontrolera wszelkie podatki i opłaty przechodzą przez twój urząd, hrabio, zanim zostaną przekazane do skarbcza w Xi’an.

– To nie mój urząd je przekazuje. To rola szefa imperialnego banku tu, na Kresie.

– Oczywiście. I już rozmawialiśmy z dyrektorką Han, a ona jest skłonna pomóc księciu w tym przedsięwzięciu. Pani Han poinformowała nas również, że wszystkie przelewy imperialnych podatków i pozostałych opłat, inne niż standardowe transfery do Xi’an, muszą zostać zatwierdzone przez twoje biuro.

– To prawda, ale w dużym uproszczeniu. Mogę zatwierdzić bezpośrednie wydatkowanie podatków i opłat, ale tylko na projekty zaakceptowane przez imperium, takie jak budowle czy infrastruktura, czyli rzeczy, na które podatki idą tak czy inaczej. To zajmuje mniej czasu niż wysyłanie pieniędzy do stolicy, a potem sprowadzanie ich z powrotem.

– Owszem. I jeśli sprawdzisz swoje rejestry, hrabio, zobaczysz, że dwa lata temu, kiedy zaczęło się obecne powstanie, książę poprosił o fundusze na zakup broni, aby stłumić rebelię, a imperialny parlament je zatwierdził.

– Nie muszę sięgać do rejestrów, panie Ghreni, by wiedzieć, że pieniądze na wspomniane przez pana dostawy zostały już asygnowane, zaś broń zakupiono i wysłano.

– Zatem wasza wielmożność niewątpliwie wie również, że frachtowiec przewożący tę broń, *Mów do mnie jeszcze*, zaraz po wyjściu z Nurtu został zaatakowany przez piratów, którzy dokonali abordażu. Kapitan wraz z załogą walczyli dzielnie, żeby odeprzeć atak, lecz ostatecznie wielu z nich poległo, w tym pierwszy oficer, szef ochrony oraz przedstawiciel właściciela. Ładunek przewożony przez statek został skradziony. *Mów do mnie* ledwo dowlóknął się do portu w jednym kawałku.

– Znam sprawę *Mów do mnie* – odparł Jamies.

– Główny problem polega na tym, że broń obecnie znajduje się w rękach piratów. Ci z kolei zamierzają sprzedać ją rebeliantom, ale można ich nakłonić, aby odsprzedali ją księciu.

– Po to książę ma własny skarbiec – zauważył Marce.

– Niestety, panie Marce, dwa lata walk uszczupliły książęcy budżet, a poza tym sprawiły,

że coraz trudniej jest ściągać podatki i inne powinności. Potrzebuje wsparcia.

– Już je otrzymał – odezwała się Vrenna. – Parlament zatwierdził dostawę broni. To na księciu spoczywa odpowiedzialność za patrolowanie przestrzeni kosmicznej pomiędzy płycizną Nurtu a planetą. Jeśli grasują tam piraci, to przyczyną jest fakt, że książę nie robi tego, co do niego należy.

Ghreni znów skupił uwagę na hrabim.

– Książę ma świadomość, że prośba o taki wydatek jest niecodzienna. Argumentuje to tak, i myślę, że ma sporo racji, że parlament chciał, aby ta broń trafiła w jego ręce, więc przekazując te dodatkowe fundusze celem odkupienia broni, wasza wielmożność spełni zamiary parlamentu.

– Nie sądzę, że ten argument jest tak dobry, jak się księciu wydaje – odparł Jamies. – Ponadto wiem, że miejscowy garnizon imperialny otrzymał rozkaz, aby nie ingerować w wydarzenia.

Na te słowa Ghreni skinął głową.

– Książę wie doskonale, że jedynym szlachcicem, który obecnie cieszy się ochroną imperialnych oddziałów, jest pan, hrabio Claremont. Uważa to za bardzo interesujące.

– Nie jest to ani trochę interesujące, panie Ghreni. Jak słusznie zauważyłeś, wspólnotowe pieniądze przechodzą przez podległe mi urzędy. Imperoks ceni swoje dochody. Właśnie dlatego nie jestem taki przekonany, że ucieszyłyby się z powodu ich nieoczekiwanego przekierowania. Ze mnie również nie byłby zadowolony.

– Książę jest przygotowany na taką ewentualność.

– To miło z jego strony – odparł Jamies – zważywszy, że nie *on* trafi za to do więzienia.

– Och, hrabio Claremont, niechże pan nie lekceważy inteligencji księcia. Proszę pamiętać, że znajdujemy się o dziewięć miesięcy drogi od Hubu i Xi'an. W ciągu tych dziewięciu miesięcy książę może zmiażdżyć buntowników i zwrócić wraz z odsetkami wszystko, czego mu wasza wielmożność użyczy. On z kolei posłuży się swym autorytetem na potrzeby ewentualnego sporu z imperoksem, aby przekonać go, że oboje z panią dyrektor Han działaliście w najlepiej pojętym interesie Wspólnoty. A w międzyczasie książę obiecuje, że pańska lojalność zostanie nagrodzona.

Na te słowa Jamies się roześmiał.

– Jest pewna ironia w próbie przekupienia kogoś, *od kogo* chce się otrzymać pieniądze, panie Ghreni.

– Książę jest przekonany, że pieniądze nie stanowią jedynej zapłaty za lojalność.

– I pani dyrektor Han dała się przekonać tym argumentem?

– Owszem, wasza wielmożność.

– Tak więc, reasumując – rzekł Jamies – chcesz, panie, abym nielegalnie przelał księciu imperialne pieniądze, żeby książę mógł kupić broń, którą już raz kupił, ale utracił na skutek zaniedbania, a to dlatego, że osoba, którą już udało się wam nakłonić do tego nielegalnego

czynu, nie jest w stanie zrobić tego samodzielnie. Próbując mi zrehabilitować popełnienie kilku przestępstw przeciwko imperialnej racji stanu, oferujesz mi jakieś mgliste „nagrody”, które zostaną określone później, a które tak naprawdę nie są pieniędzmi. Zgadza się?

– Nie ująłbym tego w ten sposób – powiedział Ghreni. – Księżę również.

– Oczywiście że nie, ale właśnie o to pan prosi.

– A więc nie jest pan skłonny pomóc księciu – stwierdził Nohamapetan.

– Tego nie powiedziałem – odparł Jamies, po raz pierwszy kompletnie zaskakując Marce’a. Szybko rzucił okiem na siostrę, która miała nieprzenikniony wyraz twarzy. – Mogę pomóc księciu – mówił dalej – ale nie chcę, aby któryś z nas, ja, pan albo księżę, jeśli już przy tym jesteśmy, twierdził, że robimy coś innego niż faktycznie robimy.

Wstał, sygnalizując w ten sposób, że spotkanie dobiegło końca. Marce i Vrenna również się podnieśli. Nohamapetan zrozumiał sugestię i się uklonił.

– Jaką odpowiedź mam zanieść księciu? – zapytał.

– Możesz mu oznajmić, panie, że otrzyma ją w ciągu tygodnia – odrzekł Jamies.

– Z całym szacunkiem, wasza wielmożność, tydzień to obecnie bardzo długo.

– Nie tak długo jak pięćdziesiąt lat spędzonych w więzieniu, jeśli to wszystko wymknie się spod kontroli, panie Ghreni – powiedział Jamies. – No chyba że imperoks zdecyduje, że mnie po prostu zabije.

– Czy mógłbym pokornie prosić, aby wolno mi było przekazać księciu, że otrzyma odpowiedź w ciągu pięciu dni? Jestem przekonany, że pięć dni będzie dla niego całkowicie do przyjęcia.

Jamies zdawał się to rozważać.

– Dobrze, panie Ghreni. Pięć dni.

– Dziękuję, wasza wielmożność – powiedział Nohamapetan z ukłonem. – A jeśli księżę zechce przybyć i zobaczyć się z panem osobiście za owe pięć dni, to gdzie pana wówczas znajdzie?

– Będę tutaj – odparł Jamies. – Zawsze tu byłem i zawsze tu jestem.

Ghreni skłonił się ponownie, odwrócił i wyszedł. Marce zaczekał, aż Vrenna podejdzie do drzwi i zamknie biuro, po czym spytał:

– Chyba nie rozważasz tego na poważnie?

– Dlaczego nie?

Marce był w szoku.

– Kupujesz czas – powiedziała Vrenna, wracając do nich.

– Właśnie – zgodził się Jamies.

– Czas na co?

– Na moment aż te sprawy i tak nie będą miały znaczenia – Jamies wskazał na tablet, który Marce wciąż trzymał w dłoni. – Synu, przygotowałem model zapaści prądów Nurtu. Miną lata, zanim zanikną wszystkie. Niektóre już są na krawędzi. – Tapnął coś na tablecie. –

Jednym z pierwszych będzie prąd prowadzący stąd do Hubu. Zgodnie z modelem już się zapada.

– Ile to potrwa, zanim zniknie? – zapytała Vrenna.

– Rok. Jednak zapaść następuje od płycizny wejściowej. W najlepszym razie zamknie się ona za około miesiąc, w najgorszym za jakiś tydzień. Potem będzie całkowicie niedostępna. Wszystkie statki przebywające na Kresie pozostaną tutaj. Na zawsze. – Jamies zwrócił się do syna. – A to kolejny powód, dla którego musisz ruszać. Teraz! Jeśli nie polecisz natychmiast, nigdy już nie będzie to możliwe.

– To ty powinienes lecieć – powtórzył Marce.

Jamies potrząsnął głową.

– Księżę prawdopodobnie zostanie pozbawiony władzy. Wszyscy miejscowi szlachcice będą obserwowani, czy przed jego upadkiem nie spróbują opuścić planety. A teraz jeszcze obiecałem Ghreniemu Nohamapetanowi odpowiedź w sprawie pieniędzy. Jeśli choćby opuszczę ten *dom*, wyjdą z założenia, że próbuję uciec. Obserwują mnie. Ale ciebie nie.

– To ma sens, Marce – powiedziała Vrenna. – Tylko ty możesz to wszystko wyjaśnić równie dobrze jak tata. A oni nie przyglądają ci się tak bacznie jak jemu.

– Zwłaszcza odkąd uczyniłem Vrennę moim dziedzicem – dodał Jamies.

– Co? – zapytał Marce.

– Właśnie, co takiego? – Vrenna dołączyła się do pytania.

– Oficjalnie uczyniłem Vrennę moim dziedzicem, gdy tylko dowiedziałem się o rozpadzie Nurtu – powiedział Jamies do syna. – Teraz masz sensowne wytłumaczenie, dlaczego chcesz opuścić Kres. Nic tu nie odziedziczysz. Nikt nawet nie będzie cię o to pytał.

– Nie chcę być hrabiną – zaprotestowała Vrenna. – A już jestem cholernie przekonana, że nie mam zamiaru być imperialnym kontrolerem.

– Spokojnie – powiedział Jamies. – Wkrótce nie będzie już czego kontrolować.

– To... niezbyt uspokajające.

Jamies uśmiechnął się do córki, po czym znów spojrzał na syna.

– Niedawno sprzedałem nieruchomości. To powinno wystarczyć, aby zapewnić ci wejście na statek i pozwolić na zadomowienie się na Hubie, kiedy tam dotrzesz.

– Ile tego jest? – zapytał Marce.

– Jakieś osiem milionów marek.

– Dobry Boże!

– Właśnie – zgodził się Jamies. – Może troszkę okłamałem Ghreniego Nohamapetana w sprawie wartości naszego majątku. W każdym razie najważniejsze, Marce, że teraz masz środki, motywację i okazję, aby opuścić Kres. Ruszaj. Zrób to. Powiedz imperokswi o tym, co wiemy. Przy odrobinie szczęścia może nadal będzie miał czas się przygotować.

– Na co?

– Na rozpadające się imperium – odparł Jamies – i mrok, jaki po nim nastąpi.

ROZDZIAŁ 5

Kiva Lagos nie doczekała się cudu, ale zanim upłynął tydzień, otrzymała coś niemal równie dobrego. A raczej kogoś: Sivourena Donhera.

– Jest jednym z naszych koncesjodawców – powiedział Gazson Magnut, mając na myśli wyglądającego pompatycznie mężczyznę, wałęsającego się właśnie po komorze celnej używanej przez *Tak, drogi panie* na stacji imperialnej. Agent stał obok stosu skrzynek z hawerfrutami. Owoce znajdujące się w środku były już niemal w pełni dojrzałe. Całą komorę wypełniał ciężki, kwiatowy zapach, który w ciągu najbliższych kilku dni miał się szybko zmienić w zjełczały smród. Magnut i Lagos byli w biurze, które stacja udostępniła dowództwu statku zajmującego daną komorę celną. Przyglądali się biednemu skurczybykowi.

– No dobra – odparła Kiva. – I co, kurwa, z tego?

– Chce kupić miejsce na pokładzie *Tak, drogi panie* dla siebie i swojej rodziny.

– Zawija się z Kresu? Dokąd?

– Mówi, że nad tym zastanowi się później.

Kiva parsknęła.

– Nie ma we Wspólnocie miejsca, którego zaludnienie nie osiągnęłoby maksimum. Od dziesięcioleci nie zbudowano nowej placówki ani nie wydrążono nowego miasta.

– Wspomniałem mu o tym. Stwierdził, że to będzie jego problem.

Kiva znów spojrzała na mężczyznę.

– To nie jest statek rejsowy, Gazson.

– Owszem, proszę pani – zgodził się Magnut. – Jednak jeśli wolno mi zauważyć, to w zasadzie nie robi nam to żadnej różnicy. Nie mamy obecnie pełnej załogi, a na Kresie nie mustrujemy nowych ludzi w takiej liczbie, jak bym chciał. W razie czego możemy umieścić go z rodziną w jakimś zamkniętym pomieszczeniu i kazać im zapłacić za ten przywilej.

– Dlaczego masz problemy z najmowaniem ludzi?

Gazson wzruszył ramionami.

– Trwa wojna.

– *On* – Kiva wskazała palcem na mężczyznę – chce wyjechać.

– To nie to samo, proszę pani. *On* ma zamiar opuścić planetę na zawsze i zabrać ze sobą rodzinę. Każdy, kto ma *tutaj* rodzinę, chce być teraz z nimi. Na dole, na powierzchni, całe masy ludzi uciekają z otwartych stref walk. Panuje tam kryzys uchodźczy. Jeśli mam być szczerzy, to nawet gdyby nie nałożyli embarga na nasze hawerfruty, i tak nie sprzedalibyśmy ich zbyt wiele. Obecnie prawie nie ma na nie popytu.

– Ale przynajmniej zebralibyśmy opłaty licencyjne i zyski – zauważyła Kiva. Wreszcie się zatrzymała i znów spojrzała na mężczyznę w jej doku. – Jeszcze raz, jak się ten gość nazywa?

– Sivouren Donher.

– Był dobrym koncesjorą?

– Jednym z odnoszących największe sukcesy. Właśnie dlatego prosi o to, o co prosi. Uważa, że jesteście mu coś winni.

– Doprawdy? – spytała Kiva. – No to lepiej go przyprowadź.

Gazson skinął głową i poszedł po Donhera.

Z bliska Sivouren Donher był mężczyzną w średnim wieku, nieco pulchnym, a na jego twarzy malował się wyraz, który przechodził od arogancji do obawy tak szybko, że Kiva była przekonana, iż właściciel nie miał świadomości tego, co robi jego głowa. Patrzyła na oblicze człowieka, który do całkiem niedawna był przekonany, że może skorzystać na tej rebelii, niezależnie od tego, o jaką nonsensowną rzecz w niej walczono, aż w końcu uświadomił sobie, że jednak nie skorzysta.

– Pani Kivo – przywitał się Donher, kłaniając się.

Spojrzał na krzesło, z którego przed momentem wstał Gazson Magnut, by po niego pójść. Ewidentnie oczekiwał, że ktoś mu zaproponuje, aby usiadł, co by sugerowało, że wszyscy w tym gronie są sobie równi.

– Chcesz się wydostać z Kresu – powiedziała Kiva, nie proponując mu zajęcia miejsca.

Stojący w rogu biura Magnut również nie siadał, toteż lekko unióśł brwi, zdziwiony tym zamierzonym brakiem grzeczności.

– Tak, pani.

Kiva skinęła głową w kierunku Magnuta.

– Gazson powiedział mi, że jesteś jednym z naszych najlepszych koncesjorów.

Donher się uśmiechnął i kiwnął głową.

– Tak, dobrze się przysłużyłem twojej rodzinie, pani Kivo.

– A co dokładnie znaczy „dobrze”?

– W bieżącym okresie rozliczeniowym ród Lagos otrzymał od moich przedsiębiorstw cztery miliony marek. Och, to znaczy *otrzyma*, gdy tylko obecne nieprzyjemności, jakie spotykają was ze strony księcia, zostaną usunięte.

– Cztery miliony marek – odpowiedziała Kiva. – No to nieźle. Naprawdę nieźle.

– Dziękuję, pani.

– To dlaczego, do cholery, miałabym sobie strzelać w stopę?

Donher zamrugął.

– Pani?

– Zarabiasz dla nas jedne z największych prowizji. Jeśli opuścisz Kres, źródło dochodów wyschnie. Logika nakazuje, żebyś wracał do swoich sadów oraz fabryk i dalej się nimi

zajmował.

– Pani... Toczy się wojna.

– No i? Nasi ludzie na planecie mówią mi, że wy, idioci, odpierdalacie to gówno dosyć regularnie. Za kilka miesięcy będziecie żyć jak przedtem.

– Nie tym razem, pani. Teraz jest inaczej. Księżę jest na dobrej drodze do utraty władzy. Ludzi, o których wiadomo, że znajdują się w jego łaskach, tropi się i zabija, razem z rodzinami.

– A ty i księżę, jak zakładam, jesteście najlepszymi przyjaciółmi, czyż nie?

– Regularnie bywam na dworze, pani. Tak samo moja żona, która pozostaje szczególnie blisko księżnej. Czasami gościliśmy ich w naszym majątku.

Kiva zmrużyła oczy.

– Ale ty sam nie jesteś szlachcicem.

– Nie, pani – Donher wzruszył ramionami. – Były pewne rozmowy o nadaniu mi szlachectwa w tym roku. Razem z żoną przekazaliśmy sporą darowiznę na rzecz księżęcego szpitala dobroczynnego. Teraz jednak takie sprawy znajdują się w zawieszaniu.

– Hmm... – Kiva zmierzyła od stóp do głów tego przerażonego wędrowca w górę i w dół drabiny społecznej, po czym doszła do wniosku, że już go wyceniła. – Cztery miliony.

– Wybacz, pani?

– Nie prosisz mnie tylko o wpuszczenie na pokład, Donher, ale również o zerwanie swojej umowy licencyjnej z rodem Lagos. Innymi słowy chcesz porzucić nasze źródło dochodu na tej planecie. W porządku, ale to będzie cię kosztowało cztery miliony marek.

– Doszedłem do porozumienia z moim wiceprezesem, że będzie nadal prowadził interes... – wyjąkał Donher.

Kiva przerwała jego wysiłki.

– My mamy umowę z *tobą*, Donher.

– Z moimi firmami, proszę pani...

– To już nie są twoje firmy – Kiva znów weszła mu w słowo. – Ty spierdalasz z miasta. Nigdy nie zawieraliśmy umowy z... kimkolwiek, do chuja, jest ten wiceprezes. Skąd mamy wiedzieć, czy jest kompetentny choćby na tyle, żeby znaleźć dziurę we własnej dupie, mając do dyspozycji mapę i latarkę. *My*, ród Lagos, będziemy musieli przyjrzeć się twojej firmie ponownie. *Będziemy* musieli ocenić, czy ten wiceprezes jest wart tego, aby robić z nim interesy. Jeśli okaże się, że nie, będziemy zmuszeni wycofać się z licencji, a to nieuchronnie doprowadzi do masy prawnych głupot i pozwania nas przez tego gnojka, a co za tym idzie stracimy kolejne pieniądze.

– Pani Kivo, zapewniam...

– Za chuja *nie możesz* mnie zapewnić o czymkolwiek, Donher. Już nie. W tej chwili jesteś poza planszą do gry. Dosłownie jesteś dla mnie kompletnie bezużyteczny. Jediną pewną rzeczą są tutaj pieniądze. Dużo pieniędzy. W tym wypadku cztery miliony marek. Gotówką,

prosto do jebanej przysłowiowej ręki. Taką mamy umowę.

Ciekawie było przyglądać się, jak twarz człowieka praktycznie z sekundy na sekundę zmienia kolory. Kiva czytała o tym w książkach, ale nigdy dotąd nie miała okazji zobaczyć tego na własne oczy. Oblicze Donhera najpierw stało się czerwone i pokryło się potem, a następnie zagościła na nim bladość.

– Pani, chyba nie mam aż tyle – wydukał.

– Och, jestem absolutnie przekonana, że jednak *masz* – odparła Kiva. – Planowałeś zmyć się z planety i nigdy tu nie wracać. Będziesz musiał zacząć życie gdzie indziej, w miejscu, gdzie nie masz licencji ani też żadnej pewności, że czekają na ciebie jakieś perspektywy. Jedynym sposobem, dzięki któremu ty i twoja rodzina możecie przeżyć dostatecznie długo, aby doczekać się jakichś perspektyw na przyszłość, jest wielka góra gotówki. – Zamilkła na chwilę i przyjrzała się rozmówcy. – Zgaduję, że masz na swoim osobistym koderze jakieś dziesięć, może piętnaście baniek. – Wyciągnęła przed siebie palec wskazujący. – Możliwe nawet, że znajduje się on w tej przepastnej kieszeni. Chyba się nie mylę, co? – Donher nic na to nie odpowiedział. – No to wracając do interesów... Cztery miliony za pozwolenie, abys porzucił swoje zobowiązania związane z licencją.

– Tak, pani Kivo. – Donher skłonił się, dając tym samym do zrozumienia, że jego zdaniem zawarł właśnie umowę.

– Jeszcze nie skończyliśmy – wyprowadziła go z błędu Kiva. – Ilu ludzi ze sobą zabierasz?

– Jestem ja, moja żona i dzieci, teściowa oraz dwoje służących.

– Ile dzieci?

– Troje. Dwie dziewczynki i chłopiec.

– Cóż za piękna rodzinka. Pół miliona marek za każdą osobę, którą bierzemy na pokład.

Kiva przyglądała się, jak przez twarz Donhera znowu przesuwały się kolory.

– To oburzające – zdołał wreszcie wyrzucić z siebie.

– Pewnie tak – przyznała Kiva. – Ale nic mnie to nie obchodzi. Twój mały rodzinny oddziałek będzie z nami na statku przez dziewięć miesięcy, jakie zajmie nam podróż do Hubu. A to oznacza konieczność zapewnienia wam na ten czas jedzenia, tlenu i *miejsca* na naszym statku.

– To kolejne cztery miliony marek.

– Twoje zdolności matematyczne są imponujące, Donher.

– Nie stać mnie.

– No cóż.

– Na pewno możemy dojść do jakiegoś porozumienia, pani.

Kiva się roześmiała.

– Wybacz, ale myślałeś, że to są negocjacje? Cóż, nie są. Chcesz się wydostać z planety? Takie są moje stawki. Jeśli ci one nie pasują, możesz śmiało szukać gdzie indziej. O ile mi

wiadomo, wkrótce odlatuje *Mów do mnie jeszcze*.

– W zasadzie zatrzymano go, pani – wtrącił się Magnut. – Księżę kazał aresztować panią kapitan. Chyba podejrzewa, że pozwoliła piratom wejść na pokład statku i zabrać transport z bronią.

– Ach tak.

– Najwyraźniej początkowo byli dogadani z pierwszym oficerem, który próbował buntu, ale mu się nie udało. Kapitan zdecydowała, że mimo wszystko dotrzyma umowy z piratami. Oferowali lepszy pieniądz. Podobno.

– Och. – Kiva znów odwróciła się do Donhera. – No to masz jedną opcję mniej.

– Pani Kivo, mogę ci zaproponować trzy miliony marek za zabranie mnie stąd. Razem z czterema milionami, o których już wspomniałaś, to ponad połowa tego, co mam.

– No to chyba przyjdzie ci zostawić służących – stwierdziła Kiva. – No chyba że będziesz chciał zabrać kogoś z nich, a zostawić teściową.

Twarz Dohnera znów zaczęła zmieniać kolory.

– *A jednak!* – wykrzyknęła Kiva. – Zamierzałeś porzucić swoją kochaną mamusię. Ty pozbawiony uczuć draniu.

– Wcale nie – zaprotestował Donher, ale niezbyt stanowczo.

– Pozwól, że dam ci radę, Donher. Z tą twoją twarzą raczej nie graj w karty z nikim na tym statku. Skończy się tak, że będziesz miał debet na koncie. No to ugadaliśmy się na siedem milionów marek. Planujesz zabrać coś ze sobą? Jakies rzeczy?

– Jeśli pozwolisz, pani.

– Pewnie, że pozwolę. Tysiąc marek za kilogram. Pół miliona wezmę z góry, bo muszę wydzielić część ładowni. Jeśli nie wykorzystasz jakiejś części masy, zwrócimy resztę.

Na tym etapie Donher już wiedział, że nie ma sensu się wyklócać.

– Tak, pani.

– Zanim pójdziesz – wskazała na Magnuta – Gazson weźmie od ciebie pieniądze i dogada wszelkie pozostałe szczegóły. Wszystkie, co do jednego. Ruszamy za pięć dni. Gazson poda ci dokładną godzinę. Jeśli ty i twoja rodzina nie znajdziecie się na pokładzie statku dwanaście godzin przed wyznaczonym terminem, wszyscy tu zostanieie, a my zatrzymamy pieniądze. Zrozumiano?

– Tak, pani.

– No, to by było na tyle. Wróć na poziom komory i poczekaj tam na Gazsona.

Donher się skłonił i wyszedł. Magnut zamknął za nim drzwi.

– To było imponujące, proszę pani – powiedział do Kivy, kiedy Donher dotarł z powrotem na poziom komory.

Jego szefowa znów parsknęła, po czym zapytała:

– Czego się tu właśnie dowiedzieliśmy, Gazson?

– Że Sivouren Donher naprawdę chce się wynieść z tej planety?

– Dowiedzieliśmy się, mój drogi, że chce się wynieść stąd tak bardzo, że był w stanie zapłacić za to siedem i pół miliona marek – uzupełniła Kiva. – To z kolei oznacza, że są tu inni ludzie tacy jak on, którzy są gotowi zapłacić równie dużo, a może nawet więcej.

– Czyżbyś myślała, pani, o zabranii większej liczby uchodźców?

– Uchodźców? Nie. Emigrantów? Tak.

– Jest jakaś różnica?

– Z grubsza pół miliona marek od łba, Gazson.

– Aha. Czyli jednak to *jest* statek rejsowy.

Kiva uśmiechnęła się szeroko i wycelowała palec w Donhera, który znów stał zrezygnowany na dole, obok skrzynek z hawerfrutami.

– Właśnie skasowaliśmy siedem i pół bańki od jednego głupiego kutasa – powiedziała. – To pokrywa dwanaście i pół procenta strat, jakie ponieśliśmy w całej tej jebanej podróży. Jeszcze kilku takich jak on i wyjdziemy na zero. To warte wożenia ich szacownych dup przez kilka miesięcy.

Magnut wskazał na Donhera podbródkiem.

– Ten tu miał legalne dokumenty podrózne dla siebie, rodziny i służących. Nie każdy, kto zechce z nami odlecieć, i może sobie na to pozwolić, będzie miał takie papiery. Nawet gdyby pozwolono im uciekać, większość urzędów państwowych jest zamknięta, więc nie będzie miał kto wydać takich dokumentów.

– A to nasz problem?

– Kiedy dotrzemy do Hubu i wypuścimy tych... emigrantów, to jeśli nie będą mieli dokumentów podróжных, możemy dostać grzywny za nielegalny przewóz osób. Krótko mówiąc, tak, to jest nasz problem.

– Ale grzywny mogą na nas nałożyć, tylko jeśli zdołają udowodnić, że wiedzieliśmy, iż nie mają pozwolenia na podróż, prawda?

– Poniekąd – odparł Magnut. – To trochę bardziej skomplikowane.

– Ale *zasadniczo* tak – kontynuowała Kiva. – Jeśli będą mieli dokumenty i po prostu *przypadkiem* okaże się, że są fałszywe, ale *my* nie byliśmy w stanie tego stwierdzić, to bardzo możliwe, że gildia zdoła anulować te grzywny.

– Tak, pani.

Kiva uniosła brwi, tym samym sygnalizując Magnutowi bez używania jakichkolwiek obciążających ją słów, żeby znalazł ludzi, którzy w trybie przyspieszonym spreparują w miarę wiarygodne dokumenty podrózne, i aby upewnił się, że fałszerze zgarną za to nieliczne pieniądze, z których ród Lagos potrąci sobie prowizję za zorganizowanie interesu. Oczywiście, gdyby ślad ciągnący się za sfałszowanymi dokumentami kiedykolwiek doprowadził do jej rodziny, cała wina spadłaby na Magnuta, nie na Kivę czy ród Lagos.

Ciężkie westchnięcie i dworny ukłon stanowiły oznakę, że Gazson w pełni zrozumiał swoją rolę.

– No to rozpuść wici, że przyjmujemy wygnańców. Jeśli chcą zdążyć na statek, to niech się lepiej pospieszą. I oczywiście niech wezmą ze sobą gotówkę.

Wielu emigrantów *faktycznie* chciało się dostać na statek. I z radością przynosili ze sobą gotówkę.

Jasne, nie wszyscy stanowili tak soczysty owoc jak Sivouren Donher. Nie każdy też planował zabrać ze sobą pięcioosobową rodzinę ze służbą. Jednak konto się powiększało: pojedynczy emigranci, pary i trafiające się co jakiś czas rodziny po trzy lub cztery osoby, wszyscy po pół miliona od głowy, plus opłaty za bagaż, za dokumenty, plus dodatkowe kwoty, jeśli uchodźcy byli koncesjobjorcami rodu Lagos lub też mieli inne powiązania biznesowe z rodziną – a tych było niemało, bo Kiva powiedziała Magnutowi, aby szukał takich ludzi i traktował ich w preferencyjny sposób.

Po dwóch dniach Kivę dzieliło pięć milionów od wyjścia na zero za cały rejs.

– Jestem pierdolonym geniuszem finansowym – powiedziała do kapitana Blinnikki, który wrócił na *Tak, drogi panie*.

– Albo spekulantem wojennym – odrzekł Blinnikka.

– Nie sprzedaję niczego walczącym stronom – zaprzeczyła zaskoczona Kiva, ale zaraz spróbowała zbyć sprawę wzruszeniem ramion i czymś w rodzaju ciętej riposty. – Oferuję usługi tym, którzy chcą opuścić strefę walk. W gruncie rzeczy wykazuję się humanitaryzmem. Ratuję ludzi.

– Za pół miliona od osoby.

– Nigdy nie mówiłam, że robię to z dobroci serca.

– Skoro tak pani twierdzi...

– Możemy zamknąć tę podróż z zyskiem – podkreśliła Kiva. – Nie możesz temu zaprzeczyć.

– Zgadza się – przyznał Blinnikka. – Biorąc pod uwagę okoliczności, nawet małą stratę powinniśmy traktować jak zwycięstwo. Nie odbiorą mi dowództwa statku. Pani nie straci twarzy wobec swojej matki i reszty rodu. To, co pani robi, jak najbardziej ma sens pod względem finansowym.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Ma pani rację. Po prostu przypominam, że wojna sprzyja bogatym. Ci, którzy mogą, odlatują. Ci, którzy nie mogą, cierpią.

Kiva milczała przez chwilę, po czym rzuciła:

– Pierdol się z tym swoim sumieniem, Tomi.

– Tak, proszę pani.

Tablet Kivy zapiszczał. To był Gazson Magnut.

- Będzie pani miała gościa – powiedział, gdy odebrała.
- Kto to?
- Pan Ghreni Nohamapetan. Twierdzi, że go pani zna.
- Noż ja cię pierdolę – wykrzyknęła Kiva. – Czegóż chce ta podła kupa gówna?
- To ma chyba coś wspólnego z pani planem emigracyjnym. W każdym razie o to właśnie pytał.
- I co mu odpowiedziałeś?
- Tylko tyle, że będzie musiał omówić to z panią. Próbował kozaczyć i wymusić na mnie nadużycie stopnia, na co zacząłem mu przytaczać regulacje Wspólnoty odnośnie do handlu, aż w końcu się wkurzył i zostawił mnie w spokoju. Odwrócił się do swojej przydupaski i nakazał, żeby skombinowała mu prom, który zabierze go na *Tak, drogi panie*. Zaraz tam będzie.
- Jasne – powiedziała Kiva i się rozłączyła. – Gotowy na nieco kosmicznych przepychanek prawnych?
- Blinnikka się uśmiechnął.
- Oczywiście.
- Super. No to idziemy.

- Pani Kivo – powiedział Ghreni Nohamapetan, gdy tylko dok promu wykonał całą sekwencję i wypuścił powietrze w przestrzeń kosmiczną. – Cudownie znów cię zobaczyć.
- Doprawdy?
- Tak, jak sama zresztą wiesz. – Ghreni skinął głową kapitanowi. – Zakładam, że pan to kapitan Blinnikka.
- Tak, panie – skłonił się zagadnięty.
- Ghreni odpowiedział szybkim ukłonem, po czym skupił się na Kivie.
- Powinniśmy porozmawiać na osobności.
- O czym?
- O twoim zbijaniu pieniędzy na uchodźcach.
- Nie ma o czym rozmawiać.
- Księżę jest innego zdania.
- Kapitanie – zwróciła się do swojego oficera Kiva.
- Panie Ghreni, wspólnotowe prawo dosyć jasno wyraża się o prawach uchodźców w czasie wojny, jak również statków mających niezagospodarowaną przestrzeń i ich załóg do oferowania im pomocy. W rzeczy samej jest to jedno z najważniejszych praw Wspólnoty, sformułowane przez Prorokinię we własnej osobie.
- Ghreni uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– To niezwykle wzruszające, kapitanie, choć ten odruch serca nieco psuje fakt, że liczyście sobie pół miliona marek od osoby za wpuszczenie na pokład.

– W zasadzie rozmawiałam właśnie z kapitanem o ratowaniu tych mniej zasobnych – powiedziała Kiva.

– Ty? – zapytał Ghreni z niedowierzaniem.

– Po pierwsze, pierdol się, po drugie, tak – Kiva spojrzała na Blinnikę. – Prawda, kapitanie?

– Owszem, temat przewinął się w rozmowie.

– I pewnie zaraz mi powiecie, że kasujecie po pół miliona od głowy za opuszczenie Kresu, żeby pokryć koszty zabrania ze sobą również tych biednych, których smutny los niezwykle was poruszył.

– Możliwe. Przypuszczam, że trudno ci w to uwierzyć, Ghreni. No ale z drugiej strony zawsze był z ciebie kawał protekcyjnego chuja.

– Swego czasu postrzegałaś to jako ujmującą cechę, pani Kivo. – Ghreni zwrócił się do kapitana. – Niezależnie od praw mówiących o uchodźcach macie zapewne świadomość, że Kres ma szczególny status w ramach Wspólnoty. Wielu spośród przebywających tu ludzi nie może po prostu stąd odlecieć. Są na tej planecie z określonych powodów.

– Nasz ochmistrz doskonale wie o wyjątkowym charakterze Kresu i niektórych z jego obywateli – powiedział Blinnikka. – Na pewno nie zabierzemy z planety nikogo, kto nie ma pozwolenia na jej opuszczanie.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli gruntownie to sprawdzimy?

– Oczywiście, że nie – odparł Blinnikka. – Jestem pewien, że tutejszy imperialny urząd celny dostarczy wam wszelkich informacji, jakich tylko zapagniecie.

– Księżę wolałby bezpośrednio przejrzeć waszą listę pasażerów.

Blinnikka potrząsnął głową.

– Pan wybaczy, ale wspólnotowe regulacje mówią, że taką informację można uzyskać jedynie z urzędu celnego, nie zaś bezpośrednio ze statku.

– Z pewnością możecie to zrobić dla księcia w ramach grzeczności.

– Czy ty prosisz mojego kapitana, aby zrobił coś wbrew literze prawa Wspólnoty? – zapytała Kiva.

– Interesy księcia i prawo wspólnotowe w znaczącym stopniu się zająbiają.

– Jak mi to zajebiecie jasno uświadomiliście, nakładając razem ze swoim księciem embargo na mój towar. Jednak tutaj nic takiego nie zachodzi, prawda, kapitanie?

– Nie, pani – potwierdził Blinnikka.

– Cóż, zatem... – Kiva niewzruszenie spojrzała na Ghreniego.

– Skoro już tu jestem, chciałbym obejrzeć jakąś część statku – odparł po chwili.

– Zachciało ci się pieprzonej wycieczki? – spytała Kiva.

– Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Taaa, bo na trzy dni przed odlotem nie mamy lepszych rzeczy do roboty niż dogadanie twoim zachciankom.

– A więc nie masz.

– Wygląda na to, że z twojej strony to subtelna próba, żeby jednak porozmawiać ze mną na osobności, tak?

Ghreni rozłożył ręce, jak gdyby mówiąc „I tu mnie masz”. Kiva skinęła głową i zwróciła się do Blinnikki.

– Zabieram go na poziom produkcyjny. Jeśli będę cię potrzebowała, żebyś znów zacytował imperialne prawo, to zadzwonię.

Kapitan lekko się uklonił, po czym odszedł.

– Chodź, miejmy to już za sobą – powiedziała Kiva i dała Ghreniemu znak, żeby szedł za nią.

Dok promu znajdował się na rufie głównego kadłuba *Tak, drogi panie*. Kadłub wyglądał jak długa, podzielona na segmenty igła, od której odstawały dwa osobne pierścienie, gdzie znajdowały się między innymi moduły uprawowe i przetwórcze. Każdy z nich rotował, zapewniając bazowo 0,5 standardowego G, zaś pola dociskowe wyciągały efektywną grawitację do poziomu 1 G. W poszczególnych modułach i obszarach można było zastosować indywidualny poziom tego współczynnika na potrzeby produkcyjne i inne, o czym Ghreni przekonał się, gdy tylko weszli do modułu uprawowego.

– Trochę tu podskakuję.

Kiva przytaknęła.

– Haverfruty najlepiej rosną przy 0,8 G, dlatego tak są wyregulowane te moduły.

– Na Kresie mamy nieco ponad 1 G. Mieliście zamiar powiedzieć o tym ludziom, którym chcieliście sprzedać licencje?

– To nie tak, że przy innej grawitacji nie będą rosły wcale – powiedział Kiva. – Urosną całkiem nieźle. No i będą je uprawiać w prawdziwych sadach haverfrutowych, a nie na instalacjach hydroponicznych, jak my tutaj. – Wskazała stojaki uprawowe, na których gęsto poustawiano lampy i owoce wyrastające z pożywki. – Jeśli na Kresie jest cokolwiek, to tym czymś jest areał uprawny. Teraz to oczywiście bez znaczenia, a to dzięki w dupę jebanemu księciu.

– Uczciwie rzecz ujmując, ród Lagos sprowadził na planetę wirusa, który wyniszczył kluczowe dla planety uprawy.

– Uczciwie rzecz ujmując, możesz iść się pierdolić, bo nie mieliśmy z tym nic wspólnego i dobrze o tym wiesz.

– Brakowało mi cię, Kivo. Ciebie i tego precudnego sposobu, w jaki wypowiadasz słowo „pierdolić”.

– Wcale nie, ale i tak dzięki.

– No więc, co poczniesz z tym wszystkim? – Ghreni wskazał na haverfruty.

– Chodź ze mną do kolejnego modułu, a się przekonasz.

Kolejna sekcja w pierścieniu stanowiła moduł przetwórczy, dla lepszej efektywności ustawiony na 1,1 G.

– Wyciskacie z nich sok – stwierdził Ghreni, przyglądając się.

Kiva skinęła głową.

– Wyciskamy sok, robimy koncentrat, z resztek z kolei przecier. Tego typu gówna. Bezpośrednio nie za dużo jesteśmy w stanie z nimi zrobić. Nie ma sensu konkurować z naszymi koncesjownikami. Myśleliśmy o tym, ale tylko byśmy ich wkurzyli. Gdy wrócimy na Hub, zobaczymy, czy uda się je sprzedać imperialnemu rządowi jako nadwyżkę. Rozdadzą to jako część zapomogi żywnościowej dla biednych rodzin czy coś w tym guście, a rodzina Lagos otrzyma ulgi podatkowe.

– Czyli chcesz powiedzieć, że rejs zakończy się całkiem znośnie.

– To bardzo wątpliwe. Jeśli rząd nie łyknie tego i nie pchnie całego gówna w program pomocy żywnościowej, to w tym temacie jesteśmy po uszy w szambie.

– Jestem pewien, że księgowi Lagosów są wystarczająco sprytni, żeby gdzieś upchnąć tę stratę. Jeśli połączyć to z haraczem, jaki zdzieracie z ludzi usiłujących opuścić Kres, może nawet uda wam się wyjść z tego z zyskiem.

– Mówisz to tak, jakby to było coś złego.

– Absolutnie nie. Czymże byłyby rodowe gildie, gdyby nie zarabiały? Taki jest cel ich istnienia. Twój cel. Mój cel.

– Właściwie to nie doszedłeś jeszcze do tego, jakie są twoje cele – powiedziała Kiva.

– No to posłuchaj, Kivo: ksiązę jest zaniepokojony pewnymi ludźmi, których mogłabyś zabrać z planety.

– No dobra, i co z tego?

– Niektórymi z tych ludzi ksiązę się interesuje, z rozmaitych powodów.

– I tu znowu zapytam: co z tego?

– To z tego, że jeśli pewni ludzie spróbują wykupić u ciebie wejście na pokład, ksiązę chciałby o tym wiedzieć.

Kiva się roześmiała.

– Chyba sobie, kurwa, żarty stroisz, Ghreni. To ksiązę stanowi powód, dla którego muszę się chytać robienia przecierów owocowych i zabierania bogatych dupków na statek.

– Ksiązę prosi cię o przysługę, jak jeden szlachcic drugiego.

– Ksiązę może się wyruchać w dupsko naładowaną śrutówką.

Ghreni skinął głową.

– Pomyślałem, że możesz powiedzieć coś w tym rodzaju, więc zostałem upoważniony, aby zaproponować ci łapówkę.

– Za co?

– Za poinformowanie nas, jeśli określeni ludzie spróbują zapewnić sobie wejście na twój

statek. No i powiedzenie nam w takim wypadku, gdzie możemy ich znaleźć.

– Za wejście na statek żądam niemało pieniędzy – zaznaczyła Kiva.

– Książę jest gotów wyrównać ci tę stratę w ramach nagrody.

– Wyrównać? Ja pierdołę! Jeśli chce mojej współpracy, to cena zaczyna się od dwóch milionów marek za osobę.

– Czy nie wydaje ci się, że to trochę zbyt wygórowane żądanie?

– Książę wyruchał mnie na przynajmniej sześćdziesiąt milionów marek, tak więc nie, *nie* wydaje mi się, żebym żądała za dużo.

– Milion marek za osobę.

– Popatrz na siebie, Ghreni. Zachowujesz się, jakbym faktycznie czegoś od ciebie potrzebowała.

– Książę mógłby sprawić, że wasz odlot okaże się niełatwy.

– Czyżby zamierzał aresztować mojego kapitana, tak jak to zrobił na *Mów do mnie jeszcze?*

– Słyszałaś o tym.

– Kosmos jest taki mały... Jesteśmy już po odprawie, Ghreni. Nasz odlot został zatwierdzony. Książę z kolei ma ręce pełne roboty, usiłując utrzymać się na tronie i nie zostać zabitym.

– Półtora miliona marek od osoby.

– Dwa i pół miliona marek, i od tej pory cena idzie w górę za każdym razem, gdy spróbujesz ją negocjować.

– Książę nie produkuje pieniędzy.

– Może po prostu *pożyczy część* moich, które sobie przywłaszczył, skurwysyn.

– To w sumie nie taki zły pomysł.

– Pierdol się. Teraz to już będzie trzy miliony, a to tylko dlatego, że zaczynasz mnie wkurzać.

Ghreni uniósł ręce w pojednawczym geście.

– Kiva, przestań. Mamy umowę.

– Trzy miliony za osobę.

– Tak.

– Wpłacisz dziesięć milionów w depozyt *już teraz*, żebym wiedziała, że mnie nie wydymasz.

– Zrobię to minutę po tym, jak dostanę się z powrotem na stację imperialną.

– Kogo właściwie szukacie?

– Hrabiego Claremont albo któregoś z dwójki jego dzieci.

– Dzieciaków?

– Nie. Oboje mają jakieś trzydzieści standardowych lat. To bliźniaki. Mężczyzna i kobieta.

- Po co wam oni?
 - Powiem ci za trzy miliony marek.
 - Nie bądź dupkiem.
 - To nieważne. Ważne jest za to, byśmy wiedzieli, jeśli któryś z nich spróbuje opuścić planetę.
 - No dobra, a jeśli któryś z nich się z nami skontaktuje, to co?
 - Wtedy ty skontaktujesz się ze mną, a my wkroczymy i zabierzemy ich ze stacji imperialnej tuż przed tym, zanim spróbują wejść na pokład *Tak, drogi panie*.
 - A więc zajmiecie się całą resztą?
 - Tak.
 - Zamierzacie ich zepchnąć do studni czy coś w tym guście?
 - Myślę, że nie musisz się tym martwić.
 - Może i jestem francuzem, Ghreni, ale nie mam zamiaru przyczynić się do morderstwa.
 - Nie planujemy nikogo zabijać. Po prostu nie chcemy, żeby stąd odlecieli.
 - Ktoś jeszcze? To znaczy, jeśli jest dla was wart trzy miliony.
 - Nie, ale podziwiam elastyczność podstaw twojej moralności.
 - Sam to powiedziałeś: kimże jesteśmy, jeśli nie robimy pieniędzy?
- Gdy tylko Ghreni opuścił pokład *Tak, drogi panie*, Kiva zadzwoniła do Gazsona Magnuta.
- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.
 - Mamy obecnie masę rzeczy do zrobienia, proszę pani.
- Kiva wiedziała, że ta odpowiedź tak blisko ocierała się o „odpierdol się, jestem zajęty”, jak tylko ochmistrz mógł sobie pozwolić.
- Tak, wiem, ale to jedna z tych rzeczy, które muszą zostać zrobione.
 - Co to takiego?
 - Chcę, żebyś kogoś dyskretnie sprawdził. Mam na myśli *naprawdę* dyskretnie, a nie tak sobie tylko mówię. Muszę wiedzieć, kim jest hrabia Claremont i czego chce od niego nasza księżna. Tak samo od dzieci hrabiego.
 - Tak, pani Kivo. Na kiedy to jest potrzebne?
 - Godzinę temu byłoby super.
 - Zrozumiałem.
 - Kiedy ty będziesz się zajmował tą sprawą, skombinuj kogoś, kto będzie w stanie mi powiedzieć, co u diabła na tej planecie robi Ghreni Nohamapetan i jakie są jego relacje z księciem.
 - Już wiemy, że jest doradcą.
 - Pewnie, i to samo wiedziałam wcześniej, kiedy w ciągu ostatnich trzech dni jego dupsko dwa razy wkraczało mi w drogę wszędzie tam, gdzie chodziło o księcia. Może ty postrzegasz to jako przypadek, ale ja nie.
 - Ramy czasowe takie same, proszę pani?

– Tak.

– To będzie wymagało pieniędzy.

– To je wydaj.

– Ile?

– Ile będzie trzeba. Dopisz je do rachunku za wejście na pokład następnej osoby, która zechce się z nami zabrać.

– Tak, proszę pani.

Kiva się rozłączyła i użyła tabletu, aby uzyskać dostęp do zewnętrznych kamer *Tak, drogi panie*, tych zaraz obok doku. Prom Ghreniego Nohamapetana właśnie odlatywał w kierunku stacji imperialnej.

– Co ty kombinujesz, sukinsynu? – zapytała Kiva na głos, choć pytanie kierowała do samej siebie. – I co kombinuje twoja rodzinka? – dodała, bo cokolwiek majstrował Ghreni, stanowiło to tylko część większego planu Nohamapetanów. A cokolwiek kombinowały te dupki, na pewno nie było to nic dobrego dla całej reszty, wliczając w to ród Lagos. I imperialny ród Wu, skoro już o tym mowa. I, przyszło jej do głowy, Wspólnotę jako całość.

Kiva zerknęła na prom, będący teraz zaledwie małą kropką, i zastanawiała się, czy nie powinna najzwyczajniej kazać systemom obronnym *Tak, drogi panie* wystrzelić w jego kierunku pocisk. Tak, trzeba by się było potem tłumaczyć. Tak, *technicznie* rzecz biorąc, to byłoby morderstwo. Tak, zapewne stanowiłoby to początek wojny między rodami Lagos i Nohamapetan, którą jej rodzina, przy całej swej sile, w dłuższej perspektywie pewnie by przegrała.

Z drugiej strony, w tym konkretnym momencie, coś takiego sprawiłoby, że Kiva poczułaby się *naprawdę dobrze*.

Niechętnie odłożyła tablet i postanowiła, że inaczej zagospodaruje sobie czas. Była to decyzja, której, jak sama przyznała, przyszło jej później żałować.

ROZDZIAŁ 6

Szaty koronacyjne były ciężkie, olejek do namaszczenia miał zapach, jakby zjełczał już dobre sto lat temu, korona opadła i uwierała Cardenię w czoło. Pociła się w tym wszystkim, a ceremonia liturgii ciągnął się niemal przez godzinę. Na domiar złego ostatniej nocy zaczął jej się okres i miała skurcze, jakby ktoś żelazną rękawicą złapał jej macicę i mocno ścisnął.

Tak, dzień koronacji mijał świetnie imperoksa Grayland II. Miło, że pytaacie.

Katedra Xi'an (w zasadzie *jej* katedra, bo oprócz władzy imperoksa była też głową Kościoła Wspólnoty, formalnie kardynałem Xi'an i Hubu, więc musiała mieć własną katedrę) stanowiła ogromną przestrzeń, wzniesioną z kamienia i szkła w stylu wczesnowspółnotowym. Cardenia rozmyślała o masywnej, kamiennej konstrukcji, kompletnie niepasującej do stacji kosmicznej, w którą była wbudowana, ale nie za długo, bo w zasadzie harmonia Xi'an jako całości, ze wzgórzami, strumieniami oraz lasami i stojącymi zaraz obok budynkami administracyjnymi, korytarzami mieszkalnymi, a także handlem, pomysłowo ukrytym, aby uniknąć wrażenia zatłoczenia, przyprawiła ją o spazmy wesołości.

W ławkach katedry Xi'an mogły się pomieścić tysiące ludzi, a tego dnia były one szczelnie wypełnione. Przedstawiciele wszystkich współzależnych państw, rodowe gildie, celebryci i kler wspólnotowego Kościoła przyglądali się, zapewne z nabożnym szacunkiem, jak arcybiskup Gunda Korbijn brnie przez kolejne etapy liturgii. W pewnym momencie Cardenia zauważyła, że ma ona słuchawkę w lewym uchu, co oznaczało, że nawet taki dostojnik kościelny nie był w stanie poprowadzić całej ceremonii z pamięci. To przyniosło Cardenii niejaką ulgę i sprawiło, że wszystko zaczęło się wydawać bardziej ludzkie.

Ona sama nie miała w uchu słuchawki, ale jej rola w całym wydarzeniu była dziwnie ograniczona: sprowadzała się do chodzenia i siedzenia. Przeszła uroczystym krokiem przez nawę główną katedry Xi'an w stosunkowo prostym ubiorze, w którym dominowała imperialna zieleń, po czym zatrzymała się w transepcie, czekając, aż Korbijn zwróci się do niej z wstępnymi modłami i kazaniem, a następnie zaprosi Cardenię, czy raczej Grayland II, aby dołączyła do niej w prezbiterium. Klęcznik ustawiono pośrodku, na mozaice przedstawiającej imperialną pieczęć. Cardenia uklękła, skłoniła głowę i czekała, aż Korbijn i jej pomocnicy przyniosą mnóstwo różnych rzeczy.

Najpierw był wspomniany już olejek, od którego zapachu omal się nie udławiła. Potem szkarłatna, ceremonialna szata i złoty łańcuch z medalionem. Łańcuch stanowił symbol Kościoła Wspólnoty, zaś na medalionie widniał feniks – osobisty symbol prorokini. Tym samym została ogłoszona kardynałem Xi'an i Hubu, a co za tym idzie głową Kościoła.

Później podano jej mniejszy, złoty łańcuszek, na którym wisiał klucz symbolizujący

prawo wstępu do pomieszczeń parlamentu, który znajdował się po przeciwnej stronie Xi'an od imperialnego pałacu. Miało to symbolizować (w teorii, nawet jeśli nie zawsze w praktyce) jego niezależność od imperoksa. Tej niezależności przeczył nieco fakt, że władca zawsze był deputowanym z Xi'an. Pozycję tę uważano za ceremonialną i honorową, ale w zasadzie wiązały się z nią takie same uprawnienia w kwestii głosowania jak w przypadku każdego innego członka parlamentu. Tradycyjnie imperoks wstrzymywał się od głosowania nad każdym prawem, nawet takim, o którym powszechnie było wiadomo, że je popiera (jeśli jakaś ustawa mu się nie podobała, mógł ją po prostu zawetować). Jednak każdy imperoks raz na jakiś czas decydował się zagłosować, ku zgorszeniu szeregowych parlamentarzystów.

Po kluczu otrzymała sygnet, rozmiarami przywodzący na myśl mały kamień, który symbolizował objęcie przez Cardenię roli matriarchini rodu Wu. Formalnie pozycja ta oraz funkcja imperoksa były odrębne. Choć z jej rodziny wywodziła się imperialna dynastia, była to zarazem rodowa gildia, mająca monopol na polu budowy statków kosmicznych oraz broni i wojska. Można łatwo dojść do wniosku, że ród Wu stał się rodziną panującą właśnie z powodu tych, a nie innych monopolii. Będąc imperoksem, Cardenia nie miała się aktywnie angażować w codzienne prowadzenie działalności związanej ze wspomnianymi monopoliami. Tą pozostawiono w rękach licznych kuzynów, którzy oburzyliby się na wszelką jej ingerencję w te sprawy. Jak by jednak nie było, Cardenia pozostawała członkiem rodziny Wu i nosiła rodowy sygnet na lewej dłoni, pozostawiając prawą dla pierścienia imperialnego.

Jako następny podano jej właśnie ten pierścień, jeszcze większy od poprzedniego, a wraz z nim ceremonialne berło, na którego czubku znajdował się szmaragd wielkości pięści. Oprócz tego włożono jej na głowę koronę wysadzaną rubinami, diamentami i szmaragdami, które symbolizowały Kościół, parlament i imperialny ród. Była ciężka jak diabli i prawie natychmiast zaczęła uwierać Cardenię. Berło, korona i sygnet czyniły ją również królową Hubu i Narodów Powiązanych, co stanowiło pomniejszy tytuł. Poza tym Cardenia posiadała tytuły książąt i earłów oraz kilka baronii rozsianych po rozmaitych państwach wspólnotowych, z którymi bezpośrednio nigdy się nawet nie zetknie.

Na każdym z etapów Korbijn mówiła coś uroczyście. Nakładając daną rzecz na Cardenię, mówiła coś ponownie, czasem po danym kroku znów mówiła, a później następowała modlitwa lub krótkie kazanie, albo jedno i drugie. Po którymś z początkowych etapów Cardenia, spocona i obolała od skurczy, zaczęła się modlić, aby udało się jej dopełnić całego tego ceremoniału.

Korbijn obróciła się i spojrzała prosto na Cardenię. Teraz, nareszcie, poproszono ją, aby zrobiła coś innego niż klęczenie.

– Powstań Grayland II, imperoksie Świętego Imperium Wspólnoty Państw i Gildii Kupieckich, królowo Hubu i Narodów Powiązanych, głowo Kościoła Wspólnoty,

sukcesorko Ziemi i matko wszystkich, osiemdziesiąta ósma imperoksa z rodu Wu, i rozpocznij panowanie – ogłosiła Korbijn, po czym stanęła z boku.

Cardenia głęboko odetchnęła i wstała, przez chwilę używając berła, aby złapać równowagę. Był to pierwszy i zapewne ostatni raz, kiedy miało ono jakieś praktyczne zastosowanie. Po zakończeniu ceremonii wszystkie insygnia koronacyjne miały (na szczęście) zostać z niej zdjęte, a następnie umieszczone z powrotem w odpowiedniej komnacie, aby tam czekać na kolejną koronację kolejnego imperoksa, ktokolwiek miał się nim okazać. Teraz jednak jej ciążyły.

„To wcale nie ma wymiaru symbolicznego”, próbowała przekonać samą siebie.

Odwróciła się, by spojrzeć na zgromadzenie szlachciców, dostojników i reprezentantów. Członkowie komitetu wykonawczego, z wyjątkiem Korbijn, siedzieli w pierwszym rzędzie ławek. Za nimi zasiadali przedstawiciele rodu Wu. Wśród nich był jej wuj Brendan Patrick, wyglądający na kogoś kompletnie nie na swoim miejscu, a także kuzyni Moira i Justin, którzy reprezentowali jej matkę. Hannah Patrick miała się dowiedzieć o wstąpieniu córki na tron dopiero za parę tygodni, wraz z wiadomością, że została baronową Tacuarembó, co stanowiło reprezentacyjny tytuł zarządcy jednej z prywatnych włości imperoksa. Tytuł ten zapewne jednocześnie zirytuje i rozbawi jej matkę.

Kilka rzędów dalej siedziała Naffa Dolg razem ze swoją republikańską rodziną. Cardenia czuła się poruszona faktem, że mimo ogólnego sprzeciwu wobec władzy imperialnej przybyli tu, aby wesprzeć zarówno ją, jak i swoją córkę. Pomiedzy rzędem Naffy a najbliższymi ławkami, któreapełniali członkowie rodu Wu, siedzieli patriarchowie i matriarchinie rozmaitych gildii rodowych – wszyscy szlachetnie urodzeni.

W trzecim rzędzie zasiadali Amit i Nadashe Nohamapetan. Oboje nie odrywali oczu od Cardenii, gapiąc się na nią, jakby była długoterminowym projektem. Albo połciem mięsa.

„Albo jednym i drugim”, pomyślała Cardenia.

Za jej plecami arcybiskup Korbijn odchrząknęła po cichu, dając znak „no, dalej”.

– Ja, Cardenia Wu-Patrick, na mocy przysługujących mi praw, obejmując stery Kościoła i państwa, zostaję Grayland II, imperoksem, królową, głową Kościoła, sukcesorką Ziemi i matką wszystkich. Niechaj zasady Wspólnoty ustanowione przez prorokinię przyniosą wszystkim pokój i dobrobyt.

– Niech żyje imperoks! – rozbrzmiała odpowiedź od pierwszych ław aż po krokwie sufitu, a po niej nastąpiły entuzjastyczne wiwaty, którymi Cardenia cieszyła się mimo zalewających ją potów i bolesnych skurczy.

Rozbrzmiała muzyka. „Marsz prorokini” napisany przez Higeliaca w trzecim stuleciu ZW, huknął w wykonaniu orkiestry kameralnej, przemyślnie ukrytej w jednej z wnęk transeptu, żeby w katedrze dało się pomieścić więcej ławek. Aby tak zamkniętych muzyków było wyraźnie słyhać, konieczne okazały się głośniki. Obecni na koronacji wstali, nadal wiwatując, a Grayland II postawiła swe pierwsze kroki, idąc przez prezbiterium, nawę

główną i szybko bocznym korytarzem, gdzie czekali już asystenci, aby odeskortować ją do małego biura i tam zabrać od niej koronę, berło i pozostałe bzdety, a tymczasem imperialni gwardziści stanęli przy drzwiach.

– Chyba poszło dobrze, wasza wysokość – powiedziała Naffa do Cardenii, która uniosła wzrok, zakłopotana, bo właśnie ją rozbierano.

– Przed chwilą widziałam cię wśród publiczności.

– To pewnie dlatego, że tam właśnie byłam.

– Ale jak udało ci się tu dotrzeć tak szybko?

– Taką mam pracę – odparła Naffa i nagle w jej rękach pojawiła się podkładka do pisania.

– Jak się masz?

– Powiedz, że nigdy więcej nie będę musiała tego robić.

– Niezmiernie rzadko zdarza się, by imperoks miał dwie ceremonie koronacyjne, więc tak, nie będziesz.

– A teraz powiedz, że mogę już iść do domu.

– Jako imperoks jesteś właścicielem całego Xi'an, więc jeśli podejść do tego czysto technicznie, jesteś w domu.

– Jest w tej myśli coś przerażającego.

– Jeśli jednak mówimy bardziej prozaicznie, to nie możesz jeszcze iść do domu. W ciągu następnych dziesięciu minut musisz się przebrać w formalny uniform, który Dochae właśnie ci prezentuje... – Naffa skinęła głową w kierunku asystentki, która faktycznie trzymała przygotowany bardzo formalny strój – ... a następnie pójść na balkon, aby zaprezentować się i pomachać tysiącom ludzi, którzy w tym momencie trują trawnik przed katedrą, mając nadzieję, że cię zobaczą. Zabawisz tam trzy do pięciu minut, a potem wrócimy do pałacu, gdzie przez godzinę będziesz udzielać pięciominutowych audiencji z minutową przerwą między nimi, a przez następną godzinę dziesięciominutowych audiencji z dwoma minutami przerwy. Po ich zakończeniu musisz dotrzeć na przyjęcie uświetniające koronację, gdzie wygłosisz krótkie przemówienie... – w tym momencie Cardenia jęknęła – ... które już zdążyłam dla ciebie przygotować, choć nikt nie będzie go słuchał, bo nie ma ono absolutnie żadnych konkretnych następstw. Potem, przez pozostałą część przyjęcia, będziesz przyjmowała całe sznury gości, wymieniała uściski dłoni i robiła sobie zdjęcia oraz filmy ze wszystkimi, co, jak się spodziewam, będzie dokładnie takim piekłem, jakie właśnie sobie wyobrazasz. Dopiero wtedy i tylko wtedy będziesz mogła się zrelaksować i coś zjeść, więc w czasie gdy Dochae będzie ci pomagała włożyć uniform, sugeruję, abyś zjadła batoniki proteinowe, które dla ciebie przygotowała. No i może wypij trochę wody.

– Gdzie mogę sobie ulżyć?

– Jest tu toaleta. Drzwi po twojej lewej. Uprowadzając pytanie, jest tam wszystko, czego w tym momencie potrzebujesz.

– Dziękuję. Miło jest wiedzieć, że ktoś pamięta, że tak naprawdę jestem człowiekiem.

– Oczywiście. Nie musisz się spieszyć, pod warunkiem że wyrobisz się w minutę.

Cardenia znów jęknęła i ruszyła w kierunku toalety.

Siedem minut później strój koronacyjny był spakowany, a strój pokoronacyjny włożony i zaskakująco wygodny. W windzie Cardenia została otoczona przez falangę gwardzistów i ruszyła w górę, na taras widokowy katedry, gdzie czekał już na nią balkon prezentacyjny. Cardenia rozejrzała się dookoła i uświadomiła sobie, że poza samym pałacem pewnie nigdy już nie znajdzie się sama w windzie. Kiedy się zatrzymała, a drzwi zostały otwarte, za nimi znów zobaczyła Naffę stojącą przed wnęką stanowiącą wspomniany balkon.

– Musisz przestać to robić – powiedziała Cardenia. – Zaczynam się ciebie bać.

– Spokojnie. Wjechałam windą po drugiej stronie. Tamta też ma gwardzistów.

– Witaj w moim świecie.

– Trochę już w nim pobylam. Mam nadzieję, że zauważyłaś.

Cardenia się roześmiała. Postawiła krok, aby wyjść z windy, po czym została wepchnięta do niej z powrotem, bo balkon eksplodował. Straciła przytomność jeszcze zanim jej ciało uderzyło o tylną ścianę windy.

– Istnieje bardzo realna możliwość, że prądy Nurtu, które łączą Wspólnotę, zanikną w czasie twojego panowania – powiedział we śnie do Cardenii jej ojciec Attavio VI, a raczej jego komputerowa projekcja.

Miała świadomość, że śni, i zdawała sobie sprawę, że sen odwzorowywał jej pierwszą wizytę w Pokoju Pamięci. Nie wiedziała tylko, jak i kiedy zapadła w sen, ale ta część jej mózgu, która zachowała dość przytomności, aby jej powiedzieć, że jest we śnie, równocześnie nie chciała, by Cardenia zbyt wiele o tym myślała. „Mów tak jak wtedy. To bezpieczne” – zdawał się mówić ten element mózgu. Tak też zrobiła, wypowiadając swoją kwestię ponownie, tak jakby czytała scenariusz.

– Jak to się stanie? – zapytała.

– Nie jestem naukowcem – odparł Attavio VI – ale jest nim hrabia Claremont. Przez trzydzieści lat zbierał dane na ten temat. Od czasu do czasu przysyłał mi uaktualnienia. To, co zebrał, wskazuje, że stabilność Nurtu to iluzja i jeśli spojrzeć na niego z perspektywy dostatecznie długiego czasu, wszystko ulega przesunięciu, a my właśnie wkraczamy w okres przesunięć. Claremont twierdzi, że to już się powoli dzieje, ale wkrótce zacznie nabierać szybszego tempa. Tak już bywało.

– Tak jak ze strumieniem do Dalasýsli. Kiedy pierwsza Grayland była imperoksem.

Attavio VI skinął głową.

– Tak. Dostała informacje na ten temat, podobnie jak ja. Informacje, do których teraz ty będziesz miała dostęp.

– Miała dane, więc dlaczego nie podjęła w oparciu o nie działań? Skoro wiedziała, że prąd do Dalasýsli wkrótce się rozpadnie, dlaczego nic z tym nie zrobiła?

– Mógłbym ci powiedzieć, ale możesz spytać ją o to sama.

Cardenia zamrugła.

– Ona tu jest?

– Oczywiście.

– Zaginęła w Nurcie. Myślałam, że *przestała istnieć*.

– Została zaktualizowana przed ostatnią podróżą. Z wyjątkiem tych kilku ostatnich dni wszystko znajduje się tutaj.

Zaskoczyło to Cardenię. Z jednej strony miało to sens. Z drugiej zaś idea osoby, która jest... *niekompletna*, była dziwna.

– Jiyi, pokaż mi imperoks Grayland I.

Zamigotało i pojawiła się wysoka, dość postawna kobieta, która podeszła do Cardenii.

– Jesteś imperoks Grayland I? – zapytała Cardenia.

– Tak.

– Wiesz... co cię spotkało? Jak zginęłaś?

– Tak, posiadam taką informację.

– Jak się z tym czujesz? – chciała wiedzieć Cardenia.

– Nic nie czuję. Jestem komputerową symulacją określonej osoby. Lecz na ile mogę stwierdzić w oparciu o posiadane informacje, przypuszczam, że prawdziwa imperoks Grayland I była solidnie wkurzona z tego powodu.

Te słowa wywołały u Cardenii uśmiech. Zaraz potem jednak wróciła do sedna sprawy.

– Wiedziałaś, że prąd Nurtu do Dalasýsli się rozpada.

– Tak, przedstawiono mi przygotowane przez naukowców modele, które wskazywały, że prądowi grozi rozpad. Biorąc pod uwagę dostępne dane i mój poziom ich zrozumienia, pomyślałam, że to prawdopodobne.

– Jednak nie ewakuowałaś systemu Dalasýsli.

– Nie.

– Dlaczego?

– Polityka – odparła Grayland. – Ewakuacja dwudziestu milionów ludzi, którzy zamieszkiwali w systemie gwiazdnym Dalasýsli, wymagała planowania na ogromną skalę i pieniędzy, które Wspólnota musiałaby na nią wydać. Nie było w tym kierunku woli politycznej.

– Parlament nie chciał uratować życia dwudziestu milionów ludzi?

– Reprezentanci nie postrzegali tego jako kwestię ratowania czyjegoś życia. Uważali, że ktoś, w kim widzieli słabego imperoksa, próbuje wykorzystać kryzys, aby osłabić władzę parlamentu, co zachwiałoby równowagę. Dopatrywali się w tym również zagrożenia dla handlu i ekonomii, bowiem do ewakuacji trzeba by zaangażować wielką liczbę statków, na

dodatek za ogromne pieniądze.

– A co z danymi pokazującymi, że istnieje możliwość rozpadu?

– Parlament powołał komisję, w której skład weszli inni fizycy zajmujący się Nurtem. Zaczęli oni szukać luk w odkryciu, wywołując wystarczająco dużo wątpliwości, by podkopać wszelką polityczną wolę, żeby cokolwiek zrobić. Nawet przedstawiciele z samej Dalasýsli głosowali przeciwko mojej rekomendacji, aby rozpocząć ewakuację. Ostatecznie wszystko, co udało się przepchnąć przez parlament, to zalecenie prowadzenia dalszych badań. Jednak z imperialnego budżetu nie przekazano żadnych funduszy, toteż na zaleceniu się skończyło.

– Więc...

„Więc nie zrobiłaś nic” – miała powiedzieć Cardenia, ale powstrzymała się, bo byłoby to nieuprzejme i sprawiłoby, że Grayland natychmiast przyjęłaby postawę obronną. I wtedy przypomniała sobie, że rozmawia z komputerem, który nie ma uczuć.

– Więc nie zrobiłaś nic – dokończyła na głos.

– Wysłałam tamtejszej księżnej doradcę oraz nakazałam wojsku i miejscowym urzędnikom imperialnym, aby w trybie przyspieszonym pomagano wszystkim Dalasýsłanom, którzy chcieliby stamtąd odlecieć.

– I pomagano?

– Nie wiemy. Prąd rozpadł się niemal natychmiast po tym, jak wysłałam doradcę.

– Tak więc dwadzieścia milionów ludzi zginęło z powodu polityki i biurokracji.

– Tak. Oczywiście nie od razu. Jednak naturą Wspólnoty, zresztą zamierzoną, jest to, że każdy z systemów gwiazdnych jest zależny od pozostałych w kwestii najpotrzebniejszych zasobów. Jeśli usunąć jeden z tych systemów i rządzący nim ród wraz z jego monopolem, dziesiątki innych i tak przetrwają. Tyle że ten jeden nie. Z czasem zaczną niedomagać. Habitaty w przestrzeni kosmicznej oraz placówki na planetach i księżycach, których nie dałoby się normalnie zasiedlić, zaczną działać coraz gorzej i znacznie trudniej będzie doprowadzić je do właściwego funkcjonowania. Farmy i fabryki produkujące żywność także będą działać coraz mniej wydajnie. Więzy społeczne zaczną się w sposób przewidywalny rozpadać, proporcjonalnie do problemów z instalacjami i zwiększania się świadomości, że ostatecznie nic nie jest w stanie ocalić ludzi w odciętych systemie. Począwszy od ustania fizycznego i społecznego funkcjonowania systemu, jakie nastąpi po rozpadzie prądu Nurtu, nieuchronnie dojdzie do śmierci wszystkich mieszkających tam ludzi.

– Jak długo to trwa?

– Kiedy doszło do zaniku prądu do Dalasýsli, nakazałam obserwatorium radioastronomicznym w systemie Kaipara, aby skierowały tam swoje radioteleskopy. Kaipara to system najbliższy Dalasýsli w przestrzeni fizycznej. Są od siebie odległe o siedemnaście lat świetlnych. Byłam martwa, zanim cokolwiek usłyszeli.

– Coś jednak usłyszeli.

– Krótko. Większość komunikacji w ramach systemu w moich czasach odbywała się poprzez skoncentrowane strumienie danych, więc trudno byłoby wyłapać je w sposób losowy. Nakazując skierowanie radioteleskopów na Dalasysłę, miałam nadzieję, że ktoś tam zachowa dość przytomności umysłu, aby skierować na Kaiparę szerokopasmowy nadajnik. Na ile się orientuję, ktoś faktycznie to zrobił dwa lata po rozpadzie i nadawał przez około miesiąc.

– Co przekazali?

– Zasadniczo: wojna domowa, morderstwa, przemoc, sabotaż systemów podtrzymujących życie i produkujących żywność, formowanie się kultów jednostki. Istnieje utajniony raport, który przygotował mój syn i następca, Bruno III.

– Utajniony? – Cardenia zwróciła się do Attavio VI. – Nadal jest tajny?

– Tak. Nie odtajniałem go – odparł ojciec.

– Dlaczego? Zwłaszcza jeśli uważasz, że Nurtowi grozi rozpad?

– Bo problemy istniejące w czasach Grayland istniały również w naszych, czy raczej powinienem powiedzieć – w moich. Parlament postrzegał jakąkolwiek większą troskę w takich kwestiach jako posunięcie polityczne, zmierzające do zmarginalizowania jego znaczenia. Nikt nie chce zakłócania handlu ani przywilejów rodowych gildii. A w tym przypadku to nie będzie tylko jeden system gwiazdny, tylko wszystkie. Nie będzie gdzie uciekać. To, co się stało na Dalasysli, nastąpi wszędzie. Nie chciałem otwierać tego worka z kłopotami do czasu, aż będę miał absolutną pewność.

Wtedy właśnie Cardenia w swoim śnie odeszła od scenariusza.

– To wszystko jakies idiotyzmy – powiedziała zarówno do Attavio VI, jak i do Grayland I.

– Przegramy, tylko jeśli nadal będziemy robić to, co robimy. Skoro wiemy, że zbliża się rozpad, musimy zreformować Wspólnotę. Trzeba skończyć z rodowymi monopolami. I pomóc każdemu z systemów przygotować się na rozpad.

– To się nie uda – odparł Attavio VI.

– Tego nie wiesz.

– Oczywiście, że wiem. Jestem imperoksem. A raczej byłem.

Cardenia zwróciła się do Grayland I.

– Widziałas rozpad. Przecież w twoich czasach musiała nastąpić jakaś reakcja.

– Zostałam zamordowana, a po krótkiej modzie na rozrywki związane z utraconym systemem Dalasysli wszyscy postanowili o tym zapomnieć. Inne prądy Nurtu wyglądały na stabilne, a myślenie o tamtej sprawie było niewygodne.

– Nikt nie chce końca Wspólnoty, nie wyłączając rodu Wu. Za dużo pieniędzy i władzy do stracenia – stwierdził Attavio VI.

– A przetrwanie ludzkości nie ma znaczenia? – z niedowierzaniem spytała Cardenia.

– Nie, jeśli oznacza ono kres Wspólnoty.

– Przetrwanie ludzkości stanowiło cel powstania Wspólnoty! – wykrzyknęła Cardenia

wprost w kierunku komputerowej symulacji swego ojca.

I właśnie w tym momencie, w jej śnie, zarówno Attavio VI, jak i Grayland I roześmiali jej się w twarz.

- Drogie dziecko, to *nigdy* nie było celem Wspólnoty – powiedział ojciec.
- Podaliśmy tylko takie jej uzasadnienie – potwierdziła Grayland I, kiwając głową.
- A zatem, co jest jej celem?! – zapytała Cardenia, nadal krzycząc.
- A czym *jest* Wspólnota?

Wtedy znów coś zamigotało i do Cardenii podeszła kolejna postać. Wiedziała, że to powinna być Rachela I, prorokini-imperoks, legendarna założycielka Wspólnoty. To miała być Rachela I, ale wyglądała jak Naffa. Ta sama Naffa, która znalazła się w zasięgu eksplozji na balkonie prezentacyjnym; Naffa, której ostatni widok, jak zostaje rozerwana przez wybuch, wyrył się w pamięci Cardenii na zawsze; Naffa, cała we krwi, która stała teraz przed Cardenią jako Rachela I, aby oświecić ją, czym Wspólnota była i jest.

- To oszustwo – powiedziała.

W tym momencie Cardenia, która, nawet śniąc, nie mogła dłużej udawać, że nie wie, co się stało, zapragnęła się obudzić – znaleźć się w łóżku, w jej własnym bardzo małym, bardzo bezpiecznym prywatnym szpitalu, w otoczeniu imperialnych przybocznych, całego szeregu lekarzy pod kierownictwem Qui Drinina oraz niewielkiego pocztu gwardzistów, z których jeden – o, właśnie ten – powie jej to, co już wiedziała: że jej przyjaciółka Naffa Dolg nie żyje.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 7

Walki w rejonie Uniwersytetu w Opolu ustały na tyle, aby Marce'owi Claremontowi udało się wrócić do swojego budynku z mieszkaniem dla absolwentów i spakować się w podróż, z której z dużym prawdopodobieństwem miał nie powrócić.

To z kolei rodziło pytanie: jeśli odlatujesz na zawsze, to co ze sobą weźmiesz?

Tę analizę w trybie pilnym ułatwiało Marce'owi kilka czynników. Jeśli chodzi o ubrania, już zdążył się spakować. W domu w Claremont miał dość ciuchów, aby nie zabierać niczego z mieszkania w Opolu. W tym względzie jedynymi rzeczami, które chciał stamtąd wziąć, było kilka koszulek do noszenia na co dzień, na których znajdowały się naniesione sitodrukiem różne inteligentne astrofizyczne myśli. Marce nie miał serca ich zostawić. Ubrania, które zapakował, w większości były neutralne, zarówno jeśli chodzi o kolory, jak i o krój. Jego ojciec podkreślał, że moda na Hubie jest tak bardzo odmienna, że i tak będzie musiał kupić nowe ciuchy.

Cała muzyka, książki, obrazy, rozrywka i większość korespondencji osobistej, które Marce nagromadził przez wszystkie te lata, znajdowały się na koderze wielkości kciuka. Tam również trzymał prawie sto tysięcy marek podręcznej gotówki, do której, przynajmniej teoretycznie, dostęp miał tylko on poprzez swoje dane biometryczne. Tak więc na wymienione rzeczy Marce nie musiał tracić zbyt wiele miejsca.

Zostawały jeszcze przedmioty o wartości sentymentalnej. Większość z nich także znajdowała się w pałacu Claremont; w końcu to tam Marce spędził większość życia, a poza tym mieszkanie w bloku dla absolwentów było niedorzecznie małe. Z rzeczy, które się w nim znajdowały, Marce wybrał cztery. Były to dwie otrzymane od ojca książki: jedną dostał na trzynaste standardowe urodziny, a drugą z okazji obrony doktoratu.

Trzecią stanowił przestarzały odtwarzacz muzyczny, który podarowała mu Vrenna. Zabrała ten staroć na koncert Green Gods i zdobyła podpisy od trzech spośród czterech członków zespołu. Odtwarzacz już nie działał, Green Gods rozpadli się wiele lat temu, zaś ich członkowie popadli w niepamięć i/lub rozpoczęli kariery solowe, idąc za wskazówkami kiepskich doradców. Niemniej przypominał mu tamten okres życia i fakt, że chociaż siostra często bywała mu wrzodem na tyłku, gdy dorastali, to czasami potrafiła zdobyć się na miły i pełen troski gest.

Ostatnią spośród tych czterech rzeczy była podniszczona pluszowa świnka o imieniu Giggy, którą na pierwsze urodziny kupiła Marce'owi matka. Vrenna z takiej samej okazji dostała pluszowego niedźwiądka nazwanego Howie, który zgubił się gdzieś wiele lat temu. Nie tak całkiem od rzeczy było podejrzenie, że siostra wystrzeliła go w powietrze przy

użyciu rakiety domowej roboty. Giggy jednak przetrwała i towarzyszyła Marce'owi przy każdej przeprowadzce. Wyobraźnia mogłaby podpowiadać, że pluszowa świnka była jedyną pamiątką, jaka mu została po nieżyjącej matce, ale tak naprawdę Marce posiadał wiele prezentów i innych rzeczy, które albo od niej dostał, albo mu ją przypominały. Giggy po prostu była jego szczęśliwym amuletem.

Marce upchnął wszystkie cztery przedmioty w małym worku, po czym przyglądał mu się przez chwilę. „Nie za dużo do zabrania, jak na kogoś, kto opuszcza swój świat” – pomyślał. Robił, co mógł, żeby nie myśleć zbyt wiele o tym, że odlatuje ze swojej planety w miejsce, gdzie nie zna nikogo i gdzie prawdopodobnie spędzi resztę życia. Strumień Nurtu prowadzący do Kresu miał utrzymać się dłużej niż ten *stamtąd*. Możliwe, że da się nim przemieszczać jeszcze przez kilka lat. Teoretycznie nie dało się wykluczyć, że Marce da radę wrócić. Tyle że było to bardzo mało prawdopodobne. Z faktem, że nigdy już nie zobaczy ojca, siostry ani żadnej innej osoby, którą znał, Marce radził sobie, myśląc o praktycznych problemach związanych z opuszczeniem planety.

A teraz przeszedł do rzeczy. Dzień wcześniej spotkał się z Gazsonem Magnutem, ochmistrem statku *Tak, drogi panie, to moje dziecko*, i załatwił sobie wejście na pokład. Nie było ono tanie. Marce uświadomił sobie, że kosztowało go więcej pieniędzy niż do tej pory wydał na wszystko inne przez całe życie. Magnut próbował sprzedać mu kilka innych rzeczy, w tym fałszywe dokumenty podrózne. Marce zauważył, że gdy powiedział, iż jego papiery są w porządku, ochmistrz był nieco rozczarowany. Kiedy już załatwił tę sprawę, musiał jeszcze tylko napisać listy: rezygnacyjny i z pożegnaniem. Wszystkie miały zostać wysłane, kiedy *Tak, drogi panie* znajdzie się już w Nurcie.

No i jeszcze to – zabranie ważnych rzeczy. Całą resztę mogli wynieść z mieszkania ludzie hrabiego Claremont.

Marce przewiesił worek przez ramię, spojrział ostatni raz na mieszkanie i stwierdził, że za nim akurat nie będzie tęsknił ani trochę. Jak niemal każde akademickie lokum, to także było łatwe do zapomnienia pod każdym możliwym względem. Następnie ruszył schodami w dół i wyszedł z budynku. Zaczął iść ulicą, która była prawie pusta, nie licząc kilku ludzi daleko przed nim oraz furgonetki. Kiedy samochód podjechał do Marce'a i jego drzwi się otworzyły, okazało się, że w środku jest kilku naprawdę dużych facetów.

Furgonetka znów ruszyła, już z Marce'em w środku, bo naprawdę duzi faceci wyskoczyli i zaciągnęli go do środka, zanim uświadomił sobie, co się dzieje. Worek ze wszystkimi przedmiotami o sentymentalnej wartości został na chodniku, bo tak to czasami jest, kiedy zostajesz porwany.

Ghreni Nohamapetan uśmiechnął się na widok syna hrabiego Claremonta znajdującego się

po drugiej stronie niewielkiego stołu.

– Pan Marce. Miło znów pana widzieć. Cieszę się, że mogliśmy się spotkać tak szybko.

– Panie Ghreni – odparł Marce – ponieważ kazałeś mnie porwać, żeby mogło do niego dojść, myślę, że w zasadzie nie mogłem odmówić.

Siedzieli w pozbawionym okien pomieszczeniu, które wyglądało, jakby zrobiono je z kontenera. Oznaczało to, że prawdopodobnie to *był* kontener, tyle że aktualnie wykorzystywany niezgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem. Marce nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. W pomieszczeniu był od około dziesięciu minut, a został tu doprowadzony przez zbirów krótko przed przybyciem Ghreniego.

– Nie podoba mi się słowo „porwanie” – powiedział jego mimowolny gospodarz.

– Z całym szacunkiem, panie Ghreni, ale w tej chwili gównu mnie obchodzi, co się panu podoba.

– No dobrze. – Ghreni odchylił się na krześle i zaczął przyglądać Marce’owi. – Chodzą plotki, że planuje pan opuszczenie Kresu.

– Nawet jeśli tak jest, to nie rozumiem, dlaczego pana to interesuje.

– Cóż, popatrzmy. Mamy wojnę, a ksiązę zauważył, że kilku jego szlachciców – lub ich dzieci, dorosłe lub nie – nagle próbuje zapewnić sobie odlot z planety.

– Tak bywa, kiedy toczą się wojny.

– Pewnie tak – zgodził się Ghreni. – Ksiązę jednak widzi w tym brak wiary w jego zdolności przywódcze, więc namawia tych, którzy chcieliby odlecieć, aby zostali.

– Myślę, panie Ghreni, że nie zostałem porwany po to, żeby mnie także namawiać – powiedział Marce.

– Nie, myślę, że namówienie pana wymagałoby strasznie długiego czasu. Ma pan rację. Zaprosiłem pana tutaj z całkiem innych powodów. Zapewne pamięta pan, że prosiłem pańskiego ojca, żeby pomógł księciu, przekazując mu imperialne fundusze.

– Pamiętam, jak odpowiedział panu „może”.

– Tak właśnie było. Tyle że ja odebrałem to jako uprzejmą formę „nie”. I, dla jasności, jeśli taka właśnie była jego odpowiedź, jego pobudki są zrozumiałe zarówno pod względem etycznym, jak i prawnym. Jeśli wziąć je pod uwagę, wybór był dla niego dobry.

– Przekażę mu, że tak właśnie powiedziałeś, panie.

– Nie wątpię, że tak właśnie by pan zrobił – powiedział Ghreni – ale może jeszcze nie teraz. Problem z odpowiedzią pańskiego ojca jest taki, że choć z etycznego i prawnego punktu widzenia jest ona godna podziwu, ksiązę naprawdę potrzebuje tych pieniędzy, bo naprawdę potrzebuje tej broni. Zważywszy na okoliczności, nawet „może” nie jest satysfakcjonujące. Tak więc gdzie nie udało się nic wskórać perswazją, może uda się coś wymusić.

– Przetrzyumujecie mnie dla okupu.

– Tak, i za to przepraszam. Pański ojciec nie jest zbyt podatny na... pochlebstwa, które ja

czy książkę moglibyśmy mu zaoferować. Wydają się go nie interesować pieniądze, władza czy też inne dobra materialne. Trudno także doszukać się w nim kresowego patrioty albo lojalnego poddanego księcia. Nie ma jednak wątpliwości, że kocha pana i pańską siostrę. Po wyjściu z takiego założenia kwestia sprowadzała się do tego, które z was dwojga wybrać. Rozważaliśmy pańską siostrę... – Tu Marce się roześmiał, a Ghreni na tyle taktownie, na ile to możliwe, uśmiechnął się również – lecz ona przedstawiała sobą pewne problemy związane z przejęciem.

– Masz na myśli to, panie, że wyprułaby flaki zbirom, których byście na nią nasłali, a potem, gdy już wydobyłaby z nich informację o tym, gdzie jesteś, przyszłaby po ciebie?

– Właśnie to mam na myśli. Byłeś, panie, i mówię to bez krzty uszczypliwości, łatwiejszym celem.

Marce skinął tylko głową, bo wcale go to nie zaskakiwało. Był naukowcem, Vrenna zaś żołnierzem, a raczej była nim wcześniej, zanim objęła funkcję konstabla zamku Claremont. Z nich dwojga o wiele bardziej prawdopodobne było, że to on da się wziąć z zaskoczenia, z kolei znacznie mniej, że komuś złamie kark.

– Poza tym, panie, to ty miałeś zamiar opuścić planetę, a nie ona.

– Cóż z tego?

– Nigdy wcześniej nie opuszczał pan Kresu. Nie wybrał się pan nawet na stację imperialną, choć dawniej twoja siostra należała do marines.

– Jak już pan wspomniał, toczy się wojna.

– Tak, ale myślę, że to nie jest powód, dla którego pan wyjeżdża. Gdyby odlatywał pan z powodu wojny, nie zrobiłby pan tego sam. Pański ojciec i siostra odlecieliby również, a przynajmniej by próbowali. Ale wybiera się tylko pan. – Ghreni sięgnął do kieszeni, wyjął koder i położył go na stole. – A z tego tu wnioskuje, że raczej nie zabiera pan ze sobą ojcowizny.

Marce wpatrywał się w koder. Zabrano mu go, kiedy został porwany, razem z innymi rzeczami osobistymi, które miał przy sobie, a nie w worku podróznym, obecnie znajdującym się nie wiadomo gdzie.

Ghreni pchnął przedmiot w jego kierunku.

– Weź go.

Marce schował koder do kieszeni.

– Jest pusty?

– Nie, nie potrzebujemy pańskich zdjęć i muzyki. Ponadto obawiam się, że księciu potrzeba znacznie więcej niż sto tysięcy marek z pieniędzy pana rodziny. Dopóki pański ojciec nam nie pomoże, i tak w żaden sposób nigdzie się pan nie wybiera. Ponieważ jednak myślę, że on chce, aby pan odleciał, jestem niemal pewien, że dostaniemy to, na czym nam zależy.

– A jeśli nie?

Ghreni wzruszył ramionami.

– Na początek nie zdoła pan opuścić tej planety.

– „Na początek”.

– Księżę naprawdę bardzo potrzebuje tych pieniędzy.

– Tak bardzo, żeby mnie zabić?

– Nie zabiłby pana własnymi rękami. Jednak skoro już pan o tym wspomniał, w tej chwili setki, może nawet tysiące ludzi giną każdego dnia w wyniku tej głupiej rebelii. Jeśli na drugiej szali umieścić tylko jedno życie, pańskie, to oznacza, że tysiące ocaleją. Czyż to nie jest warte podjęcia ryzyka?

– Tak naprawdę próbuje pan tylko moralnie usprawiedliwić porwanie.

Ghreni znów wzruszył ramionami.

– Na pewno jest to argument, który księżę przywołuje, by uciszyć sumienie. Myślę, że nie kłopoce się zadaniem sobie pytania, czy to się trzyma kupy. O księciu można powiedzieć wiele, ale raczej nie to, że jest wielkim myślicielem.

– To się nie uda.

– Zobaczymy. W każdym razie wojna usprawiedliwia wiele błędów, zwłaszcza jeśli księżę dostanie broń i zmiażdży rebeliantów. Tymczasem, panie Marce, będziesz miał okazję się przekonać, ile jesteś wart dla ojca, nawet jeśli nie pan osobiście, to powody, dla których kazał panu opuścić planetę. Nie zechce mi pan zapewne powiedzieć, jakie to powody, prawda?

– To nie pańska sprawa.

– Wiem, że tak właśnie pan uważa. Niemniej zakres moich zainteresowań mógłby pana zaskoczyć.

– Ponieważ ich zakres najwyraźniej obejmuje porwania, nie sądzę, żeby cokolwiek na tym etapie było w stanie szczególnie mnie zaskoczyć.

– Kolejna słuszna uwaga. Jeśli powie mi pan, dlaczego chciał pan odlecieć z Kresu, jestem skłonny pana wysłuchać.

Marce nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w Ghreniego.

– No dobrze – powiedział ten ostatni po około minucie. – Jeśli pana ojciec nie zadziała dostatecznie szybko, użyjemy drobnych tortur, aby go zmotywować. Z zapisem wideo i tego typu rzeczami. Kiedy nasi ludzie będą się panem zajmować, każę im zapytać o to ponownie.

– Tortury nie dają szczerych odpowiedzi.

– Tak powiadają. Cóż, przekonamy się. – Ghreni wstał i wskazał palcem na przeciwległy koniec kontenera. – Tymczasem... Tam w rogu jest toaleta, a tam lodówka z wodą i kilka przekąsek. – Następnie wskazał na bliższą ścianę. – Tutaj są drzwi. Jeżeli podejdziesz pan do nich na odległość pięciu stóp, zaczniesz przez nie płynąć prąd. Jeśli ich pan dotknie, zapewne pan nie umrze, ale będzie pan żałował, że tak się nie stało. Gdyby jednak jakimś cudem udało się panu je otworzyć, moi ludzie po drugiej ich stronie również sprawią, że pan

pożałuje, że nie umarł. Rozumiemy się?

Marce skinął głową.

– Dobrze. – Ghreni przyjrzał się więźniowi. – Naprawdę przykro mi z tego powodu. Osobiście nie popieram takich metod. I mam świadomość, że to sprawi, iż nasze relacje będą odtąd niezręczne.

– Na początek – odparł Marce, przywołując wcześniejszą uwagę Ghreniego, który na te słowa uśmiechnął się i wyszedł.

Marce podszedł do lodówki, wyjął butelkę wody i napił się, ponownie rozglądając po pomieszczeniu. Lampka na stole, krzesła, toaleta, lodówka. Żadnego łóżka polowego. Zimny metal na podłodze i taki sam na ścianach. Podszedł bliżej szerokich drzwi, ale nie za blisko. Usłyszał po drugiej stronie niskie, męskie głosy. Nie był w stanie określić, o czym rozmawiają. „Cudownie” – pomyślał. Jediną dobrą stroną całej sytuacji było to, że Ghreni oddał mu koder, który miał większą wartość, niż przypuszczał. Pod każdym innym względem okoliczności były fatalne. Ghreni Nohamapetan zapewne już skontaktował się z jego ojcem. Marce nie wiedział, jak hrabia zareaguje. Właśnie przed czymś takim ojciec by ustąpił, bowiem Ghreni nie mylił się w swoim przekonaniu, że jedynym, o co tak naprawdę troszczył się hrabia Claremont, były jego dzieci. Poza tym należało wziąć pod uwagę fakt, że gdzieś za tydzień, a najdalej za miesiąc, wspólnotowe marki staną się całkowicie bezwartościowe. Wobec tego ojciec mógł udostępnić pieniądze, bo w dłuższej perspektywie i tak nie miało to znaczenia. W zasadzie to na krótszą metę również, no, może poza najbliższymi wydarzeniami.

Ale było jeszcze to powstanie, które zaczynało zmierzać ku rozstrzygnięciu, i to na niekorzyść księcia. Wraz z tą dostawą broni walki mogły rozgorzeć na nowo. Więcej śmierci, więcej zniszczenia, więcej ludzi pozbawionych dachu nad głową... I to w chwili, kiedy życie wszystkich na Kresie i tak zostanie wyrócone do góry nogami, bo prąd prowadzący z tej planety wkrótce miał zaniknąć.

Marce znów upił nieco wody. Poważnie się martwił, a także obawiał o samego siebie. W Ghrenim Nohamapetanie uderzyło go to, że sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie socjopaty, który mógłby torturować go wyłącznie dla zabawy. Czuł się też dziwnie nieobecny. Nie wiedział, czy to szok wywołany obecną sytuacją, czy też świadomość, że cywilizacja człowieka dobiega końca, a może żadna z tych rzeczy, a może obie – nie potrafił określić. Był przerażony, ale również zmęczony. W tej chwili przynajmniej na zmęczenie mógł cokolwiek poradzić.

Tak więc Marce Claremont wrócił na krzesło, rozsiadł się w nim, nogi położył na stole, skrzyżował ramiona i zamknął oczy, próbując uciąć sobie drzemkę.

Jakiś czas później poczuł, że ktoś nim szarpie.

– Zobacz, kto do ciebie przyszedł – powiedział znajomy głos.

Marce otworzył oczy i zamrugał, usiłując skupić wzrok na czymś znajdującym wprost

przed nim. To była Giggy – jego pluszowa świnia. Osobą stojącą za maskotką i machającą pluszakiem przed twarzą Marce’a okazała się jego siostra Vrenna.

- Znalazłaś mnie – powiedział wyczerpanym głosem.
- Tym właśnie się zajmuję – odparła Vrenna, podając bratu Giggy.
- Dlaczego nie poraził cię prąd?
- Że co? – sprawiała wrażenie zdziwionej.
- Nieważne. Jak mnie znalazłaś?
- Ktoś mi pomógł. Wy tłumaczę później. Dasz radę sam iść?
- Nic mi nie jest.
- No to zbierajmy się stąd, zanim te dwa klocki, które ogłuszyłam, dojdą do siebie.

Vrenna wyprowadziła Marce’a z pomieszczenia, które tak jak podejrzewał było przerobionym kontenerem, ustawionym w rozpadającym się magazynie. Ten, w którym go trzymano, nie był jedyny. Obok niego stały jeszcze dwa, w tej chwili zapewne niewykorzystywane. Od jednego z nich odchodziła łukiem długa smuga krwi, co wskazywało, że ktoś ciągnął tędy ciało. Obok kontenera, w którym przetrzymywano Marce’a, leżało na podłodze magazynu dwóch mężczyzn, tych samych, którzy go złapali i wciągnęli do furgonetki. Oddychali, czyli i tak mieli się lepiej niż Marce im w tym momencie życzył.

- Co to za miejsce?
- Wygląda jak nieoficjalne miejsce trzymania więźniów – odparła Vrenna.
- Więźniów księcia?
- Możliwe. Chodź.

Siostra wyprowadziła go z magazynu i popchnęła w kierunku bliżej nieokreślonego samochodu naziemnego. Marce wszedł i zapiął pasy, a tymczasem Vrenna ustawiła wóz na sterowanie ręczne.

- Gdzie pozostali? – zapytał Marce, rozglądając się.
- Jacy pozostali? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.
- Przyszłaś mnie ratować w pojedynkę?
- Nie miałam zbyt dużo czasu na staranne planowanie.

Vrenna sprawdziła okolicę i ruszyła.

– A gdybym był ranny? A gdybym nie mógł chodzić? A gdyby było ich więcej niż dwóch?

- Coś bym wymyśliła.
- Mam parę uwag na temat tej akcji ratunkowej.
- Jeśli chcesz, mogę cię odstawić z powrotem.

Marce zachichotał i mocniej ścisnął swoją pluszową świnie.

– Nie obrażaj się, siostrzyczko. Po prostu jestem w małym szoku po porwaniu.

Vrenna wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń brata.

- Wiem. Nie krępuj się z dawaniem upustu swojemu szokowi. Nie obrażę się.
- Po kilku minutach dość umiarkowanego szoku Marce uniósł Giggy i jej się przyjrzał.
- Przyniosłaś ją ze sobą.
- Tak. Pomyślałam, że pomoże ci to odpędzić niepotrzebne myśli, gdy będę cię stąd zabierała.
- Podziałało, ale przede wszystkim zastanawiam się, jak ją znalazłaś.
- Ktoś mi ją dał, razem z resztą twoich rzeczy, które miałeś w worku, kiedy cię porwali.
- No dobra, ale skąd *to wszystko* wzięłaś?
- Dali mi je ludzie, którzy cię obserwowali.
- Ktoś mnie obserwował?
- Tak.
- Kto?

ROZDZIAŁ 8

Ghreni Nohamapetan zadzwonił do Kivy tuż po stracie Marce'a i była to jedna z najbardziej satysfakcjonujących rozmów w jej życiu.

– Marce Claremont zniknął – powiedział.

– Kto? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie leć ze mną w chuja, Kivo. Chcę wiedzieć, gdzie jest.

– Nie potrafię ci tego powiedzieć. Śledzenie go to nie moje zadanie. Moje zadanie, jeśli dobrze zrozumiałam, polegało na poinformowaniu cię, jeśli spróbuje zarezerwować sobie wejściówkę na mój statek. Tak właśnie zrobił, a ja ci o tym powiedziałam. O ile dobrze pamiętam, mieliście poczekać, aż będzie wchodził na pokład, i wtedy go złapać. Uznaliście, że nie będziecie czekać. Wygląda na to, że to wy spartaczyliście sprawę.

– Ludzie, którzy byli z Claremontem, powiedzieli, że zaatakowała ich kobieta.

– To nie byłem ja.

– To Vrenna Claremont.

– Masz na myśli jego siostrę, która całe lata szkoliła się, aby eliminować ludzi na rzecz państwa, a potem została gliną? Tak, logicznie rzecz biorąc, też bym na nią stawiała.

– Chcę wiedzieć, jak udało jej się odkryć, że mamy na celowniku jej brata.

– No to ją zapytajcie.

– Kiva.

– *Ja* jej nie powiedziałam, jeśli o to właśnie chciałeś zapytać. Po co miałabym to robić? Miałam dostać trzy miliony marek, jeśli tylko go złapiecie.

– Powiedział im ktoś z twojej załogi.

– Albo, i jest to tylko *hipoteza*, kiedy próbowałeś wyciągnąć kasę od hrabiego Claremonta na oczach jego dorosłych dzieci, ale nie dostałeś od ręki tego, co chciałeś, może doszli do wniosku, że taki dupek jak ty spróbuje to wymusić przy pomocy czegoś w rodzaju porwania, tak więc się przygotowali, szczególnie jedno z nich, które wcześniej było żołnierzem, a teraz jest cholernym *gliną*, Ghreni.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała głucha cisza. Wreszcie usłyszała:

– Chciałbym wiedzieć, jak się o tym dowiedziałaś.

– Marce Claremont sam nam, kurwa, o tym powiedział – odparła Kiva. – Poinformował o tym mojego ochmistrza, kiedy rezerwował sobie miejsce, a ochmistrz powiedział o tym mnie, bo do jego zadań należy informowanie mnie o wszystkim, co może mieć wpływ na funkcjonowanie naszego statku. Naprawdę jesteś takim zadufanym kutasem, że nie pomyślałeś, że dzieci Claremonta przegadają ze sobą taką możliwość? Gdyby nie to, że

toczy się pieprzona wojna, a rządy prawa są w zasadzie *zawieszane*, bo książę miota się, próbując uszczknąć jeszcze kilka dni, zanim nastąpi koniec, twoje dupsko już by się znajdowało w więzieniu za wymuszenie, a twój pryncypał zrobiłby z ciebie kozła ofiarnego. No ja pierdołę, Ghreni, próbowałeś wydusić pieniądze od imperialnego urzędnika na oczach cholernego gliny. Musisz mieć we łbie niezłe trociny, żeby odstawiać takie numery.

Znów nastąpiła chwila ciszy, a Kiva z zadowoleniem liczyła sekundy, jakie upłynęły zanim Ghreni odezwał się ponownie. Doszła do szczęścia.

– Czy Marce albo Vrenna Claremont odzywali się do ciebie?

Kiva parsknęła.

– A dlaczego, do ciężkiej cholery, mieliby to robić? To nie ze mną rozmawiali. Wątpię, czy mają blade pojęcie o tym, kim jestem. Gdyby próbowali kontaktu z kimkolwiek, to z moim ochmistrem. Uprzedzając twoje następne pytanie, z nim również się nie kontaktowali, odkąd odwaliłeś ten swój głupi cyrk. Jak bym miała zgadywać, to obstawiałabym, że próbują zarezerwować sobie miejsce na innym statku odlatującym z Kresu.

– Które opuszczają planetę w tym samym okresie co wy?

– Ghreni, czy ja ci wyglądam na pieprzonego kontrolera ruchu? Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

– Chciałbym, żebyście przesunęli swój odlot.

– A niby dlaczego mielibyśmy to zrobić? Nawet gdybym chciała, a nie chcę, na naszym miejscu niedługo będzie dokował inny statek. Nie mamy gdzie się zatrzymać.

– Wasz statek może pozostać w systemie.

– Albo odlecieć wtedy, kiedy mamy odlecieć, bo mamy pieprzony harmonogram, a tobie nic do niego.

– Zawdzięczałbym ci przysługę – prosił dalej Ghreni.

Kiva się roześmiała, tym razem na cały głos, po czym powiedziała:

– Powtórz to, Ghreni. Chcę sprawdzić, czy za drugim razem będę miała taki sam ubaw.

– Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Kiedyś się pieprzyliśmy, a to nie to samo. Ty ze wszystkich ludzi powinieneś to wiedzieć najlepiej.

Zanim się odezwał, nastąpiła jeszcze dłuższa cisza.

– Chciałbym porozmawiać o trzech milionach marek.

– Jestem pewna, że byś chciał.

– Nie mam Claremonta. Nie wiem, dlaczego moje trzy miliony miałyby pozostać u ciebie.

– Powinny u mnie zostać, bo umowa była taka, że dam ci znać, jeśli Claremont zarezerwuje miejsce na statku. Zarezerwował. Reszta to wasza działka. To nie moja wina, że najmujesz nieudaczników.

– Kiva, jeśli odkryję, że miałaś coś wspólnego z jego ucieczką, nie spodoba ci się moja

reakcja.

– Cóż, na twoje słowa mam dwie odpowiedzi: po pierwsze, pierdol się, ty wielka kupo gówna. Po drugie, nawet gdybym *miała* z tym coś wspólnego, co, do chuja, mógłbyś mi zrobić? Odlatuję z Kresu, ty kutasie. Nim minie rok, będę w domu i dostanę pracę w korporacji. Odsłużyłam już swoje na statku. A ty nadal będziesz tkwił tutaj, niczym pryszcz na dupie krańca kosmosu. Tak więc możesz sobie grozić do woli, ty amoralny jebańcu. Nie ma to żadnego znaczenia.

Ghreni westchnął.

– Kiva, mimo wszystko nadal troszeczkę cię lubię.

– Jestem wzruszona, Ghreni. Naprawdę!

– Dlatego właśnie mówię ci, że nie masz pojęcia, co nadciąga, i dlaczego w ostatecznym rozrachunku pozostanie po mojej stronie będzie dobrym pomysłem.

– Niezmiernie się zatem cieszę, że jestem po twojej stronie, Ghreni. Nie cieszę się natomiast z tego, że chcesz, bym oddała ci trzy jebane miliony marek tylko dlatego, że nie do końca przemyślałeś warunki umowy. Tak samo nie cieszę się z twoich prób straszenia mnie swoim oburzaniem się i prychnaniem, jak to będę żałować tego, że weszłam ci w drogę. Wydoroślej, Ghreni.

– Chciałbym, żebyście powiedzieli mi, jeśli Claremontowie się z wami skontaktują, i mam tu na myśli wszystkich członków waszej załogi.

– Uczynię to z radością za kolejne pół miliona marek.

– Kiva.

– Co „Kiva”? Robimy tu interesy. Chcesz informacji. Przedtem za te informacje byłeś skłonny zapłacić. Przekażę ci dalsze informacje, i to z niemałą zniżką w stosunku do wcześniejszych.

– Wiesz, że pozostawię na imperialnej stacji ludzi, którzy będą obserwować, czy żadne z nich nie wsiada na twój statek?

– Jasne. Na twoim miejscu też bym tak zrobiła. Ale nie sądzę, abyś znalazł Claremonta. Jeśli ma choć gram oleju w głowie, znajdzie sobie kogoś innego, kto zabierze go z tej jebanej skały, co, pozwolę sobie zaznaczyć, mnie pasuje. Dostałam swoje pół miliona za wejście na pokład i te pieniądze nie podlegają zwrotowi. Pozwolę sobie również zaznaczyć, że kwota ta pozwoliła całej tej gównianej podróży wyjść na plus z kosztami. To i twoje trzy miliony.

– Gratuluję.

– Dziękuję.

– Gdzie jesteś teraz? Na stacji czy na powierzchni planety?

– Na planecie. Spotykam się z naszymi ludźmi przed odlotem. Powiedz swojemu pierdolonemu księciu, że spodziewamy się naszych pieniędzy z powrotem, plus odsetki. To znaczy, jeśli nikt nie utnie mu łba w ciągu najbliższego tygodnia, w co oficjalnie w pełni

powątpiewam i co nie zmartwiłoby mnie ani odrobinę.

– Zjesz ze mną kolację?

– Co?

– Czy masz ochotę zjeść kolację, zanim odleciecie?

– Znasz restaurację, która jest otwarta podczas wojny domowej?

– Możemy zjeść u mnie.

Kiva się roześmiała.

– Nadal próbujesz mnie wydymać. Dosłownie.

– Nie mam zamiaru kłamać. Nie miałbym nic przeciwko. Kiedyś wychodziło nam to całkiem nieźle.

– A i owszem – przyznała Kiva. – Prawdziwe dymanie było dobre, Ghreni. Nie mam za to nastroju, aby wybaczyć dymanie w przenośni. Teraz czy kiedykolwiek indziej.

– W porządku. Daj mi znać, jeśli skontaktują się z tobą Claremontowie.

– Znasz cenę.

– Dobrze.

– Miło jest robić z tobą interesy, Ghreni.

Ten tylko prychnął i się rozłączył.

– Wiesz, że gdybyś się z nim umówiła na kolację, spróbowałyby cię zamordować? – powiedziała Vrenna Claremont. Siedzieli z Marce'em i Kivą w sali konferencyjnej miejscowego biurowca rodziny Lagos.

– Przetrząciłabym mu ten jego cholerny kręgosłup – odparła Kiva.

Vrenna się uśmiechnęła.

– Chciałbym wrócić do tej części, w której powiedziałaś Ghreniemu Nohamapetanowi, że zarezerwowałem miejsce na twoim statku – wtrącił Marce.

– No i co?

– Powiedziałaś mu?

– Przecież wiedzieliście, że tak.

– Dlaczego?

– Bo potrzebowałam trzech milionów marek, które oferował za tę informację.

– No tak, ale później mnie porwał i trzymał jako zakładnika. Planował też mnie torturować, może nawet zabić.

Kiva wzruszyła ramionami.

– Zawiadomiliśmy twoją siostrę zaraz po tym, jak cię złapali, bo cały czas obserwowali cię moi ludzie, a potem podaliśmy jej wszelkie informacje, jakich potrzebowała, żeby cię znaleźć i odbić. Cholera, daliśmy jej nawet twój plecak z precudną, małą pluszową świnią, żeby miała dowód, że nie lecimy w chuja.

– Mimo to mogłem zostać ranny. Albo zginąć.

– Nie spotkało cię ani jedno, ani drugie.

– Ale...

Kiva przerwała mu uniesieniem dłoni.

– Czy mogę zakończyć ten wątek naszej rozmowy, mówiąc po prostu, że naprawdę głównie mnie obchodzi, czy jesteś na mnie zły? Jeśli faktycznie coś by ci się stało albo byś zginął, to powiedziałabym, że mi przykro. Ja widzę to w taki sposób, że jeśli Ghreni chciał cię dopaść tak bardzo, żeby dać mi za ciebie trzy pierdolone miliony marek, to prędzej czy później i tak by spróbował cię porwać, i to niezależnie od tego, czy mu cokolwiek powiedziałam. W tej sytuacji zdecydowałam, że wezmę za to kasę. Ten rejs był pod kreską, teraz nie jest. I to *my* podaliśmy twojej siostrze informacje, które pozwoliły uratować twoją dupę. Tak więc, do ciężkiej cholery, przestań już biadolić na ten temat.

– Ja... dosłownie nie wiem, co na to odpowiedzieć – wydusił Marce.

– Możesz powiedzieć „dziękuję” – odparła Kiva i spostrzegła, że Vrenna się uśmiecha.

– Chyba jednak tego nie zrobię – powiedział Marce.

– Okej. W każdym razie odłóżmy to na bok i przejdźmy do rzeczy, dobra?

Marce, stojący obok ciągle uśmiechającej się siostry, zamilkł, a Kiva zauważyła, że oboje są atrakcyjni: Marce w kujonowaty, troskliwy i uprzejmy sposób, zaś patrząc na Vrennę, odnosiło się wrażenie, iż szansa na to, że pod koniec seksrandki rama twojego łóżka będzie stertą drzazg, wynosiła pół na pół. Niezależnie od tego, czy Kiva była skłonna to przyznać, czy nie, fałszywa propozycja Ghreniego, by zjeść wspólnie kolację, przypomniawszy jej, że minął już tydzień, odkąd miała okazję osiągnąć orgazm. Od czasu tamtego spotkania z asystentem ochmistrza była albo zbyt zajęta, albo zanadto wkurzona, żeby chociaż poklikać sobie myszkę.

Tak więc sytuacja kwalifikowała się jako pierdolona tragedia (gra słów niezamierzona), z czego wynikało, że Kiva będzie musiała się tym zająć w ten czy inny sposób. Na próżno zastanawiała się, czy któreś z Claremontowych bliźniaków się do tego nada. Stwierdziła, że Marce zapewne nie, przynajmniej na razie. Nadal zdawał się przygnębiony myślą, że Kiva bez mrugnięcia okiem pozwoliła komuś go porwać za trzy miliony marek i szczerze mówiąc, trudno mu się dziwić. Może jednak Vrenna... Kiva żałowała, że czas, wymagania chwili i okoliczności sprawiały, że pójście za głosem pragnienia jest niemożliwe.

– Pani Kivo? – przywołała ją do rzeczywistości Vrenna.

– Przepraszam. Trochę mnie rozproszyło myślenie o seksie.

Vrenna się uśmiechnęła.

– Nadal stoimy wobec problemu dostarczenia Marce’ a na wasz statek – przypomniawszy. – Ghreni Nohamapetan planuje pozostawienie na stacji imperialnej swoich ludzi, aby go złapali.

– Ghreni obserwuje frontowe drzwi – powiedziała Kiva. – Nie obstawił wejścia dla służby.

– Co to znaczy? – zapytał Marce.

Kiva spojrzała na niego.

– Znaczy to tyle, że nie wejdiesz na pokład *Tak, drogi panie* jako Marce Claremont, ale jako Kristian Jansen, członek załogi.

– A jak niby mam to zrobić?

– Przypuszczam, że kiedy zarezerwowałeś sobie miejsce na statku, Gazson Magnut próbował ci sprzedać fałszywe dokumenty podrózne.

– Tak było. Nie potrzebowałem ich.

– Cóż, teraz potrzebujesz. Dokładniej rzecz biorąc, już je dla ciebie przygotowano.

– Za co niewątpliwie zażadasz zapłaty – stwierdził Marce.

– Zapłaty po kosztach, nie takiej kosmicznie wielkiej opłaty, jaką bierzemy od wszystkich innych.

– Same dokumenty podrózne nie wystarczą – zaznaczyła Vrenna. – Załogi statków handlowych muszą mieć zarejestrowane dane biometryczne. Z całym szacunkiem, jeśli Nohamapetan jest skłonny zapłacić trzy miliony, żeby dopaść Marce'a, to wejście dla służby też obstawi, czyli w tym przypadku zapewni sobie dostęp do bazy danych biometrycznych na stacji imperialnej.

– Zachowujesz się tak, jakby to był pierwszy raz, kiedy przemycamy kogoś na statek jako członka załogi – powiedziała Kiva, po czym znów zwróciła się do Marce'a. – Ogol głowę. Dostaniesz skórny perukę z wyhodowanymi włosami, brodę też. Jeśli ktoś wyrwie ci z głowy włos, DNA będzie pasować do Kristiana, nie do ciebie. Dostaniesz soczewki kontaktowe z fałszywymi tęczęwkami i siatkówkami, a także nakładkę na kciuk z odpowiednim odciskiem palca i DNA. Do butów wsadzimy ci wkładki podwyższające. Nie będziesz przypominał samego siebie. O ile nie pobiorą od ciebie próbki krwi, będzie dobrze.

– A jeśli wezmą tę próbkę?

– Cóż, wtedy zapewne masz przejebane, prawda? Ale oni nie robią takich rzeczy.

– Nikt nie zauważy, że sfabrykowaliście człowieka z niczego? – zaciekawiała się Vrenna.

– „Kristian” już dla nas pracował – odpowiedziała Kiva. – Na każdy system, gdzie latamy, mamy jednego lub dwóch takich ludzi. Tak samo zresztą jak inne gildie.

– Po co? – spytał Marce.

– Bo czasami ktoś ważny zasra sobie papiery i musi zjeżdżać w trybie ekspresowym, zanim ktoś taki jak ona – tu Kiva wskazała kciukiem na Vrennę – złapie go i dobierze mu się do dupy. Przy tempie, w jakim działa Ghreni, pewnie wkrótce sam skorzysta z usług kogoś takiego.

– Więc muszę być „Kristianem” przez całą podróż?

– Tak, tak będziesz miał na imię. Jak już wlecimy w Nurt, możesz wyrzucić to, co ci doprawimy. Poprawimy twoje dane w systemie. Jest w tym jeden haczyk: będziesz musiał być prawdziwym członkiem załogi przez całą podróż.

– Dlaczego? – zapytała Vrenna.

– Bo „Kristian” zajmuje miejsce prawdziwego członka załogi. Dostajesz do dyspozycji przestrzeń przeznaczoną dla załogi i bierzesz na siebie obowiązki załoganta. Taka jest umowa.

– Podejrzewam, że nie dostanę zapłaty.

– Jasne, że dostaniesz. Stawki standardowe. Ale i tak nie będziesz miał gdzie wydać tej forsy. Lecimy prosto na Hub.

– A co ze zwrotem opłaty za wejście na pokład, którą już ci daliśmy?

– Nie bądź głupi.

Marce się uśmiechnął.

– Co szkodziło spróbować?

– Przy okazji, policzę ci też za nową tożsamość. Też po kosztach, ale i tak nie będzie tanio.

– A jak się stąd teraz wydostaniemy? – zapytała Vrenna. – Wiesz, że Nohamapetan rozkaże swoim ludziom obserwować ten budynek, o ile już tego nie zrobił.

– Na razie żadne z was nigdzie nie wychodzi. On – Kiva wskazała na Marce’a – zostaje tutaj, a my zaraz przyślemy ludzi, aby się nim zajęli. Potem może stąd wyjść jako Kristian. Ty – skierowała palec na Vrennę – będziesz musiała tu poczekać, aż odlecimy. Przykro mi.

Vrenna wzruszyła ramionami.

– Przetrzymano mnie już w gorszych miejscach.

Kiva skinęła głową, po czym wstała.

– Wracam na statek. – Spojrzała na Vrennę. – Z tobą już się nie zobaczę, co uważam za tragedię. – Ona tylko się na to uśmiechnęła, po czym Kiva odwróciła się do Marce’a: – Z tobą będę się widywała na statku, ale nie będziemy się zbyt spoufalać. Tak że miło cię poznać, witaj na *Tak, drogi panie* i dzięki za danie okazji na ponowne zrobienie Ghreniego Nohamapetana w chuja, zanim nie będę musiała oglądać jego gęby już nigdy więcej.

Marce się uśmiechnął i kiwnął głową, a wtedy Kiva wyszła z sali konferencyjnej. Tutejszy zespół został poinstruowany, co należy zrobić z Claremontami, a każdego z jego członków ostrzeżono, że jeśli ich tożsamość albo lokalizacja gdziekolwiek wycieknie, ród Lagos wciągnie na listę swoich priorytetów spierdolenie życia każdemu w ich rodzinie co najmniej do sześciu pokoleń naprzód. Kiva miała graniczące z pewnością przekonanie, że nikt nie puści pary z gęby.

Wsiadła do swojego opancerzonego pojazdu naziemnego, aby udać się do portu. Mieli jechać okrężną trasą, żeby uniknąć okolic, gdzie nadal trwały walki albo wszystko zostało zmienione w ruinę. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Kiva doszła do dwóch wniosków.

Po pierwsze, wojna domowa na Kresie zarówno dawała, jak i odbierała. W jej wyniku ona i ród Lagos zostali wydymani w kwestii hawerfrutów i monopoli na te owoce, ale zarazem ściągnęła dostatecznie dużo bogatych ludzi, aby cały rejs zamknąć z zyskiem. Jeśli dodać go do opłat licencyjnych i innych, które ostatecznie kiedyś znów będą ściągane z Kresu, ród

Lagos miał się znaleźć w naprawdę dobrej sytuacji względem innych rodzin, także na płaszczyźnie władzy i wpływów. Kiva wyszła z sytuacji obronną ręką i mogła to wykorzystać po powrocie do domu.

Po drugie zaś, choć pozwoliła bliźniakom Claremont przysłuchiwać się jej rozmowie z Ghrenim Nohamapetanem, to w przeciwieństwie do Kivy nie znali oni jednej ważnej informacji uzyskanej dzięki śledczym, którym Magnut płacił zatrważające sumy pieniędzy. Otóż księżę Kresu nigdy nie kazał Nohamapetanowi prosić hrabiego Claremonta, aby ten mu udostępnił imperialne pieniądze. I ponad wszelką wątpliwość nie zatwierdził pomysłu swojego doradcy, aby *porwać* jedno z dzieci hrabiego, po czym trzymać je dla okupu. Obie te rzeczy Nohamapetan zrobił z własnej inicjatywy.

„Co ty tu odpierdalasz, Ghreni? – zastanawiała się, kiedy wóz ruszał w kierunku portu. – Co planujesz? A skoro już o tym mowa, co planuje reszta twojej w dupę jebanej rodzinki?”.

ROZDZIAŁ 9

– Dane z miejsca zbrodni są niejasne, wasza wysokość – powiedział sir Hibert Limbar, dowódca Gwardii Imperialnej. To właśnie ta formacja odpowiadała za bezpieczeństwo imperoksa. Hibert był niemal pewien, że wkrótce straci posadę. – Niektórzy ze świadków twierdzą, że widzieli, jak ktoś wystrzelił z tłumu przed katedrą coś, co uderzyło w balkon, ale nie ma zapisu wideo, który by to jednoznacznie potwierdzał. Nawet jeśli faktycznie wystrzelono coś z tłumu, balkon został tak skonstruowany, żeby wytrzymać wszystko, co nie jest ostrzałem artyleryjskim. Domyślamy się, że cokolwiek tam eksplodowało, musiało zostać podłożone już jakiś czas wcześniej. Nie wiemy tego jednak na pewno. Uporządkowanie danych zajmie trochę czasu.

Cardenia skinęła głową. Znajdowała się w swoich prywatnych pałacowych apartamentach. W uszach nadal jej dzwoniło i ciągle pozostawała pod obserwacją lekarzy z powodu wstrząsu, ale poza tym nic jej nie było. Przynajmniej fizycznie. Tam, gdzie przedtem biło jej serce, teraz ziała wielka dziura w kształcie Naffy. Towarzyszyli jej Limbar, arcybiskup Korbijn i Gell Deng, który tymczasowo pełnił funkcję wcześniej sprawowaną przez Naffę. W pokoju przebywał też Amit Nohamapetan i choć Cardenia nie wiedziała, z jakiego powodu się tu znalazł, to miała nadzieję dowiedzieć się tego wkrótce.

– Sprawę dodatkowo komplikują bomby, które wybuchły w tłumie, niemal równocześnie z eksplozją na balkonie. To zwiększyło tylko chaos tej sytuacji, która i bez tego była skomplikowana – zakończył Limbar.

– Ilu ludzi zginęło w tłumie? – zapytała Cardenia.

– Wasza wysokość nie powinna się tym teraz martwić...

– Dlaczego nie? – przerwała Cardenia i w jednej chwili przełączyła się na tryb imperialny, który dawał jej dość emocjonalnego dystansu, żeby poradzić sobie z ludźmi mówiącymi tak okropne rzeczy w jej obecności. – Czyż nie jesteśmy imperoksem? Czy nie są to nasi obywatele? Ilu?

– Co najmniej osiemdziesięciu, wasza wysokość. Kolejnych stu zostało rannych, wielu z nich jest w stanie krytycznym.

– A katedra? Ilu tam zginęło?

– Dwoje, wasza wysokość. Naffa Dolg i jeden z gwardzistów. Drugi jest poważnie ranny.

– Kto jest za to odpowiedzialny?

– Nie wiemy tego na pewno. Nikt nie wykonał żadnego posunięcia – tu Limbar skinął głową w kierunku Amita. – Jednak pan Nohamapetan dysponuje pewnymi informacjami, które wasza wysokość może uznać za użyteczne.

Cardenia spojrzała na wskazanego zmęczonym wzrokiem.

– Co to za informacje, panie Nohamapetan?

– Jak może waszej wysokości wiadomo, kilka lat temu mój młodszy brat Ghreni udał się na Kres, aby reprezentować tam interesy naszego rodu. Od tamtej pory stał się zaufanym doradcą księcia tej planety, który zmagał się z dobrze zorganizowaną i odpowiednio finansowaną rebelią. Ojciec waszej wysokości i parlament zatwierdzili dodatkowe fundusze i sprzęt, które miały trafić do księcia i jego wojsk, bowiem nie planowano otwartego zaangażowania w konflikt imperialnych marines, stanowiących garnizon na stacji imperialnej orbitującej wokół Kresu. W poufnych raportach mój brat pisał, że kiedy wieści o wyniku głosowania dotarły na Kres, rebelianci obiecali wziąć odwet.

– Chce pan powiedzieć, że to jest sprawka rebeliantów z Kresu? – zapytała Cardenia.

– Doniesienia mojego brata są oczywiście znacznie opóźnione, wasza wysokość – odparł Amit. – To jeden z problemów naszego rozległego imperium. Wieści docierają powoli, jeśli w ogóle. Niemniej tak, brat był przekonany, że powstańcy coś planują.

– Kiedy dotarł do was raport od pańskiego brata?

– Otrzymaliśmy go około trzech standardowych miesięcy temu, wasza wysokość. Oczywiście napisał go dziewięć miesięcy wcześniej.

– Nie pomyśleliście, żeby poinformować naszego ojca?

– Ród Nohamapetan nie miał zamiaru martwić ojca waszej wysokości tą sprawą, dopóki nie zbada jej dokładniej, zwłaszcza że imperoks leżał złożony chorobą. Otrzymujemy poufne raporty od wszystkich naszych przedstawicieli w poszczególnych systemach gwiazdnych. Zawierają one informacje o różnego rodzaju lokalnych niepokojach, jeśli w grę wchodzi nasze interesy. Ta konkretna deklaracja ze strony kresowych buntowników nie wyróżniała się niczym szczególnym. Co więcej, nasi analitycy założyli, że jeśli nawet zrealizują oni swoje zapowiedzi, skupią się na imperialnych interesach na Kresie, nie tutaj. Mogę zapewnić waszą wysokość, że mój brat Ghreni poinformował o wszystkim władze imperialne, tak aby mogły przedsięwziąć środki zapobiegawcze. Patrząc na wszystko z obecnej perspektywy, jest jasne, że powinniśmy byli przekazać nasze informacje dalej. Przepraszam, wasza wysokość.

– Nikt nie przypuszczał, że mogą uderzyć tak daleko – powiedziała arcybiskup Korbijn.

– Reprezentujesz tu komitet wykonawczy – zwróciła się do niej Cardenia. – Powiedz nam, jakie jest jego zdanie.

– Komitet jest wściekły – odparła Korbijn. – Ciebie, wasza wysokość, próbowano zamordować w dniu koronacji, poczyniono szkody w jednym z najświętszych miejsc Kościoła i w tchórzliwy sposób zabito dziesiątki niewinnych. Komitet jest gotów poprzeć cię we wszystkim, cokolwiek wasza wysokość postanowi. To samo dotyczy gildii, parlamentu i, o czym z całej mocy cię zapewniam, Kościoła.

– Wszyscy jesteśmy gotowi – dodał Amit.

Cardenia kiwnęła głową.

– Dziękujemy wam.

Następnie zwróciła się do Limbara:

– Co sądzisz o tej hipotezie z Kresem?

– Musimy przeprowadzić bardziej gruntowne dochodzenie, ale informacja, którą pan Nohamapetan właśnie się z nami podzielił, jest niezwykle istotna. Szukamy wszelkich ludzi pochodzących z Kresu, a mieszkających na Xi'an lub Hubie, i wertujemy ich życiorysy. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Jeśli sprawa faktycznie łączy się z rebelią na Kresie, dowiemy się o tym.

– Dowiedźcie się wkrótce – powiedziała Cardenia.

– Tak, wasza wysokość.

– Co wasza wysokość teraz zamierza? – zapytała Korbijn. – Nie jest to delikatne pytanie, ale tysiące ludzi nadal tu są, czekając na wieści, jak masz zamiar postąpić w sprawie swojej koronacji. Reszta systemu Hubu także się niepokoi. Minął już cały dzień.

– Jak długo miały trwać uroczystości koronacyjne?

– Pięć dni, wasza wysokość – odpowiedział Gell Deng.

– Tak więc ogłaszamy okres żałoby na pięć dni, licząc od momentu koronacji – orzekła Cardenia. – Dopilnujcie, aby ofiary zostały odpowiednio uhonorowane. Przygotuj dla nich nabożeństwo nocne w katedrze – powiedziała do Korbijn, która skinęła głową. – Wraz z końcem żałoby wygłosimy przemówienie do całego systemu i Wspólnoty.

– Parlament nie będzie chciał czekać tak długo, aby się zająć całą sprawą – powiedziała Korbijn.

– Nic nie wspominaliśmy o tym, by prace czy śledztwo zostały na ten czas zawieszane.

– Tak, wasza wysokość.

– Tymczasem my, przynajmniej oficjalnie, będziemy przebywać w odosobnieniu. Gell przez najbliższych kilka dni będzie waszym pośrednikiem w kontaktach z nami. Ufamy, że komitet wykonawczy nie będzie protestował przeciw sprawowaniu funkcji administracyjnych nieco dłużej.

– Oczywiście, że nie.

– Będę wysyłał aktualne raporty, gdy tylko coś się zmieni, i pozostanę do dyspozycji, jeśli wasza wysokość będzie mieć jakieś pytania – zapewnił Limbar.

– Dziękujemy wam – powiedziała Cardenia, po czym wstała. Pozostali podnieśli się razem z nią, przyjmując to za sygnał, że mogą odejść. Tylko Deng nadal siedział. Wiedział, że nadal jest potrzebny.

– Jeśli można, chciałbym zamienić słowo z waszą wysokością na osobności – odezwał się Amit, kiedy pozostali wychodzili.

– Tak, panie Nohamapetan? – zapytała Cardenia. Nadal stała i nie poprosiła go, aby usiadł. Miała nadzieję, że Amit odbierze to jako sygnał, iż cokolwiek ma do powiedzenia,

nie powinno zająć zbyt wiele czasu.

Nohamapetan zrozumiał aluzję, a jego oczy spoczęły na Dengu, który nie ruszył się z miejsca, co z kolei jednoznacznie wskazywało, że rozmowa nie będzie również poufna w stopniu, jakiego oczekiwał. Zamiast tego podszedł do Cardenii i zatrzymując się w odległości odpowiedniej, aby okazać szacunek, powiedział przyciszonym głosem:

– Chciałem osobiście przekazać moje kondolencje w tej smutnej chwili. Wiem, że wasza wysokość i Naffa Dolg byłyście sobie bliskie. Strata kogoś, kogo kochamy, jest trudna do zniesienia, o czym przekonała się moja siostra, kiedy straciła twego brata.

„Cudownie”, pomyślała Cardenia. Nawet próbując wyrazić swe kondolencje, Amit Nohamapetan nie mógł się powstrzymać przed przypomnieniem jej, że jego rodzina nadal uważa pozycję małżonka imperoksa za swoją własność. Spojrzała na niego i zobaczyła nijaką twarz i nijakie ciało, a w jednym i drugim skryty nijaki umysł, który najbardziej cieszyły nijakie przyjemności. Siostra i młodszy brat najwyraźniej należeli do najlepiej prezentujących się z całego rodu Nohamapetanów. Ten tu wyglądał jak niedołęga. Jego pojawienie się na spotkaniu ewidentnie było próbą zaintrygowania Cardenii swoją osobą poprzez zaoferowanie użytecznych informacji, a teraz oto odgrywał przed nią tę przepełnioną troską szopkę. Całość smakowicie podana na półmisku.

Cardenia wyobraziła sobie perspektywę poślubienia tego niedorajdy oraz posiadania z nim dzieci i z trudnością powstrzymała się przed mało uprzejmym wzdrygnięciem.

– Dziękujemy, panie Nohamapetan, i jesteśmy ukontentowani twoją troską.

Jeśli Amit zauważył fakt, że Cardenia nadal używa formalnego języka imperialnego, nie pozwolił, żeby zbiło go to z pantałyku.

– Mam nadzieję, że w odpowiednim czasie będziemy mogli się spotkać w szczęśliwszych i bardziej przyjaznych okolicznościach.

– Można mieć taką nadzieję – odparła Cardenia.

„O ile w tych okolicznościach będziesz nie mniej niż trzydzieści metrów ode mnie”.

Amit jednak nie należał do ludzi, którzy potrafią czytać między wierszami, i najwyraźniej zdecydował, że zinterpretuje te uważnie dobrane, dwuznaczne słowa w sposób dla siebie korzystny. Cardenii dokładnie o to chodziło, chociaż nienawidziła faktu, że musi się na to silić właśnie w tej chwili. Nohamapetan uśmiechnął się, skłonił i wyszedł. Cardenia przygarbiła się, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi.

– Dobrze się czujesz, wasza wysokość? – spytał Deng.

– Nie. Moja przyjaciółka nie żyje, a ta menda nadal próbuje zaaranżować ze mną małżeństwo. – Nagle zamilkła i spojrzała na Denga. – Przepraszam, Gell. Nie chciałam mówić tym tonem. Ja... Przyzwyczaiałam się, że to Naffa jest przy mnie. I że mogę do niej swobodnie mówić, kiedy jesteśmy same.

Stary sekretarz uśmiechnął się do swojej imperoksa.

– Wasza wysokość, pozostawałem lojalnym i cichym sługą twego ojca przez prawie

czterdzieści lat. Taka jest natura tego stanowiska. Nie sędzę, bym zastąpił waszej wysokości drogą przyjaciółkę, ale przyrzekam, że zawsze możesz przy mnie mówić swobodnie, jeśli taka będzie twoja wola. Teraz będę lojalny wobec ciebie.

– Nawet mnie nie znasz.

– Z całym szacunkiem, wasza wysokość, ale pozwolę sobie z tym się nie zgodzić. Znam cię od wielu lat, początkowo za pośrednictwem twego ojca i jego specyficznych, lecz pełnych czułości relacji z tobą. Przez ostatni rok mogłem zaś przyjrzeć ci się wystarczająco dobrze, aby mieć o tobie pewne pojęcie. Wiem, że zasługujesz na moją lojalność.

Cardenia nagle uniosła wzrok.

– No to z was wszystkich przynajmniej ty jeden. Zawsze to jakiś początek.

– Co mogę zrobić dla waszej wysokości? – zapytał Deng.

– Możesz mi zwrócić Naffę?

– Nie, wasza wysokość.

Cardenia wskazała kciukiem za siebie, w kierunku drzwi, za którymi zniknął Amit.

– A temu palantowi możesz powiedzieć, żeby stąd zjeżdżał?

– Jeśli wasza wysokość tego sobie życzy.

– Jednak odradzasz to.

– Nie sędzę, żeby do moich zadań należało dawanie imperoksom rad, wasza wysokość.

– Potrzebuję kogoś, kto udzieli mi teraz rady. Nie mam nikogo innego.

– Zamiast mojej własnej rady pozwól, że powiem ci, co twój ojciec myślał o Nohamapetanach, i w ten sposób pomogę podjąć właściwe decyzje – powiedział Deng. – Jestem pewien, że nie miałby nic przeciwko temu.

– Tak, proszę.

– Otóż, uważał on, że ich ambicje są godne podziwu, ale nie miał ich za szczególnie mądrych. Twierdził, że gdyby pozostawić im swobodę działania, w ostatecznym rozrachunku on jako imperoks „musiałby zrobić niezły bałagan, aby ponownie wziąć ich w karby”. To dlatego zdecydował się manipulować Nohamapetanami, sugerując, że Nadashe powinna poślubić twego brata. Żywił przekonanie, że jako para będą się zgadzać w swych ambicjach, a z kolei Nohamapetanowie będą mieli powód, by działać mniej głupio. To jego słowa, nie moje.

– Więc myślisz, że ojciec chciałby, abym poślubiła Amita Nohamapetana, żeby trzymać ich w karbach. – Deng spojrzał na nią, nieco zmartwiony. – No co?

– To nie będzie zbyt miłe – zaznaczył Deng.

– Tak czy inaczej, mów.

– Imperoks uważał, że małżeństwo twego brata z Nadashe się uda, bo będą komplementarni względem siebie. Komplement-arni, nie komplement-ujący. Jego zdaniem ty i Amit nie uzupełnialibyście się w podobny sposób. Uznawał cię za zbyt pasywną, zaś Amita za mało inteligentnego. Z kolei małżeństwo was dwojga pozostawiłoby Nadashe poza

kontrolą, bowiem objęłaby ona władzę nad swoim pokoleniem Nohamapetanów, a równocześnie jej ambicje pozostałyby niespełnione. To by przyniosło kłopoty tobie i tronowi imperokszów.

– To może wolałby, żebym poślubiła Nadashe – powiedziała Cardenia.

– Och, nie. Rozjechałaby cię, zanim byś się obejrzała. Hmm, a raczej tak uważał twój ojciec – dodał pośpiesznie.

– Ojciec chyba nie miał o mnie najlepszego zdania.

– Wręcz przeciwnie, wasza wysokość, miał o tobie jak najlepsze zdanie. Po prostu wolałby, żeby twój brat żył i aby to on został imperoksem.

– Cóż, Gell, ja również. Tak się jednak nie stało. Jest jak jest.

– Tak, wasza wysokość. Czego więc życzy sobie imperoksz?

– Kiedy jest pogrzeb Naffy?

– Za dwa dni.

– Będę na nim obecna – powiedziała, a Deng znów się skrzywił. – Co tym razem?

– Mam krótki list od przedstawiciela rodziny Dolg, wasza wysokość. Dotarł wcześniej i czekałem, żeby z tobą o nim porozmawiać. Piszą w nim, że obecność waszej wysokości na pogrzebie tylko by go zakłóciła, bowiem środki bezpieczeństwa, jakie trzeba by podjąć, byłyby ogromne. Co więcej, rodzice Naffy są republikanami, podobnie jak wielu ludzi, którzy zjawią się na ceremonii, a twoja obecność mogłaby sprowokować niektórych spośród ich przyjaciół do zrobienia lub powiedzenia czegoś niestosownego.

– Nie chcą, żeby z mojego powodu wybuchły jakieś rozruchy.

– Obawiam się, że takie jest właśnie sedno tego, co piszą.

– Chciałabym zatem pomówić z jej rodzicami.

– W liście jest również wzmianka na ten temat. Jej treść rozumiem tak, że rodzice nie obwiniają waszej wysokości o jej śmierć. Jest jednak różnica między brakiem obwiniania a patrzeniem na osobę, która będzie im przypominać, że ich córka nie żyje, bo pracowała dla waszej wysokości. Byłoby to teraz dla nich... trudne.

Cardenia wciągnęła powietrze i siedziała w ciszy przez kilka chwil.

– Przykro mi, wasza wysokość – odezwał się w końcu Deng.

Cardenia machnęła ręką.

– Chciałabym przynajmniej, żeby za nic nie płacili.

– Jej rodzice? – zapytał Deng, a Cardenia przytaknęła. – Wasza wysokość ma na myśli wydatki związane z pogrzebem?

– Ze wszystkim, kiedykolwiek. Ich córka nie żyje. Była moją przyjaciółką. Skoro nie jestem w stanie zrobić teraz nic innego, mogę przynajmniej tyle. Prawda?

– Jesteś imperoksem, wasza wysokość. To istotnie jest coś, co możesz zrobić.

– A więc zajmij się tym, proszę.

– Tak, wasza wysokość. – Deng wstał. – Czy coś jeszcze?

Gdy Cardenia potrząsnęła głową, skłonił się, pozbierał swoje materiały i ruszył do wyjścia.

– Gdzie będziesz, w razie gdybym cię potrzebowała?

Deng odwrócił się i uśmiechnął.

– Jestem zawsze w pobliżu, wasza wysokość. Wystarczy tylko zadzwonić.

– Dziękuję, Gell.

– Wasza wysokość – powiedział i wyszedł.

Cardenia zaczekała, aż oddali się od jej pokoju, a potem pozwoliła sobie na długą chwilę płaczu, chyba już po raz siódmy czy ósmy od czasu śmierci Naffy.

A potem przypomniała sobie, kiedy ostatnio widziała Naffę i co od niej usłyszała. Nie w rzeczywistości, ale we śnie. Cardenia spojrzała na drzwi prowadzące do Pokoju Pamięci, po czym zagłębiła się w myślach na kilka minut. Wreszcie wstała i weszła do środka.

Jiyi zjawiło się, gdy tylko przekroczyła próg.

– Witaj, imperoks Grayland II. Jak się miewasz?

– Jestem sama – powiedziała Cardenia i natychmiast znenawidziła się za to, jak niedojrzale i żałośnie to zabrzmiało, ale taka była prawda.

– W Pokoju Pamięci zawsze jesteś sama. Chociaż patrząc na to z innej strony, nigdy nie jesteś tu sama.

– Sam to wymyśliłeś?

– Ja nie myślę. Tak mnie zaprogramowano wiele lat temu.

– Dlaczego?

– Bo w końcu każdy z imperoksów mówi mi, że jest sam.

– *Każdy?*

– Tak.

– To... w jakiś dziwny sposób sprawia, że czuję się lepiej.

– To częsta reakcja.

– Jest tu prorokini, prawda? Rachela I?

– Tak.

– Chciałabym z nią porozmawiać.

Jiyi skinęło głową i zniknęło, a w jego miejsce pojawiła się kobieta. Była mała i przedstawiona w trudnym do bliższego określenia wieku średnim, co nie pokrywało się z tym, jak zazwyczaj wyobrażano prorokinię na obrazach, ukazujących ją jako młodą kobietę, z falującymi włosami i wyrazistymi kośćmi policzkowymi. Tu ani trochę nie wyglądała podobnie. W żaden sposób nie przypominała też Naffy. Cardenia na myśl o tym poczuła ukłucie rozczarowania, ale zaraz skarciła się za to w duchu. Nie istniał żaden powód, dla którego prorokini, poza jej snem, miałyby przypominać jej zmarłą przyjaciółkę.

– Jesteś Rachela I? – zapytała Cardenia hologram.

– Tak, to ja.

– Założycielka Wspólnoty i Kościoła.

– Zasadniczo.

– Zasadniczo?

– To trochę bardziej skomplikowane. W obu przypadkach. Jednak zdecydowaliśmy, że uczynienie mnie założycielką jednego i drugiego najlepiej przysłuży się mitologizacji, więc to właśnie rozgłosiliśmy.

– Byłaś prawdziwą prorokinią?

– Tak.

– Więc wiedziałaś, że to, co opowiadasz o Wspólnocie i jej fundamentach, stanie się prawdą?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ale właśnie powiedziałaś, że byłaś prorokiem.

– Każdy może być prorokiem. Musisz tylko rozgłaszać, że to, co mówisz, pochodzi od Boga. Albo bogów. Albo jakichś boskich duchów. Zależnie od tego, jak chcesz to ująć. A czy twoje słowa w ten czy inny sposób okażą się prawdą, to już inna sprawa.

– Ale stało się jak powiedziałaś. Głosiłaś nastanie Wspólnoty i tak się stało.

– Owszem, dobrze dla mnie, że do tego doszło.

– Więc nie wiedziałaś, że tak będzie.

– Już ci mówiłam, że nie. Ale na pewno ciężko pracowaliśmy, żeby *tak się stało* i aby nadać temu pozory nieuchronności. Rzecz jasna, cała ta mistyczna otoczka też zrobiła swoje. Cardenia uniosła brwi.

– Jesteś założycielką Kościoła.

– Tak.

– Jednak kiedy się ciebie słucha, nie wydajesz się jakoś wyjątkowo religijna.

– Nie, niespecjalnie.

– Albo żebyś wierzyła w Boga. Czy bogów.

– Tak naprawdę nie wierzę. Kiedy zakładaliśmy Kościół, umyślnie dążyliśmy do tego, żeby jego boski aspekt był tak niejasny, jak to tylko możliwe. Ludziom nie przeszkadza, że elementy mistyczne są słabo zdefiniowane, o ile zasady rządzące Kościołem są klarowne. Tak właśnie to urządziliśmy. Wzorowaliśmy się trochę na konfucjanizmie, który ściśle rzecz biorąc, nie był religią. Potem dorzuciliśmy z innych wyznań to, co uznaliśmy za użyteczne.

– Więc nie wierzysz w to, co głosi twój własny Kościół!

– Oczywiście, że wierzę – zapewniła Rachel. – Stworzyliśmy zestaw przykazań moralnych, aby powiązać ze sobą rozmaite systemy zamieszkane przez ludzi. Postąpiliśmy tak, bo uznaliśmy to za pożądane i do pewnego stopnia konieczne. Ponieważ wierzę w te przykazania, wierzę też w misję Kościoła. A przynajmniej w misję, jaką miał, kiedy go zakładaliśmy. Instytucje stworzone przez człowieka mają tendencję do odchodzenia z czasem od zamysłu swych twórców. A to stanowi kolejny powód, aby posiadać jasne

zasady.

– Ale element boski jest fałszywy.

– Stwierdziliśmy, że nie jest on bardziej fałszywy niż w jakiegokolwiek innej religii. No, w każdym razie, na ile posiadamy na to twarde dane.

Cardenia poczuła, że trochę jej słabo. To było coś zupełnie innego niż mówienie, że dominujący we Wspólnocie Kościoł to brednie. W tej akurat kwestii Cardenia miała pewność, odkąd zaczęła się nad tym zastanawiać. Było to niewygodne dla kogoś, kto został głową tego Kościoła, ale przynajmniej mogła to zachować dla siebie. Całkowicie inną sprawą było uzyskanie potwierdzenia, że założycielka Kościoła, a przynajmniej rdzeń jej myśli i wspomnień, które się na nią składały, już na samym początku oszukała ich wszystkich.

– Naffa miała rację – powiedziała Cardenia. – Wspólnota to oszustwo.

– Nie wiem, kim jest Naffa.

– To była moja przyjaciółka. Miałam sen, w którym pojawiła się jako ty i powiedziała mi, że Wspólnota to oszustwo.

– Gdybym to ja opowiadała tę historię, powiedziałabym, że doświadczyłam mistycznego nawiedzenia przez prorokinię.

– To był zwykły sen.

– Dla nas nie ma czegoś takiego jak zwykły sen – powiedziała Rachel I. – Imperokowie nigdy nie śnią tak po prostu. Miewają wizje. To jest właśnie jedna z naszych ról. A przynajmniej miała być, kiedy ja stałam się pierwszym imperoksem.

– Cóż, czegokolwiek doświadczyłam, nie była to wizja. To był sen.

– To był sen, który zmusił cię do myślenia. Sen, który sprawił, że zaczęłaś szukać mądrości. Sen, który skłonił cię do tego, żebyś poradziła się mnie, prorokini. Dla mnie to wygląda na wizję.

Cardenia po prostu się na nią gapiła.

– Jesteś niewiarygodna.

– Pracowałam w marketingu – oznajmiła Rachel I. – To znaczy, zanim zostałam prorokinią. Później zresztą też, ale po prostu nazywaliśmy to inaczej.

– Niełatwo mi uwierzyć w to, co teraz mówisz.

Prorokini kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– To nic niezwykłego. Prędzej czy później każdy z imperoków aktywuje mnie celem odbicia rozmowy takiej jak ta. W większości przypadków odpowiadają podobnie.

– W większości przypadków? A co z pozostałymi?

– Są szczęśliwi, że udało im się wszystko właściwie odgadnąć.

– A ty jak się z tym czujesz?

– Ja nic nie czuję. Nie jestem żywa. Ścisłe rzecz ujmując, mnie tu nie ma.

– „W Pokoju Pamięci zawsze jesteś sama i nigdy nie jesteś sama”.

Rachela I znów przytaknęła.

– Ja to powiedziałam. A w każdym razie coś w tym guście.

– Czy Wspólnota to oszustwo? – spytała Cardenia wprost.

– Odpowiedź na to pytanie jest złożona.

– Poproszę krótką wersję.

– Krótka wersja brzmi: „tak, ale”. Trochę dłuższa wersja to: „nie, i”. Którą wybierasz?

Cardenia znów przez chwilę wpatrywała się w Rachelę I. W końcu podeszła do jedynej ławki w Pokoju Pamięci i usiadła.

– Powiedz mi wszystko – zdecydowała.

ROZDZIAŁ 10

– Swędzi mnie – powiedział Marce Claremont do siostry.

– Co? – zapytała.

– Cała głowa.

Zmuszony okolicznościami, Marce ogolił całą głowę z wyjątkiem brwi i rzęs, a następnie doczepiono mu włosy i brodę, wyhodowane na podkładce z prawdziwej skóry, która miała jednak grubość samego naskórka. Wszystko przymocowano do ciała za pomocą kleju zrobionego z prawdziwych ludzkich kolagenów, a przynajmniej tak powiedziała osoba przytwarzająca mu te rzeczy do twarzy. Zaraz potem przyczepiono nakładkę na kciuk, przez co Marce czuł się, jakby miał na dłoni taśmę klejącą i usilnie walczył sam ze sobą, żeby natychmiast tego nie zdjąć. Na końcu założono mu soczewki kontaktowe, dzięki czemu zmienił mu się kolor oczu i wzór tęczówki. Miały one także holograficzne rogowki, które dawały fałszywemu wzorcowi siatkówki złudzenie głębi.

– Przez te szkła kontaktowe też ledwo co widzę.

– Za to masz dzięki nim całkiem niezły, jak dla ciebie, kolor oczu – zauważyła Vrenna. – Może zachowaj je sobie po wejściu na pokład.

– Bardzo śmieszne.

Oboje czekali przy windzie, która miała zabrać Marce'a na dół, do holu. Świeże nabytki w załodze *Tak, drogi panie* miały się tam zgromadzić celem załatwienia formalności, a następnie zawiezienia do portu, skąd wszyscy mieli się udać na statek. To pasowało Marce'owi, który dzięki temu mógł się wtopić w resztę nowych załogantów.

To jednak z kolei oznaczało, że właśnie spędzał ostatnie chwile z siostrą, bardzo możliwe, że na resztę życia.

– Powiedz tacie, że żałuję, że nie wpadłem, aby się pożegnać – powiedział do Vrenny.

– Powiem. Zrozumie. Zasmuci się, ale zrozumie. Jakoś sobie poradzi.

– A ty? Też sobie poradzisz?

Vrenna się uśmiechnęła.

– Jestem całkiem dobra w radzeniu sobie. Jak już nic innego nie działa, radzę sobie, szukając sobie zajęcia. A trzeba ci wiedzieć, że chodzą plotki, iż wkrótce wszyscy na Kresie będą naprawdę solidnie zajęci. W każdym razie mam plan.

– A co ten plan obejmuje?

– Najpierw wystawię Ghreniego Nohamapetana za okno jakiegoś wysokiego budynku za porwanie mojego brata. Niech sobie powisi.

Marce się roześmiał, ale zaraz zabrzmiał dzwonek windy i drzwi się otworzyły.

Vrenna zamknęła brata w mocnym uścisku, ucałowała go w policzek, a potem lekko pchnęła w kierunku windy.

– Leć. Opowiedz imperoksovi o wszystkim. Ocalcie wszystkich, jeśli zdołacie. A potem wracaj.

– Spróbuję.

– Kocham cię, Marce – powiedziała Vrenna, kiedy drzwi zaczęły się za nim zamykać.

– Kocham cię, Vrenno – odpowiedział Marce tuż przed tym, jak się domknęły.

Marce miał dwadzieścia pięter, żeby opanować emocje. Gdy winda się otworzyła, ujrzał kilkadziesiąt osób wałęsających się bez wyraźnego celu oraz troje ludzi w mundurach załogi rodu Lagos. Wzrok jednego z nich spoczął na nim, gdy tylko otworzyły się drzwi.

– Co ty, u licha, robisz w windzie?

– Szukałem łazienki – odparł Marce.

– Tam żadnej nie znajdziesz. Wyskakuj.

Marce wyszedł. Kobieta z załogi wyciągnęła ku niemu rękę po dokumenty, a on posłusznie je podał.

– Kristian Jansen – powiedziała, spoglądając na niego.

– Tak, to ja.

– Jakies powiązania z Knudem Jansenem?

– Raczej nie.

– Kiedyś go przyjmowałam na pokład. Też był z Kresu.

– Jest tu sporo Jansenów.

Kobieta skinęła głową, po czym wyciągnęła swój tablet.

– Kciuk.

Marce przycisnął fałszywy palec do urządzenia, które zeskanowało linie papilarne. Następnie kobieta przysunęła tablet do oczu Marce'a.

– Nie mrugaj. – Kamera przeskanowała jego soczewki kontaktowe. – Cóż, naprawdę jesteś Kristian Jansen i nie masz żadnych szczególnych zakazów ani długów. Twoje powinności względem związków zawodowych gildii są opłacone, a dossier jest w porządku. Witamy na pokładzie.

– Dziękuję, eee...

– Ndan. Starszy bosman Gtan Ndan.

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co, marynarzu. – Ndan zerknęła na plecak Marce'a. – Nie masz za wiele bagażu.

– Ktoś mi zakosił drugą torbę.

– To do dupy. Jak pozalatasz formalności, kopnij się do kwatermistrza po nowe ubranie. Policzy ci niemało, ale to już twój problem. Masz marki?

– Trochę.

– Gdy ci się skończą, znajdź mnie. Mogę ci pożyczyć.

– To bardzo miło z pani strony.

– Niespecjalnie. To interes. U mnie stawki też są niemałe.

Ndan wskazała palcem na zewnątrz, tam, gdzie czekał autobus.

– Wsiadaj. Odjeżdżamy za jakieś pięć minut. Dalej masz ciśnienie?

Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał, że Ndan mówi o wizycie w łazience.

– Dam sobie radę.

– No to zmykaj.

Odwróciła się, wypatrując, czy kogoś jeszcze trzeba przepchnąć przez procedury.

Przejście od drzwi holu do autobusu zajęło Marce'owi pięć sekund i całą drogę miał wrażenie, że za chwilę zostanie zdemaskowany. Udało mu się jednak dostać do autobusu bez specjalnych wydarzeń; znalazł miejsce i czekał. Spojrzał przez okno w górę, na budynek należący do rodu Lagos, i zastanawiał się, czy Vrenna patrzy w dół. Przez chwilę żałował Ghreniego Nohamapetana, którego niedługo jego siostra wystawi za ścianę podobnego budynku. Wtedy w pewnej odległości rozległo się stuknięcie, które brzmiało jak pocisk uderzający w budynek i Marce przypomniał sobie, że były inne rzeczy, o które Vrenna i ojciec będą musieli się martwić znacznie wcześniej.

Między autobusem a portem zaliczył kolejne sprawdzanie dokumentów i skanowanie kciuka przez imperialnych celników. Następnie wsiadł do windy orbitalnej, która go rozczarowała, bo nie miała okien, a na ekranie w ciasnej kabinie wyświetlały się tylko reklamy i informacje celne.

W pewnym momencie w czasie jazdy w górę Marce uświadomił sobie, że ma wrażenie, jakby ktoś mu dociskał jego (fałszywe) włosy do głowy. Powiedział o tym koledze siedzącemu obok. Ten przytaknął, ale nie podniósł wzroku znad tabletu, na którym coś czytał w skupieniu.

– Pole dociskowe – powiedział, a następnie wrócił do lektury.

Marce skinął głową sam sobie. Pola dociskowe, największe osiągnięcie ludzkości w dziedzinie sztucznej grawitacji. Obiekty w nich były ciśnięte od „góry” (gdziekolwiek w danym miejscu owa „góra” się znajdowała), nie zaś ciągnięte od dołu, jak ogólnie przyjęło się rozumieć działanie ciężenia. Fizyka pól dociskowych została odkryta przypadkiem. Jeszcze na Ziemi naukowcy próbowali rozwiązać problem ukształtowania niewielkiej bańki lokalnej czasoprzestrzeni wokół statku, aby móc wykorzystać właśnie odkryty Nurt. Skończyło się to wieloma pobocznymi ścieżkami w matematyce. Większość z nich nie przyniosła żadnych korzyści, ale jedna owszem i właśnie jej efekty naciskały na włosy Marce'a.

Spojrzał w górę i dostrzegł przewody generatorów docisku, biegnące przez całą długość przedziału pasażerskiego w postaci fluorescencyjnych świateł. Oczywiście rozumiał fizykę pól dociskowych, bowiem stanowiła ona element fizyki samego Nurtu, niemniej nigdy nie

opuszczał Kresu ani nie doświadczył działania pól. Teraz, gdy to nastąpiło, uznał to za nieco niepokojące. Nie podobało mu się uczucie, jakby wielka dłoń naciskała na jego głowę i ramiona, tak samo jak nie podobało mu się, jak fałszywe włosy układają się pod jej wpływem na jego czaszce. Rozejrzał się po przedziale i stwierdził, że był powód, dla którego większość z doświadczonych członków załogi miała włosy albo bardzo krótkie, albo ciasno związane w końskie ogony i warkocze.

Z windy orbitalnej wszedł na stację imperialną, która składała się z rotującej sekcji pierścieniowej, przeznaczonej dla marines i personelu imperialnego pozostającego na stacji przez dłuższy czas, oraz z osobnej sekcji przeznaczonej dla kupców, która używała pól dociskowych. Właśnie tam rozładowywano przylatujące statki i składano przywożony przez nie towar. Marce wraz z pozostałymi wysiadł w części dla kupców i natychmiast zrozumiał, dlaczego ludzie przebywający tu dłużej woleli mieszkać w pierścieniu. Pola dociskowe, tutaj ustawione na standardową grawitację, cisnęły niemal nie do wytrzymania.

Kiedy Marce i reszta byli prowadzeni do miejsca zbiórki załogi, zobaczył inną grupę ludzi czekających w rejonie załadunku. Byli to pasażerowie *Tak, drogi panie*, z którymi szedłby i on, gdyby nie fakt, że został porwany przez Ghreniego Nohamapetana, a następnie oznaczony jako poszukiwany cel. Owi pasażerowie na pewno nie wyglądali na uchodźców. Wyglądali na tego, kim byli – bogatych ludzi. Pakowali się ze swoimi dziećmi i bagażami liczonymi po tysiąc marek za kilogram, jak gdyby czekała ich jakaś przygoda, a nie ucieczka z rodzimej planety na zawsze.

Wprawdzie Marce nie miał zamiaru zaprzeczać, że zamierzał postąpić tak jak oni, ale czuł wobec nich niechęć, bowiem byli to ludzie, którzy tak naprawdę pozbywali się problemów, po prostu płacąc odpowiednią sumę pieniędzy.

„Cóż, jesteś hipokrytą” – powiedział mu jego mózg. Może i był. Z drugiej jednak strony nie odlatywał, żeby przed czymś uciec. On opuszczał planetę, bo ktoś musiał powiedzieć imperokswi, a potem objaśnić parlamentowi i wszystkim innym, jak to się wszystko skończy. Los po prostu zdecydował, że padło na Marce’a. „Niestety, dalej wychodzisz na hipokrytę” – konsekwentnie podpowiadał mózg.

Wyszli z obszaru załadunku i wkroczyli do tunelu prowadzącego ich ku rejonowi zbiórki i promowi. Przeszli przez ostatnią kontrolę dokumentów i odcisku kciuka, po czym prom odłączył się od stacji imperialnej i ruszył ku *Tak, drogi panie*. Tu też nie było okien. Stanowiłyby one niepotrzebne ryzyko w pustce kosmosu, gdzie i tak nie ma nic szczególnego. Tym razem jednak Marce’owi udało się uzyskać z tabletu dostęp do kamery. Gdy obraz o wysokiej rozdzielczości pojawił się na ekranie, zobaczył *Tak, drogi panie* z długą rurą kadłuba i dwoma obracającymi się pierścieniami. Statek wyglądał nieco niezgrabnie, ale też w jakiś dziwny sposób pięknie. Miał być jego domem przez następne dziewięć miesięcy.

– Co za jebana krypa – mruknął facet siedzący obok, zapuszczając żurawia w jego ekran.

– Myślę, że jest piękny – odparł Marce.

– Z daleka wygląda ładnie, ale mam kumpli, którzy już latali na statkach Lagosów. Wszystkie mają jakieś problemy. Ich rodzina kisi każdy grosz. Używają statków, póki się nie rozpadną, a naprawiają je, tylko jeśli grożą wybuchem. Przerazają mnie.

– A jednak zamustrowałeś się na statek rodziny Lagos.

– Chciałem się załapać do załogi *Mów do mnie jeszcze*, ale zostałem zatrzymany. Słyszałem, że kapitan pozwoliła piratom zabrać ładunek, więc dałem sobie spokój. Udało mi się dostać tutaj w ostatniej chwili. Warto zaryzykować. Na Kresie zaczyna się piekło.

– Rebelianci.

Mężczyzna kiwnął głową.

– To i coś jeszcze. Prądy Nurtu.

– Co? – zapytał Marce, odkładając tablet i koncentrując całą uwagę na człowieku siedzącym obok niego.

– Mój znajomek, który jest w załodze *Mów do mnie*, ten, który mi mówił, co tam się dzieje, powiedział, że wypadli z cholernego prądu w Nurcie, będąc w połowie drogi tutaj, i ledwo udało im się wlecieć tam z powrotem, bo inaczej zostaliby na zawsze. On ma jeszcze innego ziomka, który mu mówił, że to nie pierwszy raz. Prądy Nurtu w całej okolicy robią się kapryśne. To tylko kwestia czasu, zanim wszystko pierdolnie. Jestem cholernie pewny, że nie chcę być na Kresie, kiedy to się zacznie. Pochodzę z Kealakekua. Wracam do domu.

– Pierwszy raz o tym słyszę – powiedział Marce.

– No to pewnie nie latałeś na statkach przez kilka ostatnich lat. Wszyscy w załogach słyszeli plotki.

– Tylko plotki.

– Pewnie, tylko plotki, ale czego innego oczekiwać? – rzucił poirytowany mężczyzna. – Niektórym informacjom może zająć nawet pięć lat, zanim dotrą z jednego krańca kosmosu na drugi, a to, co mówią, może się zmienić w wyniku przekazywania z ust do ust. Słuchasz nie tego, co gadają, tylko tego, co się w tych opowieściach powtarza. A powtarza się teraz jedna rzecz: coś kurewsko dziwnego się wyprawia z Nurtem.

– No więc gildie o tym wiedzą.

Mężczyzna spojrzał na Marce'a jak na idiotę.

– Nie chcą wiedzieć. Statek wlatuje w Nurt i już z niego nie wylatuje, a oni mówią: cóż, piraci ich dopadli, zanim zdolali wysłać raport. Albo był jakiś problem z wytworzeniem bąbla w Nurcie i tam przepadli. Zawsze jest jakieś wyjaśnienie, w które łatwiej uwierzyć. A jeśli oni wierzą w to, w co chcą wierzyć, to kto powie o tym Wspólnocie? Ty? Ja? Już widzę, jak by nam, kurwa, uwierzyli.

– Mogliby.

– Cóż, ty spróbuj i daj mi znać, co wskórałeś. *Ja* mam zamiar polecieć do domu. Mam dzieci. Chcę je jeszcze zobaczyć.

Rozległ się dźwięk uderzenia i prom dobił do *Tak, drogi panie*.

– Nie martwisz się, że coś może się przytrafić temu statkowi, gdy będziemy w drodze? – zapytał Marce, gdy czekali, aż do doku zostanie wpompowane powietrze.

– Myślę, że statek jest bezpieczny. Nie chcę tu utknąć.

– Dlaczego?

– Mój kumpel z *Mów do mnie* słyszał, że ten prąd, to znaczy ten prowadzący z Kresu, staje się niestabilny.

– W jaki sposób?

– A skąd mam wiedzieć? To plotki, chłopie. Nie krążą z załączonym raportem naukowym. No ale mój przyjaciel się tym martwi. Zastanawiał się nawet, czy zmienić statek i zabrać się z nami. Tyle że cała załoga *Mów do mnie* jest uziemiona w celu złożenia oficjalnych zeznań, a on nie wiedział, gdzie może dostać fałszywą, ale wiarygodną tożsamość. Niełatwo jest oszukać biometrikę.

– Słyszałem.

Jego towarzysz skinął potwierdzająco.

– Tak że chłop utknął. I martwi się, że utknie tu na dobre.

– Są gorsze od Kresu miejsca, w których można utknąć – stwierdził Marce.

Mężczyzna prychnął.

– Otwarta planeta to nie miejsce dla ludzi. Nie ma to jak habitat w przyzwoitym pierścieniu.

– Ziemia była otwartą planetą.

– I ją opuściliśmy.

Drzwi promu się otworzyły i nowa załoga zaczęła wchodzić na pokład.

– Jak ma na imię twój przyjaciel? – zapytał Marce towarzysza. – Ten z *Mów do mnie*.

– A bo co? Chcesz mu wysłać list z kondolencjami?

– Może i tak.

– Sjo Tinnuin. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – A ja jestem Yared Brenn, jeśli cię to interesuje.

– Kristian².

– Nie, należę do Kocioła Wspólnoty. Zasadniczo. – I Brenn ulotnił się, zanim Marce miał szansę wyjaśnić pomyłkę.

Dla orientacji Marce zapamiętał drogę, którą pokonał godzinę później, gdy przydzielono mu kwaterę – malutką, szczelnie zamykaną koję w pokoju z piętnastoma innymi członkami załogi. Każdy z pozostałych również miał koję z zamknięciem, a wspólne były toaleta i przestrzeń mieszkalna. W przypadku tej ostatniej nie było szans, aby pomieściła równocześnie całą ich szesnastkę. Jako najświeższy nabytek załogi dostał najgorszą koję – znajdowała się najwyżej z czterech w pionie położonym najbliżej łazienki, na wysokości, gdzie zbierały się wyziewy z toalety.

Marce wślizgnął się do swojej koi, gdzie ledwie starczyło miejsca, aby usiąść, i podłączył tablet do systemu na statku. Czekala tam już na niego wiadomość o tym, gdzie i kiedy ma się zameldować nowemu przełożonemu. Wynikało z niej, że ma dla siebie pół godziny.

Marce otworzył aplikację, która umożliwiała mu wysyłanie anonimowych wiadomości tekstowych, i kliknął do Vrenny.

– *Tu twój przyjaciel Kristian.*

– *Już się z tobą pożegnałam. Psujesz mi tamtą chwilę* – odpisała Vrenna.

Marce się uśmiechnął.

– *Chcę, żebyś kogoś odszukała. Facet nazywa się Sjo Tinnuin. Jest jednym z członków załogi na Mów do mnie jeszcze. Musisz to zrobić, zanim Tak, drogi panie wleci w płyciznę Nurtu.*

– *No dobrze, ale dlaczego?*

– *Bo facet słyszał plotki na temat, który mnie tak bardzo interesuje.*

– *Uwielbiam, kiedy jesteś taki tajemniczy.*

– *Chodzi o tę rzecz, którą mam się zająć. Wystarczająco tajemniczo?*

– *Jak najbardziej.*

– *Dobrze. Bardzo by pomogło, gdybym się dowiedział, gdzie usłyszał te plotki. To dosyć niezwykle, że ktoś na ten temat plotkuje.*

– *Zajmę się tym. Jak statek?*

– *Jestem w koi o rozmiarach komody.*

– *Jestem zazdrosna. Ja mam tylko swoje potężne łóżko w pałacu, które stoi w pokoju o rozmiarach małej wioski.*

– *Nienawidzę cię.*

– *Ja też cię nienawidzę, Kristianie. Leć bezpiecznie. Wyślę ci na statek wiadomość, gdy tylko się czegoś dowiem.*

– *Dzięki.*

Tu Marce omal nie wpisał „siostró”, ale powstrzymał się i dodał tylko kropkę. Następnie wyłączył tablet, zamknął kaję i przeleżał kilka minut w nieprzyjemnie ciasnej ciemności, czując pierwsze ukłucia nostalgii.

ROZDZIAŁ 11

– Powiedziała pani, żebym informował, jeśli stanie się coś niezwykłego w czasie naszego lotu powrotnego z Kresu – powiedział do Kivy kapitan Tomi Blinnikka.

Minęły dwa dni, odkąd opuścili orbitę planety, a do płycizny Nurtu, którą mieli się dostać w prąd prowadzący do Hubu, został im kolejny dzień. Kiva i Blinnikka znajdowali się w prywatnym pokoju kapitana, niedaleko mostka *Tak, drogi panie*. Wraz z nimi siedział Nubt Pinton, szef ochrony. W pomieszczeniu mogłyby się swobodnie zmieścić tylko dwie osoby, a na dodatek Pinton był okropnie duży, więc Kiva miała wrażenie, że dosłownie może posmakować cząsteczek jego potu.

– Co tam? – zapytała.

Blinnikka aktywował tablet i pokazał Kivie. Widać było na nim bieżącą pozycję *Tak, drogi panie* w przestrzeni kosmicznej, jak również logarytmicznie zmapowane pozycje innych obiektów i statków w obrębie minuty świetlnej od nich.

– Zbliża się do nas statek.

– Do nas? Czy do płycizny?

– Do nas. Określiliśmy jego kurs i okazuje się, że przetnie się z naszym za jakieś czternaście godzin. Kiedy po raz pierwszy go spostrzegliśmy i wyznaczyliśmy kurs, założyłem, że on także kieruje się ku płyciźnie i nie zwróciłem uwagi, jak się on ma do naszej pozycji. Zwiększyłem naszą prędkość o pół procenta, żeby zachować odległość. Nie zareagowali natychmiast, ale w ostatnich godzinach też zwiększyli prędkość odpowiednio do naszej. Ewidentnie to my jesteśmy ich celem.

– A zatem piraci.

– Tak.

– *Głupi* piraci.

Najlepszym momentem, żeby dopaść statek, jest chwila, kiedy wychodzi on z Nurtu, a nie gdy próbuje się do niego dostać. Bezwładność i tak rzuci jednostkę będącą celem w płyciznę. Statki piratów były zwykle dość małe, dość szybkie i niemal zawsze miały lokalny zasięg. Innymi słowy, nie dysponowały urządzeniami umożliwiającymi utworzenie bąbla czasoprzestrzennego wokół ich jednostki. Gdyby wleciały w Nurt, niechybnie czekała je śmierć. Piratom atakującym statek opuszczający system prawdopodobnie pozostałoby bardzo niewielkie okienko czasowe, aby z powodzeniem przeprowadzić atak, dokonać abordażu, zabrać ładunek i się odłączyć.

– *Głupi*, albo mają plan, którego my nie rozumiemy.

– Poradzimy sobie z nimi, prawda?

Tak, drogi panie leciał z pełnym zestawem uzbrojenia defensywnego, ale zarazem niewielką ilością broni ofensywnych. Te drugie nie były, ściśle rzecz biorąc, legalne na statku handlowym, ale jebać to, czasami w kosmosie musisz strzelać jako pierwszy, a potem odpowiednio nakłamać w trakcie śledztwa gildii.

– Statek jest jeszcze zbyt daleko, żebyśmy mogli przyjrzeć się dokładnie jego możliwościom, ale jeżeli jego sygnatura ciągu jest poprawna, to mamy do czynienia z frachtowcem typu Winston. Pewnie jest podrasowany jak cholera, ale tak czy inaczej jest mały, a to ogranicza jego możliwości ofensywne. Raczej sobie z nimi poradzimy. *Jeśli* faktycznie mają zamiar złupić statek.

– A jaki inny mogą mieć zamiar? Zaprosić nas na herbatkę?

– Nie wiemy. Na razie obserwujemy ich i kontrolujemy.

– Możemy dotrzeć do płycizny przed nimi. Zwiększymy ciąg silników.

Blinnikka potrząsnął głową.

– Jeśli drugi raz zwiększymy prędkość, w bardzo trywialny sposób zdradzimy się z tym, że wiemy, że nas śledzą. Oni też przyspieszą i prawdopodobnie przechwycą nas jeszcze wcześniej. Jeżeli mamy zamiar ich wyprzedzić, to musimy przyspieszyć najpóźniej jak się da i w chwili, gdy będą na tyle blisko, żeby wystrzelić w nich te pociski, których ponoć nie mamy. Ale raz jeszcze powtarzam: to tylko w przypadku, jeśli zamierzają nas zwyczajnie złupić.

Kiva poczuła, że zaczyna się irytować.

– A jak, do kurwy nędzy, mieliby nas w tym przypadku złupić niezwykle?

– Nie wiemy, i o to właśnie chodzi. Zbliżają się do nas z niewłaściwego kierunku i nawet zakładając, że nie strawią czasu na walkę z nami, nie zostanie im go dość, aby przenieść cały ładunek. Powinni też jednak wiedzieć, że nie mamy nic wartego zrabowania. Piraci mają na stacjach szpiegów, którzy informują ich o tym, co według listów przewozowych transportują poszczególne statki. Dzięki temu mogą podjąć decyzję, kogo wziąć na cel. Nie muszą nawet być wyjątkowo sprytni, aby wiedzieć, że jedynym ładunkiem, jaki zabraliśmy z Kresu, są ludzie. Nie robiliśmy przecież z tego żadnej tajemnicy. Jeśli nie są naprawdę mocno spragnieni koncentratu z hawerfrutów, nie mamy dla nich żadnej wartości.

– Wiedzą, że nie mamy nic, czego by mogli chcieć, ale i tak lecą w naszym kierunku.

– Tak, i to mnie właśnie martwi.

Kiva skinęła głową.

– Dobra. Co jeszcze mamy?

– Jeden z naszych pasażerów zachowuje się dziwnie – powiedział Nubt Pinton.

– Wszyscy nasi pasażerowie to bogate dupki – odparła Kiva. – Dziwne zachowanie to część ich, nazwijmy to, uroku.

Pinton lekko się uśmiechnął.

– Nie śmiałbym polemizować. W tym jednak przypadku nie chodzi o to, że facet

zachowuje się ekscentrycznie, ale o to, że metodycznie ogląda statek.

Pinton wyciągnął swój tablet i wysłał zapis wideo na ten, który trzymała Kiva. Na filmie mężczyzna przechadzał się korytarzami statku i się rozglądał.

– O mój Boże! Ten człowiek chodzi! Trzeba go załatwić!!! – powiedziała Kiva.

– Nie w tym rzecz, że chodzi, tylko *gdzie* chodzi. To nie tak, że włóczy się po statku w ogóle, w sposób przypadkowy. Widzimy go w sektorach związanych z działaniem statku, napędem i systemami podtrzymywania życia.

– I tylko tam chodzi?

– Nie – odparł Pinton. – Gdzie indziej również. Tyle że do tych miejsc stale wraca. Nie zapuszcza się daleko i nigdy nie zostaje tam dłużej, ale wraca tam raz za razem.

– Dlaczego nie trzymacie pasażerów pod cholernym kluczem? – zapytała Kiva, wyłączając tablet. – Po co nam te gnojki włóczące się po statku?

– Taki mieliśmy z początku plan i w sumie wszyscy oni dostali listę rejonów, w które absolutnie nie wolno im się zapuszczać.

– A ten koleżka to ignoruje.

– Nie, ale podchodzi blisko. Nie skupia się jednak tylko na, powiedzmy, modułach związanych z działaniem silników. Raczej na tych miejscach, z których łatwo uszkodzić systemy napędowe.

– Co prowadzi nas do mojego pierwszego pierdolonego pytania, Pinton.

Szef ochrony pomachał tabletem, który trzymał w ręce.

– Nie pozamykaliśmy ich całkiem, bo pewien członek naszej załogi rozpoznał tego faceta i chcieliśmy się przekonać, co on kombinuje.

– To któryś z bogatych dupków?

– Właśnie w tym rzecz. Ten gość z naszej załogi twierdzi, że to nie jest bogaty dupek. To ktoś, kto *pracuje* dla bogatego dupka.

– Kto z załogi tak twierdzi?

– Nowy kwatermistrz o nazwisku Kristian Jansen. Rozumiem, że go pani zna.

– I mówi, że dla kogo ten gościu pracuje?

– Dla Ghreniego Nohamapetana.

– Dawać go tu natychmiast! – krzyknęła Kiva.

– Tak więc pracowałem dla rodziny hrabiego Claremonta – zaczął Jansen.

– Noż kurwa mać – warknęła poirytowana Kiva. – Marce, każdy w tym pokoju wie, że ty to ty.

– Nie byłem pewien – stwierdził w swojej obronie Marce.

– Teraz już jesteś, więc przejdźmy do rzeczy.

Marce skinął głową.

– Nie miałem zbyt wielu kontaktów z panem Ghrenim, ale widywałem go czasami na dworze księcia, a także podczas innych wydarzeń i przyjęć, na których obecność szlachciców uważana była za pożądaną. Ghreni był jednym z tych szlachciców i podróżował z całą świtą przyjaciół i pracowników. Ten tu – wskazał na tablet – to jeden z pracowników. Dawny wojskowy, pracuje dla Ghreniego jako ochroniarz.

– Jest pan tego pewien? – zapytał Blinnikka.

– Jestem – odparł Marce. – Vrenna kiedyś mi go pokazała. Oboje swego czasu służyli w tej samej jednostce. Powiedziała, że facet był kompetentnym żołnierzem, ale strasznie gównianym człowiekiem. Pewnego razu omal nie nakarmiła go jego własnymi jajami, bo w koszarach ciągle się do niej przystawiał. Później, ilekroć go widziałem, wyobrażałem sobie, jak by wyglądał z jądrami w ustach.

– To musi być cudowny obrazek – orzekła Kiva.

– Gdy tylko zobaczyłem go w pasażerskiej sekcji pierścienia, zaraz skontaktowałem się z ochroną – Marce skinął w kierunku Pintona.

– Jak zakładam, ten kutas podróżuje na fałszywych dokumentach? – Kiva spojrzała na szefa ochrony.

– Tak – potwierdził Pinton. – Według naszych rejestrów to Tysu Gouko. Trzeba pamiętać, że to my udostępniliśmy mu tę fałszywą tożsamość, więc nie możemy jej użyć przeciwko niemu. Jednak kiedy do nas przyszedł, przedstawił się jako koncesjobiorca rodziny Sykes o nazwisku Frinn Klimta.

– A jest jakiś prawdziwy Frinn Klimta?

– Możliwe, nie sprawdzaliśmy. Nie przypuszczaliśmy, że będzie to panią interesowało, skoro ich pieniądze są jak najbardziej prawdziwe.

Kiva zwróciła się do Marce'a.

– Jak ten fiut nazywa się naprawdę?

– Na imię ma Chat. Nazwisko to chyba Ubdal. Albo Uttal. Któreś z tych.

– Jakies pomysły, dlaczego tu jest?

– Ja nie mam żadnych – odparł Marce. – Skoro jednak przyszedł do was z fałszywą tożsamością, to wystarczający powód, żebyście nabrali podejrzeń.

– Kiedy zarezerwował miejsce na statku? – zapytała Kiva Pintona.

– Tuż przed odlotem. To jeden z ostatnich ludzi, którzy wykupili sobie bilet. Magnut policzył mu dodatkowo ćwierć miliona marek za późne zgłoszenie się.

– A więc to było już po twoim porwaniu. – Kiva wskazała na Marce'a.

– Tak.

– To jeden z facetów, którzy cię zgarnęli?

– Nie, na pewno bym zapamiętał.

– Więc nie wie, kim teraz jesteś?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie nie. Nie rozmawialiśmy jeszcze ze sobą.
- Ale rozpoznałby cię w tym przebraniu?
- Tak.

Kiva wyciągnęła rękę w kierunku Marce'a, chwyciła go za włosy i pociągnęła, a on krzyknął z bólu i zaskoczenia.

- Przestań! Nie zejdzie tak po prostu. Trzeba rozpuścić klej.
- Gdzie jest teraz ten dupek? – rzuciła Kiva do Pintoni.
- W pasażerskiej sekcji pierścienia. Co zamierza pani zrobić?
- Dowiedzieć się, co kombinuje.

– *Tak, drogi panie* jest w drodze – Blinnikka przypomniał Kivie. – Cokolwiek pani planuje, muszę to zatwierdzić. Nie chcę, żeby ten gnojek uszkodził statek.

– Będzie dobrze – obiecała Kiva, po czym zwróciła się do Marce'a. – A zatem ten dupek jest z marines.

- Kiedyś był. Teraz jest ochroniarzem.
- Myślisz, że dałbyś mu radę?
- Co? Nie!
- A ten fiut o tym wie?
- Tak.
- No dobra.

Zaczekali, aż Chat wyjdzie na przechadzkę, a następnie rozstawili kilku ludzi z ochrony na końcu korytarza, gdzie, jak wiedzieli, często chodził. Udawali, że najzwyczajniej w świecie ze sobą rozmawiają. Tamten ich zobaczył i stwierdził, że musi coś sprawdzić w swoim tablecie, po czym ruszył w kierunku, z którego przyszedł, ale tam natknął się na dwóch innych ludzi z ochrony. Zatrzymał się i chyba obliczał swoje szanse, kiedy na korytarz wszedł Marce, nie mając na sobie przebrania Kristiana Jansena, a potem zbliżył się do niego.

– Cześć, Chat. – Zdążył powiedzieć tylko tyle, bo w dłoni faceta nie wiadomo skąd zmaterializował się nóż, z którym ruszył wprost na niego.

Chwilę później Chat leżał na podłodze wstrząsany drgawkami, z trzema bełtami ogłuszającymi tkwiącymi mu w ciele.

– Już się poszczałeś? – zapytała Marce'a dziesięć sekund później Kiva, kiedy potwierdzono, że sytuacja jest opanowana. Ona i Pinton czekali trochę dalej w tym samym korytarzu i oglądali przekaz z kamery, którą podłączono przewodowo do tabletu.

– Może odrobinę – przyznał Marce, patrząc na powalonego Chata, którego ochroniarze właśnie podnosili z podłogi.

- Nie ma się co wstydzić. Każdy może się zmoczyć niczym pieprzony hydrant

przeciwpożarowy, gdy wyszkolony zabójca ma zamiar skoczyć ci do gardła z nożem.

– Możemy zmienić temat? – spytał żałośnie Marce.

– To może najpierw się przebierz, a potem idź się trząść w swojej koi – zasugerowała Kiva. – Na twoim miejscu to bym właśnie zrobiła.

– A co zamierzasz zrobić z nim? – Marce wskazał na Chata.

– Skłonić go do mówienia.

– To się nie uda.

– Co ty wiesz o moich metodach?

– Wyszkolono go, żeby nie mówił.

– Wyszkolono go też, żeby zabijał, i patrz, jak spierdolił sprawę.

– Chcę być przy jego przesłuchaniu.

– Nie chcesz.

– Chcę, naprawdę.

– Więc ujmę to inaczej, panie Marce. Spierdalaj mi stąd.

– Omal mnie nie zabił. Chyba zasługuję na to, żeby się dowiedzieć dlaczego.

– I może faktycznie ci powiem, ale później. Jednak jeżeli teraz nie zabierzesz stąd swojego dupska, i to w tej sekundzie, to sama cię dźgnę. I gwarantuję ci, że żaden z tych chłopaków z ochrony nie wpakuje we mnie bełta.

Marce spojrział, jakby miał zamiar coś dodać, ale potrząsnął tylko głową i odszedł.

– Umiejętności pani ludzi są znakomite – powiedział Pinton do Kivy.

– Ty też spierdalaj.

Pinton uśmiechnął się i wskazał na Chata, związanego i gotowego do przeniesienia.

– Wie pani, że on ma rację. Ten gość nie będzie mówił. Szkolą ich, jak stawić opór agresywnemu przepytывaniu.

– Agresywnemu przepytывaniu?

– To taki eufemizm, którym w imperialnym wojsku nazywaliśmy tortury.

– To nazwij to torturami, do kurwy nędzy!

– Chcę tylko powiedzieć, że wyszkolono go, aby poradził sobie ze wszystkim, co ludzie mogą mu zrobić.

– No to musimy się spisać lepiej niż ludzie.

– Dochodzi do siebie – powiedział Pinton jakiś czas później.

– Włącz głośniki – rozkazała Kiva. Pinton nacisnął przycisk otwierający kanał rozmowy.

– Dzień dobry, koński zwisie – powiedziała do Chata.

Ten rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– W śluzie zewnętrznej, w skafandrze EVA – odparła Kiva. – A w każdym razie w większości, bo może zauważyłeś, że brakuje hełmu.

– Zauważyłem – potwierdził Chat.

– Dobra. Umowa jest taka: powiesz nam wszystko, co wiesz, na tematy, o które będziemy pytać, nie wciskając nam żadnego gówna, a ja nie wywalę cię przez tę śluzę bez jebanego hełmu.

Chat wyglądał na podenerwowanego, dezorientowanego i wyczerpanego.

– Słuchajcie, ja nie wiem nawet, co...

Kiva wcisnęła przycisk komendy „Przedmuchiwanie awaryjne”. Drzwi śluzy się otworzyły i Chat został wysany w przestrzeń kosmiczną.

– No, szybko poszło – orzekł Pinton.

– Mówiłam ci, że ja się nie pierdolę – odpowiedziała Kiva.

Nacisnęła przycisk „Awaryjne przechwytywanie”. Wyciągarka z linką, która była przyczepiona do skafandra, włączyła się na najwyższym tempie, ściągając Chata z powrotem z potrójną prędkością.

– No dobra. Jak długo człowiek jest w stanie przeżyć w próżni kosmicznej?

– Jeśli nie wstrzyma oddechu... może z minutę.

– Gadał – zauważyła Kiva. – Nie miał czasu wstrzymać oddechu.

W mniej niż minutę Chat znalazł się z powrotem w śluzie, w której przy pomocy mieszanki bogatej w tlen przywrócono normalne ciśnienie. Po kolejnej minucie Chat się obudził, kaszląc i wymiotując. Spojrzał przekrwionymi oczami w górę, na zamontowaną w śluzie kamerę. Pinton znów włączył kanał komunikacyjny.

– Więc umowa jest taka – zaczęła Kiva. – Powiesz nam wszystko, co wiesz, na tematy, o które będziemy pytać, nie wciskając nam żadnego gówna, a ja nie wywalę cię przez tę śluzę bez jebanego hełmu. Trzeci raz powtarzać nie będę. Zacznieś coś odpierdalać, to umrzesz. Ogarniasz? – Chat zacharczał i przytaknął. – Możesz już mówić?

Wyciągnął dłoń w rękawicy i wystawił palec, jakby mówiąc „Dajcie mi chwilę”.

– I jak tam teraz? – zapytała dziesięć sekund później.

Chat spojrział w górę przekrwionymi oczami z miną wyrażającą mniej więcej: „Chyba sobie, kurwa, jaja robicie”, ale pokiwał głową.

– Jesteś Chat Ubdal.

Kiwnięcie.

– Wszedłeś na pokład pod fałszywym pretekstem.

Kiwnięcie.

– Pracujesz dla Ghreniego Nohamapetana.

Kiwnięcie.

– Który wysłał cię na ten statek.

Kiwnięcie.

– Żebyś zabił Marce’a Claremonta.

Chat wystawił rękę i pokiwał nią lekko na boki. „Tak jakby”.

– A to co ma, do chuja, znaczyć?

Chat próbował coś powiedzieć, przestał, przełknął ślinę i znów spróbował.

– Nie główny cel – zdołał wycharczeć.

– A jaki był główny cel?

– Sprowadzić go żywego.

– Jak, do cholery, miałeś zamiar wziąć go żywcem? Przecież nie dasz rady opuścić tego pieprzonego statku.

Chat spojrzął na drzwi śluzy, a następnie znów w kamerę, jakby chciał powiedzieć „Doprawdy?”.

– Nie dasz rady opuścić statku żywy, ty jebany kretynie.

– Piraci – wykrztusił Chat.

– Ja pierdołę – rzuciła Kiva, patrząc na Pintona.

– Piraci nie lecą po nasz ładunek – stwierdził szef ochrony. – Mają robić za prom.

– Ale możemy uciec piratom – powiedziała Kiva i znów spojrzała na Chata. – Chyba.

Ten potrząsnął głową.

– Bomba – powiedział.

– Bomba? – spytała Kiva niedowierzająco. – Miałeś zamiar podłożyć na statku cholerną bombę? – Chat skinął głową. – A w czym niby ci pomoże wysadzenie całego jebanego statku?

Chat potrząsnął głową i spróbował coś powiedzieć, ale chciał wydobyć z siebie za dużo słów na raz i się zakrztusił.

– Może ja spróbuję – powiedział Pinton i nachylił się, tak aby przepytwany mógł go usłyszeć. – Nie miałeś zamiaru wysadzać całego statku, prawda? Chciałeś tylko zakłócić działanie systemów na tyle, żebyśmy nie mogli wlecieć w Nurt.

Chat pokiwał głową i wycelował palce w kamerę, jak gdyby mówiąc „No to mnie masz”.

– Dlatego właśnie chodził tymi korytarzami – powiedział Pinton do Kivy. – Szukał odpowiedniego miejsca, żeby to podłożyć.

– I nie pomyślał, że go zauważymy? Blinnikka wywaliłby go w próżnię sekundę po tym, jak by to zrobił.

– Musielibyśmy sobie poradzić z uszkodzeniami i innymi skutkami eksplozji, a potem zjawiliby się piraci, więc przez jakiś czas bylibyśmy zbyt zajęci, żeby się nim martwić. Podejrzewam, że zamierzał odlecieć na statku pirackim razem z Claremontem.

– No dobra, ale jak wniósł na pokład tę jebaną bombę? Czy my, do ciężkiej cholery, nie sprawdzaliśmy wszystkich pod tym kątem?

– To pewnie nie jest zbyt wielka bomba i jakoś zdołał ją wnieść na statek. – Pinton znów się nachylił. – Jeśli przeszukamy twoje rzeczy osobiste, to zapewne znajdziemy elementy

potrzebne do zbudowania bomby, ukryte w przyborach toaletowych i innych drobiazgach, tak?

Chat znów pokiwał głową.

– No i proszę – powiedział szef ochrony.

– A to kawał skurwysyna – stwierdziła Kiva. – Chcę go wywalić w kosmos, tak dla zasady.

– Mikrofon. – Pinton wskazał urządzenie palcem.

Kiva uświadomiła sobie, że jest wystarczająco blisko otwartego kanału komunikacji, żeby Chat usłyszał ostatni komentarz. Spojrzała na ekran i zobaczyła jego zagubiony wyraz twarzy. Przewróciła oczami, po czym znów się nachyliła do mikrofonu.

– Nie mam zamiaru cię zabić, ty żałosny kutafonie. Chyba że przestaniesz mówić. Czy tam charczeć. Czy co tam teraz, do kurwy nędzy, robisz. Po prostu rób to dalej.

Następnie Kiva odwróciła się do Pinton.

– Wyłącz to na chwilę.

Szef ochrony kłapięciem ręki wyłączył kanał komunikacyjny.

– O co chodzi?

– Coś tu jest nie w porządku.

– Nic tu nie jest w porządku – odparł Pinton. – To jest w najwyższym stopniu popierdalone, proszę pani.

– Nie, chodzi o to... – Kiva wskazała na Chata, który czekał, wpatrując się w kamerę. –

Ten tu chce sprowadzić Claremonta z powrotem na Kres i żeby to zrobić, jest skłonny uszkodzić statek. Ghreni dogaduje się z pieprzonymi *piratami*, żeby go dostać w swoje jebane łapska.

– Powiedziała pani, że pan Ghreni próbował trzymać go jako zakładnika, żeby wymusić przekazanie imperialnych funduszy. Może po prostu bardzo ich potrzebuje.

– Dobra, jasne, ale ten kawał chuja – Kiva znów wskazała na Chata – próbował go zabić, gdy tylko został zdemaskowany i znalazł się w pułapce. Gdyby nie zdołał go sprowadzić z powrotem, miał go zabić. Ale gdyby go zabił, nie mógłby go wykorzystać jako cholernego zakładnika, no nie? No więc, o co tu, kurwa, chodzi? Po co Ghreni tak się spina?

– No, tu mnie pani ma – przyznał Pinton.

– Właśnie. Włącz kanał. – Szef ochrony zrobił, jak powiedziała. – No to teraz naprawdę ważne pytanie, Chat. Jeśli nie uwierzę w to, co powiesz, płuca wyjdą ci nosem, jasne?

Chat kiwnął głową.

– Dlaczego twój szef tak cholernie chce dostać Marce'a Claremonta?

– Nie wiem – wycharczał tamten.

– Jebane *płuca*, Chat.

– Nie *wiem* – powtórzył Chat z taką emfazą, że ostatnie słowo zabrzmiało jak pisk. – Myślałem, że okup. Ale to bez sensu.

– Bo kazali ci go zabić, jeśli nie zdołasz przyprowadzić go żywego?

Chat przytaknął.

– No to może, kurwa, *zgadniesz?* – zapytała Kiva. – Pracujesz z Ghrenim. Musiałeś coś słyszeć. Na pewno możesz trochę *pospekulować*.

Chat potrząsnął głową.

– Nie mówi. Chyba że to dotyczy, nic.

– Ale to ciebie *dotyczy*, Chat.

– *Zrobić*. Nie *dla czego*.

Kiva spojrzała na Pintoną, a ten wyłączył kanał komunikacyjny.

– No i? – zapytała.

– Myślę, że mówi prawdę.

– *Wiem*, że gnojek mówi prawdę. Chcę wiedzieć, co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić.

– Cóż, nie wyrzucimy go w przestrzeń. – Pinton wskazał palcem na Chata. – Okazał się skłonny do współpracy.

– Próżnia kosmiczna działa cuda.

– Więc już nie stanowi dla nas problemu. Nadal jednak mamy na ogonie piratów. A skoro pan Ghreni jest skłonny posunąć się tak daleko, żeby odzyskać Claremonta, to musimy się dowiedzieć, jaki ma plan, na wypadek gdyby Chat zawiódł.

– Chcesz powiedzieć, że piraci mają albo wrócić ze zdobyczą, albo upewnić się, że jest martwa?

– Właśnie.

– A jeśli przy okazji zginiemy również my wszyscy, to widocznie tak musiało być.

– Tak.

– Kurwa, no cóż, Pinton – stwierdziła Kiva. Spojrzała znowu na Chata. – To chyba lepiej dajmy im to, czego chcą.

ROZDZIAŁ 12

Tablet Marce'a zadzwonił z nakazem, aby zameldował się u Nubta Pintona. Przez chwilę zastanawiał się, czy posłuchać rozkazu, ale w końcu zaczął iść korytarzami statku, rozbudzając się coraz bardziej oraz nabierając świadomości i przyzwyczajając się do tego, co się działo dookoła. Ponieważ statek w tej chwili przyspieszał, sztuczna grawitacja pochodziła w większym stopniu z pól dociskowych niż z rotacji pierścienia i Marce czuł się przyciskany do podłoża. Zauważył jednak, że przeszkadza mu to znacznie mniej niż jeszcze kilka dni temu. Najwyraźniej ciało mogło się do takich rzeczy przyzwyczaić.

Nubt Pinton czekał na niego w areszcie *Tak, drogi panie* – niewielkim, mało przyjemnym pomieszczeniu z jeszcze mniejszymi i mniej przyjemnymi celami. W jednej z nich siedział Chat Ubdal. Marce spojrzał na niego, a tamten odwzajemnił spojrzenie, mając nienawiść w oczach.

- Wygląda fatalnie – powiedział Marce.
- No cóż, pani Kiva wyrzuciła go przez śluzę.
- Wywaliliście go w *kosmos*?
- Uhm.
- I nie umarł?
- Wyrzuciliśmy go tylko na chwilę.

Marce ponownie spojrzał na Chata, którego gałki oczne wyglądały, jakby ktoś je przejechał czerwonym sprayem.

- Prawie mi go żal.
 - Nie łam się, panie Marce. On by cię zabił, gdyby tylko miał szansę.
 - Chciał się pan ze mną widzieć – powiedział Marce, odwracając się tyłem do Chata.
 - Tak, owszem. Musiałem się panu dobrze przyjrzeć.
 - W porządku, ale dlaczego?
 - Na ogonie siedzą nam piraci. Pański niedoszły zabójca powiedział nam, że ich plan polega na zgarnięciu pana ze statku. Podejrzewamy, że jeśli im się to nie uda, prędzej zniszczą *Tak, drogi panie* niż pozwolą panu uciec. Moglibyśmy z nimi powalczyć, ale jeśli ich celem jest zniszczenie całego statku, a nie abordaż, to nasze opcje są ograniczone.
 - Chce pan mnie oddać?
 - Gdybym miał taki zamiar, nie rozmawialibyśmy teraz. Kazałbym pana ogłuszyć, kiedy by pan nie patrzył, a następnie przygotowałbym pana do wysyłki.
 - Dobrze wiedzieć.
- Pinton skinął głową.

– Chcę od pana usłyszeć, że jest pan chętny pomóc nam się uratować. Nas i pana. A może też przy okazji wbić jedną czy dwie szpile piratom i tym, którzy stoją za całą sprawą.

– Ma pan na myśli Ghreniego Nohamapetana?

– Tak, właśnie jego.

– Wchodzę w to.

– To nie będzie pozbawione ryzyka.

– Nieważne, jestem z wami.

– Dobrze.

– To jak to zrobimy?

Pinton wskazał palcem Chata.

– Pierwsze, co zrobimy, to upozorowanie, że jemu się udało.

– Zabić mnie?

– Podłożyć bombę, która miała nam uniemożliwić wejście w Nurt. Kiedy to zrobimy, będziemy raczej pewni, że piraci nas powitają, a potem przedstawią swoje żądania.

– A co zrobimy potem? – zapytał Marce.

– Cóż – odparł Pinton. – Zauważył pan, że macie z Chatem mniej więcej podobne rozmiary oraz kolor włosów i skóry?

– W sumie to nie.

– A ja tak.

Fałszywa bomba „wybuchła” pół godziny później i *Tak, drogi panie* wysłał na stację imperialną wezwanie o pomoc otwartym tekstem, zawiadamiając o swoim niewesołym położeniu. Pomysł polegał na tym, żeby na stacji mieli świadomość, co się stało, i przygotowali działania ratunkowo-poszukiwawcze, do których realizacji przystąpią, kiedy *Tak, drogi panie* wyśle później jeszcze bardziej rozpaczliwie wezwanie o pomoc. Minusem było to, że nawet najszybsze imperialne kutry dotrą do nich najwcześniej po upływie całego dnia. *Tak, drogi panie* był sam, zdany na łaskę niewielkiego statku, który leciał jego śladem, i zaledwie kilka godzin dzieliło go od przechwycenia.

Zgodnie z oczekiwaniami piraci wysłali powitanie wkrótce po tym, jak nadano wezwanie o pomoc.

– Wolny frachtowiec *Czerwona róża* wita *Tak, drogi panie, to moje dziecko* – brzmiała wiadomość.

Marce usłyszał ją na mostku, gdzie stał w rogu razem z Kivą Lagos. Trzymali się z boku, żeby nie przeszkadzać, ale musieli się przysłuchiwać, co będzie się działo dalej.

– Piątek rodziny Lagos *Tak, drogi panie, to moje dziecko* odpowiada na powitanie – powiedziała Dreaan Musann, oficer łączności.

– Domyślamy się, że coś się u was dzieje. Prosimy o pozwolenie na podejście od boku i udzielenie pomocy.

– Kapitan dziękuje za waszą chęć niesienia pomocy, ale mówi, że aktualnie niczego nam nie potrzeba. Prosimy o zachowanie obecnego dystansu.

– Martwimy się, że jeśli wydarzy się coś jeszcze, nie będziemy w stanie udzielić wam odpowiedniej pomocy. Przemieszczamy się celem zajęcia pozycji z waszego boku.

– *Czerwona róża*, kapitan po raz kolejny dziękuje, ale pragnie was powiadomić, że troska o wasz statek, w sytuacji jeśli coś się stanie, skłania nas do ponownej prośby o zachowanie obecnego dystansu.

– Dziękujemy waszemu kapitanowi za troskę, ale sądzimy, że warto podjąć takie ryzyko. Podchodzimy, aby udzielić pomocy.

– Dobra, starczy tej gry wstępnej – powiedział Blinnikka do Musann.

– Tak jest – odparła Musann i odwróciła się do swojej konsoli. – *Czerwona róża*, kapitan Blinnikka formalnie prosi, żeby przestać pierdolić i przejść do rzeczy.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Zrozumiano – nadeszła w końcu odpowiedź. – Proszę zaczekać.

Blinnikka odwrócił się do Kivy Lagos.

– Jak tam nasze przygotowania?

– Pracujemy jak przysłowiowa jebana pszczołka – odparła.

Kapitan kiwnął głową, rzucił okiem na Marce'a, a następnie skupił uwagę na ekranie dowodzenia.

Mimo okoliczności Marce był podekscytowany. To był jego pierwszy raz w jakimkolwiek punkcie dowodzenia i spokojny profesjonalizm załogi mostka *Tak, drogi panie* w obliczu czegoś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stanowiło wrogie działania, był krzepiący. „To dobrzy ludzie – uznał Marce. – Może z wyjątkiem Kivy Lagos”. Nie udało mu się jej jeszcze do końca rozgryźć.

Zerknął na panią Kivę, której wyraz twarzy można było odczytać jako pełną determinację albo protekcyjnalne zadowolenie z siebie, w zależności od własnego nastawienia względem jej osoby. Wszystkie doświadczenia, jakie Marce z nią miał, mówiły, że nie jest to kobieta, z którą warto zadzierać. Przypominała mu w tym aspekcie Vrennę, choć nie miała tak rozbudowanego kręgosłupa moralnego.

– Co się tak uśmiechasz? – zapytała Kiva, przyłapawszy go na przyglądaniu się jej.

– Właśnie myślałem o tym, jak wyrzuciłaś Chata w próżnię – skłamał Marce.

– No i co?

– Zastanawiałem się, czy wywaliłabyś go na amen, gdyby nie chciał mówić.

– Och, tak. Skurwysyn miał zamiar podłożyć mi na statku bombę. Nie odpierdasz żadnego gówna z moim statkiem. Nie odpierdasz żadnego gówna z moimi ludźmi.

– Jestem teraz członkiem załogi – powiedział Marce. – To znaczy, że też jestem jednym

z twoich ludzi.

– I nie wystawimy cię, prawda?

– Mam taką nadzieję.

– No widzisz. Nie zachowuj się jak kutas, Claremont.

Marce się uśmiechnął.

W kanale komunikacyjnym między dwoma statkami znów dały się słyszeć trzaski.

– Kapitan Wimson z *Czerwonej róży* prosi o bezpośrednie negocjacje z kapitanem Blinniką z *Tak, drogi panie*.

Kapitan włączył swój osobisty kanał.

– Tu Blinnikka.

– Rozumiem, kapitanie, że chce pan skończyć pierdolenie?

– Jeśli wam to nie przeszkadza, kapitanie.

– Na pewno nie. Dlaczego nie zachować się w sposób cywilizowany? Właśnie się przekonujecie, że tak właśnie podchodzimy do sprawy.

– Jesteście piratami. Lecieliście za nami przez większość dnia.

– Zgadza się. A teraz już wiecie, że jeden z naszych współpracowników uniemożliwił wam wejście w Nurt.

– Potwierdzam.

– Jednak dzisiaj jest wasz szczęśliwy dzień, kapitanie. Jesteśmy skłonni pozostawić wam towar i nie przeszkadzać, niezależnie od tego, czy postanowicie naprawić swój statek, czy zawrócić w kierunku stacji imperialnej. Wszystko, czego od was chcemy, to dwie osoby.

– To znaczy które?

– Pierwsza to nasz współpracownik, ten, który podłożył bombę, i jestem pewien, że obecnie siedzi u was w areszcie. Drugi to jeden z pasażerów, pan Marce Claremont.

– Kapitanie, nie możemy przekazać wam waszego współpracownika.

– „Nie możemy” to bardzo mocne sformułowanie, kapitanie.

– Wyrażę się jaśniej. Możemy wam go przekazać, ale w formie bardzo małych kawałeczków. Najwyraźniej źle nastawił bombę. Wyparował razem z nią.

– To ci pech.

– Jeśli chcecie, możemy zeszkrobać go ze ścian i podrzucić wam w worku.

– Nie, dziękuję. Jego odzyskanie było opcjonalne. Co innego pan Marce.

– Na naszej liście pasażerów nie ma Marce’a Claremonta, szlachcica czy kim on tam jest.

– Myślałem, że osiągnęliśmy zgodę w kwestii pierdolenia, kapitanie. Claremont jest teraz na waszym statku pod nazwiskiem Kristian Jansen, której to tożsamości ród Lagos używa, kiedy chce kogoś przemycić poza system. Możesz przekazać swoim pracodawcom, że powinni zmieniać takie dane częściej niż to mają w zwyczaju. Macie na pokładzie Kristiana Jansena, tak?

– Mamy.

– Dobrze.

– Jest jednak pewien problem.

– Kapitanie Blinnikka, z ubolewaniem muszę pana poinformować, że jeśli „problem” polega na tym, że Claremont również jest w drobnych kawałkach, to będę zmuszony w takie same kawałki zamienić wasz statek.

– To znaczy?

– To znaczy, że albo dostanę Claremonta żywego, albo zniszczę *Tak, drogi panie*. Takie macie opcje.

– Zabralibyśmy was ze sobą – odparł Blinnikka.

– Nie, nie zabralibyście. No więc? Jaki jest problem z Claremontem?

– Żyje, ale obecnie jest w śpiączce farmakologicznej.

– Dlaczego?

– Bo kiedy bomba eksplodowała, był w korytarzu z waszym „współpracownikiem”. On i kilku innych członków załogi próbowało przeszkodzić waszemu kumpłowi. On przeżył, ale dwóch innych członków załogi nie.

– Moje kondolencje, kapitanie.

– Właśnie groził pan zniszczeniem mojego statku i zabiciem całej załogi, kapitanie. Pańskie kondolencje są bezwartościowe.

– Rozumiem. Czy Claremont jest w stanie podróżować?

– Możemy wam go przekazać żywego i w stanie stabilnym. Reszta zależy od was.

– Zgoda. Podejmiemy do was za trzy i pół godziny. Będziemy mieli gotowy prom, żeby go przetransportować.

– Nie, my wyślemy prom do was.

– Kapitanie...

– Żaden z was nie postawi nogi na moim statku. Chcecie go, w porządku. Damy go wam, ale to my wybierzemy się do was.

– Więc chcę, żeby był pan na pokładzie tego promu. To takie zabezpieczenie, na wypadek gdyby przyszło wam do głowy podesłać nam bombę wielkości promu.

– Wykluczone – odpowiedział Blinnikka – ale wyślemy wam przedstawiciela właścicieli. Będzie równie dobrym zabezpieczeniem. Poza tym poleci ktoś z personelu medycznego. Oboje zostaną na promie. Wy wyślecie swoich ludzi, żeby stamtąd przejęli Claremonta. Całość ma zająć nie więcej niż dziesięć minut. Jeśli potrwa to dłużej, oba nasze statki zmieniają się w wielką kulę ognia. Wierźcie albo nie.

– Załatwione. Poinformujemy, kiedy będziemy gotowi, żeby was przyjąć. *Czerwona róża* bez odbioru.

Połączenie zostało przerwane.

– Dziękuję za zgłoszenie mnie na ochotnika, dupku – powiedziała Kiva, gdy tylko zakończyli rozmowę.

– Statek się zbliża – odparł Blinnikka. – Teraz ja dowodzę, pani Kivo. I muszę cię prosić, żebyś to zrobiła. Więc niech się pani zamknie i to zrobi.

– Dobra. – Wycelowała palec w Marce’a. – Idziesz ze mną. Gratulacje, właśnie zostałeś awansowany na członka zespołu medycznego. – Tu zerknęła na Blinnikkę. – Okej?

Ten przytaknął.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – wtrącił Marce.

– To nie jest głosowanie. No i powiedziałeś Pintonowi, że chcesz pomóc. Przestań jęczeć jak cholerne dziecko.

– Mogłaś zwyczajnie powiedzieć: „Potrzebuję twojej pomocy”.

– Dobra. Potrzebuję twojej pomocy. Przestań jęczeć jak cholerne dziecko.

– Nie zabrzmiało to dużo lepiej.

– Gdzie masz przebranie Kristiana?

– Wyrzuciłem.

– No to je znajdź. A potem goń do przedziału medycznego. Mamy kilka rzeczy do zrobienia.

– Wyciągnij kciuk – nakazała Kivie technik medyczna z *Czerwonej róży*.

– Że co, kurwa?

Technik westchnęła, odwróciła się i zawołała coś w kierunku otwartego trapu promowego. Wkroczył na niego członek załogi *Czerwonej róży* uzbrojony w miotacz.

– Wyciągnij kciuk albo Sax odstrzeli ci łeb – powiedziała technik.

Kiva zrobiła, o co tak miło prosili. Technik sprawdziła odcisk, a następnie przeskanowała siatkówkę.

– Jesteś pani Kiva Lagos – powiedziała.

– Jak, do chuja, weszłaś do bazy danych naszego personelu? – zapytała Kiva.

Technik zignorowała ją i podeszła do Marce’a.

– Kciuk – powiedziała, a Marce wyciągnął palec. – Gusteen Obrecht – orzekła.

Podeszła z kolei do ciała leżącego na noszach. Tym razem sama sprawdziła kciuk i siatkówkę oraz pobrała krew z żyły na lewej ręce. Marce obserwował ostatni test i czekał na wynik.

– Marce Claremont – potwierdziła, a wtedy Sax zawołał kolejną osobę z załogi *Czerwonej róży*, która weszła na pokład promu i pospiesznie odjechała noszami. Technik medyczna skinęła głową Kivie i Marce’owi, po czym się odwróciła.

– Hej! – zawołała Kiva. Technik odwróciła się z powrotem, a Kiva sięgnęła po niewielki plecak (był to ten sam plecak, który Marce wniósł na pokład *Tak, drogi panie*) i podała go tamtej.

- Co to jest? – zapytała technik.
- To, co miał ze sobą, wsiadając na statek. Jakies przybory toaletowe i inne drobiazgi.
- Może jak już odzyska przytomność, będzie chciał się ogolić – dodał Marce.

Technik wzięła plecak i skinęła głową obojgu, a potem opuściła prom.

- Dobra, odłączajmy się i spierdalajmy stąd w podskokach – powiedziała Kiva.
- Zdecydowanie – zgodził się Marce.

Kiva walnęła kilka razy w drzwi do kabiny pilota, aby dać mu sygnał, że wymiana dobiegła końca.

- Denerwowałaś się? – spytał Marce, gdy prom ruszył z powrotem ku *Tak, drogi panie*.
- Czym?

– Wymianę. Kiedy sprawdzali, czy ciało Chata ma moje geny.

– Nie – odparła Kiva. – Nakładka na kciuk i kontakty, które zrobiliśmy w oparciu o twoje próbki, były tej samej jakości co inne, robione na potrzeby naszych fałszywych tożsamości. Nasze urządzenia medyczne są pod tym względem najwyższej jakości.

Marce kiwnął głową, a następnie trochę się skrzywił, pamiętając, co musiał wytrzymać, aby można było od niego pobrać próbki rogówki na materiał do powielenia komórek, z których potem zrobiono nakładki kontaktowe na gałki oczne Chata. Zarówno one, jak i ta na kciuk były wariantami szybkorosnącymi, co budziło ryzyko, że wystąpią anomalie genetyczne, które ujawnią oszustwo, ale okazało się, że mieli szczęście.

- Miałem na myśli pobranie krwi.

Kiva wzruszyła ramionami.

– To była twoja krew. Wzięliśmy ją od ciebie, odcięliśmy główne naczynia w jego rękach od reszty krwioobiegu, odessaliśmy krew i wtoczyliśmy twoją. To nie takie skomplikowane.

- Nie wiedziałem, czy przetoki wytrzymają.

– Niedługo puszczą, a wtedy powróci u niego normalne krążenie. Jeśli będzie miał szczęście, mięśnie nie dostaną martwicy i nie będzie trzeba mu amputować rąk.

- A jak nie będzie miał szczęścia?

– To niech się idzie szturchać. Próbował mi podłożyć bombę na statku!

– I zabić mnie – przypomniał Marce.

- Fakt – zgodziła się Kiva.

– A gdyby nam się nie udało?

– Masz na myśli, co by się stało, gdyby się połapali, że to Chat jest na noszach, podczas gdy my nadal byśmy tam byli?

- Tak.

– Miałam plan B.

– Jaki? Zwiewamy?

– Nie. Wtedy dałabym im ciebie.

- Co? – Zszokowany Marce spojrzał na Kivę.

– Nie patrz tak na mnie. Jak ci się zdaje, dlaczego kazałam ci lecieć ze mną? Bo lubię twoje towarzystwo?

– Myślałem, że jestem teraz jednym z twoich ludzi.

– Taaa, ale jesteś *nowy* – uściśliła Kiva – a ja muszę myśleć o całym mnóstwie innych ludzi.

Marce nie powiedział już nic więcej przez resztę tej krótkiej podróży.

Gdy wyszli z promu na *Tak, drogi panie*, a statek zaczął nabierać prędkości, oddalając się od *Czerwonej róży*, odezwał się tablet Marce'a, sygnalizując nadejście wiadomości od Vrenny.

Ruszyłam śladem tego, o co mnie prosiłeś. Sjo Tinnuin słyszał plotki od przyjaciela, który pracuje dla rodu Nohamapetan. Twierdzi, że przez ostatnie kilka lat płacili im za dane nawigacyjne ze statków. To oznacza, że może dostrzegają niektóre ze spraw, które i my widzimy. Nie wiem, co to oznacza dla nas, ale myślę, że raczej nic dobrego.

Uważaj tam na siebie. Już za tobą tęsknię.

V.

Kiva klepnęła Marce w ramię. Spojrzał na nią, odrywając wzrok od tabletu.

– Chodź ze mną – powiedziała.

– Jestem zmęczony – odrzekł Marce, odkładając urządzenie.

– Naprawdę myślisz, że będziesz spał spokojnie, zanim wlecimy w Nurt, a ci cholerni piraci zostaną daleko za nami? Chodź.

Wyszła z doku promowego. Marce wpatrywał się przez chwilę w jej plecy, a potem ruszył za nią.

Poszli do jej kajuty. Gdy tylko Marce wszedł, poczuł ukłucie zazdrości.

– Masz kajutę rozmiaru pokoju – powiedział do Kivy, która weszła za nim do środka.

Wpatrywał się w ogromnych rozmiarów ścianę naprzeciwko niego, na której wisiały harmonogramy, notatki i osobiste zdjęcia.

– Jasne, że mam – odparła Kiva. – Moja rodzina jest właścicielem tego statku, a ja jestem przedstawicielem właściciela. Myślisz, że wsadziliby mnie w jebaną koję?

– Nie, myślę, że nie. To po prostu zabawne.

– Nie takie znów zabawne.

– Powiedziała kobieta, która nie śpi w koi o rozmiarach trumny.

– Ty też tam dzisiaj nie spisz.

– Co? – spytał Marce, odwracając się do Kivy, która nie miała już na sobie ani skrawka odzieży.

– Będziemy się pieprzyć – oznajmiła.

– Eee, dobra – wyjąkał Marce, po czym zamilkł na chwilę. – Nie, czekaj. Jestem

skołowany.

– Uprawiałeś już seks, prawda? – Marce pokiwał głową. – Z kobietą? – Znów skinęcie. – I *spodobało* ci się.

– Tak...

– No to czym się tu kłopotać? – zapytała, podchodząc do niego.

– W sumie to nie przypuszczałem, że mnie *lubisz*.

– Lubię cię dokładnie tyle, ile trzeba – chwyciła jego pasek i zaczęła rozpinać klamrę.

– Miałaś zamiar oddać mnie piratom, jeśli będzie trzeba. Jakies dziesięć minut temu.

– Tak. No i?

– Mówisz mi, żebym stulił pysk, za każdym razem, kiedy gdzieś idziemy.

– Każdemu mówię takie rzeczy.

– Chodzi mi o to, że...

– Słuchaj, oboje mieliśmy stresujący dzień – powiedziała Kiva, ściągając mu spodnie. – Tak że teraz możesz albo stać jak kołek, próbując gadać o rzeczach, które się *nie* wydarzyły, a w takim wypadku wywalę twoje dupsko za drzwi i pójdiesz do tej malutkiej koi, żeby wachać własne bździny, póki nie zaśniesz, albo możesz się zamknąć, rozebrać tak jak ja, a potem będziemy się bzykać, póki nie padniemy z wyczerpania. Wybór należy do ciebie, ale na twoim miejscu wiem, na co bym się zdecydowała. To jak? Pieprzymy się czy nie?

– To twoja wersja romansu, tak? – zapytał Marce.

– Z grubsza rzecz biorąc – odparła Kiva, po czym zaciągnęła go do łóżka.

Kilka godzin później, kiedy Marce drzemał z Kivą wtuloną w niego, na statku rozległ się długi, delikatny pisk.

– Mmmmmm – Kiva otworzyła oczy.

– Co to było?

– To sygnał, że wlecieliśmy w Nurt.

– Więc jesteśmy bezpieczni.

– W Nurcie nic nie jest bezpieczne. Jeśli nasz bąbel się rozpadnie, przestaniemy istnieć.

– Mam na myśli to, że nie musimy się martwić o piratów albo Ghreniego Nohamapetana – wyjaśnił Marce.

Czuł jej ciało obok siebie, a zaraz potem erekcję. Kiva też to poczuła i przekręciła się tak, żeby znaleźć się nad nim, ustawiając go w takiej pozycji, jaką chciała, a potem nadziała się na niego.

– Nie, nie musisz się martwić piratami czy jebanymi Nohamapetanami – zapewniła, poruszając się na nim. – Możesz się jednak zacząć martwić *mną*.

Marce uśmiechnął się na te słowa.

– Jeśli tym mam się martwić, to jakoś dam sobie radę.

– To nie tym powinieneś się martwić.

– Więc o czym ty mówisz?

- O powodzie, dla którego Ghreni Nohamapetan był, kurwa, skłonny cię zabić, Marce.
- Czekaj, czy my faktycznie rozmawiamy? – Uniósł się na łokciach. – Teraz?

Kiva pchnęła go z powrotem na łopatkę.

– Tak, naprawdę teraz rozmawiamy – odrzekła, przyspieszając. – Mogę bez żadnego jebanego problemu robić jedno i drugie. I sprawa wygląda tak: powiesz mi to, czego mi nie mówisz, cokolwiek to jest. Powiesz mi, dlaczego jesteś na tym statku. Powiesz mi, po co lecisz na Hub. Powiesz mi, dlaczego Ghreni Nohamapetan chce twojej śmierci. Powiesz mi albo wyrwę ci jebane serce.

- To kiedy mam ci to powiedzieć?
- Daj mi minutkę – odparła Kiva.

INTERLUDIUM

Dla Ghreniego Nohamapetana to nie był najlepszy dzień.

Punkt pierwszy: *Tak, drogi panie, to moje dziecko zdołał wlecieć w Nurt, pomimo meldunków mówiących, że jego systemy napędowe zostały uszkodzone przez bombę, którą według wszystkich raportów Chat Ubdal z powodzeniem podłożył, podobno sam przy tym ginąc. Doniesienie o jego śmierci wywołało u Ghreniego lekkie uczucie żalu. Chat był jednym z jego najbardziej użytecznych ludzi, co zresztą stanowiło powód, dla którego powierzył mu tę szczególną i delikatną misję. Z drugiej strony, Ghreni nie musiał mu wypłacać premii za wykonanie zadania, która opiewała na nieliczną sumę. Tak że to była jasna strona w tym konkretnym bałaganie.*

Punkt drugi: *Przyszło mu na myśl, że Chat i tak by nie dostał tej premii, bo nie zrobił tego, co miał zrobić: przyprowadzić lub zabić Marce'a Claremonta. Ghreni myślał już, że Chatowi udało się to drugie, choć sam też się przy okazji zlikwidował, ale wtedy z Czerwonej róży nadeszła wiadomość, że przejęli Claremonta, choć nieco pokiereszowanego. Kilka testów potwierdziło jego tożsamość.*

Później jednak, po ponad godzinie, z Czerwonej róży nadeszła inna wiadomość:

Claremont wybudzony ze śpiączki krzyczy, że nie jest Claremontem, ale Chatem Ubdalem, jednym z pańskich podwładnych. Odczuwa silny ból, zwłaszcza w kończynach.

Następnie:

Potwierdzony Claremont to tak naprawdę nie Claremont, tylko Ubdal. Oszukali skanowanie za pomocą soczewek kontaktowych i nakładki na kciuku. Podmienili też krew w rękach. To ostatnie może spowodować trwałe urazy.

Następnie:

Ubdal mówi dosyć nieskładnie, ale twierdzi, że nie podłożył bomby i Tak, drogi panie jest całkowicie sprawny. Ścigamy go. Spróbujemy go przechwycić i zniszczyć zgodnie z umową.

Następnie:

ja pierdołę te kutasy wzięły pańską bombę i podrzuciły na nasz jebany statek co do kurwy nędzy

Następnie, już znacznie później:

Bomba, którą Ubdal miał podłożyć na Tak, drogi panie, eksplodowała na naszym statku, powodując uszkodzenia wpływające na działanie systemów. Nie możemy ścigać i zniszczyć przeciwnika. Kapitan Wimson nie jest zadowolony, że bomba trafiła na nasz statek. Wyrzucił Ubdala na noszach przez śluzę. Kapitan przekazuje panu następującą wiadomość: Płacisz nam teraz podwójnie za uszkodzenia i potrójnie za broń. Najpierw spłacisz uszkodzenia.

Mówi też, że jebać pana i pańskich niekompetentnych pomagierów.

Punkt trzeci: Ghreni nie miał broni, której pragnął, co go irytowało.

Broń stanowiła część ładunku zatwierdzonego przez parlament i imperoksa, aby pomóc księciu w zwalczaniu jego małej rebelii. Rodzina Nohamapetanów z wyrachowania pomogła uchwale o wysłaniu uzbrojenia przejść przez parlament. Ghreni, również z wyrachowania, zaaranżował przejście ładunku przez piratów. Przynajmniej to poszło zgodnie z planem.

Jednakże kapitan Wimson postanowił, że zatrzyma broń, i powiedział Ghreniemu, że za jej przekazanie będzie musiał zapłacić więcej. To zdenerwowało Ghreniego, nie tylko z powodu naruszenia *podstawowych zasad*, ale też dlatego, że opłacił nabycie broni z funduszy Nohamapetanów i nagle okazało się, że w dość niefortunny sposób stracił płynność finansową. Jego plan, polegający na sfinansowaniu odkupienia uzbrojenia z funduszy imperialnych, spalił na panewce, kiedy okazało się, że hrabia Claremont postanowił kierować się etyką, a potem spalił po raz kolejny, kiedy porwanie Marce'a Claremonta nie przyniosło żadnych korzyści.

Nowy plan zakładał przechwycenie Marce'a Claremonta lub zniszczenie *Tak, drogi panie*. Pierwsze byłoby optymalnym rozwiązaniem, bo skłoniłoby hrabiego do współpracy. Drugie było o wiele dalej od doskonałości, bowiem gdyby kiedykolwiek wykryto jego rolę, to zaostrzyłoby już narosłą niechęć między rodami Nohamapetanów i Lagosów. Niemniej pozwoliłoby Ghreniemu przekonać księcia, żeby sięgnął po znaczne fundusze miejscowych przedstawicielstw Lagosów, które ci z kolei otrzymaliby od miejscowych przedstawicielstw rodu Aiello, mającego monopol w branży ubezpieczeniowej. Z tego zgarnąłby dość, aby pokryć koszty odzyskania broni.

Teraz jednak *Tak, drogi panie* zniknął w Nurcie, a wraz z nim Marce Claremont. Na dodatek nie tylko wzrosła cena za ładunek broni, ale miał również kolejne długi do spłacenia.

Punkt czwarty: I choć Ghreni mógł odmówić zapłaty *Czerwonej róży* za broń (to oni złamali warunki pierwotnej umowy, więc sami podjęli ryzyko), nie było możliwości, żeby nie zapłacił za uszkodzenia na pirackim statku. Zabiliby go, i to cholernie powoli. Ani jego szlachecki tytuł, ani bliskie relacje z księciem, ani jego własna ochrona by ich nie powstrzymały. Tak więc musiał zdobyć pieniądze chociaż na to. I to szybko.

Ghreni przez pewien czas rozważał wytropienie i użycie jako zakładnika Vrenny Claremont, ale szybko porzucił ten pomysł, bo

Punkt piąty: Vrenna Claremont była absolutnie niemożliwa do znalezienia. Zapadła się pod ziemię. Jednak zanim zniknęła, wysłała Ghreniemu ze swojego prywatnego adresu liścik, zawierający jedno zdanie:

Nie śpij dwa razy w tym samym łóżku.

Ghreni zapoznał się z przebiegiem jej służby. Wiedział, że nie była to czcza groźba.

A to prowadziło go do

Punktu szóstego: Rozmowy, jaką odbył z Ontainem Mountem, oficerem operacyjnym z kresowej stacji imperialnej, który bez jakiegokolwiek wstępu wypalił:

– Co to, do cholery, za historia z tym, że porwał pan Marce’a Claremonta?

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł Ghreni.

– Doprawdy?

– Oczywiście. To bardzo poważne oskarżenie. Chciałbym wiedzieć, kto mnie oczernia.

– Wiarygodne źródła, panie Ghreni.

– Ależ to absurd. Przede wszystkim dlatego, że na ile mi wiadomo, Marce Claremont opuścił Kres. Na pokładzie *Tak, drogi panie, to moje dziecko*.

– Czy to ten statek, który, jak mi donieśli moi marines, był śledzony i kilka godzin temu niemal zaatakowany przez statek korsarzy? – zapytał Mount.

– Trudno mi powiedzieć. Nic mi o tych sprawach nie wiadomo. Byliśmy trochę zajęci tu na dole, panie.

– Pański książę nie radzi sobie obecnie zbyt dobrze, prawda?

– Ponieśliśmy kilka porażek, ale nie dzieje się nic, z czym byśmy sobie nie dali rady.

– Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, panie Ghreni – stwierdził Mount.

– Pomoc ze strony marines imperoksa byłaby mile widziana – zasugerował Ghreni.

– Powtórzę to, co mówiłem za każdym razem, kiedy wspominał pan o tej kwestii, mianowicie że Wspólnota uważa to za ściśle lokalną sprawę.

– Z wyjątkiem broni, którą zatwierdził parlament.

– I miały jej użyć oddziały księcia, nie moje.

– Różnica, która zapewne nie ma znaczenia.

– Ja dostrzegam tę różnicę i dla mnie ma ona znaczenie. Albo pański książę zajmie się problemem, albo wkrótce, kiedy cały ten nonsens się skończy, któryś z rebeliantów lub jeszcze ktoś inny napisze do mnie petycję, żebyśmy go uznali za nowego księcia.

– I co wtedy zrobicie?

– Przypuszczam, że będzie to zależało od tego, czy głowa obecnego księcia nadal będzie miała łączność z karkiem. Do tego czasu dam panu tylko przyjacielską radę: hrabia Claremont i jego rodzina wraz z należącymi do niej ziemiami znajdują się pod ochroną imperoksa. To z kolei oznacza, że są pod *moją* ochroną. Jeśli jeszcze raz dotrą do mnie plotki, że ich pan niepokoi, czy to na rozkaz księcia, czy ze swojej prywatnej inicjatywy, obiecuję panu, że przekona się pan, jak wygląda imperialna interwencja, i nie spodoba się panu ten widok. Rozumiemy się?

Zrozumieli się.

Następny był **punkt siódmy**, pod którym krył się zaszyfrowany list, jaki Ghreni otrzymał od generała Livy Onjsten, przywódczyni rebeliantów. Brzmiał on następująco:

No i gdzie jest ta broń? Mówiłeś, że już będziesz ją dla nas miał. Podjęliśmy tę ostatnią

ofensywę w przekonaniu, że niedługo ją dostarczysz. Nadstawiamy tu nasze tyłki. Jeśli szybko jej nie dostaniemy albo zamiast nas dostanie ją książę, będziemy w nielichych taratach.

Pamiętaj, co ci powiedziałam, kiedy zaczynaliśmy to wszystko na twoją prośbę. Jedziemy na jednym wózku. My zwyciężamy, zwyciężasz i ty. My przegrywamy, przegrywasz i ty.

A jeśli przegramy przez ciebie, przegrana zaboli cię bez porównania bardziej niż nas.

L.O.

„Dlaczego wszyscy mi dzisiaj grożą?” – zastanawiał się Ghreni.

Cóż, odpowiedź na to pytanie była taka, że zaciągnął zbyt wiele zobowiązań. I to nie tylko na swoje konto, ale także na swoją rodzinę i cały jej majątek tu, na Kresie. Wszystko po to, aby zrzucić z tronu obecnego księcia i samemu na nim zasiąść. Zaciągnął zobowiązania, które go przerastały, i teraz wszystkie jego dokładnie zgrane w czasie, misternie opracowane plany prawie się rozpadły w drobny mak.

„Tak to jest, kiedy stawiasz na szali wszystko. Nigdy nie jest tak, że cały plan pójdzie gładko”.

To prawda. Tyle że nie powinno być aż *tak* źle. Nie teraz. Nie tak nagle.

Przynajmniej książę się na niego nie wydzierał.

Zadzwoił jego tablet. To był książę.

– To teraz porywasz szlachciców? – zaczął się wydzierać.

Ghreni mimo wszystko gorzko się uśmiechnął.

– To nie do końca było tak, wasza książęca mość.

– Nie „mościuj” mi tu, Ghreni. Pan Ontain właśnie nagadał mi do słuchu na twój temat. Twierdzi, że porwałś młodego Marce’a Claremonta, na ulicy, przed jego domem.

– To lekka przesada. Poprosiłem pana Marce’a, żeby się ze mną spotkał. Chciałem sprawdzić, czy zdołam go namówić, aby przekonał swego ojca do wzięcia bardziej aktywnego udziału w obronie Kresu.

– I co powiedział?

– Że za kilka godzin opuszcza planetę i nie ma zamiaru popierać naszej sprawy.

– Jak zatem pan Ontain wysnuł z *tego* porwanie?

– Może faktycznie podszedłem do przekonywania pana Marce’a z nadmiernym zapałem. Rozmowa nabrała rumieńców. Reszta to rozdmuchiwanie sprawy przez naszych wrogów. Tak przesadzone wieści musiały dotrzeć do hrabiego Claremonta i jak sobie wyobrażam, on poskarżył się panu Ontainowi, a ten z kolei waszej wysokości. Z tą samą sprawą dzwonił do mnie, zaledwie kilka chwil temu.

– I co mu powiedziałaś?

– To samo, co waszej książęcej mości, z nieco mniejszą liczbą szczegółów.

– Nie możemy robić sobie wrogów ze szlachty, Ghreni. Nie teraz. A już zwłaszcza nie

z *Claremontów*. Ontain i jego marines stanowią praktycznie gwardię hrabiego. A jeśli rozniesie się wśród reszty szlachty, że próbujemy wymuszać coś na hrabim albo grozimy jego dzieciom... cóż. Chcę tylko powiedzieć, że potrzebujemy teraz ich wsparcia.

– Całkowicie rozumiem waszą wysokość. Niemniej, tak jak wspomniałem, to wszystko nieporozumienie i plotki.

– A więc nie będziesz miał nic przeciwko, aby osobiście przeprosić hrabiego Claremonta?

– Co takiego?

– Zaprosiłem dziś rano hrabiego na małe przyjęcie. Naprawdę małe, w Weatherfair. – Był to książęcy pałac „ucieczkowy”, położony zaraz pod miastem. – Drinki, rozmowy. Tylko ty, ja i on. Tam mu wyjaśnisz całą sytuację i przeprosisz.

– Ależ, wasza książęca mość, za co? Jak wspomniałem, to jest jedno wielkie nieporozumienie.

– A zatem przeprosisz go za nieporozumienie. Ghreni, tu nie ma znaczenia, czy faktycznie masz *za co* przeproszać. Ważny jest sam akt przeprosin. Już się powinieneś tego nauczyć. To podstawa dyplomacji.

– Na spotkaniu będziemy tylko my trzej?

– Tak, myślę, że tak będzie najlepiej. Nie ma co robić z tego przedstawienia. Zresztą wieści o tym i tak się rozejdą.

– Nie będzie tam pani Vrenny?

– Córki hrabiego? Nie. Dlaczego?

– Tylko pytam.

– Możemy ją zaprosić, jeśli chcesz.

– Wolałbym nie.

– No to widzimy się za kilka godzin. Ubiór nieformalny. Ćwicz pokorę.

I książę się rozłączył.

I to by był punkt ósmy.

Tak więc podsumowując: wielu ludzi chciało zabić Ghreniego albo przynajmniej poważnie go skrzywdzić. Jego plan sięgnięcia po tytuł książęcy przy pomocy podżegania do rebelii właśnie rozpadał się na kawałki, i to w coraz szybszym tempie. Na dodatek za kilka godzin musiał udawać żal z powodu wydarzenia, które, jak twierdził, wcale nie miało miejsca, chociaż tak naprawdę miało, a Ghreni ani trochę go nie żałował. Jeśli coś się nie wydarzy, i to bardzo szybko, będzie martwy albo znajdzie się w więzieniu, zaś ród Nohamapetan będzie w świetle prawa zadłużony po uszy, a wszystko z powodu jego działań.

Najgorsze było to, że nic z tego pierwotnie nie było *jego* pomysłem.

Kiedy byli nastolatkami, dla wszystkich, którzy zechcieli się przyjrzeć potomstwu

Nohamapetanów, stawało się jasne, że każde z nich ma jedną wyróżniającą je cechę. Amit był konwencjonalny, nikomu nie zagrażał, ale zawsze był gotów reprezentować rodzinę i gildię – uległa marionetka, która pewnego dnia miała publicznie objąć stery rodu. Ghreni był użyteczny, żył dobrze z ludźmi, był „sprzedawcą”, albo, jak kto woli, człowiekiem pewnym siebie, tym, który najpierw zaintrygował cię pomysłem, a następnie skłonił do złożenia podpisu we właściwym miejscu, niezależnie od tego, czy w ogóle wiedziałeś, co kupujesz.

Jednak to Nadashe, jedyna siostra w rodzeństwie, była mózgiem wszystkich działań. To ona mówiła „głowie rodziny”, co ma robić, i wskazywała „sprzedawcy” cel, wprawiając w ruch plany, których realizacja miała zająć całe lata, a może nawet dekady.

Tak właśnie było, kiedy cała trójka znalazła się w Xi’an, aby świętować urodziny Rennereda Wu, arcyksięcia, z którym Nadashe niedawno zaczęła negocjacje w sprawie małżeństwa.

– To fiut – powiedział Ghreni do siostry, kiedy rodzeństwo wyszło z uroczystości i zwinęło się do apartamentów Nohamapetanów, położonych niedaleko pałacu imperialnego.

– W pewnym sensie go lubię – odparł Amit.

Leżał wyciągnięty na szezlongu, trzymając w dłoni kieliszek nohamapetanowego shiraz. Wino było kontrabandą, a raczej byłoby nią, gdyby ktoś oprócz ich rodu go pijał. Rodzina Patric posiadała monopol na winogrona i wszelkie produkowane z nich rzeczy. Gdy jednak tworzono Wspólnotę i rozdzielano monopole, te z winorośli, które Nohamapetanowie już posiadali, zostały wyłączone spod nowych praw, ale tylko do prywatnego użytku ich rodziny. Słynny rodowy shiraz pochodził z najwspanialszych rejonów położonych na powierzchni utraconej Ziemi i obecnie dostęp do niego mieli tylko Nohamapetanowie. No, ewentualnie ich goście, na niewielkich przyjęciach lub nawet w bardziej intymnych okolicznościach. Nierzadko słyszało się, że wyjątkowo zapalony koneser win składał Nohamapetanom niedwuznaczną propozycję, mając nadzieję, że uzyska dostęp do jakiegoś szczególnego rocznika.

– Nie wątpię – powiedział Ghreni.

Z jego punktu widzenia brat i Rennered Wu byli ulepieni z tej samej nudnej, playboyowatej gliny. To nie tak, że Ghreni nie lubił Amita, albo Amit nie lubił Ghreniego, ale kiedy dorośli, już nie spędzali ze sobą tyle czasu co w dzieciństwie. Obaj mieli przyjaciół bardziej pasujących do zainteresowań jednego i drugiego.

Ghreni także z siostrą nie spędzał zbyt wiele czasu, choć nie ze względu na rozbieżność zainteresowań. Chodziło zwyczajnie o to, że Nadashe miała *plany*. Kiedy uwzględniała w nich Ghreniego, wtedy się z nią widywał. Kiedy nie, to nie. Fakt, że przyprowadziła ich obu z powrotem do apartamentów, ale bez ludzi przydzielonych do eskortowania ich tego wieczoru, oznaczał, że jej plany w jakiś sposób obejmowały obu braci.

Na razie nie wyjawiała im, co to za plany, więc Ghreni postanowił wbić jej szpileczkę, tak

dla zabawy.

– A jaka jest twoja wymówka, Nada? Dlaczego zadajesz się z tym drętym Renneredem?

Nadashe, stojąca za siedziskiem Amita, sięgnęła po kieliszek brata i wypila solidny łyk. Ten łagodnie zaprotestował, ale dał spokój, kiedy oddała mu szkło.

– Pomijając fakt, że pewnego dnia zostanie imperoksem i sprzymierzenie się z rodem imperialnym da naszej rodzinie wysoką i nienaruszalną pozycję wśród gildii, a jedno z moich dzieci zostanie kolejnym imperoksem, na zawsze wpisując nasze interesy w funkcjonowanie Wspólnoty?

– Tak – odparł Ghreni. – Pomijając to.

– Całkiem znośnie tańczy.

– No, to już coś – orzekł Ghreni, zerkając na brata, który wywrócił oczami.

– Jest też inny powód, i to właśnie dlatego was tu sprowadziłam – znów zabrała kieliszek Amitowi.

– Przestań – powiedział Amit.

– Nie – odrzekła Nadashe i podeszła z kieliszkiem do barku. – Przy tej części musisz być trzeźwy. Oddam ci kieliszek, kiedy skończę.

– Cokolwiek to jest, już mi się nie podoba – stwierdził Amit.

– O co chodzi, Nada? – zapytał Ghreni.

– Tylko o przyszłość – odpowiedziała, po czym nakazała domowemu komputerowi przygasić światła i pokazać na ekranie prezentację. Obejmowała ona mapę Wspólnoty, z podświetlonymi głównymi prądami Nurtu. Wszystkie zbiegały się przy Hubie.

– To przyszłość? – spytał Amit.

– To terazniejszość – odparła Nadashe.

Pstryknęła palcami i pewne elementy na mapie uległy zmianie – nie tyle należące do Wspólnoty systemy gwiazdne, co prądy Nurtu, których układ zmienił się, w niektórych przypadkach wręcz drastycznie. Co najbardziej rzucało się w oczy, to przestrzeń wokół Hubu – przedtem aż kotłowała się od wektorów Nurtu wychodzących z tego miejsca i dochodzących do niego, teraz zaś zapełniały ją tylko trzy prądy, dwa dochodzące i jeden wychodzący. Na zmienionej mapie inny system stanowił hub większości prądów Nurtu. To przestrzeń wokół niego była zatłoczona zaznaczonymi wektorami, które wchodziły i wychodziły. Był to system Kresu.

– To jest przyszłość – oświadczyła Nadashe.

Ghreni wstał i podszedł do ekranu, przyglądając się nowej mapie.

– Skąd to masz?

– Mam przyjaciółkę z uniwersytetu, która wyrosła na fizyka zajmującego się Nurtem. Szukała tematu pracy doktorskiej i natknęła się na monografię traktującą o potencjalnym, długoterminowym przesunięciu w Nurcie. Ten, kto ją napisał, nigdy nic z nią nie zrobił. Podążyła za jego informacjami i odkryła, że został wspólnotowym poborcą podatków.

Drażyła dalej, pracowała z pozyskanymi danymi i doszła do wniosku, że po ponad tysiącleciu względnej stabilności prądy Nurtu wkrótce się przesuną, prawdopodobnie do postaci, jaką widzimy na tej mapie.

– Kiedy? – zapytał Amit.

– Jej zdaniem dane wskazują, że to się już zaczęło. Na początku odbywało się to powoli, ale cały czas przyspiesza. Na dobre zacznie się w ciągu następnej dekady. Ta mapa – tu Nadashe wskazała na ekran – pokazuje, jak prawdopodobnie Wspólnota będzie wyglądała za trzydzieści lat.

Ghreni uniósł brwi.

– „Prawdopodobnie”? Co to znaczy?

– Moja przyjaciółka, opierając się na zestawie dostępnych jej danych, wykonała model tego, co uważa za najbardziej prawdopodobny wzorzec, według którego nastąpią rozpady i przesunięcia. Powiedziała, że prawdopodobieństwo, że tak to będzie wyglądać, kiedy wzorzec całości się ustabilizuje, wynosi osiemdziesiąt pięć procent. Gdy to nastąpi, stabilizacja utrzyma się zapewne przez kolejne millenium.

Ghreni wskazał palcem mapę.

– I jest pewna, że to Kres stanie się miejscem, gdzie wszystkie te prądy się skoncentrują?

Nadashe skinęła głową.

– Mówi, że to akurat jest najbardziej przewidywalna część całego przesunięcia. Coś takiego najwyraźniej działo się już wcześniej. To znaczy przeskok prądów Nurtu. Dane, jakimi dysponuje, wskazują, że przesunięcia skupisk Nurtu pomiędzy Hubem a Kresem następują co tysiąc lub dwa tysiące lat. Szansa, że skupisko prądów Nurtu przesunie się do jakiegoś innego systemu, wynosi mniej niż jeden do stu tysięcy.

– No dobra, ale co z tego? – zapytał Amit.

– To z tego, że kto kontroluje system, gdzie koncentrują się prądy Nurtu, ten kontroluje Wspólnotę.

– Przynajmniej jeden z moich braci słucha uważnie – stwierdziła z uśmiechem Nadashe.

– Ale my nie kontrolujemy tego systemu – wtrącił Amit. – Jesteśmy w systemie Terhathum.

– Tak to wygląda obecnie – odparła Nadashe i znów wskazała na ekran. – To jest przyszłość.

– Kres ma już księcia – przypomniał Ghreni siostrze.

– Owszem – zgodziła się – ale jak spojrzeć na sprawę z perspektywy historycznej, tamtejsi książęta nigdy nie zasiadali na tronie szczególnie długo. Zrzucono ich dostatecznie często, by zawsze, gdy wybuchała kolejna rebelia, Wspólnota przyjmowała politykę nieingerowania w walki i akceptowania jako księcia tego, kto po wszystkim jeszcze trzymał się na nogach.

– Chcesz pozbawić tronu obecnego księcia?

– Nie, Ghreni. Chcę, żebyś ty pozbawił go tronu.

– Co? Dlaczego ja?

– Bo Amit będzie zajęty przygotowaniem do przejęcia interesów rodziny, a ja jestem zajęta łączeniem naszego rodu z dynastią imperoków. Tak się składa, że tylko ty nie jesteś zajęty.

– Jestem zajęty – powiedział Ghreni.

I faktycznie był. Pozostawał wiceprezesem gildii do spraw marketingu, co stanowiło dlań odpowiednie stanowisko, jeśli wziąć pod uwagę wiek i doświadczenie. Na pewnym etapie pozostawi je komu innemu i zostanie członkiem rodowego komitetu dyrektorów, gdzie znajdzie się na stabilnej ścieżce kariery, tak jak wszystkie trzecie dzieci w głównych rodach.

– *Aż taki* zajęty nie jesteś. Poza tym, jeśli mianujemy cię przedstawicielem naszych interesów na Kresie, będzie to awans. A to z twojej perspektywy będzie wyglądało dobrze i stanowi naturalny krok naprzód w karierze.

– Ale to Kres.

– No i?

– Tam nic nie ma. Właśnie dlatego nazywa się tak, jak się nazywa.

– Na Kresie jest przyszłość, Ghreni. Będziemy cię tam potrzebowali, żebyśmy byli gotowi, kiedy to wszystko się zacznie.

– Nada, przecież planujesz już wżenie się do rodziny imperialnej – powiedział Amit. – Jeśli ci się uda, to po co nam w ogóle Ghreni na Kresie?

– Ghreni, zechcesz odpowiedzieć na to pytanie? – zapytała Nadashe.

– Bo ten, kto rządzi Kresem, zajmuje dobrą pozycję, aby rzucić wyzwanie władzy imperoksa – wyjaśnił Amitowi.

– Cała przyczyna, dla której ród Wu jest rodziną panującą, tkwi w tym, że kontrolują przestrzeń wokół Hubu. Nie możesz tam nawet postawić stopy, nie płacąc myta, cła albo podatków. Jeśli wszystko to przeniesie się na Kres, wówczas największe źródło dochodów imperoków wyschnie.

– Wżenimy się w rodzinę Wu, aby zyskać władzę na tę chwilę – mówiła dalej Nadashe. – Opanujemy Kres, aby pozostać przy niej, kiedy wszystko się zmieni. Jeśli zaś nasza rodzina będzie kontrolowała zarówno Hub, jak i Kres, wówczas uchronimy Wspólnotę od stoczenia się w otchłań wojny domowej.

– Która nie służyłaby interesom – skonkludował Amit. – Interesom wszystkich, naszych nie wyłączając.

Ghreni znów spojrzał na ekran.

– Wiele chcesz zaryzykować z powodu tego doktoratu, siostrze.

Nadashe wzruszyła ramionami.

– W najgorszym wypadku pomylimy się w kwestii przesunięcia. Ostatecznie ty będziesz księżem Kresu, a ja małżonką imperoksa.

– Tak naprawdę najgorszy scenariusz jest taki, że ty nie poślubisz Rennereda, Ghreni

zostanie aresztowany za zdradę, a przesunięcie nastąpi mimo wszystko – zauważył Amit.

– Nie pomagasz – rzucił Ghreni.

– Upewniam się tylko, że mamy jasność co do konsekwencji porażki – odparł Amit. – Wiem, że oboje sądzicie, że jestem o wiele mniej bystry od was dwojga, i macie rację. Mam jednak na tyle rozsądku, żeby wiedzieć, że ten twój plan, Nadashe, wiąże się z ogromnym ryzykiem, a szansa, że się nie powiedzie, nie jest wcale taka mała. Jeśli wszystko ma się udać, będziesz mnie potrzebowała, żebyśmy jakoś to przedstawił radzie rodu.

– O ile im o wszystkim powiemy – odparła Nadashe.

Amit się zachnął.

– Chcesz przeprowadzić przewrót na planecie w tajemnicy przed całym rodem?

– Dlaczego nie? Wykorzystajmy miejscowe fundusze. To Kres. Jeśli będzie trzeba, możemy utrzymać wydatki poza rejestrami księgowymi przez całe lata. Wystarczy, że rozegramy to sprytnie, a nie będzie potrzeby informowania rady do czasu, aż będzie po wszystkim.

– O kurde – westchnął Amit i wstał z szezlonga. – Serio, *muszę* za to wypić.

Podszedł do barku.

– Nikomu ani słowa. Niech to zostanie między nami.

– Nawet przy wykorzystaniu lokalnych funduszy nie będziemy w stanie zachować tego w aż takiej tajemnicy – stwierdził Ghreni. – Zwłaszcza jeśli wzniciemy rebelię.

– To akurat jest miejsce, gdzie ta czy inna grupa buntuje się przeciwko panującemu księciu po kilka razy w ciągu dziesięciolecia – zauważyła Nadashe. – Nie trzeba jej *wzniecać*. Musisz tylko poczekać, aż jakaś sama się wznieci.

– Aha, i myślisz, że aktualnie panujący księżę będzie się temu spokojnie przyglądał?

– To zależy, czy połapie się, że maczasz w tym palce. Jeśli okażesz się dla niego użyteczny, możliwe, że nie.

– Strasznie dużo trybików w tym mechanizmie – odezwał się stojący przy barku Amit.

– Ma rację – zgodził się Ghreni. Wskazał na ekran, na którym nadal widniała mapa, i dodał: – Nie mamy też żadnej gwarancji, że twoja przyjaciółka nie jest oszustem. Dlaczego to wszystko nie trafiło do szerszej wiadomości, Nadashe? Nie sądzisz, że to sprawa, którą ludzie by się zainteresowali? Fakt, że nigdy nawet nie obilo mi się to o uszy, wskazuje, że jest w tym coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka.

– Pokazała to wyłącznie mnie – zapewniła Nadashe.

– A to dlaczego?

– Bo potrzebowała pieniędzy i pomyślała, że to jest coś, co można sprzedać. Płaciłam jej przez resztę doktoratu, pisanego już na inny temat, a ona pracowała dla mnie właśnie nad tym.

– Kim ona jest?

– To moja przyjaciółka z czasów uniwersyteckich. Już wam mówiłam.

– A ma jakieś imię?

– Hatide Roynold.

– Poznałem ją?

Nadashe parsknęła.

– Nie. Choć może to być dla ciebie trudne do przełknięcia, Ghreni, nie udało ci się spotkać i przelecieć *wszystkich* moich przyjaciółek z czasów studenckich.

– Te dane, które ci przekazała, nie zostały przez nikogo zrecenzowane? – zapytał Amit. Jego szklanka znów była pełna shiraz.

– Nie. Oczywiście nie chcieliśmy, aby to gdzieś wyciekło. Wydaje mi się, że na pewnym etapie chyba próbowała nawiązać korespondencję z owym poborcą podatkowym, którego pracę usiłowała rozwinąć, ale nie sądzę, żeby coś z tego wyszło.

– Tak więc, nie licząc pomniejszego imperialnego urzędnicy, który może wie o wszystkim, a może i nie, ale tak czy inaczej ewidentnie nic go to nie obchodzi, dosłownie nikt inny o niczym nie wie? – spytał Amit, a Nadashe przytaknęła. – No to cokolwiek się wydarzy, nikt nie wie, co się szykuje.

– Czyli chcesz w to wejść? – zapytał Ghreni brata.

– Nie powiedziałem, że *chcę*. Inwestycja typu wysokie ryzyko – wysoki zysk to najłagodniejszy sposób, w jaki mogę się wyrazić o tym zwariowanym planie. Nie lubię ryzyka. My mamy już wydzielony monopol, więc zysk już jest nasz. Ale jeśli jest szansa, że to – wskazał na monitor – stanie się prawdą, to istnieje ryzyko, że Wspólnota się rozpadnie, jeśli nic nie zrobimy. A to już scenariusz typu jakieś ryzyko – duże straty. Muszę podjąć decyzję, czy wolę to od tamtego.

– Możemy sprawić, że to zadziała – powiedziała Nadashe.

– Mówiąc to, masz na myśli, że *ja* będę musiał sprawić, aby to zadziałało – stwierdził Ghreni. – Znajdę się całe miesiące drogi od was.

– Możemy to wszystko zaplanować zanim wyjedziesz.

– Wszystkie te plany będą całkowicie bez znaczenia w zetknięciu z rzeczywistością.

– No to improwizuj, pozyskuj zaufanie ludzi. Nie ujawniaj się ze swoimi prawdziwymi intencjami. Jesteś w tym dobry.

– Tak – zgodził się Ghreni. – Ale to doprowadzi mnie tylko do pewnego etapu.

– Rozeznasz się co do reszty – Nadashe podeszła i pogłaskała brata po policzku. – A jeśli nie będziesz wiedział, co dalej, po prostu wyjdź strzelając. To nie może boleć.

– W zasadzie to może zboleć, i to bardzo – orzekł Amit.

Nalał sobie jeszcze shiraz.

– Bądź odważny – powiedziała Nadashe, ignorując słowa drugiego z braci. – Bądź odważny, Ghreni. A po wszystkim bądź księciem Kresu.

Tej nocy Nadashe nie przekonała ani Amita, ani Ghreniego. Za wiele pytań i zbyt dużo sposobów, w jaki cała trójka mogła skończyć w bardzo małych celach i spędzić tam resztę

życia za zdradę, oszustwo i terroryzm. Mimo wszystko pytanie brzmiało, nie czy, tylko kiedy siostra swoim opowiadaniem o planach i perswazją przekona obu braci. W ciągu miesiąca zgodzili się zasadniczo co do samego pomysłu. Kolejny miesiąc później Ghreni, nadal nie mogąc uwierzyć, że przystał na ten niedorzeczny plan, leciał na Kres na należącym do Nohamapetanów piątku *Nerwy na bok!*

Teraz, kiedy patrzył na to z perspektywy czasu, jego część planu poszła zaskakująco dobrze. Faktycznie istniała jakaś niezadowolona grupa, gotowa zająć się księciem Kresu, którą mógł wesprzeć pieniędzmi i bronią, a w zamian ona miała zorganizować rebelię. Szybko dostał się do wąskiego kręgu ludzi otaczających księcia, który mimo dumnego tytułu był prowincjonalnym prostakiem, a jego ojciec sam doszedł do władzy, obalając poprzedniego księcia. Ghreni, którego ród swoje arystokratyczne początki wywodził jeszcze z czasów przed ustanowieniem Wspólnoty, bardzo mu imponował.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy rebelia nabrała rozpędu, a on stał się zaufanym człowiekiem księcia, któremu powierzano trudne politycznie zadania. Tym samym uzyskał pozycję, z której mógł po cichu podkopywać swojego patrona. Jednocześnie przygotowywał własne dojście do władzy, które miało nastąpić, gdy tylko głowa księcia odpadnie od reszty ciała. Niewątpliwie radził sobie ze swoją częścią planu lepiej niż Nadashe ze swoją, choć nie do końca była to jej wina. Na ile Ghreni się orientował, nie miała nic wspólnego z rozbiciem się Rennereda o mur. Jednak nawet gdyby miała, na pewno nic by mu nie powiedziała.

A teraz wszystko się waliło, zaś Ghreni czuł, że zaledwie dni, jeśli nie godziny, dzielą go od zdemaskowania i hańby, co stanowiło niebezpieczeństwo nie tylko dla niego, ale i dla całego rodu Nohamapetanów. Spieprzyć coś na własną rękę, to jedna rzecz. Jeśli jednak twój ród obrywał rykoszetem, to już kompletnie coś innego.

„Bądź odważny – powiedziała mu Nadashe. – A po wszystkim bądź księciem Kresu”.

Ghreni uśmiechnął się na to wspomnienie i spróbował sobie wyobrazić, co siostra zrobiłaby na jego miejscu. I wtedy, niecałe dwie godziny przed spotkaniem z księciem Kresu i hrabią Claremontem, zdecydował się to właśnie zrobić.

Księżę, hrabia i Ghreni spędzili godzinę, jedząc podwieczorek na wschodniej, zewnętrznej galerii pałacu Weatherfair – tej, z której rozciągał się spektakularny widok na miasto, i rozmawiali o zupełnie nieistotnych rzeczach. Ghreni zauważył, że hrabiemu sprawia to niejaką trudność, bo ewidentnie był przekonany, że Nohamapetan porwał jego syna i miał zamiar go torturować. Potem cała trójka przeszła do prywatnego biura księcia, aby tam porozmawiać o istotnych sprawach *niezwiązanych* z porwaniem i zamiarem torturowania syna hrabiego przez Ghreniego. To zajęło kolejną godzinę.

Wtedy księżę dał sygnał, że nadszedł czas na część z przeprosinami. Ghreni skinął głową

i stanął pomiędzy siedzącym na krześle hrabią a znajdującym się za biurkiem księciem. Wziął głęboki oddech, co wydawało się wskazywać, jak wielką trudność sprawi mu to, co ma do powiedzenia. Następnie sięgnął do prawej wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie ukrył mały miotacz, i strzelił do hrabiego, który padł nieprzytomny.

– Ghreni, co ty u diabła... – zaczął książę, ale nie dokończył, bo w jednym z jego płuc pojawiła się dziura, a to za sprawą małego pistoletu, który Ghreni wyciągnął z lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, skierował ku niemu i wystrzelił zaraz po tym, jak upuścił miotacz na ziemię, aby uwolnić ręce. Książę miał tylko czas spojrzeć na ranę wlotową, a potem zdumionym wzrokiem znów na Ghreniego. Po chwili zginął od kuli, którą jego doradca posłał mu prosto w twarz. Pocisk wszedł tuż poniżej prawego oka i przewiercił się przez mózg, a następnie, wytraciwszy pęd, utkwiał w tylnej części czaszki księcia.

Ghreni bardzo szybko wyciągnął chusteczkę i wytarł swoje odciski palców z pistoletu, po czym włożył go w dłoń nieprzytomnego hrabiego. Upewnił się, że odcisnął jego palce na uchwycie i spuście. Potem podniósł miotacz, również go wytarł, a następnie odcisnął na nim palce księcia i pozwolił, żeby spadł na podłogę tam, gdzie w naturalny sposób by upadł. Wysunął szufladę w biurku, gdzie, jak dyktowała logika, szlachcic powinien trzymać miotacz na potrzeby samoobrony. Na koniec Ghreni podbiegł do drzwi i otworzył je, akurat w tym samym momencie, gdy nadbiegli ludzie z personelu i ochrony księcia, którzy usłyszeli strzały.

– Zastrzelili się nawzajem!

To było wszystko, co do nich powiedział, zanim wszyscy przepchnęli się przez drzwi. Ghreni upadł zaraz obok wejścia, udając szok i bardzo głęboko oddychając. Nie miało to żadnego znaczenia. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo znacznie poważniejszą sprawą był martwy książę leżący w pokoju. Ghreniemu to odpowiadało. Nie chciał, aby ktoś zwracał na niego uwagę. Chciał, by wszyscy skupili się na księciu i hrabim. Chciał, by wszyscy w pomieszczeniu dostrzegli to, co było oczywiste: hrabia wyciągnął mały pistolet, a książę niewielki miotacz ustawiony na ogłuszanie, potem któryś z nich strzelił pierwszy i rozpętało się piekło. Teraz zaś jeden był martwy, a drugi leżał jak długi. Im więcej ludzi to widziało – a teraz pokój wypełniał personel przeróżnej maści – tym bardziej ich mózgi skłaniały się do uwierzenia w historię, jaką Ghreni miał zamiar im opowiedzieć.

– Książę wezwał mnie, żebym przeprosił hrabiego – powiedział jakiś czas później Ghreni sir Ontainowi Mountowi.

Imperialny urzędnik musiał się włączyć w całą sytuację, bo zamordowanie panującego księcia przez urzędującego hrabiego stanowiło problem imperium, nawet jeśli książę panował na Kresie, przez co Ontain miał wcześniej generalnie w dupie to, że buntownicy wkrótce go dopadną i powieszą bez większych ceregieli. Ghreni i Ontain stali w szpitalnej kostnicy, a przed nimi leżało ciało księcia.

– Za porwanie jego syna? – dopytał Mount.

– Domniemane porwanie – odparł Ghreni. – I przeprosiłem, chociaż nie za porwanie Marce’a Claremonta, bo tego nie zrobiłem. Przeprosiłem za prowadzenie rozmowy z synem hrabiego w zbyt gorącym tonie, przez co powstało całe nieporozumienie.

– Jak hrabia to przyjął?

Ghreni wskazał na stół.

– Nie dał się przekonać.

– Dlaczego nie strzelił do *ciebie*, panie Ghreni?

– To znaczy?

– Jest pan tym, który, jak on twierdzi, porwał jego syna. *Pan* stanowi bardziej logiczny obiekt jego gniewu. No i znajdował się pan, dosłownie, w zasięgu ręki.

– Hrabia uważał, że zrobiłem to na polecenie księcia. Tak przynajmniej powiedział, zanim zaczęła się cała strzelanina.

– A dlaczegoż miałby tak sądzić?

– Bo kilka dni wcześniej książę wysłał mnie, abym spotkał się z hrabią. Miałem spróbować go przekonać, żeby hrabia, nielegalnie, przekazał mu imperialne fundusze w celu odkupienia od piratów broni, którą ukradli i domagali się okupu. Hrabia odmówił, jak zresztą powinien zrobić, więc w naturalny sposób założył, że książę wysłał mnie, żebym dokonał również tego rzekomego porwania i tym samym wywarł na niego nacisk.

– Niemniej *rozmawiał* pan z młodym Claremontem na polecenie księcia.

– Tak. – Ghreni zauważył, że Mount najwyraźniej kupił jego naciągane tłumaczenie w kwestii porwania, choć nic nie powiedział. – Książę miał świadomość, że nie pochwalam jego planu „pożyczenia” pieniędzy. Jednak to był mój książę, więc zaniósłem jego prośbę.

– Mimo wszystko dziwne, że hrabia nie spróbował strzelić również do pana.

– Może miał taki zamiar, ale wtedy książę wyciągnął miotacz. Nie sądzę, by hrabia się spodziewał, że książę ma coś takiego.

– Tak – zgodził się Mount. – Szef ochrony księcia również był zaskoczony. Powiedział mi, że ogólnie książę nie lubił broni ani też jej nie nosił. Zostawiał to swoim ochroniarzom.

– Zapewne książę po prostu się zabezpieczył. Wiedział, że hrabia może być na niego wściekły.

– Tak, ale skąd wziął ten miotacz? Ludzie z jego ochrony twierdzą, że nigdy wcześniej go nie widzieli. – Ghreni udał, że czuje się niezręcznie. – Tak, panie Ghreni? – naciskał Mount.

– Należy do mnie. Pożyczyłem mu go – odparł Ghreni. – Kupiłem go jakiś czas temu, kiedy sprawa rebelii zaczęła wyglądać źle.

– Masz własnych ochroniarzy, panie.

– Nie są ze mną przez cały czas. Książę wiedział, że go mam. Z oczywistych względów nie nosiłem przy nim broni, więc poprosił mnie, żebym tym razem zabrał broń na spotkanie. Dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Mógł zabrać na nie swoich ochroniarzy albo nakazać przeszukać hrabiego zaraz po

przybyciu.

– Jak mi się wydaje, uznał, że jedno albo drugie tylko bardziej by hrabiego rozgniewało. Spotkanie miało naprawić zadry między nimi. Dlatego właśnie zdecydował, że odbędzie się w Weatherfair. Prywatna rezydencja zamiast oficjalnych biur. Przyjacielskie spotkanie, nie formalne.

Mount ponownie spojrzął na stół.

– Najwyraźniej księżę źle ocenił sytuację.

– Co ma pan zamiar zrobić z hrabią Claremontem? – zapytał Ghreni.

– W tej chwili jest w prywatnym pokoju na górze, z sześcioma moimi marines. Ciągłe jest nieprzytomny. Przypuszczam, że gdy się obudzi, nie opowie mi tej samej historii co pan, prawda?

– Tego nie wiem – odparł Ghreni. – Wiem natomiast, że nadal jest na mnie zły. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby próbował sugerować, że byłem w to wszystko w jakiś sposób zamieszany. To znaczy w inny niż użyczenie księciu miotacza. O tym nic nie wiedział. Jest jakieś nagranie z biura?

Mount potrząsnął głową.

– Ochrona poinformowała mnie, że księżę nie montował w Weatherfair takich rzeczy. Nazywał je „miejscem schronienia”, cokolwiek miał na myśli.

Ghreni skinął, jak gdyby nie wiedział, że Weatherfair nie miało prawdziwych środków bezpieczeństwa.

– Następny księżę na pewno wyciągnie wnioski – stwierdził.

– Kimkolwiek on będzie. Ten – Mount wskazał na stół – nie miał żadnych następców ani też bliskiej rodziny, a intercyza zawarta z księżną jasno mówi, że ona nie dziedziczy tronu. Najwyraźniej mieli problemy z zaufaniem.

– A nie ma jakiegoś protokołu? Jako przedstawiciel imperoksa musi pan zatwierdzić tego, kto zgłosi pretensje do tytułu, kimkolwiek on by nie był, mam rację?

– Tak, wobec braku bezpośredniego dziedzica tronu to ja zatwierdzę pełniącego funkcję księcia. Rzecz jasna przedstawię jego kandydaturę do zatwierdzenia imperoksovi. Moją pierwszą myślą było po prostu przekazanie tytułu następnemu pod względem godności szlachcicowi. W tym przypadku byłby to hrabia Claremont.

– W zaistniałych okolicznościach nie jest to najlepszy pomysł.

– Nie, nie jest. Jest jeszcze kilku innych hrabiów i baronów, których mógłbym uznać za możliwych do przyjęcia, ale część z nich opuściła planetę, zaś inni albo się ukrywają, albo sprzymierzili się z rebeliantami, co sprawia, że trudno ich brać pod uwagę. Przynajmniej na tę chwilę.

– A jeśli kandydaturę wysunie przywódczyni rebeliantów? Livy Onjsten, ich generał.

Mount się zachnął.

– Nie mam zamiaru jej wyznaczyć tylko dlatego, że księżę nie żyje, a ona już nie musi go

pozbawiać władzy. Nadal są rebeliantami. Rebelii nie wygrywa się walkowerem.

Ghreni udawał, że się nad czymś zastanawia, i nic nie mówił, czekając, aż Mount to zauważy.

– O co chodzi? – zapytał wreszcie dowódca marines.

– Miałem o tym nie mówić... – Ghreni udawał wahanie. – W ciągu ostatnich kilku miesięcy na polecenie księcia rozmawiałem z rebeliantami, żeby sprawdzić, czy istnieje jakieś inne wyjście z tego bałaganu. Ich zasoby były na wyczerpaniu, podobnie jak nasze. Obie strony szukały możliwego do przyjęcia sposobu, aby się z tego wyplątać. Teraz jednak książę nie żyje. Powstańcy będą chcieli książęcego tronu. Jeśli nie będziemy działać szybko, podzielą się na frakcje, a przywódca każdej z nich będzie pragnął tytułu dla siebie. To zaś pogorszy ogólną sytuację na Kresie.

– Co pan proponuje? Żebym uczynił tę całą Onjsten księciem?

Ghreni potrząsnął głową.

– Czy śmierć księcia trafiła już do publicznej wiadomości?

– Nie – odparł Mount. – Na razie wszyscy wiedzą tylko tyle, że hrabia Claremont jest na górze. Nie wiedzą, że *on* – Mount wskazał na księcia – jest tu, na dole. To jednak nie potrwa długo.

– Mogę porozumieć się z Onjsten, gdy tylko skończymy rozmawiać. Proszę mi pozwolić zaoferować jej natychmiastowy rozejm, przyjęcie kilku z politycznych celów rebelii i tytułu dla niej.

– Jakiego?

– Hrabiny.

– Claremont? – zapytał z sarkazmem Mount.

– Możliwe, jeśli po procesie się zwolni. Tak czy inaczej, sam pan powiedział, że kilku hrabiów uciekło. Proszę jej dać jeden z tych wakatów. A jej zastępcom pomniejsze tytuły. Dla bojowników zaś ogólną amnestię. Możemy to zakończyć teraz, przy pomocy jednej rozmowy.

– To całkiem sporo jak na jedną rozmowę – zauważył Mount.

– Bo rozmowa nie załatwi wszystkiego. Załatwiły ją całe miesiące wykonanej wcześniej pracy – wyjaśnił Ghreni. – Jej ludzie i ja przedyskutowaliśmy to wszystko w ogólnych zarysach. Teraz wystarczy wprowadzić to w życie.

– A jeśli Onjsten się nie zgodzi?

– To jej powiem, że do działań włączą się imperialni marines.

Mount zeszywniał.

– Nic takiego nie mamy zamiaru zrobić, panie Ghreni.

– Oczywiście, że nie! Ale ona nie musi o tym wiedzieć, a to stanowi dla nas świetny instrument nacisku. Powiem jej: „Albo dostaniesz wszystko, czego chcesz, albo Wspólnota cię zmiażdży”. To całkiem niezły motywator.

– Jest pan pewien, że uda się to panu?

– Myślę, że najlepsza szansa na sukces jest właśnie teraz. Najlepsza, jaką będziemy mieli przez bardzo długi czas.

Mount skinął głową.

– Proszę działać.

– Problem polega na tym, sir Ontainie, że formalnie nie mam władzy, aby zrobić cokolwiek z tych rzeczy, o których rozmawialiśmy. Póki co.

Ghreni poczekał, aż Mount sam zrozumie, jakie są konsekwencje tego, co właśnie powiedział. Nie trwało to długo, bo oficer nie był głupi. Następnie musiał poczekać, aż Mount rozważy wszystko, co właśnie pojawiło się w jego głowie. Obserwował mikroekspresje przepływające przez jego twarz – uświadomienie sobie, że Ghreni w zasadzie wprowadził go w zasadzkę, po wpadnięciu w którą Mount będzie zmuszony dać mu to, czego ten zechce; irytację, że tak łatwo dał się wmanewrować; podejrzenie, że Ghreni mógł zaaranżować zabójstwo w tym właśnie celu; skryty podziw, jeśli tak właśnie było; uświadomienie sobie, że cała ta rebelia stanowi cholerny bajzel, więc im szybciej się zakończy, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych, niezależnie od sposobu, w jaki to nastąpi; wreszcie rezygnację wobec faktu, że ten mały, przebiegły Nohamapetan prawdopodobnie był najlepszą szansą dla Mounta, żeby się uwolnić od całego tego gównianego przedstawienia.

Ghreni wiedział, że oficer marines zaoferuje mu książęcy tron, zapewne kilka setnych sekundy, zanim Mount faktycznie to zrobił.

– Dobrze, panie Ghreni. Proszę uzyskać zawieszenie broni w przeciągu godziny i rozejm w ciągu kolejnych dwudziestu czterech, a mianuję pana pełniącym funkcję księcia. Zaczę przygotowywać dokumenty potrzebne do rekomendacji, żeby wszystko było gotowe. Chcę jednak, mój młody przyjacielu, żebyśmy mieli jasność: jeśli odkryję, że zabójstwo księcia przedstawia się w jakikolwiek sposób inaczej niż pan mi opisał, pańskim księstwem na resztę życia stanie się cela trzy na trzy metry. Ja zaś osobiście zadbam o to, aby zapewnić panu bardzo długi żywot. Rozumiemy się?

– Oczywiście, sir Ontainie.

– A zatem gratulacje panie Ghreni, tymczasowy książę Kresu. Proszę się brać do pracy.

Mount szybkim krokiem wyszedł z kostnicy. Ghreni powstrzymał chęć zaciśnięcia pięści z radości.

Godzinę później uzyskał zawieszenie broni oraz wysłał ludzi, aby zaczęli opracowywać warunki traktatu pokojowego. Oczywiście nie musiał grozić generał Onjsten interwencją imperialnych marines. W końcu i tak pracowała dla niego.

Dwie godziny później poinformował kapitana Wimsona z *Czerwonej róży*, że wkrótce przekaże zapłatę za uszkodzenia na statku i za broń, a dokładniej rzecz biorąc, robi to, gdy tylko zostanie mianowany pełniącym obowiązki księcia. Prosił więc o cierpliwość

i wstrzymanie się ze zleceniem jego zamordowania.

Trzy godziny później, teraz już pełniąc obowiązki księcia Kresu, został powiadomiony, że hrabia Claremont się obudził i poinformowano go o sytuacji. Ghreni zdecydował, że złoży mu wizytę, i nakazał wszystkim, w tym sześciu imperialnym marines, żeby poczekali za drzwiami. Posłuchali, choć niezbyt zadowoleni. Ghreni wziął z rogu szpitalnego pokoju krzesło i usiadł obok łóżka, tak aby mógł rozmawiać z hrabią bardzo cicho.

– Jestem teraz księciem Kresu – powiedział do niego.

– Gratulacje – odparł po chwili Claremont.

W jego głosie słuchać było wyraźny brak entuzjazmu. Mimo to Ghreni skinął głową.

– Dziękuję. Oto, jak się sprawy mają. Musimy ustalić wspólną wersję całej historii. A historia jest taka, że zabiłeś księcia za to, że rozkazał mi porwać twojego syna. Wybuchła między wami kłótnia, wyciągnąłeś pistolet, on wyciągnął miotacz. Nic nie pamiętasz, bo belt ogłuszający namieszał ci w głowie.

– Chcesz, żebym się przyznał do morderstwa.

– Tak, chcę.

– Nie jest to zbyt udany plan, panie Ghreni.

Zignorował fakt, że hrabia nie tytułował go tak, jak formalnie powinien.

– Oto, co proponuję w zamian. Zostaniesz skazany za morderstwo, ale pozwolę, żebyś odbywał karę w areszcie domowym, w Claremont. Zrzekniesz się tytułu, który zostanie przekazany córce, a nie po prostu odebrany z powodu niełaski. Zrezygnujesz z pracy w charakterze imperialnego kontrolera, a ja powierzę tę funkcję komuś, kogo sam wybiorę. Upewnię się jednak, że będziesz otrzymywał swoją pensję i dodam do niej zasiłek na utrzymanie rezydencji. Będziesz trzymał gębę na kłódkę na temat wszystkiego i przed wszystkimi, wliczając w to córkę. Aha, i powiesz jej, żeby nie próbowała mnie zamordować w nocy.

Hrabia parsknął na to śmiechem. Ghreni mówił dalej:

– Jeśli się na to wszystko zgodzisz, za pięć lat cię ułaskawię. Ogłoszę, że zmarły książę groził tobie i twojej rodzinie, więc czułeś, że nie masz wyboru. Działałeś pod silną presją. A że byłem tam i wszystko widziałem, będę mógł potwierdzić tę wersję. To już wszystko. Przyznaj się, pięć lat w domu, a potem ułaskawienie.

Hrabia zaśmiał się słabo.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Panie Ghreni, nie masz pojęcia, co się stanie w ciągu następnych pięciu lat.

– Przeciwnie, Claremont, mam. Szykują się zmiany. Kres stanie się centrum Wspólnoty. Wszystkie drogi będą prowadzić tutaj.

– Nie. Żadna droga nie będzie tu prowadzić. Za pięć lat będziemy sami. Fizyka to potwierdza.

Ghreni poczuł się niepewnie i uświadomił sobie, że przyczyną tego jest ostatnie zdanie

wypowiedziane przez hrabiego.

– Co masz na myśli?

– Jak sądzisz, dlaczego odesłałem stąd mojego syna, panie Ghreni? I to akurat teraz?

– Żeby go uchronić przed walkami na planecie i aby mógł się poskarżyć imperoksovi, że go porwałem.

Właśnie z tego drugiego powodu Ghreni chciał wyeliminować Marce'a, gdyby nie udało się go sprowadzić z powrotem. Nie był pewien, jaką siłę przebicia ma hrabia Claremont na dworze imperialnym, ale wiedział, że Nadashe i Amit nie byliby zadowoleni z takich doniesień z Kresu, ponieważ jego działania utrudniłyby im życie.

Hrabia potrząsnął głową.

– Kazałem mu odlecieć, bo gdyby nie opuścił planety, nie zdołałby tego zrobić już nigdy.

Ghreni czuł się zbity z tropu.

– Mówisz o prądzie Nurtu?

Co imperialny kontroler mógł wiedzieć o Nurcie? Specjalnością hrabiego były podatki, nie fizy...

– O mój Boże – powiedział Ghreni i już nie kryjąc zdziwienia, wpatrywał się w hrabiego.

– To ty.

Hrabia Claremont wydawał się zdezorientowany, ale rozbawiony.

– To znaczy kto, panie Ghreni?

– To ty! Fizyk zajmujący się Nurtem. Ten, na którego pracy opierała się Hatide Roynold.

Claremont jeszcze przez chwilę wyglądał na zagubionego, ale potem Ghreni zauważył, jak na jego twarzy pojawia się zrozumienie.

– Znam to imię. Pamiętam ją. Kilka lat temu wysłała mi część swojej pracy i list z pytaniami.

– A ty nie odpowiedziałeś.

– Nie, nie odpowiedziałem. Imperoks nakazał mi, żebym z nikim nie rozmawiał o mojej pracy. – Na twarzy Claremonta pojawiło się kolejne uczucie. Zainteresowanie. – Ty myślisz, że jej badania są poprawne, czyż nie? Uważasz, że prądy Nurtu przesuną się na Kres. Mam rację, prawda? – Ghreni otworzył usta z wrażenia. Claremont klepnął ręką w bok łóżka. – Tak! Tak właśnie sądzisz!

Claremont zaczął się zanosić głośnym śmiechem. Jeden z marines otworzył drzwi i wetknął głowę do środka, aby sprawdzić, co się dzieje. Zirytowany Ghreni oddalił go machnięciem ręki. W końcu Claremont się opanował, otarł łzy i przyjrzał się Ghreniemu.

– Ty żaloszny, ambitny głupcze – powiedział.

– Co wiesz? – zapytał młody Nohamapetan.

– Wiem, że Hatide Roynold była na bakier z matematyką. Wiem też, że jeśli nie sprawdziła pewnych podstawowych założeń swojej teorii, to prawdopodobnie mocno odeszła w kierunku, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Czy któraś z jej prac,

jakie miałeś w ręku, była recenzowana?

– Nie.

Claremont pokiwał głową.

– Oczywiście, że nie. Była w takiej samej sytuacji jak ja. Znalazła się pod skrzydłami swojego patrona i pracowała sama. Recenzja jest ważna, panie Ghreni. Dopóki Marce nie dorósł na tyle, żeby mógł sprawdzać moje badania, też działałem po omacku. Popełniłem wiele głupich pomyłek, których sam nie widziałem. Roynold też je popełniała. Wiem, bo je widziałem. Prawdopodobnie nigdy ich nie poprawiła. – Hrabia nachylił się i delikatnie zaczął stukać palcem w pierś Ghreniego. – A wy jesteście niedouczonymi, zachłannymi tchórzami. Skąd mogliście wiedzieć, że się myli?

Ghreni ustąpił przed dźgającym go palcem.

– Co chcesz powiedzieć?

Claremont z uśmiechem ułożył się z powrotem na łóżku.

– Nic nie chcę powiedzieć, panie Ghreni. Przynajmniej dopóki nie wyślesz kierownictwu swojego rodu raportu, w którym opiszesz szczegóły swego nagłego wyniesienia na książęcy tron. *Masz zamiar zrobić coś takiego, prawda?*

– Tak, mam.

Raport miał zostać wysłany dronem pocztowym – małym, bezzałogowym pojazdem, który unosił się tuż obok płycizny Nurtu. Przekazywano na niego wszelkie formy komunikacji elektronicznej (osobiste listy i zdjęcia, korespondencję handlową, raporty, własność intelektualną), jakie można było zapisać cyfrowo. Raz dziennie jeden z tych dronów wlatywał w Nurt, niosąc zapisane w nim informacje. Raz dziennie jeden dron także wylatywał z Nurtu, przenosząc listy, wiadomości handlowe, własność intelektualną i tak dalej, a następnie przekazywał wszystko na Kres. Poczta zawsze docierała z opóźnieniem, bo planeta znajdowała się daleko od wszystkiego. Mimo to zawsze w końcu docierała.

Claremont znów skinął głową.

– No więc spisz raport. Wyślij go. A kiedy to się wydarzy, wróć do mnie, a wtedy ja ci wyłuszcze *moje* warunki.

– Kiedy *co* się wydarzy?

– Dowiesz się.

– I jakież to warunki, w twoim mniemaniu, będziesz mi w stanie dyktować?

– Na dobry początek nie chcę mieć na swoim koncie morderstwa. Potem zobaczymy. Powiem ci jedno, panie Ghreni: mylisz się pod każdym względem. *Ja* cię do niczego nie potrzebuję. Z kolei ty możesz potrzebować mnie. Bardziej niż przypuszczasz. Tak więc idź i napisz swój raport. Dopóki nie wrócisz, nic nikomu nie powiem.

Claremont wykonał ruchy, jakby dosłownie odganiał go niczym natrętną muchę. Bardziej z konsternacji, niż z jakiegokolwiek innego powodu, Ghreni wyszedł.

Ghreni wkroczył do swojego biura w budynku należącym do rodu Nohamapetan. Przeniesienie wszystkich ważnych rzeczy do książęcego pałacu miało zająć trochę czasu. Ta myśl przyprawiała go o dreszcze. Zaraz po przybyciu napisał raport dla Nadashe. Był on zarówno kodowany, jak i zaszyfrowany. Następnie wysłał go bezpiecznym łączem do pocztowego drona i zszedł, aż nadejdzie potwierdzenie, że został wysłany. Potwierdzenie przyszło kilka minut później, wraz z podaniem terminu odlotu drona, co miało nastąpić za niecałe pół godziny. Gdy tylko je otrzymał, zajął się innymi obowiązkami, głównie raportami nadsyłanymi przez zespół podpisujący rozejm z rebeliantami.

Pracował nad tym, póki trzy godziny później nie zauważył, że otrzymał kolejne powiadomienie z poczty, informujące, że jego wiadomość nie zostanie dostarczona na czas. Jako powód podano „uszkodzenie drona”, a to oznaczało, że z jakiegoś powodu nie działał poprawnie. Informacje w nim zapisane, w tym jego raport, miały zostać przerzucone na innego drona (w okolicy płycizny Nurtu znajdowały się ich dziesiątki), a następnie wysłane.

Ghreni już miał zamiar zamknąć pocztę, gdy dotarły dwa inne powiadomienia o opóźnieniach spowodowanych jakimiś uszkodzeniami urządzeń. Kiedy je czytał, nadeszło trzecie i czwarte powiadomienie.

Zadzwoił do swojego asystenta.

– Co się dzieje z tymi dronami pocztowymi?

– Nie mam pojęcia, proszę pana – padła odpowiedź. – Wszyscy na to narzekają. Cała poczta przeskakuje z jednego drona na drugi.

Zanim Ghreni zdążył coś na to odpowiedzieć, zadzwonił jego tablet, dając mu znać, że sir Ontain Mount próbuje się z nim skontaktować. Przerwał rozmowę z asystentem bez słowa pożegnania i przywitał się z dowódcą marines.

– Chyba mamy problem – zaczął Mount.

– Z rozmowami w sprawie traktatu?

– Nie, z czym innym. Piątek o nazwie *Bo ja tak mówię* właśnie przesłał raport do stacji imperialnej. Miał wlecieć w Nurt.

– Jest jakiś problem z tym statkiem?

– Statek jest w porządku. Problem jest z płycizną.

– Co się dzieje?

– Nie ma jej tam, panie Ghreni. Nie zostało po niej śladu.

Po paru godzinach i kilku dość zwariowanych spotkaniach Ghreni wrócił do szpitala i pokoju hrabiego Claremonta.

– O! Dobrze, jesteś z powrotem – rzekł tamten. Wskazał na imperialnych marines. –

Powiedzieli mi, że wszystko w porządku i teraz mnie wypuszczają. Zamierzają mnie przekazać lokalnym władzom, które jak się domyślam, są teraz obsadzone twoimi ludźmi.

Najwyraźniej trafię do więzienia.

– Wyjdźcie z pokoju – nakazał Ghreni wszystkim poza samym hrabią. Pomieszczenie opustoszało, a Nohamapetan znów zwrócił się do Claremonta: – Wiedziałeś. O Nurcie.

Claremont kiwnął głową.

– Istniała możliwość, że nie zniknie, zanim wyślesz raport, a wówczas byłaby to kompletnie inna rozmowa. Przynajmniej na razie. Jednak gdyby prąd nie rozpadł się dzisiaj, nastąpiłoby to jutro albo pojutrze. W każdym razie nie później niż za tydzień. A wtedy i tak odbylibyśmy tę rozmowę.

– Jeśli prąd się rozpadł, to wysłałeś swojego syna na śmierć.

– Nie. Zgodnie z moimi przewidywaniami prąd rozpada się od płycizny wlotowej. Wylotowa pozostanie otwarta jeszcze przez kilka miesięcy. Nie ma to jednak znaczenia. Nic się do niej nie dostanie, więc gdy wylecą z niego wszystkie statki, praktycznie przestanie ona istnieć. Wszyscy, którzy znajdują się teraz na Kresie, pozostaną tutaj.

– Na jak długo? Ile to potrwa?

– Och, panie Ghreni. *Wiecznie*, rzecz jasna.

Nohamapetan nic na to nie odpowiedział.

– Jest coś jeszcze – dodał Claremont. – Prąd Nurtu prowadzący z Kresu pozostaje dla nas zamknięty. Jednak wedle moich obliczeń prąd prowadzący *do* nas będzie otwarty jeszcze przez kilka lat. Wykazuje pewne oznaki rozpadania się, ale przez pewien czas powinien się utrzymać. Możliwe, że będzie to ostatni prąd w całej Wspólnocie, jaki się rozpadnie.

– A co to oznacza? – zapytał Ghreni.

– To oznacza, że powinniśmy się przygotować na przyjęcie gości.

– Gości?

– Tak.

– Ilu?

– Tylu, ilu zdoła tu dotrzeć żywych, jak się spodziewam – odparł Claremont, po czym z kłaśnięciem złożył dłonie. – A zatem, panie Ghreni... Jesteś mordercą i uzurpatorem. Próbowaleś też skrzywdzić mojego syna. W świecie doskonałym za to, co robiłeś przez ostatnie lata, byłbyś martwy albognił w więzieniu. Dla mnie każda z tych opcji byłaby do przyjęcia. Teraz jednak, na nasze szczęście lub nie, jesteś księciem Kresu. Przypuszczam, że skoro zdobyłeś tron, to jak za dotknięciem magicznej różdżki znalazłeś sposób na zakończenie rebelii, mam rację? – Ghreni tylko skinął głową. – To oznacza, że jesteś aktywnie *zaangażowany* w działania powstańców w jakiś paskudnie dwulicowy sposób. Tu też się nie mylę, jak mniemam? – Ghreni wzruszył ramionami. – Tak właśnie myślałem. W każdym razie mamy pokój, a będziemy go potrzebowali w sytuacji, jaka wkrótce nastąpi, i ty, niestety, stanowisz środek, aby go utrzymać. To z kolei oznacza, że pozbycie się ciebie w obecnych okolicznościach wywoła więcej problemów niż ich rozwiąże. Mógłbym spróbować konfrontacji. Przypuszczam, że mógłbym skontaktować się z sir Ontainem

i zrobić awanturę. Tyle że teraz, kiedy już wiesz o rozpadzie prądu Nurtu, zdajesz sobie również sprawę, że mamy większe problemy na głowie niż rebelie i przewroty polityczne. Tak więc chciałbym ci zaoferować swoje wsparcie.

Ghreni aż zamrugał z wrażenia.

– Doprawdy, z całym szacunkiem, wasza wielmożność, ale sędzę, że mylisz się w ocenie tego, kto potrzebuje czyjzego wsparcia.

– Nie, nie myślę się. Masz do podjęcia kilka decyzji i od nich będzie zależało, czy ludzkość, a raczej jej część znajdującą się tu i teraz, a także resztki, które dopiero przybędą, przetrwa rozpad. Jesteś ambitny, chciwy i ewidentnie stanowisz część szerszego planu twego rodu, aby przejąć kontrolę nad całą Wspólnotą. To dobrze.

– Dobrze?

– Tak, przynajmniej jeśli chodzi o tę część. To oznacza, że twoja ambicja i chciwość służą czemuś oprócz ciebie samego. To z kolei oznacza, że możesz być kimś więcej niż zwykłym zachłannym socjopata. Że może faktycznie zależy ci na Wspólnocie i ludziach ją zamieszkujących, a także obchodzi cię, co się z nimi stanie. Jeśli tak – albo przynajmniej jesteś w stanie to sobie przyswoić – to jestem tu, aby ci pomóc. Jeżeli nie, to równie dobrze możesz kazać tym marines za drzwiami zastrzelić mnie na miejscu. Dla mnie to bez różnicy. Jeśli jednak *chcesz* skorzystać z mych usług, a powinieneś to zrobić, mam pewne warunki i żądania do spełnienia. Kilka rzeczy, które upewnią mnie, że jest w tobie coś więcej niż płytki, egocentryczny cwaniak, jakim byłeś do tej pory. Muszę być przekonany, że autentycznie będziesz zdolny zbawić świat.

Ghreni nie był w stanie nic na to odpowiedzieć, mimo że bardzo się starał. Czuł się, jakby język i mózg, dwa jego największe atuty, nagle wyschły i odpadły.

Claremont bacznie mu się przyglądał.

– Nie sądziłeś, że tak to się potoczy, co? Kiedy już zostaniesz księciem? Nie tak to wszystko zaplanowałeś?

Ghreni otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wydobył z nich tylko skrzek. Zakłopotany przełknął ślinę i spróbował raz jeszcze.

– Nie – wydukał.

– Cóż, zatem niespodzianka, panie Ghreni. A teraz powiedz mi, jak będzie? Masz zamiar skorzystać z moich usług czy nie?

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 13

Niecałe dziesięć minut po tym, jak *Tak, drogi panie, to moje dziecko* wyleciał z Nurtu w systemie Hubu i rozpoczął mającą potrwać trzydzieści siedem godzin podróż w czasoprzestrzeni ku stacji imperialnej Hubu, na samej planecie, w dzielnicy rozrywkowej miasta Chadwick, wybuchła bomba. Podłożono ją w restauracji i eksplodowała w porze obiadowej, gdy zwiększył się ruch. Zginęło dziesięcioro ludzi wewnątrz i dwoje na ulicy. Sama restauracja była w ruinie.

Reakcja była niezwłoczna. Zautomatyzowane jednostki przeciwpożarowe wyskoczyły z ukrytych luków, aby zminimalizować zagrożenie ogniem. Publiczne systemy zapewniające powietrze w tym rejonie przełączyły się na tryb dokładnego filtrowania powietrza, aby zapewnić możliwość swobodnego oddychania w najbliższej okolicy. Masywne drzwi prowadzące do tej sekcji Chadwick, tak rzadko aktywowane, zostały szczelnie zamknięte, aby odciąć pożar i nie pozwolić na jego rozprzestrzenienie. Szkody, jakie mógłby wyrządzić ogień w tym zamkniętym, podziemnym środowisku, byłyby przerażające. Tunele transportowe prowadzące do i z Chadwick zamknięto. Póki miejscowe i imperialne władze nie otworzą ich ponownie, jedyną możliwością wydostania się z dzielnicy pozostanie przejście po powierzchni, w całkowitej próżni. Nawet jednak tunele prowadzące ku powierzchni były zamknięte i pilnowane.

Ale w zasadzie nie miało to znaczenia.

– Moi ludzie przejrzeni nagrania kamer z całego tygodnia poprzedzającego zamach, zarówno z restauracji, jak i z okolicznych ulic – oznajmił Gjiven Lobland, śledczy imperialny, który badał miejsce zbrodni. Rozmawiał z komitetem wykonawczym na wideołączu, trzy godziny po zamachu. – Nic na nich nie ma. Żadnych paczek, nic, co by tam zostawił któryś z klientów, żadnych podejrzanych działań. Zidentyfikowaliśmy wszystkich bywalców lokalu i członków personelu, którzy jadali tam lub pracowali. Przepytujemy ich, zaczynając od tych z kryminalną przeszłością. Na razie wszyscy okazali się czyści.

– Więc jak się tam znalazła ta bomba? – zapytała Upeksha Ranatunga, przedstawicielka parlamentu.

– Sprawdzamy to. Na podstawie zapisów wideo jesteśmy w stanie stwierdzić, że ładunek eksplodował gdzieś na tyłach restauracji, w części magazynowej. Są tam teraz nasi spece od kryminalistyki.

– Jeśli wybuch nastąpił w części magazynowej, to ładunek mógł zostać przywieziony razem z jedną z dostaw – orzekła arcybiskup Korbijn. – To z kolei oznacza, że mógł się tam znajdować od kilku dni albo tygodni.

– Tak, wasza wielebność – zgodził się Lobland. – Część naszych śledczych przegląda rejestry dostaw. Znajdziemy go.

– Czy ktoś wziął na siebie odpowiedzialność? – spytała Cardenia.

– Nie, wasza wysokość. Jeszcze nie. Monitorujemy komunikację na całej planecie. Gdy tylko się czegoś dowiemy, damy znać.

Cardenia skinęła głową i dała obsłudze znak, aby przerwano połączenie.

– Myślę, że wiemy, kto to jest – odezwał się ktoś z drugiej strony stołu.

Cardenia podniosła wzrok i dostrzegła Nadashe Nohamapetan, najnowszego członka komitetu wykonawczego. Zajęła miejsce Sammana Temamenana, który niestety zginął na oczach Cardenii, tym samym tworząc wakat. Imperoks żałowała, że nie żyje, i to z wielu powodów.

– Chcesz powiedzieć, że to separatyści z Kresu? – zapytała Cardenia.

– To już czwarty zamach bombowy na Hubie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy – stwierdziła Nadashe. – Wszystkie, w ogólnych zarysach, miały ten sam *modus operandi*. Mamy doniesienia o podobnych działaniach w trzech innych systemach. Wszędzie zaczęło się to po tym, jak dotarły tam wieści o twojej koronacji.

– Może to zwykli naśladowcy – powiedziała Ranatunga. – Przecież złapaliśmy zamachowców z dnia koronacji.

– *Zabiliśmy* zamachowców z dnia koronacji – poprawiła ją Korbijn.

– Domniemanych zamachowców z dnia koronacji – dodała Cardenia.

Dwóch rzekomych organizatorów zamachu faktycznie pochodziło z Kresu, ale oprócz tego niewiele było o nich wiadomo, poza tym, że wysadzili się w powietrze małą bombą tuż przed wyważeniem przez imperialne oddziały drzwi do ich mieszkania na Hubie, w którym znaleziono fizyczne dowody łączące ich z zamachem.

– Zabiliśmy dwóch ludzi – zaznaczyła Nadashe. – Nie wiemy, czy pozbyliśmy się całej komórki albo siatki.

– Co według ciebie powinniśmy zrobić, pani Nadashe? – zapytała Korbijn. – To znaczy oprócz tego, co już robimy, a robimy niemało.

– Wasza wielebność, zgadzam się co do tego, że nasi lokalni i imperialni śledczy robią, co mogą. Problem jednak znajduje się nie tutaj, lecz na Kresie. Nadszedł czas, aby Wspólnota włączyła się do działań, przejęła kontrolę nad planetą i zdławiła tamtejszą rebelię.

– Mówiła to już pani wcześniej, sugerowali to także wasi członkowie parlamentu – zauważyła Ranatunga.

– Nie tylko posłowie z Terhathum tak uważają, pani minister.

– Mówiąc „wasi członkowie parlamentu”, nie miałam na myśli tylko tych z waszego rodzimego systemu, pani Nadashe. Chodziło mi również o innych, których kupiliście na potrzeby tej swojej krucjaty.

Nadashe sprawiała wrażenie, jakby się najeżyła.

– Sugerowanie, że rodzina Nohamapetan działa w sposób niewłaściwy, albo po prostu inaczej niż każdy inny ród albo gildia, kiedy ma w tym jakiś interes, jest oburzające.

– A jaki jest w tym *wasz* interes, pani Nadashe? – spytała imperoksa.

– *Nasz* wspólny interes to uniknięcie wszelkich zakłóceń w handlu oraz życiu obywateli Wspólnoty. Również w naszym interesie leży upewnienie się, że ci, którzy zaatakowali imperoksa, zostaną odpowiednio ukarani. Władca postrzegany jako słaby albo podatny na ataki sprowadza chaos.

– Mamy zniewolić samorządny system Wspólnoty celem poprawy naszego wizerunku? – upewniła się Cardenia.

– Nie tylko ze względu na wizerunek – odparła Nadashe. – Nie *wyłącznie* ze względu na wizerunek. Ale *między innymi* dla poprawy wizerunku? Oczywiście.

Cardenia odwróciła się do Ranatungi.

– Jaka atmosfera panuje obecnie w parlamencie, jeśli chodzi o tę sprawę?

Zapytana zerknęła na Nadashe, zanim odpowiedziała.

– Parlament był oburzony atakiem, jaki nastąpił zaraz po koronacji waszej wysokości. Śmierć rzekomych napastników została odebrana jako rozczarowanie. Wraz z kolejnymi zamachami szersze poparcie zyskuje opcja bardziej stanowczej odpowiedzi.

– Co mówią posłowie z Kresu?

– Kiedy z nimi rozmawiałam, powiedzieli tylko tyle, że nie otrzymali żadnych wiadomości ani instrukcji od swojego księcia. Powątpiewają, czy obecnie trwająca tam rebelia miałaby środki, aby zaatakować jakąś inną część Wspólnoty...

– To ci niespodzianka – wtrąciła się Nadashe.

– ... Tudzież jakiś w tym interes – dokończyła Ranatunga. – Na Kresie miało miejsce całę mnóstwo rebelii. Taka jest jego natura, bo tam Wspólnota zsyła ludzi, którzy sprawiają kłopoty. Niemniej wszystkie te bunty ograniczały się do samego Kresu. Dlatego posłowie są sceptyczni w tym względzie.

– Co stanowi marną pociechę dla rodzin ofiar – stwierdziła Nadashe.

– Mimo ich sceptycyzmu, jeśli przejdzie rezolucja o wkroczeniu sił imperialnych na Kres, spotka się ona z poparciem. Zwłaszcza teraz, gdy najwyraźniej następuje eskalacja ataków.

– Gildie również ją poprą – powiedziała Nadashe.

– To zakłóci handel – zauważyła Cardenia.

– To *czasowo* zakłóci handel na Kresie. A to lepsze niż ataki, które z pewnością zakłócą handel w całej Wspólnotie. No i oprócz tego... Kres to Kres. Nie jest to najbardziej znaczące źródło dochodów dla większości rodów i gildii. Na przykład dla mojej rodziny to jeden procent całości przychodów. Myślę, że u pozostałych przedstawia się to podobnie.

Cardenia zwróciła się teraz do Korbijn.

– Co na to Kościół?

– Troską Kościoła są kwestie humanitarne – odparła arcybiskup – jak zawsze w czasie

konfliktów. Jednak niech wasza wysokość pamięta, że zamach w dniu koronacji nie stanowił ataku tylko na twoją osobę. Uderzono w Kościół i naszą katedrę. W szerszym zaś sensie troska Kościoła obejmuje każdą duszę we Wspólnocie. Jeśli te zamachy faktycznie są powiązane z rebelią na Kresie, to musimy rozważyć podjęcie działań.

Cardenia przez chwilę przyglądała się Korbijn z namysłem.

– Dziękuję.

– Co wasza wysokość myśli o tym wszystkim? – spytała Nadashe.

– Myślmy, że póki z całą pewnością nie dowiemy się, kto stoi za tymi atakami albo jakie są cele zamachowców, nie powinniśmy podejmować działań na Kresie. – Tu Cardenia uniosła dłoń ku Nadashe, która ewidentnie szykowała się do odpowiedzi. – Nie zaprzeczamy, że istotnie wygląda to na działania terrorystów z Kresu. Niemniej podjęcie operacji o takiej skali bez dowodu to szaleństwo. Pozwolimy, aby kontynuowano śledztwo.

– Parlament może wyprzedzić waszą wysokość z decyzją – powiedziała Ranatunga. – Zwłaszcza jeśli zamachy się powtórzą.

– Gildie także będą naciskać – dodała Nadashe.

– Rozumiemy ich pośpiech – odrzekła Cardenia. – Transportowiec *Proroctwa Racheli* stacjonuje tu, na Hubie. Możemy natychmiast wysłać na Kres dziesięć tysięcy marines, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mamy jednak nadzieję, że komitet przypomni parlamentowi i gildiom, że to *my* staliśmy się celem pierwszego z tych ataków. *My* jako pierwsi straciliśmy ludzi. *My* cierpieliśmy jako pierwsi. Nadal cierpimy. Mimo wszystko postulujemy cierpliwość. Ludzie na Kresie będą cierpieć, w taki czy inny sposób, jeśli odbierzemy im niezależność. Przynajmniej zyskajmy pewność.

– Tak, wasza wysokość – odparła Ranatunga.

Nadashe milczała. Cardenia skinęła wszystkim, tym samym ich odprawiając.

– Pani Nadashe, chcielibyśmy pomówić z tobą na osobności – powiedziała Cardenia, kiedy pozostali członkowie komitetu wykonawczego się rozeszli.

– Wasza wysokość – odrzekła i się zatrzymała.

– Otrzymałam list zawierający protest przeciwko mianowaniu cię na członka komitetu wykonawczego – poinformowała ją Cardenia, kiedy zostały same, zarzucając imperialne „my”. Był to dla Nadashe sygnał, że rozmowa będzie nieformalna i nierejestrowana.

– Niech zgodnę – odparła Nadashe. – Od rodziny Lagos.

– Ród Lagos jest sygnatariuszem, ale nie jedynym.

– W czym problem?

– Przedmiotem ich troski jest fakt, że ród Nohamapetan ma do mnie zbyt duży dostęp. Oprócz kwestii członkostwa w komitecie mają na myśli twój dawny związek z Renneredem oraz to, że Amit uparcie narzuca mi się z sugestią małżeństwa.

Na usta Nadashe wpełzł wąski uśmiech.

– Z całym szacunkiem, wasza wysokość, „upór” nie jest słowem, jakiego bym użyła, aby

opisać jego starania. Albo, żeby wyrazić się bardziej precyzyjnie, Amit jest uparty. Ale wasza wysokość również.

– Jasno dałam do Amitowi zrozumienia, że przez najbliższy rok będę w żałobie po Naffie Dolg.

– Tak, wasza wysokość. To długi okres, jak na żałobę.

– Była dla mnie jak siostra, pani Nohamapetan. Okres żałoby uwzględnia też inne ofiary zamachu bombowego w dniu koronacji. Próba skrócenia go oznaczałaby teraz brak szacunku dla ich pamięci. – Nie wymieniła trzeciego powodu, którym było danie sobie czasu na rozważenie kandydatury Amita Nohamapetana na jej męża. Mimo to obie potrafiły czytać między wierszami. – Tak czy inaczej u wielu rodów powstało przekonanie, że może wasza rodzina ma zbyt duże wpływy.

– Wobec tego przypomniabym im, że zostałam mianowana na to stanowisko głosami gildii. A ponieważ rodziny kontrolują swoje gildie, zostałam wybrana głosami większości rodów.

– Tak, to prawda. Jednakże list przypomniął mi, że podczas gdy zwyczaj nakazuje, aby imperoks akceptował wybory do komitetu wykonawczego ze strony Kościoła, gildii i parlamentu, to panujący może odrzucić kandydata na członka lub go zwolnić z tej funkcji, jeśli mu nie odpowiada. Autorzy listu byli na tyle pomocni, że podali kilka precedensów.

– Czy wasza wysokość zamierza mnie zwolnić? – zapytała Nadashe i Cardenia wyłapała lekkie napięcie pobrzmiewające w jej głosie.

– Nie okazałabym gildiom takiego braku szacunku bez powodu – stwierdziła Cardenia. – Jednak teraz, kiedy unaoczniono mi całą sytuację, przyznaję, że ród Nohamapetan w oczywisty sposób i nieustannie stanowi element mojego życia, zaś *wrażenie* nadmiernego wpływu należy traktować poważnie. Być może twój ród, pani, powinien rozważyć, czy woli mieć przedstawiciela w komitecie wykonawczym, czy może współmałżonka imperoksa.

– Mogę mówić otwarcie, wasza wysokość?

– Tak, proszę.

– Tak naprawdę wcale nie dajesz mi wyboru, wasza wysokość, czyż nie? Jeśli zostanę w komitecie wykonawczym, będziesz miała wymówkę, aby odrzucić konkury mojego brata, a równocześnie nadal pozostanie ci opcja usunięcia mnie ze stanowiska, gdybym stała się kłopotliwa. Jeżeli zaś opuszczę komitet, pozostanie waszej wysokości możliwość odrzucenia oświadczyn mojego brata, które, nadal mówiąc otwarcie, nie wierzę, abyś rozważała na poważnie. Jeśli wasza wysokość planuje odprawić mnie albo mojego brata, proszę to zrobić. To prawo i przywilej waszej wysokości jako imperoksa. Niemniej niech wasza wysokość nie wykorzystuje tego nonsensu jako pretekstu.

Cardenia się uśmiechnęła i poczuła lekkie ukłucie żalu, że jej preferencje seksualne i uczuciowe tak mocno skłaniają się ku drugiej płci. W przeciwieństwie do brata Nadashe nie była nudna.

„I zjadłaby cię żywcem”, powiedziała jakaś część jej mózgu. Cóż, taka była zapewne prawda. Nadashe nie interesowałaby rola cichej współmałżonki. Chciałaby rządzić. To jednak, jeśli Cardenia miała być ze sobą całkowicie szczerą, nie do końca było złe. Nigdy nie chciała być imperoksem. Pragnęła tylko zostać mecenasem jakiejś małej, fajnej fundacji dla artystów albo czegoś w tym rodzaju. Pomysł posiadania ambitnej małżonki, która z radością by się zajęła ciężką pracą związaną z rządzeniem imperium, miał swoje plusy.

„Dopóki małżonka postępowała zgodnie z twoimi poglądami”, zauważył jej mózg. To zaś stanowiłoby główny problem z Nadashe Nohamapetan. Jakkolwiek wyglądały jej plany, opracowywała je na długo, zanim Cardenia bodaj zbliżyła się do tronu. A to było czynnikiem dyskwalifikującym po stronie Nadashe. Problem pojawiał się również w związku z tym, że Cardenia niezbyt była zainteresowana uprawianiem z nią seksu. A żaloba czy nie, minął już cholernie długi kawał czasu, odkąd Cardenia się z kimś przespala.

„No ale przecież z Amitem też nie masz ochoty uprawiać seksu”, przypomniał jej mózg. Temu także trudno było zaprzeczyć. Miał właściwą płęć, ale niewłaściwą osobowość. No i fakt, że pozostawał marionetką w machinacjach swojej siostry był tak ewidentny, że wszystko, o czym Cardenia była w stanie myśleć w jego obecności, to: „Kiedy będę mogła stąd wyjść?”. Cardenia nie wątpiła też, że Amit uznał ją za atrakcyjną, przynajmniej na tyle, że na pewno będzie chciał z nią uprawiać seks.

„Skoro nie masz ochoty uprawiać seksu z żadnym z tych dwojga, to równie dobrze możesz poślubić to, które nie będzie tego chciało od ciebie”, podpowiadał mózg. To była bardzo słuszna uwaga, tyle że Cardenia nie wiedziała, jakiej orientacji jest Nadashe, ale na pewno „ambitnej”. *Na pewno* poślubiłaby Cardenię, gdyby padła taka propozycja. Czy chciałaby również wszystkich innych rzeczy, jakie się z tym wiązały? Możliwe. Jednak nie chciałaby by ich Cardenia.

„Nie to, żebyś nie mogła uprawiać seksu, jeśli zechcesz”. Też racja. Małżeństwa polityczne były tym, czym były, a ród Murn, który kontrolował gildię zajmującą się usługami seksualnymi, nie narzekał na brak zainteresowania swoimi kwitnącymi na Xi’an interesami. Bez najmniejszego problemu miałyby dostęp do tylu usług, ile by tylko chciała. Bez wątplenia nie byłaby pierwszą imperoksem, która by z nich korzystała. Wiedziała o tym dzięki Pokojowi Pamięci, w którym głupio zapytała symulację swojego ojca o jego imperialne małżeństwo, a Attavio VI ujawnił przed nią zakres swojej aktywności pozamałżeńskiej.

To wywołało u Cardenii pewien niesmak. Nie z powodu seksu jako takiego, ale ponieważ tak jak większość ludzi wolała nie wyobrażać sobie rodziców robiących te rzeczy. Cardenia nie miała nic przeciwko usługom seksualnym ani też uprawianiu seksu w ten sposób. Jeśli ktoś odczuwał taką potrzebę, a akurat nie miał łatwiejszego sposobu, żeby ją zaspokoić. Jednak nie chciała, żeby ten sposób był dla niej czymś *normalnym*. Podobnie było

z posiadaniem kochanków, którzy robiliby to, co normalnie robi się z małżonkiem. Jeśli miała już kogoś poślubić, to chciała partnera, który spełniałby wszystkie jej potrzeby. Możecie sobie nazywać ją staroświecką.

No i pomijając te wszystkie pierdoły związane z seksem, pozostawała kwestia dzieci. Z Amitem Nohamapetanem do zrobienia konwencjonalnie, a z Nadashe technicznie, ale to i tak pozostawiało bez odpowiedzi pytanie, czy chce mieć potomstwo z którymkolwiek z tych dwojga. Sami Nohamapetanowie niezbyt ją obchodzili. Nie wątpiła, że pokochałaby każde dziecko, jakie los by jej przyniósł, ale martwiła się, że go nie *polubi*, jeśli dominujące okażą się cechy osobowości odziedziczone po współmałżonku.

Poza tym *żadna* z tych kwestii nie zmieniała faktu, że Cardenia po prostu nie chciała poślubić któregoś z Nohamapetanów – nie tylko dlatego, że ani ona, ani on nie wydawali jej się atrakcyjni, ale przede wszystkim ponieważ bardzo jej się nie podobało zmuszanie do politycznych małżeństw w ogólności. Irytowało ją twierdzenie Nohamapetanów, że to nie ona stanowi stronę w tym wszystkim. Irytował ją komitet wykonawczy, który milcząco, ale wyraźnie popierał ich roszczenia. Irytowały ją układy polityczne wśród gildii, które sprawiały, że małżeństwo z Nohamapetanem było rozsądnym posunięciem, przynajmniej jeśli mowa o oparciu dla władzy imperoksa i jej sprawowaniu. Irytował ją brat, dlatego że był martwy, a także ojciec, bo zasugerował, że ostatecznie wcale nie musi poślubić Nohamapetana, podczas gdy wszystkie inne osoby, frakcje i sama rzeczywistość mocno dawały jej odczuć, że jest dokładnie odwrotnie.

„Moje życie jest do bani – powiedziała do siebie w myślach. – Jestem imperoksem całej ludzkości, a mam w życiu przewalone”. Lekko się zaśmiała.

– Wasza wysokość? – zagadnęła Nadashe, przywołując ją do rzeczywistości.

– Przepraszam – powiedziała Cardenia. – Myślałam o naszym kłopotliwym położeniu.

– Czy mogę coś zasugerować?

– Proszę.

– Ze względu na mój ród i brata byłabym skłonna zrezygnować z miejsca w radzie, ale *tylko* jeśli w następstwie tego wasza wysokość zgodzi się na małżeństwo. Tak więc pozwolę sobie zaproponować następujące rozwiązanie. W czasie żałoby niech wasza wysokość spędza sporo czasu z Amitem. Nie tylko na formalnych spotkaniach, ale też w sytuacjach, kiedy oboje będziecie mogli pozostać sobą. W sytuacjach, w których wasza wysokość będzie mogła dostrzec w nim partnera. Współpanującego. Małżonka. W rocznicę koronacji powiesz mu, czy go akceptujesz. Jeśli odpowiedź będzie pozytywna, ja zrezygnuję z miejsca w komitecie wykonawczym. Jeżeli nie, wówczas je zachowam, zaś Amit będzie przynajmniej miał jasną odpowiedź. Będę jednak potrzebowała obietnicy waszej wysokości, że nie spróbujesz mnie usunąć z grona komitetu. Czy takie rozwiązanie jest do przyjęcia?

Cardenia zastanawiała się przez chwilę.

– Sądzę, że tak.

– Dobrze – powiedziała Nadashe. – W takim razie mam dla waszej wysokości zaproszenie od Amita. Stocznie waszej wysokości właśnie ukończyły najnowszy dziesiątak rodu Nohamapetan, *Jeśli chcesz śpiewać, to śpiewaj*. Amit zaprasza cię na prywatne zwiedzanie statku w swoim towarzystwie.

– Kiedy?

– Za dwa dni.

– A kiedy brat wystosował zaproszenie?

– Wczoraj. Wysłałby je bezpośrednio, ale wiedział, że zasiadam w komitecie i będę się z waszą wysokością widzieć.

– A ty przewidziałaś, że czeka nas ta rozmowa, Nadashe?

Zapytana się uśmiechnęła.

– Nie, wasza wysokość. Nie przypuszczałam, że rodzina Lagos zdoła przekonać inne rody, aby spróbować mnie usunąć, choć teraz, kiedy już o tym wiem, nie jestem zaskoczona. Podobnie jak nie myślałam, że przy tej okazji zawrzemy umowę. Nic z tych rzeczy, wasza wysokość. Po prostu Amit wydaje się naprawdę cię *lubić*. Poprosił mnie, abym mówiła w jego imieniu.

– Dobra z ciebie siostra.

– Jestem kompetentną siostrą – odparła Nadashe. – To znaczy *i tak* miałam zamiar się spotkać z waszą wysokością. Nie wysiliłam się zanadto.

Obie się roześmiały.

Wkrótce potem Cardenia znalazła się z powrotem w swoim prywatnym skrzydle z Gellem Dengiem.

– Chciałabym, żebyś dostarczał mi najświeższych wiadomości o dzisiejszym zamachu bombowym – nakazała. – Nie tylko to, co podają serwisy informacyjne.

– Oczywiście, wasza wysokość.

– Zgodziłam się też na wycieczkę po nowym statku z Amitem Nohamapetanem. Za dwa dni. Skontaktuj się z jego ludźmi i poczyn odpowiednie ustalenia. Daj mi wcześniej dwie godziny plus czas na podróż. Późnym popołudniem.

Deng lekko uniósł brwi, ale nie skomentował wprost. Powiedział jedynie:

– Gwardia Imperialna będzie chciała zobaczyć plan statku i proponowaną trasę wycieczki.

– Wydaje mi się, że nie ma proponowanej trasy wycieczki. To ma być nieformalne spotkanie.

– Gwardia Imperialna będzie z tego powodu bardzo niezadowolona.

– W takim razie każ im poinformować ludzi Nohamapetanów, że muszą dostarczyć trasę wycieczki, ale *mi* o niej nie mów. Chcę zostać zaskoczona.

– Tak, wasza wysokość. Prosiłaś, abym poinformował cię, jeśli nadejdą jakieś wieści od hrabiego Claremonta z Kresu.

– Tak?

W pierwszym tygodniu panowania Cardenia wysłała do hrabiego list, aby go poinformować o śmierci Attavio VI oraz poprosić o najnowsze wyniki badań. Mimo to było o wiele za wcześnie, aby hrabia zdołał odpowiedzieć na list bezpośrednio.

– Nie chodzi o hrabiego, lecz o jego syna, pana Marce’a Claremonta. Właśnie przybył na piątku należącym do rodziny Lagos i dotrze do stacji imperialnej za mniej więcej trzydzieści godzin. Prosi o audiencję.

– Jego syn?

– Tak, wasza wysokość.

– Jesteśmy pewni, że łączy ich takie pokrewieństwo?

– List nadszedł z takim samym cyfrowym zabezpieczeniem, jakiego zawsze używał w swej korespondencji hrabia Claremont. Wszystko się zgadza.

– Czy coś się stało samemu hrabiemu?

– W liście nic nie ma na ten temat. Mam go uwzględnić w harmonogramie czy odrzucić jego prośbę?

Kancelaria imperoksa miała ponad trzydziestu urzędników, których zadaniem było prowadzenie spotkań z biurokratami niższego szczebla, aparatczykami i służącymi. Jeśli któryś z nich był dostatecznie ważny, Deng otrzymywał odpowiedni meldunek i decydował, czy wspomnieć o nim imperoksovi.

– Wciągnij go na plan dnia.

– Mogę dać mu kwadrans przed twoim spotkaniem z Amitem Nohamapetanem, niezależnie od tego, kiedy będzie on miał miejsce. To powinno dać panu Claremontowi wystarczająco dużo czasu, aby opuścić statek i złapać prom na Xi’an.

– Wyślij kogoś, żeby go odebrał. To pewnie jego pierwszy raz poza rodzimą planetą. Nie chcę, aby się zgubił.

– Tak, wasza wysokość.

– Czy mamy coś zaplanowane na resztę dnia?

– Tylko kilka drugorzędnych spraw. Nic, co by nie mogło poczekać.

– Zatem chciałabym przez chwilę porozmawiać z przodkami na temat małżeństw politycznych.

– Oni wiedzą o tym wszystko, wasza wysokość.

– Tak, owszem. – Cardenia pokiwała głową, po czym wyszła z biura, kierując się do Pokoju Pamięci.

ROZDZIAŁ 14

– Mamy dwa bardzo poważne problemy – powiedziała Kiva do hrabiny Humy Lagos, swojej matki i aktualnej matriarchini rodu. – Jeden większy od drugiego.

– Zacznijmy od tego mniejszego – zasugerowała Huma.

– Ci jebani Nohamapetanowie.

Huma się roześmiała.

Obie znajdowały się w biurach rodu Lagos na Hubie, w Domu Gildii, jednym z największych prywatnych budynków na planecie. Miał on siedemset lat i zajmowały go najstarsze i najbardziej wpływowe rody Wspólnoty. Pomniejsze rodziny używały mniejszych budynków, otaczających Dom Gildii niczym suplikanci. Rozkład siedzib rodów na Hubie stanowił z grubsza odzwierciedlenie ich wpływów politycznych. Rodzina Lagos rezydowała w samym Domu Gildii, zajmując trzy położone nisko kondygnacje. Ród Nohamapetan mieścił się kilka pięter wyżej, ale miał do dyspozycji tylko jedno z nich oraz pół kolejnego. Ród Wu, rodzina panująca, zajmował dwanaście kondygnacji na samym szczycie, w tym dach, znajdujący się tak wysoko, że można było praktycznie sięgnąć i dotknąć wierzchołka kopuły habitatu Hubfall, pod którą znajdował się Dom Gildii.

Hrabina Lagos zwykle tutaj nie przebywała i interesami rodu kierowała z Ikoyi – macierzystego systemu Lagosów, pozwalając, by sprawami na Hubie i Xi'an zarządzał kuzyn. Niemniej hrabina przybyła na Hub tydzień wcześniej, aby nadzorować finał negocjacji wspólnych umów licencyjnych z rodem Jemisin. Hrabia Jemisin miał się zjawić za dwa dni. W tym czasie Kiva wolała pomówić o wszystkim z matką, zamiast przedstawić te sprawy panu Pretarowi, głównemu dyrektorowi rodziny Lagos na Hubie, którego zawsze uważała za drętwego złamasa.

– A jakież to mamy problemy z Nohamapetanami? – spytała Huma. – Oprócz tych co zwykle.

– Po pierwsze, jestem pewna, że Nohamapetanowie przeprowadzili sabotaż naszej produkcji na Kresie, wprowadzając do upraw wirusa i powodując, że tamtejszy książę nałożył embargo na nasze produkty i zamroził nam pieniądze w depozycie. Po drugie, jestem równie pewna, że to sprawka Ghreniego Nohamapetana, ich przedstawiciela na planecie, który przekonał też księcia do zamrożenia naszych funduszy i użycia ich do sfinansowania wojny domowej przeciwko rebeliantom. Po trzecie, mam całkiem solidne podstawy podejrzewać, że tak naprawdę za rebelią na Kresie stoją Nohamapetanowie, a konkretnie mówiąc, Ghreni, ale nie potrafię tego udowodnić. Po czwarte i najważniejsze, ten skurwysyn próbował podłożyć na naszym statku bombę i wysłał w ślad za nami piratów.

Huma Lagos w ciszy rozważała to, co właśnie usłyszała od córki. Wreszcie powiedziała:

– To już z czystej ciekawości spytam, że jeśli to jest mniejszy z problemów, to jak przedstawia się większy.

– Nastąpi całkowity rozpad Nurtu, kres Wspólnoty i prawdopodobnie wymarcie ludzkości.

Huma zamrugała.

– Kiedy?

– W ciągu najbliższych kilku lat.

– Skąd masz tę informację?

– Od jednego z pasażerów *Tak, drogi panie*, który przypadkiem jest fizykiem zajmującym się Nurtem.

– A powiedział ci to, bo...

– Pieprzyłam się z nim.

– I mu uwierzyłaś?

– Owszem. *Nic* z tego nie rozumiem. Nie wątpię jednak, że przynajmniej część z tego to prawda. Wszyscy mamy zamasyście przejebane, mammo.

– Gdzie teraz jest ten pasażer?

– Leci, żeby porozmawiać o tym z imperoks.

– Hmm – skomentowała Huma i znów przez chwilę rozmyślała w milczeniu.

– Czy jest coś, co możemy zrobić z tym szajsem pod tytułem „koniec Wspólnoty”, zanim za dwa dni podpiszę naszą umowę z rodem Jemisin?

– W zasadzie nie.

Huma skinęła głową.

– No to na razie skupmy się na Nohamapetanach. Opowiedz mi wszystko.

Kiva obszernie zrelacjonowała cały pobyt *Tak, drogi panie* na Kresie. Obszernie, głośno i z długimi komentarzami pobocznymi. W pewnym momencie przerwał im Pretar, który wszedł do pokoju, bo tak się składało, że było to jego biuro. Hrabina Lagos odprawiła go, nawet na niego nie spojrzawszy. Pretar pospiesznie się wycofał i usiadł w swojej własnej poczekalni. Po około godzinie siedzenia wreszcie wstał i poszedł sobie zrobić kawę.

– Zechcesz stanąć przed Trybunałem Zażaleń Gildii, aby zaświadczyć, że Ghreni Nohamapetan kazał podłożyć na *Tak, drogi panie* bombę i stał za atakiem piratów? – zapytała Huma, gdy Kiva skończyła.

– Oczywiście.

– I uważasz, że stał za tym ród Nohamapetan? Że *nie* była to własna inicjatywa Ghreniego Nohamapetana, podjęta celem realizacji jakichś jego osobistych celów? Innymi słowy, czy działał na polecenie swojej rodziny?

– Mamo, znam Ghreniego. Miałam z nim trochę do czynienia na uniwersytecie, kiedy odwiedzał Nadashe. To nie on jest najbardziej ambitny z całej tej rodziny. Nie wiem, jakie

jest oficjalne stanowisko rodu Nohamapetan względem całego tego bajzlu, jaki on odstawia na Kresie, ale na pewno to nie on jest mózgiem całej operacji.

– Masz na myśli Nadashe?

Kiva skinęła głową.

– To z nią studiowałam.

– Jesteście przyjaciółkami?

– „Przyjaciółka” to by było trochę naciągane określenie. Tolerowałam fakt, że bzykałam się z jej bratem. Poza tym miałyśmy niepisaną umowę, że dla obu stron będzie najlepiej, jeśli zrezygnujemy z wchodzenia sobie w drogę. Niemniej szanuję ją. Jest sprytna jak cholera i jeżeli wypchnie cię przez okno, zrobi to tak, żeby wyglądało, jakbyś sama wyskoczyła. Jeśli coś się szykuje, ona za tym stoi.

Huma znów przez chwilę milczała, zanim powiedziała:

– Wiesz, że od kilku miesięcy ci cholerni rebelianci z Kresu przeprowadzają zamachy bombowe? Tu i w innych systemach.

– Nie, skąd mielibym wiedzieć? Nie było mnie dwa lata, mamo.

– Zaczęło się, albo przynajmniej tak się przypuszcza, od ataku bombowego podczas ceremonii koronacyjnej nowej imperoks. Bomba zabiła jej najlepszą przyjaciółkę, a o mały włos zginęłaby też sama Grayland. Od tamtej pory za każdym razem, kiedy następuje nowy atak, to właśnie Nadashe namawia gildie i parlament, aby podjąć kroki wojskowe. Nie bez skutku. Mają transportowiec pełny żołnierzy, gotowy wlecieć w prąd Nurtu prowadzący do Kresu. Czekają tylko na pretekst, aby go tam wysłać.

– No to wszystko do siebie pasuje – powiedziała Kiva. – Jeśli chce, żeby go tam wysłać, to ma plan, co robić, kiedy już tam dotrze.

– Jeżeli tam polecą, to na pewno po to, żeby wesprzeć księcia, a ty mówisz, że Ghreni Nohamapetan potajemnie wspiera rebeliantów.

– Tak. No i co? Albo ma jakiś plan, jak wykorzystać te oddziały na swoją korzyść, albo jest coś, co nam umyka. Albo jedno i drugie. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Huma pokiwała głową, wstała i z kłaśnięciem złożyła dłonie.

– Cóż, chyba pójdziemy się dowiedzieć, czyż nie?

Wyszła z biura i ruszyła w kierunku wspólnego szybu windy. Kiva również wstała i ruszyła za nią.

Dwie minuty później znalazły się w korytarzu rodziny Nohamapetan.

– Chciałabym się zobaczyć z Amitem Nohamapetanem – oznajmiła Huma recepcjoniście.

– Jest pani umówiona?

Kiva się uśmiechnęła. Już jej było żal tego biedaka.

– Jestem hrabina Huma Lagos, mój drogi. Nie muszę się umawiać.

– Pani wybaczy, ale bez umówionego spot...

– Drogie dziecko, chcę, żebyśmy mieli jasność w kilku sprawach. – Wycelowała palec

w szklane drzwi, oddzielające recepcję od reszty tego piętra, wyposażone bez wątpienia w zamek magnetyczny. – Mam zamiar spróbować przejść przez te drzwi, a jak już przez nie przejdę, wybieram się do biura Amita Nohamapetana. Jeśli jedno albo drugie drzwi się nie otworzą, zrobię dwie rzeczy. Po pierwsze, złożę pozew w Trybunale Zażaleń Gildii przeciwko rodzinie Nohamapetan za utrudnianie śledztwa, co, jak zapewne wiesz, stanowi bardzo poważny zarzut i obrona w sądzie będzie kosztowała Nohamapetanów setki tysięcy marek. Proces ten przegrają, w następstwie czego miliony marek popłyną z ich kont na moje, a ty wylecisz z pracy za spowodowanie pomiędzy rodami waśni, której łatwo można było uniknąć. Po drugie, pozwę również *ciebie* i dam rodowi Nohamapetan do zrozumienia, że z przyjemnością zrezygnuję z pozwu przeciwko nim, jeśli tylko zostaniesz zwolniony z pracy. Następnie, już po dogadaniu się między naszymi rodami, upewnię się, że nigdy więcej nie dostaniesz jakiegokolwiek pracy i spędzisz resztę swojego życia, zarabiając nie więcej niż wspólnotowy zasiłek minimalny, a nawet jeśli uda ci się uszczknąć coś ponad WZM, to nadwyżka zostanie skonfiskowana i przekazana mnie, a ja za nią kupię szampana, żeby świętować twoją nędzę. Czy mamy w tym względzie *całkowitą* jasność?

Recepcjonista otworzył usta z wrażenia, a następnie wcisnął przycisk zwalniający zamek w drzwiach.

– Dziękuję – powiedziała Huma, po czym przez nie przeszła. Kiva znów ruszyła za nią.

Biuro Amita znajdowało się w przeciwległym narożniku kondygnacji. Było duże, z doskonałymi meblami i wielkimi oknami, z których rozpościerał się widok na dzielnicę biznesową Hubfall. Amit i dwóch innych ludzi siedzieli przy stole w niezwykle wygodnych krzesłach. Cała trójka wydawała się zaskoczona, kiedy Huma i Kiva się pojawiły. Huma wskazała palcem towarzyszy Amita.

– Ty i ty, wypierdalać natychmiast.

Tamci spojrzeli na Amita, który skinął głową, więc natychmiast zaczęli wypierdalać. Huma i Kiva siadły na opuszczonych przez nich krzesłach. Amit spojrział na nie, a następnie sięgnął po leżący na stole tablet, na którym migało powiadomienie o nadejściu wiadomości. Przeczytał ją.

– Hrabino Lagos, najwyraźniej groziłaś mojemu recepcjoniście – powiedział. – Poza tym zarzuty o utrudnianie śledztwa tak nie działają i bardzo dobrze o tym wiesz. – Rzucił tablet z powrotem na stół i przyjrzał się uważnie dwójce gości. – No więc czemu zawdzięczam tę niekłamaną, choć niespodziewaną przyjemność?

– Po pierwsze, twoja rodzina sabotowała nasze produkty na Kresie – oznajmiła Huma.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A mnie owszem i nasi prawnicy porozmawiają sobie z waszymi na ten temat. Po drugie, wasza rodzina przeszkadzała mojej córce w robieniu interesów na Kresie, wpływając na tamtejszego księcia, aby nielegalnie wziął w depozyt i wykorzystał nasze dochody.

Amit zerknął na Kivę.

– Ach, pani Kiva. Tak mi się wydawało, że panią poznaję. Swego czasu chyba byłaś w przyjaznych stosunkach z moim rodzeństwem.

– Nie użyłabym tu słowa „przyjaznych”.

– Może i nie – zgodził się Amit, po czym znów zwrócił się do Huma. – Przeszkadzanie w handlu to poważny zarzut, proszę pani, więc zakładam, że nasi prawnicy również zechcą to omówić z waszymi. Nie muszę pani przypominać, że Trybunał Zażaleń jest bardzo uwrażliwiony na wykorzystywanie go do zastraszania jednego rodu przez drugi. Jeśli wniesiecie pozew i przegracie, rodzina Nohamapetan złoży wniosek o zwrot potrójonych honorariów naszych prawników w charakterze odszkodowania. Nasi prawnicy są bardzo dobrzy, a przez to bardzo kosztowni.

– Nie przegramy. Przychodzimy także po to, aby oskarżyć pańskiego brata Ghreniego o usiłowanie morderstwa, próbę porwania, planowanie jednego i drugiego, sabotaż na jednostce należącej do gildii, piractwo i wymuszenie.

– Co takiego? – spytał Amit już mniej radośnie.

– Ten mały jebaniec podłożył bombę na moim statku i wysłał piratów w ślad za jednym z moich pasażerów – wyjaśniła Kiva.

– I tak, panie Amicie, mamy wszelkie dowody, jakich potrzebujemy na poparcie tych oskarżeń – dodała Huma. – Mamy też Kivę oraz niedoszłą ofiarę próby porwania i morderstwa, a ponadto załogę *Tak, drogi panie*, która w komplecie chętnie będzie zeznawać.

– A oprócz tego zapis kamer ochrony z próby zabójstwa i wyznanie płatnego mordercy oraz zapisy rozmów pomiędzy naszym statkiem a jednostką piratów – uzupełniła Kiva.

Huma kiwnęła głową.

– Istnieje drobna komplikacja polegająca na tym, że Ghreni znajduje się co najmniej półtora roku drogi stąd, co sprawia, że trudno będzie go tu sprowadzić, aby wziął udział w procesie. Niemniej z tymi dowodami, jakimi dysponujemy, myślę że przekonamy gildie i parlament, żeby zaocznie wydały akt banicji.

– A ponieważ ten mały gnojek został zatwierdzony jako przedstawiciel rodu Nohamapetan na Kresie, postaramy się, by akt ten dotknął całą waszą rodzinę – dodała Kiva.

Swobodnie kontynuowała to, co mówiła jej matka, bo była raczej pewna, że wie, do czego dąży Huma. To, co właśnie powiedziała, zmierzało w tym właśnie kierunku, więc co jej, kurwa, szkodziło się wtrącić?

– Mogę wam zagwarantować, że ród Nohamapetan nie miał nic wspólnego z planami zniszczenia któregoś z waszych statków – oświadczył Amit.

– Niech pan tego nawet nie próbuje – odparła Huma. – Wszyscy tu wiemy, że pański brat nie ma aż tyle własnej inicjatywy. Pan także nie, skoro już przy tym jesteśmy. Kiedy Ghreni coś robi, to pod czyjś kierownictwem. Jeśli nie otrzymuje poleceń od rodu Nohamapetan, to od kogoś *spośród* jego członków, co z naszego punktu widzenia w zasadzie nie robi

różnicy. Nie widzimy problemu, aby poprosić sądy gildii i Wspólnoty, by uzupełniły zarzuty o spiskowanie i przesłuchały pana, pańską siostrę, a w gruncie rzeczy cały cholerny ród Nohamapetan.

– To może być trudniejsze niż wam się wydaje – odparował Amit.

Huma parsknęła.

– Fakt, że próbuje pan zostać małżonkiem obecnej imperoks, nie znaczy, że pańska rodzina znajduje się ponad prawem, panie Amit. A skoro już o tym mowa, to jak idzie? Plotka głosi, że nasza władczyni jest wyraźnie odporna na pański urok. Może nawet poczuje *ulgę*, gdy się dowie, że cała wasza pieprzona rodzinka jest przedmiotem śledztwa?

– Niedoszła ofiara morderstwa jest synem bardzo dobrego przyjaciela jej ojca, poprzedniego imperoksa – dodała skwapliwie Kiva.

– Aha, to mamy jeszcze jeden powód, dla którego nie będzie chciała znaleźć się w pobliżu pańskiego zbrodniczego dupska – kontynuowała myśl córki Huma.

– Prawdę mówiąc, mam się z nią spotkać dzisiaj pod wieczór – odpowiedział Amit, tylko nieznacznie zirytowany. – Ma ze mną zwiedzać nasz najnowszy dziesiątak.

– To *przecudownie* – orzekła Huma i klasnęła. – Może każe któremuś z naszych ludzi na Xi'an streścić jej listę naszych skarg? Wie pan, tak żeby dać dwójce gołąbków temat do rozmowy, w czasie gdy będziecie oglądać waszą nową, śliczną zabaweczkę.

Kiva patrzyła na matkę z prawdziwym uwielbieniem. Huma Lagos zawsze była osobą, z którą nikt nie chciałby lecieć w chuja, a Kiva przyglądała się jej podczas kłótni i negocjacji, aby przyswoić sobie nieco z jej umiejętności na obu tych polach. Niemniej zawsze sprawiało jej przyjemność oglądanie, jak matka zręcznie i bez pardonu przystawia gnojki w rodzaju Amita Nohamapetana do ściany, a potem sięga w dół i wykrcęca im wór z jajcami. Miło było spojrzeć na swojego rodzica, nawet będąc już dorosłym, i pomyśleć: „Ja pierdolę, taka właśnie chcę być, kiedy dorosnę”.

Amit westchnął, uniósł ręce i przeciągnął nimi po twarzy.

– No dobrze, hrabino Lagos. Czego pani chce?

– Dlaczego, panie Amit, uważa pan, że czegoś chcę?

– Ponieważ gdyby było inaczej i naprawdę chciałaby pani wnieść pozew do Trybunału Zażaleń albo do któregoś z sądów wspólnotowych, po prostu by to pani zrobiła, tym samym zyskując przewagę w postaci zaskoczenia. Fakt, że jest pani tutaj, w moim biurze, oznacza, że chce pani to załatwić w inny sposób. W porządku. Proszę powiedzieć, czego pani chce.

– Chcę utrzyć Nohamapetanom nosa.

– Nie do końca wiem, co to oznacza.

– To oznacza, że zażadam od was trzech rzeczy i wszystkie one będą bolały.

– Jakie to rzeczy?

– Po pierwsze, poleciliście w chuja z naszymi interesami. Możemy się o to procesować, ale ostateczny rezultat wam się nie spodoba. – Huma spojrzała na Kivę. – Jakich dochodów

spodziewaliśmy się po twoim rejsie?

– Stu milionów marek.

– Czyli chce pani od nas stu milionów marek – domyślił się Amit.

– Chcę od was dwustu milionów marek.

– To niedorzeczne.

– Spierdoliliście nam produkt, co nie jest zbyt fajne. Ale spierdoliliście nam również reputację. Takie są właśnie koszty zjebania nam dobrego imienia. A więc dwieście milionów marek. Na naszych kontach. W ciągu trzech dni.

Amit wyglądał, jakby chciał jeszcze powalczyć, ale dał sobie spokój.

– Druga rzecz – ponaglił.

– Może doszło do pańskiej wiadomości, że podpisaliśmy list wyrażający protest wobec zasiadania pańskiej siostry w Komitecie Wykonawczym – zaczęła Huma.

– Tak, wspominała coś na ten temat.

– Zatem nie będzie niespodzianką, jeśli zażądamy, aby zrezygnowała z tej funkcji.

– A zastąpi ją niewątpliwie ktoś z Lagosów.

Huma potrząsnęła głową.

– Nie, ale dosłownie każdy byłby lepszy niż pańska siostra.

– Przekażę jej pani słowa.

– Koniecznie. Punkt trzeci: powie pan imperoks Grayland, że zmienił pan zamiary w kwestii małżeństwa.

– Niechże pani da spokój – zaprotestował Amit. – Już domaga się pani głowy mojej siostry. Po co pani jeszcze moja?

– To nie są negocjacje – powiedziały równocześnie Huma i Kiva, po czym spojrzały na siebie i uśmiechnęły się szeroko. Huma zwróciła się z powrotem do Amita: – Nie udawajmy, że gdy zostanie pan małżonkiem imperoks, nagle przestanie pan być marionetką siostry.

– Racja – odparł z sarkazmem Amit. – Nie mam swojej własnej woli.

– Nie, nie ma pan – zgodziła się Huma, a w jej słowach nie było nawet grama sarkazmu. – Może pan to przerobić ze swoim terapeutą, jeśli pan chce. Tymczasem jednak zrezygnuje pan z planów wżenienia się w rodzinę imperialną.

– A co, jeśli Grayland chce mnie poślubić?

Huma się roześmiała.

– Biedactwo. Ograniczmy się do stwierdzenia, że nie chce.

Wydawało się, że z Amita trochę uszło powietrze.

– A co my dostaniemy w zamian za spełnienie tych żądań?

– Nic – odparła Huma. – Właśnie tak. Nic nie powiemy o tym, co robiliście na Kresie. Ani o tym, co tam *planowaliście* zrobić.

– Naprawdę? – powiedział Amit, a Kiva poczuła, jak krew pulsuje jej w głowie. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, że Nohamapetanowie coś knuli na Kresie, to

właśnie teraz się ich wyzbyła. Poczuła dotyk dłoni na ręce i zrozumiała, że matka ją ostrzega przed wybuchem, jaki w niej wzbierał. Opanowała się.

– Naprawdę – przytaknęła Huma.

– A jakie mamy na to gwarancje?

– Amit, czy ty faktycznie chcesz mieć na to jakąś pierdoloną umowę? Jesteś aż taki głupi? Musisz coś zrozumieć. Nie masz kart na ręce. Dzięki twojemu zatrważająco bezmyślnemu bratu mamy dość, żeby pogrążyć ciebie, twoją siostrę i cały wasz pierdolony ród. W najlepszym razie spędzicie najbliższą dekadę, walcząc z pozwami sądowymi i śledztwami. W najgorszym znajdziesz się w więzieniu, a monopol twojej rodziny zostanie zlicytowany. Tak czy owak, nie będzie to nic dobrego dla waszych interesów, Amit. Twoja siostra i tak straci miejsce w komitecie, a ty nie poślubisz imperoks. Tym samym wszystko, co tracicie, to pieniądze. No i otrzymujecie cios w wasze ego. Jedno i drugie jakoś przeżyjecie. Nie mam wątpliwości.

Amit rozważał jej słowa.

– Dam pani odpowiedź jutro.

– A może jednak dasz mi ją teraz.

– Hrabino Lagos, proszę – powiedział Amit. – Jak już wielokrotnie podczas tej rozmowy zauważyłaś, upokarzając mnie przy okazji, nie jest to wyłącznie moja decyzja. Mam też dzisiaj spotkanie z imperoks. W zasadzie nie mogę go przełożyć.

– No to zrobimy tak. Jeśli dokładnie dwadzieścia cztery godziny i minutę od teraz nie dostanę od was żadnej odpowiedzi, do sekretarza komitetu wykonawczego i samej imperoks trafi zaprzysiężone oświadczenie. Ty i twoja siostra będziecie mieli okazję gęsto się tłumaczyć. Uczciwa umowa?

– Nie użyłbym słowa „uczciwa”, hrabino.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęliście cały ten nonsens, panie Amit – powiedziała Huma Lagos, wstając. Kiva uniosła się razem z nią. – I zanim zdecydowaliście się wciągnąć w to wszystko moją rodzinę.

Kiwnęła głową i wyszła, nie mówiąc słowa pożegnania. Kiva ruszyła za nią. Ostatnim obrazem Amita, jaki zachowała w pamięci, był starszy z braci Nohamapetanów sięgający po tablet i wpisujący kod wywoławczy.

– Ja cię, kurwa, po prostu uwielbiam – powiedziała Kiva do matki, kiedy przechodziły obok recepcjonisty. Ten wyraźnie unikał patrzenia w ich stronę.

– Uh-hmmm – odparła Huma i nie dodała już nic więcej, gdy czekały na windę.

– Myślisz, że Nadashe się zgodzi? – spytała Kiva, kiedy znalazły się w kabinie windy.

– To nie ma znaczenia.

– Dwieście milionów marek nie brzmi tak, jakby było bez znaczenia.

– Najważniejsze w tej rozmowie nie było zaszantażowanie Nohamapetanów. To tylko uboczna korzyść. Jej sednem było rozeznanie się w ich zamiarach i zdeorganizowanie ich

planów. A teraz wiemy, co planują. Chcą przejąć kontrolę nad Kresem.

– To prawda – zgodziła się Kiva. – Tylko dlaczego?

Drzwi windy się otworzyły.

– Bo wiedzą coś, o czym, jak są przekonani, nie wie nikt inny – odpowiedziała Huma.

Idąc obok matki, Kiva rozmyślała nad jej słowami.

– Myślisz, że wiedzą? – zapytała. – O tym, co się dzieje z Nurtem.

– Wiedzą, albo sądzą, że wiedzą coś innego, podobnego kalibru. Wiele ryzykują, żeby usadowić się na zadupiu kosmosu, i myślę, że są skłonni zrezygnować z wielu rzeczy, byle tylko nie zrobiło się o tym głośno.

– Więc sądzisz, że *faktycznie* dadzą nam pieniądze?

Matka przytaknęła. Doszły do drzwi gabinetu Pretara. Gdy weszły, wstał i zaczął się z nimi witać.

– Wyjdź – rozkazała Huma.

Pretar przerwał powitania i zrobił, co mu kazała, a Kiva zamknęła za nim drzwi.

– Pieniądze to kolejne potwierdzenie – kontynuowała Huma.

– A jeśli nam ich nie dadzą?

– Myślę, że takim wypadku żadna z nas nie powinna pojawiać się nigdzie, gdzie można poprowadzić bezpośrednią linię celowania pomiędzy nami a dachem wysokiego budynku. Cokolwiek się jednak stanie, właśnie sypnęłyśmy piaskiem w tryby ich planów. Przyglądanie się, co zrobią w ciągu kilku najbliższych dni, będzie bardzo interesujące. – Huma usadowiła się za biurkiem Pretara. – Ten twój przyjaciel, fizyk od Nurtu...

– Marce Claremont.

– Nadal masz z nim jako takie relacje?

– Można tak powiedzieć. – Kiva pomyślała o ostatniej rundzie pieprzenia i się uśmiechnęła.

– Chcę się z nim spotkać. Wiem, że ty mu wierzysz, ale ja również muszę mu uwierzyć. Jeśli tak się stanie, muszę się dowiedzieć, ile mamy czasu, zanim wszystko się rozpadnie w drobny mak. A wtedy musimy się dowiedzieć, jak konkretnie Nohamapetanowie zamierzają to wykorzystać i w jaki sposób wydymają przy tym nas wszystkich. I chcę się tego dowiedzieć przed wszystkimi innymi.

Kiva potrząsnęła głową.

– On się dziś spotyka z imperoks – powiedziała. – Nie sądzę, aby zatrzymała to dla siebie.

– Rzecz nie w tym, czy komuś o tym powie – wyjaśniła Huma – ale czy ktoś jej uwierzy.

– Ale to prawda.

– Och, drogie dziecko – uśmiechnęła się Huma – tylko mi nie mów, że nie wiesz, jak niewiele to znaczy.

ROZDZIAŁ 15

Marce Claremont nie zdawał sobie sprawy, jakim jest wieśniakiem, dopóki nie przybył na Hub. Co innego wiedzieć, że Hub, obejmujący planetę o tej nazwie, ogromną stację imperialną, równie ogromny autonomiczny habitat Xi'an oraz dziesiątki innych, powiązanych habitatów, stanowił najbardziej zaawansowany naród we Wspólnocie. Czymś całkowicie innym było wysiąść z *Tak, drogi panie* na wspomnianej stacji imperialnej, która wielokrotnie przewyższała rozmiarami tę na Kresie, i zobaczyć na własne oczy taką masę ludzi – przylatujących, odlatujących oraz robiących interesy. Tak samo było ze świadomością, że planetę tam w dole zamieszkiwało jeszcze więcej ludzi, w jeszcze bardziej zatłoczonych habitatach, ściśniętych w podziemnych kopułach albo zaawansowanych technologicznie, ciągnących się kilometrami, wirujących cylindrach – ludzi niezdających sobie sprawy albo po prostu nie przejmujących się tym, jak niewiele ich dzieli od próżni kosmicznej, lodowatej skały czy też przenikliwego promieniowania, które zabiłoby ich w kilka minut.

„Ci ludzie są stuknięci”, pomyślał Marce i uśmiechnął się do siebie. To niesamowite, w jakie miejsca pakował się człowiek, a mimo to taka społeczność potrafiła rozkwitać. W ramach Wspólnoty, z jej religijnym i społecznym etosem wzajemnych powiązań, w połączeniu ze zbudowaną wokół gildii, monopolistyczną ekonomią, ludzie stworzyli zapewne najbardziej absurdalnie złożoną metodę zapewnienia przetrwania gatunku, jaką się dało wymyślić. Budując sformalizowany system kastowy złożony ze szlachciców, którzy pełnili również funkcję klasy kupieckiej, oraz podporządkowanej grupy zwykłych pracowników, skomplikowali sprawy jeszcze bardziej.

A jednak działał. Działał, bo najwyraźniej na poziomie społecznym większość tego chciała i ponieważ u samych jego podstaw miliardy ludzi, żyjące w kruchych habitatach, narażonych na mechaniczne i środowiskowe usterki oraz degradację, mając do dyspozycji ograniczone zasoby naturalne, wołały polegać na sobie nawzajem niż próbować radzić sobie na własną rękę. Nawet bez Wspólnoty życie we wspólnocie stanowiło dla ludzkości najlepszy sposób, aby przetrwać.

„Tyle że teraz wszyscy będziemy musieli znaleźć nowy sposób na przeżycie”, powiedział sobie w duchu Marce. Spojrzał w górę i rozejrzał się dookoła po stacji imperialnej Hubu oraz wszystkich tych ludziach kręcących się w tę i w tę. Pomyślał, że za niecałą dekadę wszyscy oni mogą być martwi albo na prostej drodze ku temu. Jego nie wyłączając.

– Pan Marce?

Podniósł wzrok i zobaczył młodego mężczyznę w ciemnozielonej, imperialnej liberii.

Tamten mu się przyglądał i trzymał w ręce tabliczkę z napisem „Pan Marce Claremont”.

– Tak, to ja.

– Mam pana zabrać na Xi’an. – Młody człowiek rozejrzał się dookoła. – Ma pan jakiś bagaż? Rozumiem, że wysiadł pan z piątką należącego do rodziny Lagos. Zarezerwował pan jakiś nocleg?

– Mój bagaż został wysłany do Hotelu Moreland, tutaj na stacji.

– Znakomity wybór, panie.

– Dziękuję.

Moreland zarekomendowała mu Kiva, „o ile cię na niego stać”. Marce, aktualnie posiadacz ośmiu milionów marek na swoim koderze, stwierdził, że może jakoś zbierze grosz do grosza.

– Tędy, panie. – Chłopak wskazał mu drogę.

Marce ruszył za przewodnikiem, który, jak się okazało, nazywał się Verson Sohne. Przeszli w miejsce, które na imperialnej stacji służyło jako terminal odprawiający lecących na Xi’an. Dokumenty Marce’a sprawdzono, by po chwili powtórzyć procedurę, a także przeskanowano ciało, również dwa razy. Zapytano, jakie sprawy przywiodły go na Xi’an. Tu także został przepytany dwukrotnie przez dwóch różnych urzędników. Za każdym razem Marce wspominał, że ma umówione spotkanie z imperoksi i pokazywał tablet z oficjalnym zaproszeniem oraz kodem bezpieczeństwa. Nie pytali go, czego konkretnie ma dotyczyć spotkanie, za co Marce był wdzięczny losowi. Jak zakładał, odpowiedź w stylu: „Końca Wspólnoty i prawdopodobnego wyginięcia ludzkości”, mogłaby wywołać niejaki niepokój.

Verson przeprosił za środki ostrożności.

– Stali się bardziej rygorystyczni od czasu, kiedy ci okropni rebelianci z Kresu przeprowadzili zamach w czasie koronacji – powiedział, ale nagle ucichł, uświadomiwszy sobie, że jego podopieczny przyleciał z tej właśnie planety. – Nie chciałem nic insynuować względem pana osoby, wasza wielmożność – dodał po chwili.

Marce się uśmiechnął. W ciągu kilku poprzednich godzin dowiedział się o śmierci Attavio VI, objęciu tronu przez jego córkę Cardenię, obecnie imperoksi Grayland II, oraz o próbie zamordowania jej w dniu koronacji. Osobiście powątpiewał, by ktokolwiek z Kresu był w to zaangażowany.

– Nic się nie stało – powiedział, a Versonowi wyraźnie ulżyło.

Przelot promem ze stacji imperialnej na Xi’an był monotony, ale Marce i tak oglądał wszystko na swoim tablecie, przypatrując się powierzchni Hubu, gdy tymczasem prom mknął wzdłuż linii terminatora, lecąc ze stacji imperialnej, znajdującej się nad równikiem, ku miejscu, gdzie unosiła się Xi’an – na dziesięciu stopniach szerokości geograficznej północnej. Obserwował, jak cel jego podróży staje się na tablecie coraz większy i większy, aż wreszcie dało się zauważyć strumień kropek poruszających się do i z habitatu. Jeszcze wyżej i poniżej linii terminatora Hubu znajdowały się inne, mniejsze habitaty, służące za

mieszkania robotnikom budującym statki w pobliskich dokach. Marce nie widział żadnej takiej konstrukcji na tablecie.

Prom zadokował, więc Marce i Verson ruszyli w kierunku pociągu, który jeździł przez całe Xi'an, a Marce'a znowu urzekł widok. Patrzył, jak znika krajobraz powyżej i dookoła niego, kiedy wewnętrzna powierzchnia cylindrycznej stacji zamykała się wokół pociągu.

– Pierwszy raz na Xi'an, panie? – zapytał Verson.

– Pierwszy raz w habitacie takim jak ten. Całe życie spędziłem na Kresie. Na powierzchni planety. Kompletnie inna rzeczywistość.

– Jak ona wygląda, panie?

– Jest płaska. – Marce cały czas wpatrywał się w grunt unoszący się przed nim w górę. – Nawet nasze pagórki są płaskie w porównaniu do tego. Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek może spojrzeć w górę, nie zastanawiając się, dlaczego nie spada na drugą stronę stacji.

– Hmm, to dlatego, że Xi'an się obraca – zaczął mu tłumaczyć Verson.

Marce się roześmiał.

– Tak, rozumiem fizykę tego rozwiązania. Nie to mam na myśli. Jest różnica między wiedzą o tym, jak coś działa, a tym, że zwierzęca część twojego mózgu podpowiada ci, żebyś szybko się czegoś złapał. – Spojrzał na Versona, który miał na twarzy uprzejmy uśmiech. – Dorastałeś w habitacie takim jak ten?

Tamten pokiwał głową.

– Jestem z Ancony. To naród stowarzyszony, mieszkający tu, w systemie Hubu.

– Jasne. Tak więc jesteś do tego przyzwyczajony. – Marce znów wyjrzał przez okno. – Ja... nie.

– A myśli pan, że kiedyś do tego przywyknie?

– Mam nadzieję, że tak – odparł Marce. – Choć w pewnym sensie liczę też na to, że nie.

Wysiedli z pociągu na stacji przy pałacu i Verson poprowadził Marce'a na podest przeznaczony dla ludzi, którzy mieli tam do załatwienia jakąś sprawę. Ponieważ Marce miał już umówione spotkanie z imperoks, Verson poprowadził go na przód kolejki, irytując wszystkich, którzy musieli czekać. Marce mamrotał przeprosiny, kiedy z Versonem przepychali się do przodu. Po kolejnym okazaniu dokumentów, skanowaniu i krótkim przepytaniu w końcu się przedostali. Marce został przekazany młodej kobiecie, Obelees Atek, która pracowała w pałacu. Wręczyła Marce'owi przepustkę, którą miał przypiąć sobie do bluzy, a następnie ruszyła, dając mu znak, aby szedł za nią. Marce pomachał Versonowi i podążył za nową przewodniczką.

Dziesięć minut później, po przejściu przez kilka stref publicznych, które prezentowały sobą więcej bogactwa niż Marce miał okazję zobaczyć w ciągu dotychczasowego życia, usiadł w przedpokoju biura imperoks Grayland II. Do tej pory myślał, że pałac książęcy na Kresie stanowił normalny przejaw trudnej do zniesienia obfitości wszystkiego, ale przy pałacu imperialnym przypominał poddasze parweniusza, zaś jego własny dom – rezydencja

według każdej sensownej definicji, wyglądał jak rudera. Pałac wypełniały nagromadzone tu przez tysiąclecie złożone błyskotki, będące świadectwem interesów mieszkającej tu rodziny i systemu politycznego, który je wspierał. Przedpokój także wypełniały gustowne skarby, w tym posąg prorokini-imperoks Racheli I, wykonany przez rzeźbiarza Meis Fujimoro. Był słynny na całą Wspólnotę i prawdopodobnie wart więcej niż wynosiły dochody co poniektórych habitatów.

Marce rozejrzał się wokół siebie i zaczął rozmyślać nad tym, jak imperoks, ktoś tak fundamentalnie zainteresowany przetrwaniem systemu takiego jak Wspólnota, może być skłonny do działania w oparciu o nowiny, jakie miał do przekazania władczyni.

– *Sam jesteś szlachcicem* – przypomniał mu mózg. – *Ty też jesteś zainteresowany przetrwaniem systemu. A jednak jesteś tu, gdzie jesteś.*

– *No tak, ale nie jestem imperoksem. Tylko korzystam z dobrodziejstw systemu. Ona jest systemem.*

– *To imperoks wysłał twojego ojca na Kres, żeby prowadził badania nad całą sprawą.*

– *Imperoks nie żyje.*

– Panie Marce. – Uniósł wzrok i zobaczył Obelees dającą mu znak. Nadszedł czas, aby udać się do imperoks. Wstał i ruszył w kierunku biura.

– Skoro spotyka się pan z imperoks po raz pierwszy, ukłon wystarczy – mówiła przewodniczka po drodze do biura. – Niektórzy przyklękają i pan również może, jeśli zechce. Będzie pan jednak miał ograniczony czas na spotkanie, a to go dodatkowo zredukuje. Po przedstawieniu pana osoby to imperoks powinna zacząć i poprowadzić rozmowę. Proszę się nie odzywać bez pytania, a jeśli takie padnie, należy koniecznie odpowiedzieć, jakie by ono nie było. Gdy czas na spotkanie minie albo imperoks odprawi pana wcześniej, proszę się uklonić i wyjść z pomieszczenia. Cały czas proszę wykazywać postawę oficjalną i pełną szacunku. Imperoks na to zasługuje.

Marce wszedł do biura, szybko obrzucił wzrokiem otoczenie i wybuchnął śmiechem. Obelees Atek uniosła brwi.

– Coś pana śmieszy, panie Marce? – zapytała młoda kobieta stojąca przed biurkiem. Ubrana była w imperialną zieleni. Ewidentnie była to imperoks i równie ewidentnie Marce zepsuł swoje wejście.

Skłonił się.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. Zaskoczyło mnie biuro waszej wysokości.

– To znaczy?

– Ja... cóż. Wasza wysokość... Wygląda, jakby eksplodowała tu bomba z eksponatami muzealnymi.

Obelees Atek z sykiem wciągnęła powietrze i najwyraźniej czekała, aż imperoks każe skrócić delikwenta o głowę. Ale zamiast tego władczyni się roześmiała – otwarcie i głośno.

– *Dziękuję* – powiedziała z emfazą. – *Właśnie to chodziło mi po głowie przez ostatnie*

dziewięć miesięcy. Czasami boję się po nim w ogóle chodzić. Martwię się, że wpadnę na coś albo zepsuję bezcenny, historyczny artefakt. Przeraza mnie moje własne miejsce pracy, panie Marce. Zbieram się na odwagę, żeby kazać to przerobić.

– Jesteś imperoks, pani. Jestem pewien, że to nie będzie problem.

– To nie kwestia tego, czy mogę, tylko czy powinnam.

Imperoks skinęła głową Obelees, tym samym ją odprawiając. Tamta się skłoniła, posłała Marce'owi ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, oznaczające, żeby się zachowywał, po czym wyszła. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Marce odkrył, że jest w pokoju sam na sam z imperoks. Nie miała przy sobie ani asystentów, ani ministrów czy sekretarzy.

– Powiedz mi, co właśnie pomyślałeś, panie Marce – zaczęła rozmowę imperoks i pokazała mu, aby usiadł na krześle stojącym przed biurkiem.

– Pomyślałem, że masz mniejszy zespół ludzi, niż się spodziewałem, wasza wysokość. – Usiadł, ona zaś wciąż stała, opierając się o biurko.

– Myślę, że mam większy zespół ludzi, niż mógłbyś się spodziewać. Zazwyczaj też każę im siedzieć w czasie spotkań. Mam masę spotkań, panie Marce. Nie uwierzyłbyś, jak wiele. Niemożliwością byłoby ogarnięcie ich wszystkich bez pomocy. Dlatego towarzyszy mi mnóstwo ludzi, a ja – imperoks wskazała biurko – siedzę za tym meblem, używając imperialnego „my”. Wszyscy są mili i pełni szacunku, a już na pewno nikt się nie roześmiał, wchodząc do tego absolutnie niedorzecznego biura. Z wyjątkiem ciebie.

– Tak, wasza wysokość. Przykro mi.

– Mnie nie. Wręcz przeciwnie. Cieszę się, że to zrobiłeś. Chciałabym jednak wiedzieć *dlaczego*, jeśli nie masz nic przeciwko, panie Marce.

– Chyba dlatego, że jestem nadmiernie pobudzony.

– Mówisz jak ośmiolatek, który najadł się za dużo cukru – odparła imperoks z uśmiechem. Marce również się wyszczerzył.

– To całkiem dobre porównanie. Całe życie spędzałem na Kresie, wasza wysokość. To nie taki znowu zaścianek, jak wszyscy twierdzą, ale nie równa się z... *tym*. Hubem. I Xi'an. I tym miejscem.

Imperoks zmarszczyła nos i Marce nagle uświadomił sobie, że czegokolwiek się spodziewała po tym spotkaniu, została zaskoczona.

– Jest okropne, prawda?

– Hmm – jęknął Marce.

Imperoks znów się roześmiała.

– Wybacz, panie Marce. Nie chcę, żebyś miał poczucie, iż próbuję cię wmanewrować w jakieś faux pas. Musisz jednak zrozumieć jedną rzecz. Nigdy nie miałam zostać imperoksem. Nie wyrosłam wśród... *tego* wszystkiego, jak sam to określiłeś. To wszystko jest dla mnie obce, tak jak, przypuszczam, jest i dla ciebie.

– Jestem szlachcicem, wasza wysokość. Nie jest mi to obce. Po prostu jest tego... dużo.

– Tak... Tak. Dziękuję ci raz jeszcze. Doskonale ująłeś to, co ja czułam, żyjąc tu przez ostatni rok.

– Staram się jak mogę, wasza wysokość.

– Tak, owszem – zapewniła imperoks. – Jak na razie to moje ulubione spośród poufnych spotkań, jakie dotąd odbyłam. – Znow się uśmiechnęła, po czym gwałtownie uniosła głowę.

– Dlatego smutno mi, że muszę je zepsuć rozmową na temat końca cywilizacji.

Marce pokiwał głową.

– A więc wasza wysokość wie.

– Chyba nie myślałeś, że udzieliłam ci tej audiencji, bo na co dzień mam zwyczaj przyjmowania u siebie pomniejszej szlachty, panie Marce? Bez urazy.

– Nie czuję się urażony – zapewnił Marce. – Po prostu nie wiedziałem, co wasza wysokość wie i ile będę musiał objaśnić.

– Możesz przyjąć, że wiem tyle, ile mój ojciec, na temat spraw, którymi zajmował się twój z kolei ojciec na Kresie. Wiem, dlaczego tam został wysłany i jakie są konsekwencje efektu jego badań.

– Rozumiem.

– Skoro mamy to już za sobą, moje pierwsze pytanie brzmi: czy prądy Nurtu się rozpadną?

– Tak.

Imperoks ciężko westchnęła.

– Kiedy?

– To się już zaczęło. Według naszych obliczeń prąd z Kresu do Hubu już się rozpadł. *Tak, drogi panie*, statek, którym przyleciałem, był prawdopodobnie ostatnią jednostką międzygwiazdną, jaka go użyła.

– Jak się dowiemy, czy na pewno tak się stało?

– Kiedy nie zjawią się inne statki mające dotrzeć na Hub.

– Statki często mają opóźnienia w odlotach, a co za tym idzie również w przylotach.

Marce skinął głową.

– Minie kilka tygodni, zanim ludzie zaczną zauważać, że statki nie docierają. Niezależnie od tego, co będą o to obwiniać.

– Jak na przykład tę waszą wojnę domową.

– To nie *moja* wojna – zachnął się Marce, a potem przypomniał sobie, z kim rozmawia. – Wasza wysokość – dodał.

Imperoks to zignorowała.

– Czy jest jakiś sposób, aby wykorzystać rozpad tego prądu? Tego prowadzącego z Kresu tutaj.

– Mogę przedstawić nasze badania i pokazać związane z tym obliczenia matematyczne – powiedział Marce. – Muszę jednak z góry ostrzec waszą wysokość, że jeśli ktoś nie zajmuje

się fizyką Nurtu, nic z tego nie zrozumie, a nawet wówczas spierałby się, co to dokładnie oznacza. Przebrnięcie przez pracę mojego ojca i jego model prognostyczny zajmie nieco czasu. Wtedy jednak nie będzie to już miało znaczenia.

– Bo coraz więcej prądów Nurtu zacznie się rozpadać i to właśnie będzie dowód?

– Właśnie.

– Powiedziałeś, że wiedzieliście, iż prąd Nurtu prowadzący z Kresu do Hubu już się rozpadł.

– Tak, owszem, to bardzo prawdopodobne.

– Więc da się to przewidzieć.

– Mogę określić prawdopodobieństwo, które z nich się rozpadną i kiedy. To nie jest przewidywanie. To bardziej analizowanie danych i odczytywanie z nich najbardziej prawdopodobnego rozwoju wydarzeń.

– Wiecie, który z nich rozpadnie się jako następny? Mam na myśli ten najbardziej prawdopodobny.

– Tak. Najpewniej będzie to prąd prowadzący stąd do systemu Terhathum. Według modelu nastąpi to w ciągu najbliższych sześciu tygodni.

– Jesteście pewni?

– Nie, ale to prawdopodobne.

– Jak bardzo? Podaj mi wartość w procentach.

– Określiłbym na osiemdziesiąt procent prawdopodobieństwo, że prąd Hub – Terhathum rozpadnie się w ciągu sześciu tygodni. Potem wartości są trochę niejasne, ale szansa, że nastąpi to w ciągu najbliższego roku, sięga niemal stu procent.

– Mówimy o prądzie zarówno prowadzącym do Terhathum, jak i z powrotem?

Marce zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Prądy z i do jakiegoś systemu tak naprawdę nie są ze sobą powiązane. – Zauważył spojrzenie imperoks. – Wiem, nie jest to fakt, który mózg każdego człowieka jest w stanie przyjąć bez zastrzeżeń, ale tak właśnie jest. Nasz model, owszem, obejmuje prognozę dla prądu prowadzącego z Terhathum do Hubu, ale jest ona bardzo niejasna, bo o wiele bardziej odległa w czasie. Może nastąpić już za trzydzieści osiem miesięcy albo aż za osiemdziesiąt siedem. Ta druga data stanowi jednocześnie chwilę, kiedy spodziewamy się, że zamkną się również wszystkie pozostałe prądy.

– Który z nich będzie ostatni?

– Obecnie nasze modele przewidują, że będzie to ten prowadzący do Kresu. Zamknie się za osiemdziesiąt do osiemdziesięciu siedmiu miesięcy od teraz.

– Mówisz te wszystkie liczby tak z głowy?

– Nie pamiętam ich wszystkich – przyznał Marce. – Tylko te, o które, jak przypuszczałem, wasza wysokość będzie pytać. Dostałem na rozmowę z waszą wysokością piętnaście minut. Chciałem wykorzystać je efektywnie.

– Nie sądzisz, że to ironia losu, że Kres stanowi pierwszy system, którego prąd się rozpadnie, a zarazem ostatni?

– To nie ironia losu, tylko przypadek, wasza wysokość. Niemniej cieszę się, że tak prawdopodobnie będzie. Chciałbym móc wrócić do domu.

Imperoks przyjrzała się Marce'owi.

– Odbyłeś długą podróż, nie wiedząc nawet, czy uda ci się ze mną spotkać.

– Wasza wysokość wybaczy, ale w ogóle nie spodziewałem się, że będę rozmawiał z tobą. Myślałem, że spotkam się z ojcem waszej wysokości. Przy okazji, moje kondolencje.

– Dziękuję. Co byś zrobił, gdybym nie zdecydowała się z tobą spotkać?

– Przypuszczam, że pokazałbym nasze dane fizykom z Uniwersytetu Hubfall i powiedział, że to już ich sprawa, żeby przekazali te informacje temu, kto będzie chciał ich wysłuchać. Potem przez kilka dni przyglądałbym się biegowi spraw, a następnie wsiadłbym na pierwszy statek lecący na Kres.

– Taki masz teraz plan? Natychmiast wracać na Kres?

– *Mój plan* został wykonany, wasza wysokość. Udało mi się z tobą porozmawiać. Jestem gotów złożyć waszej wysokości pełny raport od mojego ojca, który sam sprawdziłem, a który jemu zlecił z kolei twój ojciec. Wasza wysokość może przekazać go komukolwiek zechce celem weryfikacji, podobnie jak możesz z nim zrobić, co tylko chcesz, jeśli chodzi o politykę. Wydaje się, że nie muszę przekonywać waszej wysokości o prawdziwości tych danych. Jestem pewien, że wasza wysokość użyje ich mądrze, choć to, czy wszyscy inni postąpią zgodnie z twoimi rozkazami, to już otwarta kwestia.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczyła Obelees Atek. Marce wstał.

– Panie Marce, twój plan został wykonany, ale mogę cię jeszcze potrzebować. Zostaniesz?

– Jesteś imperoksem, wasza wysokość.

– Nie – powiedziała imperoks i po raz pierwszy Marce usłyszał w jej głosie rozdrażnienie.

– Panie Marce, nie jest pan biurem, w którym trzeba zmienić wystrój. Proszę cię o pozostanie, żebyś mi to szerzej wytłumaczył i pomógł wytłumaczyć to innym. Proszę, abyś został, wiedząc, że teraz wiąże się to dla ciebie z ryzykiem, które będzie się zwiększało w miarę upływu czasu. *Mogę* nakazać ci zostać przy mnie. Ale *proszę* cię o pomoc.

Marce spojrzał na imperoks i znów sobie uświadomił, że wielu rzeczy mógł się spodziewać po tym spotkaniu, ale dopiero teraz poczuł się zaskoczony.

– Wasza wysokość, będę zaszczycony, mogąc pomagać ci tak, jak tylko będę potrafił – powiedział.

Imperoks wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Dziękuję, panie Marce. Teraz wychodzę, aby odbyć wycieczkę nowym dziesiątakiem, ale wrócę wieczorem. Zechcesz zjeść ze mną późną kolację? Mam jeszcze dużo pytań.

– Oczywiście – odparł Marce, a następnie się zawahał.

Imperoks to zauważyła.

– Co się stało?

– Próbuję przemyśleć logistykę mojego pobytu tutaj. Zatrzymałem się w hotelu na stacji imperialnej. Tam mam ubrania odpowiednie na kolację.

– Po pierwsze, po zwiedzaniu tego cholernego statku będę pewnie zmęczona, więc kolacja będzie bardzo nieformalna. Po drugie, należysz teraz do personelu. – Imperoks zwróciła się do Obelees. – Angażuję pana Marce’a w charakterze specjalnego asystenta do spraw polityki naukowej. Wyślij kogoś, żeby zabrał jego rzeczy ze stacji imperialnej. Znajdź mu również kwatery w skrzydle dla personelu, odpowiednią do pełnionej przez niego funkcji. – Zerknęła na Marce’a. – Upewnij się, że nie będzie wyglądała, jakby eksplodowało w niej muzeum. Wytłumaczcie mu też pokrótce wszystko.

– Tak, wasza wysokość.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedziała imperoks do Marce’a.

– Wasza wysokość – odparł i się uklonił.

Imperoks wyszła z biura. Natychmiast ruszyła za nią trójka asystentów i ochroniarz, zrównując z nią krok, gdy szła przez przedpokój. Marce obserwował, jak odchodzi, po czym odwrócił się do Obelees.

– Nie mam pojęcia, co tu się właśnie stało.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Wygląda na to, że właśnie odbył pan udane spotkanie, panie Marce. A teraz proszę ze mną, zobaczymy, co uda nam się dla pana znaleźć w kwestii dogodnego mieszkania.

ROZDZIAŁ 16

Cardenia była niemal zawstydzona tym, jak podniecona się czuła po spotkaniu z Marce'em Claremontem.

Wstydziała się, bo rozmowa, choć krótka, ostatecznie potwierdziła to, czego obawiał się jej ojciec, a ona te zmartwienia po nim odziedziczyła: ludzkości groziło wymarcie, nie teoretycznie albo w długiej perspektywie czasowej, ale w sposób konkretny i w niecałą dekadę. Nie później niż za dziesięć lat każdy zamieszkały przez człowieka system gwiazdny zostanie odizolowany. Będzie zdany sam na siebie i zmuszony przetrwać wyłącznie w oparciu o zasoby dostępne na miejscu oraz możliwości i umiejętności ich pozyskiwania. Teoretycznie habitaty mogłyby funkcjonować całe dziesięciolecia, a nawet wieki, zanim zaczęłyby się problemy, ale w tym wszystkim należało też brać pod uwagę czynnik ludzki. Człowiek źle znosi świadomość, że jest odcięty i skazany na powolną śmierć z powodu psujących się habitatów. Cardenia przypomniała sobie, co było wiadomo o Dalasysli. Ludzie zaczęli nawalać na długo przed habitatami, w których mieszkali.

Trudno uznać za powód do dumy poczucie podniecenia w związku z potwierdzeniem, że cztery tuziny systemów gwiazdnych zamieszkałych przez człowieka i miliardy istnień ludzkich czeka taki los.

Jednak Cardenia nie mogła nic na to poradzić. Nie czuła podniecenia dlatego, że była fatalistką czy mizantropem, który by się cieszył, że ludzkość nareszcie dostanie to, na co zasługuje. Podniecenie wynikało z faktu, że *nareszcie* w jej mętym i nijakim panowaniu, którego mizernym, głównym osiągnięciem było powstrzymanie gildii i parlamentu przed zdeptaniem niczego niepodważającego Kresu całą masą wojskowych butów, nagle pojawił się jakiś punkt centralny. Cardenia wiedziała teraz trzy rzeczy:

Po pierwsze, będzie ostatnim imperoksem Wspólnoty.

Po drugie, całe jej panowanie upłynie pod znakiem prób ocalenia tak wielu ludzi, jak to tylko możliwe, przy pomocy wszelkich dostępnych środków.

Po trzecie, to oznaczało kres kłamstwa Wspólnoty.

Tym właśnie była, a Cardenia dowiedziała się o tym tamtego dnia, kiedy wywołała Rachelę I w Pokoju Pamięci i kazała sobie wszystko wyjaśnić. Dowiedziała się, że ogromna większość systemów gwiazdnych, do których można było dotrzeć przez Nurt, nie mogła zostać łatwo zasiedlona przez ludzi, którzy mimo to byli uparci i je kolonizowali. Te niepodległe systemy zaczęły ze sobą handlować i były coraz bardziej zależne od siebie nawzajem z powodu dostępu do zasobów. Grupa kupców pod przewodnictwem Banyamuna Wu zrozumiała, że prawdziwa siła leżała nie w handlu, lecz w kontroli dostępu do Nurtu,

i usadowiła się w systemie gwiazdnym Hubu, przyjmując rolę uzbrojonych poborców ceł.

Dowiedziała się, że owinęli zagarnięcie zasobów dla siebie w papierek etosu religijnego „Wspólnoty” i tak sprzedali go ludziom, zaś córka Banyamuna Rachel stała się symbolicznym przywódcą nowego Kościoła i rodzącego się imperium. Wu i ich sprzymierzeńcy kupili tych, którzy mogli się im sprzeciwić, przyznając tytuły szlacheckie i monopole handlowe, tworząc system ekonomiczny „rodów i gildii”, zapewniający istnienie stałej kasty w jego ramach. System ten aktywnie zniechęcał do wszelkiego rodzaju dywersyfikacji w każdym z systemów gwiazdnych, co mogło sprawić, że ludzkość byłaby teraz w sytuacji, w której łatwiej jest przeżyć mającą wkrótce nadejść izolację.

Dowiedziała się, jak Wspólnota, mówiąc krótko, skodyfikowała i zmanipulowała faktyczną potrzebę prowadzenia przez ludzi międzygwiazdowego handlu i współpracy, podporządkowując ją korzyściom nielicznej grupy stojącej na samym szczycie, z rodziną Wu na czele. *Jej* rodziną.

Cardenia była zaszokowana prostą, drapieżną formą schematu Wspólnoty, który przedstawiała Rachel, nie siląc się przy tym na żadną apologię. Przeszło jej, kiedy sobie przypomniła, że prorokini jest pozbawioną ego symulacją komputerową. Ta jej wersja nie czuła potrzeby schlebienia sobie czy też racjonalizacji swoich działań podejmowanych przez nią, jej ojca oraz praprzodków rodziny Wu. Symulacja komputerowa nie czuła wstydu.

Cardenii przyszło na myśl, że każdy z następców Racheli docierał do tego samego momentu – wchodził do Pokoju Pamięci, by porozmawiać z przodkami o naturze Wspólnoty, a oni bez ogródek mówili mu, że mit założycielski, który poznawał każdy z obywateli Wspólnoty, był kłamstwem. Cardenia przypuszczała, że większość z nich musiała to podejrzewać (ostatecznie jej sen z Naffą mówiącą jej, że to oszustwo, stanowił manifestację jej podświadomości, a nie faktyczne nawiedzenie przez ducha), ale podejrzania to jedno, a usłyszeć, jak mówi ci o tym symulowana, ale realna prezentacja twojego przodka, to coś zupełnie innego.

Ponieważ Cardenia była ciekawa, kazała Jiyi przywoływać imperoków losowo, aby dowiedzieć się, co myśleli, kiedy odkryli, lub też uzyskali potwierdzenie, że Wspólnota została utworzona głównie po to, aby skorzystać na niej Wu i ich sprzymierzeńcy. Chciała się dowiedzieć, jak to wpłynęło na ich panowanie. Niektórzy byli zaskoczeni dwulicowością swoich przodków i czerpali z tej wiedzy siłę, aby poprawić życie przeciętnego obywatela Wspólnoty. Inni byli zachwyceni czystą siłą swoich poprzedników i odchodzili z tego świata, upewniwszy się, że władza pozostanie w rękach kolejnych pokoleń rodu Wu. Dwóch było tak przerażonych, że abdykowali. Jeden udał się na dobrowolne wygnanie i został rolnikiem na Kresie. Drugi popadł w nihilizm i poświęcił życie, jak to ujęła symulacja, „chlaniu i pierdoleniu”.

Większość imperoków jednak po prostu wzruszała ramionami i brała się do rządzenia Wspólnotą. Pytanie, kto ją stworzył i dla czyjej korzyści, pozostawało akademickie wobec

faktu, że *istniała* i musiała być rządzona. Nikt nie mógł nic zrobić, aby to zmienić, nawet sami imperokrowie. Ich rola nie polegała na tym, aby być radykałami podejmującymi rewolucyjne kroki. Tych, którzy się tacy okazali, dyskretnie się pozbywano i zastępowano bardziej uległymi dziećmi albo (jeśli zachodziła taka potrzeba) kuzynami.

Cardenia spędziła pierwsze dziewięć miesięcy panowania na zmaganiu się z niezmierną bezwładnością urzędu imperoksa, nieustannie osaczana przez tradycję i zobowiązania. Czyż nie leciała właśnie promem, żeby zwiedzić statek, który w żaden sposób jej nie obchodził, na prośbę ustosunkowanej politycznie rodziny, której nie lubiła, i to z mężczyzną, którego wszyscy, z wyjątkiem niej samej, chcieli, aby poślubiła? Czy to nie metafora całego jej obecnego życia?

I oto mamy *teraz*. Koniec Wspólnoty okazał się nie tylko nieuchronny, bo tak mówiła fizyka, ale także pożądany z punktu widzenia przetrwania gatunku. Monopole będą musiały zostać zarzucone, bowiem każdy z systemów sam będzie gromadził zasoby, przygotowując się na izolację. Struktury gildii i szlachty z konieczności upadną, stanowiąc przeszkody dla przetrwania ludzkości. Kłamstwo Wspólnoty, dotąd konieczne i pożądane, dochodziło do swego kresu, zaś Cardenia, która nigdy nie chciała zostać imperoksem, miała być tą władczynią, która je zakończy. Będzie musiała zostać tą władczynią, która je zakończy. Na myśl o tym niemal dostawała zawrotów głowy.

– Wkrótce będziemy dokować do *Śpiewaj* – oznajmił pilot imperialnego promu przez głośniki.

Cardenia leciała z pełną obstawą asystentów i gwardzistów, ale przynajmniej część wycieczki miała spędzić tylko z Amitem, pozwalając obojgu na kilka chwil uzgodnionej wcześniej prywatności, w czasie których mogli rozmawiać o wszystkim, o czym przyjdzie im ochota. Cardenia domyślała się, że ze strony Amita będą to jakieś niezdarne deklaracje uczuć.

„Teraz już nie musisz udawać, że mogłabyś go poślubić”, odezwała się część jej mózgu. Na tę myśl poczuła przyjemne olśnienie. To jak najbardziej była prawda! W całym tym galimatiasie z wychodzeniem za Amita czy jakiegokolwiek innego Nohamapetana chodziło o to, żeby utrwalić pozycję imperialnego rodu względem gildii i parlamentu oraz trzymać tę szalenie ambitną rodzinę w karbach, przynajmniej teoretycznie.

Teraz jednak nie było przyszłości, o którą trzeba by się martwić, przynajmniej jeśli mowa o Wspólnocie. Cardenia nie musiała się już troszczyć o ustanowienie imperialnej dominacji na kolejne pokolenie ani też walczyć o przychylność gildii lub parlamentu. Wszystko to miało odejść w przeszłość. Pozostawała tylko walka o utrzymanie gatunku ludzkiego przy życiu po upadku Wspólnoty. Cardenia była przekonana, że w tym celu nie potrzebuje Amita ani żadnego z Nohamapetanów. Jeśli Marce Claremont miał rację, a była głęboko przekonana, że tak właśnie jest, to w ciągu kilku tygodni każdy dostanie takie dowody, jakich tylko zapragnie, że Wszechświat ulega zmianom.

Cardenia przez chwilę myślała o tym fizyku, z którym poczuła się komfortowo już od chwili, kiedy wszedł do jej biura i zaczął się z niego śmiać. Miała zamiar odbyć spotkanie prywatne, ale formalne, lecz coś w Claremoncie sprawiło, że zmieniła zdanie. Dała spokój formalnościom i doskonale im się rozmawiało. Wreszcie tak pokierowała konwersacją, żeby mogli pomówić później, przy kolacji.

„Phi, ciągnie cię do niego”, wtrącił się jej mózg. Cardenia nie mogła zaprzeczyć. Marce był inteligentny, dobrze wychowany i dostatecznie uroczy. Minęło też dostatecznie dużo czasu, odkąd Cardenia miała jakiegokolwiek relacje z mężczyzną będącym mniej więcej w jej wieku, który by łączył w sobie te cechy, aby wywołać ciąg reakcji jej organizmu. Było w tym jednak coś więcej niż zwykły pociąg seksualny. Kiedy prom dokował, uświadomiła sobie, co to takiego: Claremont, nawet jeśli tylko trochę, przypominał jej Naffę. Trochę akademicki, trochę sardoniczny oraz ktoś, kto zdołał w niej dostrzec Cardenię, nie imperoks Grayland II. A przynajmniej dostrzegał w niej tę pierwszą.

„Może po prostu potrzebuję przyjaciela”. Uśmiechnęła się tęsknie na tę myśl, po czym wyszła z promu i zaczęła iść trapem *Jeśli chcesz śpiewać, to śpiewaj*, gdzie czekał na nią Amit Nohamapetan, a wraz z nim co najmniej dwie setki robotników, którzy zbudowali ten statek.

Kiedy szła po trapie, wszyscy się skłonili.

– Wasza wysokość – powiedział Amit, gdy się wyprostował. – Cudownie znów cię ujrzeć.

Właśnie wtedy Cardenia dostrzegła wyraz jego twarzy: uśmiechniętą, ale pełną napięcia maskę. Kryło się za nią coś, co w oczywisty sposób powodowało u niego zdenerwowanie. Mimo wszystko Cardenii przez moment zrobiło się go żal. Cokolwiek się z nim teraz działo, nie było to nic przyjemnego.

Cardenia odwzajemniła uprzejmości i pozwoliła się zaprezentować budowniczym statku, wymieniając uściski dłoni z kierownikami i pozdrawiając szeregowych pracowników. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego aspektu swojej pracy. Mnóstwo powitań oraz potrząśnięcia rękami – i tak przez resztę jej życia.

„Cóż, teraz już nie”, podsunął jej mózg.

Uciszyła go i zwróciła się do Amita.

– Gotowy, aby zacząć mnie oprowadzać, panie Amicie?

– Oczywiście, wasza wysokość.

Cardenia wyciągnęła rękę w sposób formalny, acz niepozbawiony poufałości. Amit z wdzięcznością ją przyjął, po czym zeszli z trapu, a za nimi ruszyła jej świta.

Dziesiątak to duży statek, więc w planach było sporo chodzenia. Wycieczka obejmowała mostek i przedział napędu, przedział główny, następnie ładownie i wytwórnie ulokowane w pierścieniach. To właśnie w czasie zwiedzania ładowni Amit i Cardenia mieli zostać sami, z gwardzistami w segmentach za i przed nimi. Jej ludzie znajdowali się na statku od wielu godzin, oczywiście upewniając się, że jest całkowicie bezpieczny, zanim ona postawi na nim

choćby krok. Przejście stu metrów sam na sam z Amitem było dla niej stosunkowo niewielkim ryzykiem.

Cała wycieczka miała zająć niecałe dwie godziny, po czym plan przewidywał picie herbaty, w którym również uczestniczyliby tylko Amit i Cardenia. I nagle Cardenia postanowiła, że właśnie przy tej okazji powie mu, że może zapomnieć o całym tym małżeństwie. Kiedy już powzięła tę decyzję, miała tylko nadzieję, że nie będzie niezręcznie małomówna podczas wycieczki.

Niemniej dziesięć minut po jej rozpoczęciu stało się jasne, że jeśli ktoś tu będzie dziwnie mało się odzywał, to właśnie Amit Nohamapetan. Ledwie podtrzymywał konwersację między kolejnymi przystankami, podczas których poszczególni członkowie załogi wyjaśniali odpowiednie funkcje statku. Amit nie zadawał żadnych pytań, co można by interpretować jako grzeczność, gdyby nie fakt, że sprawiał wrażenie bardzo roztargnionego. Wydawało się, że w ogóle nie słucha, co członkowie załogi mówią o swoich stanowiskach i obowiązkach. W pewnym momencie Cardenia musiała go dyskretnie trącić łokciem, żeby wyraził uznanie i podziękował marynarzowi za poświęcony czas.

W chwili gdy oboje przeszli przez drzwi przedziału ładowni, której ogromne rozmiary jednoznacznie wskazywały, że uwzględniono ją w planach wycieczki właśnie po to, aby dać im kilka chwil na osobności, Cardenia uznała, że ma tego dosyć.

– Panie Amicie, jeśli ta wycieczka miała mi pokazać ciepłą stronę twojej osobowości, to obawiam się, że poniosłeś na tym polu poważną klęskę.

Amit uśmiechnął się żałośnie.

– Tak, wasza wysokość. Uwierz mi, jestem tego w pełni świadomy.

– Jest tego jakaś przyczyna?

– Obawiam się, że otrzymałem dziś całe mnóstwo złych wieści.

– Przykro mi to słyszeć. Coś osobistego?

– W pewnym sensie. Przeważnie sprawy biznesowe, choć, jak wasza wysokość wie, biznes też potrafi mieć stronę osobistą.

– Muszę przyznać, że rozumiem to lepiej niż większość ludzi.

– Nie mam co do tego wątpliwości – stwierdził Amit, po czym w ciszy przeszli w głąb przepastnego pomieszczenia. Gdy dotarli do miejsca, które, jak przypuszczała Cardenia, stanowiło środek ładowni, Amit zatrzymał się i odwrócił do niej. – Nie chcesz mnie poślubić, prawda, wasza wysokość?

Cardenia otworzyła usta, aby powiedzieć coś miłego, ale ostatecznie po prostu powiedziała:

– Nie, tak naprawdę wcale nie.

I już, po wszystkim.

– Dobrze, w porządku – odparł Amit.

– Poczekaj, co takiego? – zapytała Cardenia, kompletnie zaskoczona. – Wybacz pan,

panie Amicie, ale odniosłam wrażenie, szczególnie po wysłuchaniu pańskiej siostry, że jestem tu, aby zostać przez pana oczarowaną. Widząc, jak wyraźnie ulżyło panu na wieść, że wcale nie chcę za pana wychodzić, jestem... *zaskoczona*. Delikatnie rzecz ujmując.

– Przepraszam, wasza wysokość.

– A ja nie – rzuciła Cardenia i teraz to na Amita przyszła pora poczuć zaskoczenie. – Ulżyło mi, że mamy tę nudną, polityczną część za sobą. To oznacza, że będziemy mogli naprawdę cieszyć się wspólną herbatą. – Na te słowa Amit się roześmiał. – Nie rozumiem jednak, dlaczego po ponad roku intensywnych nacisków ze strony pana rodziny, a także pana samego, teraz ewidentnie ulżyło panu na wieść, że nie zamierzam za pana wychodzić.

– To skomplikowane.

Cardenia wykonała gest, jakby chciała powiedzieć: „Jesteśmy tu absolutnie sami. To dobry moment, żeby to wyjaśnić”.

– Wersja krótka jest taka, że uświadomiono nam, że zdaniem innych rodów mamy na waszą wysokość zbyt wielki wpływ. Obecnie ryzykujemy, że *stracimy* wpływy zamiast je zdobyć, jeśli zwiążemy się z waszą wysokością.

– Cóż, panie Amicie, nie do końca wiem, co zrobić z pana uwagą.

– Rozumiem, wasza wysokość. Dość powiedzieć, że polityka gildii i parlamentu jest teraz dostatecznie skomplikowana, a mamy powody przypuszczać, że w przyszłości skomplikuje się jeszcze bardziej.

W mózgu Cardenii zapaliła się lampka ostrzegawcza.

– To znaczy?

– W bliskiej perspektywie sprawa Kresu.

– A w dłuższej?

– Któż może wiedzieć, co wydarzy się później – stwierdził Amit i znów zaczął iść.

– Nie – powiedziała Cardenia, zostając w miejscu i wymuszając tym samym, by Amit również się zatrzymał. – Proszę wybaczyć, panie Amicie, ale nie wierzę, że zrezygnował pan z drogi wiodącej do tronu z powodu rebelii na Kresie. Podobnie jak nie wierzę, aby uczyniła to twoja siostra. Jest w tym wszystkim coś jeszcze, mam rację? – W tym momencie Amit Nohamapetan pod każdym względem przypominał dziecko przyłapanie na grzebaniu w słoiku z ciastkami. – Całe to odwołanie zabiegów o ślub nie jest tym, czego *pan* chce, prawda? – dopytywała się Cardenia. – A co za tym idzie nie jest to również pański pomysł. Ktoś panu kazał to zrobić. Pańska siostra?

– Nie, nie ona.

– Ale *pan* nie zrezygnowałby z własnej woli – zauważyła Cardenia. – A zatem jakkolwiek jest tego powód, *ona* to zatwierdziła. Kiedy jednak ze mną rozmawiała, powiedziała, że jest skłonna zrezygnować z zasiadania w Komitecie Wykonawczym, jeśli ja zdecyduję się pana poślubić. Tak więc dla rodu Nohamapetanów wżenienie się w rodzinę panującą i objęcie tronu przez ich potomka jest ważniejsze niż miejsce w Komitecie. Czyli

pomiędzy moją rozmową z panią Nadashe a chwilą obecną musiało się coś wydarzyć. Co to takiego, panie Amicie? – Nadal milczał. – Chodzi o Kres? – naciskała Cardenia.

– Wasza wysokość...

– Jesteście w to jakoś zamieszani, prawda? W rebelię na planecie?

Amit wyglądał na rozdrażnionego.

– Wasza wysokość. Dlaczego mielibyśmy to robić?

Cardenia zignorowała brak szacunku wywołany podenerwowaniem, bo jej umysł skupiał się teraz na ważniejszym pytaniu: w jaki sposób Nohamapetanowie *skorzystaliby* na kresowej rebelii? Jeżeli w jakiś sposób zaangażowali się w tamtejsze wydarzenia, to by znaczyło, że albo starają się uzyskać rozstrzygnięcie na rzecz obecnego księcia, albo osadzić na tronie kogoś innego, możliwe nawet, że Ghreniego Nohamapetana, młodszego z braci.

Tylko po co? Jeśli obecny książę zostanie pozbawiony władzy, a ktoś dojdzie do wniosku, że Nohamapetanowie maczali w tym palce, wówczas on sam lub, co bardziej prawdopodobne, jego spadkobiercy będą mogli złożyć pozew we wspólnotowym sądzie oraz zażądać, aby zyski rodu zostały zamrożone w depozycie do czasu wydania wyroku. A to by nie służyło interesom. Gdyby Nohamapetanowie osadzili na książęcym tronie kogoś z własnego rodu, wtedy automatycznie musieliby oddać system Terhathum, ich rodzinną bazę, gdzie matka Amita, Jedna, nadal sprawowała funkcję hrabiny...

Terhathum.

Część mózgu Cardenii, odpowiedzialna za kojarzenie informacji, domknęła całość z głośnym trzaskiem i pchnęła ją na poziom świadomości.

– O mój Boże – powiedziała, wpatrując się w Amita. – Wy wiecie. Wiecie o Nurcie.

– Nie rozumiem, o czym wasza wysokość mówi – odparł Amit, ale totalne zaskoczenie, jakie ukazało się na jego twarzy na dźwięk słowa „Nurt”, mówiło samo za siebie.

– Wiecie, że wkrótce się rozpadnie. Wiecie też, że Terhathum będzie następne. Opuśćcie je, przenosząc się na Kres. – Zamilkła na moment i wpatrywała się w Amita, usiłując wszystko pojąć. – Wiecie, że Nurt się rozpadnie, ale *nie zrobiliście nic, żeby uratować swoich ludzi*. Dlaczego?

– On się nie rozpada, tylko przesuwa – zaczął Amit i już po chwili zamilkł.

Cardenia dalej się w niego wpatrywała, aż wreszcie jej mózg zaskoczył i uświadomiła sobie, co właśnie usłyszała.

– Nie, panie Amicie. Och, nie. Prądy się nie przesuwają, ale całkowicie zamykają. Posłuchaj mnie. Musisz wysłać na Terhathum wiadomość. Dzisiaj! Teraz! Muszą się przygotować. Muszą być gotowi.

– Na co?

– Na rozpad, Amicie, na rozpad.

Rozległ się alarm i z przodu oraz z tyłu zaczęli ku nim biec gwardziści.

Amit rozejrzał się, całkowicie zaskoczony.

– Ona nie... – wyszeptał. – Ona nie... Nie mnie. Nie teraz.

– O co chodzi, Amicie?

Spojrzał na nią.

– Przepraszam, Cardenio – powiedział, a potem chwycili ich gwardziści i odciągnęli, Cardenię w stronę, z której przyszli, Amita tam, gdzie się kierowali.

Obie grupy niemal dotarły do drzwi, każda po swojej stronie, kiedy ładownia została rozdarta przez coś, co wleciało przez powłokę statku i leciało pod kątem ku podłodze. Cardenia odwróciła się w biegu i zobaczyła coś, co wyglądało na pozostałości promu, które leciały przez ładownię, obracając się po osi poprzecznej i zmierzając ku ścianie, do której biegł Amit ze swoimi gwardzistami. Krzyknęła jego imię, ale utonęło wśród rozdzierającego hałasu wywoływanego przez rozpadający się prom oraz powietrze wylatujące ze świstem przez ogromną dziurę w dachu ładowni. Przez ułamek sekundy widziała tył jego głowy, którą imperialni gwardziści w biegu przyginali ku dołowi. Zaraz potem wszyscy zostali zmieceni przez wrak promu.

Systemy statku, wyczuwając spadające ciśnienie, zaczęły opuszczać drzwi ciśnieniowe. Cardenia i gwardziści biegli najszybciej jak mogli ku zamykającemu się wejściu, ale wstrzymywało ich powietrze uciekające ze statku z siłą wichury. Krzyknęła, kiedy drzwi opadły jeszcze niżej, przekonana, że nie dadzą rady.

Nie dali. Nie wszyscy. Gwardziści rzucili ją do przodu. Z drugiej strony drzwi wyciągnęła się ku niej ręka i złapała jedną z jej dłoni, a następnie szarpnęła ją przez szczelinę tak mocno, że Cardenia krzyknęła z bólu, bo jej ramię niemal wyskoczyło ze stawu. Zaraz potem znalazła się po drugiej stronie drzwi, przebijając nogami, żeby schować stopę, zanim się zamkną. Gdzieś po drodze straciła buta.

Cardenia została pociągnięta do góry i ktoś siłą prowadził ją wzdłuż krętego korytarza, zmierzając do szprychy pierścienia, którą mogliby się dostać z powrotem do głównego kadłuba statku. Gdy dostrzegli jedną z nich, spojrzała na trzech gwardzistów, którzy przy niej byli i już miała zapytać, co się stało, kiedy nastąpił trzask i coś mocno uderzyło nią o podłogę, łamiąc jej nadgarstek i obcierając jej ręce oraz twarz, kiedy sunęła po powierzchni. Znowu zerwał się wiatr. Jeden z gwardzistów, który wstał po upadku, został wypchnięty poza segment pierścienia, zanim drzwi ciśnieniowe się zamknęły.

Cardenia policzyła do dziesięciu i dopiero potem wstała. Desperacko usiłowała zaczerpnąć powietrza. Dwa pęknięcia tak bardzo zmniejszyły ciśnienie w pierścieniu, że miała uczucie, jakby się dusiła. Jedna z pozostałych jeszcze gwardzistek, która sama się dusiła, znalazła w ścianie zestaw awaryjny i go otworzyła, wyciągając z niego dwa małe zbiorniki pod ciśnieniem, w których znajdował się tlen. Podała jeden Cardenii i pokazała, jak go używać. Cardenia wzięła głęboki haust i była za niego tak wdzięczna, że zaczęła płakać.

Gwardzistka sprawdziła drugiego z żołnierzy, który nie wstał z podłogi. Cardenia spojrzała i zobaczyła kałużę krwi wokół jego głowy. Uderzył w podłogę tak mocno, że się

wykrwawił.

Dookoła nich rozległ się potężny huk. Coś było rozrywane i trzeszczało, a dźwięk rozchodził się po powłoce segmentu pierścienia i w rozrzedzonym powietrzu.

– Co to było? – spytała Cardenia.

– Pierścień się obracał, żeby wytworzyć sztuczną grawitację – odparła gwardzistka. – Teraz został przerwany. Pod wpływem własnej rotacji rozpada się na kawałki. – Wyciągnęła ku Cardenii rękę. – Chodźmy, wasza wysokość. Musimy się dostać do tej szprychy.

Ten element został zaprojektowany z myślą o zastosowaniu pól dociskowych. Szerokie przejście prowadziło w górę czegoś, co najwyraźniej było ścianą segmentu pierścienia, a następnie kierowało się do szprychy. Zogniskowane pola dociskowe umożliwiały załodze wyjście w górę „ściany” i dostanie się do szprychy. Szprychy dochodziły do głównego kadłuba statku i z tej strony również zastosowano pola dociskowe.

– Wasza wysokość przodem – powiedziała gwardzistka i Cardenia, kulejąc, zaczęła wchodzić po ścianie, trzymając pojemnik z tlenem w ręce. Gdy dostała się do szprychy, odwróciła się i spojrzała na gwardzistkę. – Proszę się nie zatrzymywać – ponagliła tamta, spoglądając w górę i gestami poganiając Cardenię, żeby szła naprzód. I wtedy przeszywający dźwięk stał się znacznie głośniejszy, a zaraz potem Cardenia dostrzegła, jak poniżej gwardzistki podłoga segmentu pierścienia zaczyna się giąć i rwać. Drzwi ciśnieniowe, te, które odcinały szprychę, zaczęły się koncentrycznie zamykać. Kiedy Cardenia po raz ostatni widziała gwardzistkę, ta poganiała ją, aby biegła dalej.

Nikt nie musiał jej tego dwa razy powtarzać. Sprintem ruszyła wzdłuż szprychy, aż w końcu pola dociskowe się skończyły i leciała, pozbawiona ciężaru, wzdłuż przejścia. Najpierw uderzyła o ścianę, a potem zaczęła się przemieszczać, trzymając się jej i usiłując dotrzeć do odległego wejścia na główny statek.

Cardenia, rozpaczliwie brnąc przez szprychę, mijała jej segment z przezroczystymi ścianami. Wyjrzała na zewnątrz i ujrzała wrak pierścienia oraz segment naprzeciwko niej, który odrywał się od statku i łamał prowadzącą od niego szprychę, rozrzucając przy tym mnóstwo szczątków. Przyglądała się temu widokowi, równocześnie lecąc dalej, aż w końcu znalazł się za nią. Przed nią znajdowało się wejście do kadłuba statku.

Było zamknięte.

Przez całą szprychę wokół Cardenii przeszedł wstrząs, połączony z gwałtownym traskiem. Rzuciło ją o ścianę i obróciło kilkakrotnie. W czasie gdy się obracała, usłyszała wysoki gwizd, dobiegający z wielu miejsc jednocześnie. W szprysze pojawiło się pęknięcie – małe dziurki, nie większe od szpilki, zaczęły wyskakiwać wzdłuż nierównej linii, mającej co najmniej trzy metry. Z wnętrza uchodziło powietrze. Cardenia mocniej chwyciła zbiornik z tlenem i zaczęła się odpychać, zmierzając do przejścia dzielącego ją od głównego kadłuba statku. Złapała za uchwyt obok wejścia i zaczęła uderzać w drzwi przy pomocy zbiornika. Nie przestawała, a tymczasem powietrze robiło się coraz rzadsze i zimniejsze. Od czasu do

czasu Cardenia wdychała nieco tlenu, żeby zachować przytomność, i dalej waliła w drzwi. Wreszcie albo usłyszała, albo już miała halucynacje, że ktoś uderza w nie po drugiej stronie. Ona nie przestawała, dopóki nie straciła przytomności z wyziębienia.

ROZDZIAŁ 17

Gwardia Imperialna wpadła do biur rodziny Lagos w Domu Gildii, wywołując jedyną sensowną, zdaniem Kivy, reakcją na to wydarzenie.

– Co, do kurwy nędzy?! – spytała Pretara, który stał w swoim gabinecie, a tymczasem gwardziści i śledczy przeglądali dokumenty oraz tablet jego i wszystkich innych osób, które przebywały w biurach.

– Próbowano zamordować imperoks – wyjaśnił Pretar.

– A w jaki, kurwa, sposób jest to związane z nami?

– Pani Kivo, *proszę* – powiedział Pretar, spoglądając po gwardzistach. – Niech pani wyraża się z szacunkiem.

– Jebać *szacunek* – odparła Kiva. – Po prostu odpowiedz na cholerne pytanie.

Widziała, że Pretar usiłuje zdecydować, czy on jako główny dyrektor rodziny Lagos na Hubie może przywalić córce matriarchini rodu. Po sekundzie namysłu uznał, że jednak nie, co Kiva odebrała jako decyzję właściwą, acz nieco rozczarowującą, bo miała szczerą ochotę, żeby w tej akurat chwili dał jej szansę na pierdolnięcie nim o dywan.

– Imperoks zwiedzała świeżo ukończony statek – wyjaśnił. – Ktoś uderzył promem w segment pierścienia, w którym właśnie była.

– Dobra, no i?

– Prom pochodzi z jednego z naszych statków.

– Co? *Którego* statku?

– *Tak, drogi panie.*

– Chyba sobie, kurwa, jaja robisz.

Pretar rozejrzał się wokół i uniósł brwi, co okropnie wkurzyło Kivę, bo chciał jej powiedzieć: „Gdybym żartował, nie byłoby tutaj tych wszystkich ludzi”.

– Pani Kivo – usłyszała głos za swoimi plecami. Odwróciła się i zobaczyła wyglądającego oficjalnie fiuta, który się na nią gapił.

– Kim jesteś?

– Hibert Limbar, szef Gwardii Imperialnej. Chciałbym z panią porozmawiać.

– Dobrze, bo ja też chciałabym z panem porozmawiać. – Kiva odwróciła się do Pretara. – Wynocha.

– To moje biuro – zaprotestował. – A pani nie jest swoją matką.

– Nie jestem – zgodziła się Kiva. – Zadzwon do niej i poskarż się na mnie, jeśli chcesz. A tymczasem wypierdalaj. Potrzebuję twojego biura.

Pretar gapił się na nią przez chwilę, ale w końcu wyszedł. Gwardziści i śledczy

w pomieszczeniu też się gapili, jak opuszczał biuro. Kiva wskazała ich i powiedziała do Limbara:

– Każ reszcie też wypierdalać.

– Wszyscy wypierdalać – rzucił – na piętnaście minut.

Wszyscy zaczęli wypierdalać, a Limbar zamknął za nimi drzwi.

– W jaki, kurwa, sposób ktoś porwał jeden z naszych promów i narobił tego burdelu? – zapytała Kiva, podchodząc do fotela Pretara i opadając w niego ciężko.

– To zabawne, że o to pytasz, pani Kivo – stwierdził Limbar. – Miałem zamiar zadać pani dokładnie to samo pytanie, może przetykane mniejszą liczbą „kurew”.

– Jak widać, nie mam pojęcia.

– Była pani przedstawicielem właściciela na *Tak, drogi panie*.

– Tak.

– I wracając z Kresu na Hub, napakowała pani swój statek emigrantami z tamtej planety, którzy rzekomo uciekali przed wojną domową.

– Tak, no i co?

– No i prawdopodobnie jeden albo kilku z nich wyruszyło tutaj, mając określone plany.

Kiva parsknęła.

– Sugeruje pan, że jeden z tych kutasów, których przewieźliśmy na Hub, wiedział, że imperoks, *nowiuteńka* imperoks, która została koronowana mniej więcej wtedy, kiedy my wyruszyliśmy, będzie na tym konkretnym statku w tym konkretnie czasie, a następnie „pożyczył” sobie prom, żeby ją sprzątnąć?

– Myślę, że to mało prawdopodobne. Uważam za bardziej możliwe, że ktoś dał im instrukcje, kiedy już tu przybyli i zorientowali się w sytuacji politycznej.

– A co to znaczy?

– Pani Kivo, czy pani wie, jaki statek został zaatakowany?

– Nie.

– *Jeśli chcesz śpiewać, to śpiewaj*, nowy dziesiątak, którego budowę zleciła rodzina Nohamapetanów. – Kiva nic nie odpowiedziała. – Pani Nohamapetan powiedziała, że niedługo przed atakiem na ich statek pani oraz hrabina Lagos groziłyście Amitowi Nohamapetanowi z powodu sporów biznesowych.

– Nie *groziłyśmy* mu. Po prostu bardzo jednoznacznie wyraziłyśmy nasze niezadowolenie z powodu pewnych działań, jakie ich ród przedsięwziął przeciwko nam na Kresie, ale zaoferowałyśmy mu możliwość dojścia do porozumienia bez wchodzenia na drogę sądową. Może go pan sam zapytać.

– Z chęcią bym to zrobił, lecz był z imperoks, kiedy nastąpił atak. Imperoks przeżyła, Amit Nohamapetan niestety nie.

– O kurwa – powiedziała Kiva po mniej więcej minucie.

Limbar skinął głową.

– Mogę pokazać zdjęcia, jeśli pani chce. Niewiele jednak z niego zostało. Większość z tej jego części, której uderzenie nie rozsmarowało po pokładzie statku, poleciała w przestrzeń kosmiczną.

– Nie uważa pan, że my to zrobiliśmy, prawda?

– Cóż, pani Kivo, niech mi pani sama powie. Przylatuje pani z Kresu, będąc w trakcie sporu biznesowego z Nohamapetanami, a równocześnie mając statek wypełniony po brzegi emigrantami z planety, z której rebelianci atakują cele w całej Wspólnocie i już wcześniej próbowali zamordować imperoks. A teraz mamy próbę zamachu, którego celem jest nie tylko ona sama, ale także dziedzic głowy rodu Nohamapetan. Zamach przy okazji wyrządza poważną szkodę finansową tej rodzinie, niszcząc najnowszy dziesiątąk tuż przed tym, jak miał zacząć służbę. Czyżby pani nie dostrzegą, jak łatwo mogą sobie wyobrazić, że wy i ci terroryści z Kresu mogliście zdecydować, że upieczecie dwie pieczenie na jednym ogniu?

– Wyobrazić może pan sobie, co się panu podoba – odparła Kiva. – To jednak nie znaczy, że to prawda. Tak czy inaczej to nie ma sensu. Potrzebowałyśmy pana Amita żywego, żeby skutecznie ugodę, jaką chcieliśmy z nim zawrzeć. Zabijanie go w niczym by się nam nie przysłużyło. Teraz nie uda nam się z Nohamapetanami nic załatwić, zwłaszcza jeśli myślą, że moja rodzina maczała w tym palce.

Limbar się uśmiechnął.

– To przynajmniej, jak sądzę, jest prawdą. Pani Nadashe jest wściekła i tylko fakt, że obecnie zbiera poparcie dla projektu wysłania transportowca z wojskiem na Kres, sprawia, iż nie skierowała całej swej uwagi na ród Lagos.

Kiva już otwierała usta, żeby powiedzieć coś na temat powiązań Nohamapetanów z rebeliantami na Kresie i zapytać, czemu Limbar nie przyjrzy się tej sprawie, ale zamknęła je tak szybko, że jej zęby stuknęły o siebie głośno.

– Tak, pani Kivo? – zapytał Limbar, który to zauważył. – Coś pani przyszło do głowy?

– Zastanawiam się, czy macie jakieś dowody na poparcie podejrzeń, o których pan tu wspomniał.

Limbar wskazał ręką dookoła.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. Nie sądzę, żeby pani albo hrabina była na tyle głupia, aby gdzieś zapisać takie plany, jeśli jesteście w to zamieszane. Możliwe jednak, że nie każdy z waszych pracowników jest równie czujny. A wtedy taki zapis znajdziemy. Tymczasem, pani Kivo, zapewne zrozumie pani, jeśli ograniczę swobodę pani poruszania się do Hubfall, a także będziemy dyskretnie przyglądać się pani ruchom. Oczywiście nie dotyczy to tylko pani, ale również pani matki, pana Pretara i większości waszego kierownictwa na Hubie oraz Xi'an.

– Z moją matką nie przejdzie to tak łatwo.

– Może pani powiedzieć hrabinie, i proszę śmiało zacytować moje słowa, że jebie mnie to. Ktoś właśnie próbował zabić moją imperoks, i to drugi raz w czasie mojej warty. Może być

pani pewna, że dowiem się, kto za tym stoi. Jeśli to pani, hrabina czy ktokolwiek inny z rodu Lagos, nie będzie mnie obchodziło, jak wysoko jesteście postawieni czy potężni ani jak bardzo zastraszyacie swoich podwładnych. Załatwię was i cały wasz ród, jeśli będzie trzeba.

– Przekażę jej.

– Proszę tak zrobić. A teraz wybaczy pani, ale moi ludzie muszą wracać do pracy.

Podszedł do drzwi i otworzył je, wpuszczając gwardzistów i śledczych. Kiva obserwowała, jak wchodzi, po czym wstała z fotela i wyszła, kierując się ku windom. Zauważywszy to, jedna z gwardzistek oderwała się od swoich obowiązków i podeszła do niej.

– Och, dajcie spokój – powiedziała do niej Kiva. – Ten dupek, wasz szef, powiedział, że będziecie dyskretni.

– To jest dyskretne – odparła gwardzistka, stojąc tuż koło niej.

Kiva powstrzymała się przed przewróceniem oczami.

– Jak ci na imię?

– Sierżant Brenja Pitof.

– Cóż, sierżancie, czy będę miała choć chwilę prywatności do czasu aż to wszystko się skończy, kiedykolwiek to nastąpi?

– Raczej nie.

– Więc będziesz mi się przyglądała, kiedy będę srać?

– Nie.

– Dobrze.

– O ile łazienka nie będzie miała okien albo drugiego wyjścia.

Winda się otworzyła i Kiva weszła do środka, a sierżant Pitof za nią.

– Naciśnij przycisk „parter” – rzuciła Kiva.

– Mam cię pilnować, pani Kivo, nie robić za twoją służącą – odparła Pitof.

Mimo wszystko nacisnęła przycisk.

– Gdzie pani jest? – zapytał kapitan Blinnikka z tabletu Kivy, tego, którego nie skonfiskowali imperialni gwardziści.

– W łazience hotelowej – odparła.

– Co to za hałas?

– Pysznic.

– Dzwoni pani do mnie spod prysznic?

– Nie, puściłam wodę, żeby móc z tobą porozmawiać. W swoim pokoju hotelowym mam jebaną gwardzistkę.

– A co tam robi gwardzistka?

„Leży na łóżku po szczególnie wyczerpującej rundce pieprzenia”, pomyślała Kiva, ale nie powiedziała tego na głos. Postanowiła, że póki będzie tak pieczołowicie strzeżona, równie dobrze może jakoś to wykorzystać.

– Czeka, aż skończę brać prysznic, więc może przejdźmy do rzeczy. A rzecz jest taka, że co, do kurwy nędzy, stało się z naszym promem?

– Wraciał ze stacji imperialnej, kiedy ustała wszelka łączność i poleciał w kierunku doku, gdzie budowano *Śpiewaj*, po czym wpięprzył się prosto w niego. Został ostrzelany przez okręt Gwardii Imperialnej, ale nie udało im się go zniszczyć, zanim uderzył.

– Kim był pilot?

– Ling Xi.

Kiva się skrzywiła. Xi była całkowicie kompetentna i absolutnie nieinteresująca. Nie miała też żadnych osobistych przekonań politycznych, przynajmniej na ile Kiva się orientowała.

– Ona nie wbiła się promem w ten statek. To nie ma żadnego sensu.

– Nie sądzę, żeby to zrobiła – zgodził się Blinnikka. – Mamy dane z paneli kontrolnych promu. Według nich w czasie przelotu dużo się tam działo, ale nie są to zapisy, jakie pozostawia pilotowanie, czy też, mówiąc dokładniej, rejestry pilotowania nie odpowiadają przelotowi. Widać tam wszystko to, czego można by się spodziewać po aktywności pilota próbującego odzyskać *kontrolę* nad promem, a nie prowadzącego go.

– Więc uważasz, że ktoś go porwał.

– Tak, sądzę, że w jakiś sposób go zhakowano, a następnie albo ustawiono na autopilota, albo zdalnie nakierowano na *Śpiewaj*.

– Powiedziałaś to imperialnym gwardzistom?

– Nie pytali, a ja postanowiłem pozwolić im do tego dojść na własną rękę. Po prostu weszli na statek, zgrali wszystko, co tylko się dało i rozłożyli się z całym kramem w jednej z ładowni. Nadal tam są. Przepytawali mnie i ważniejszych członków załogi, ale to było wiele godzin temu. Nie wolno nam opuszczać statku. Nie wiem, co teraz zamierzają.

– W promie nie było nikogo oprócz Xi?

– Nie.

– A wcześniej? Leciała tym promem na stację imperialną, tak? Ktoś wtedy z nią był?

– Chwileczkę.

Kiva zaczekała, a w międzyczasie doszła do wniosku, że faktycznie potrzebuje prysznic. Ona i sierżant Pitof zachowywały się dość żywiołowo. Rozebrała się, przełączyła tablet na tryb głośnomówiący i weszła pod strumień wody.

– Było kilku pasażerów – odezwał się w końcu Blinnikka. – Dokładnie troje. Małżeństwo o nazwisku Lewyyn oraz facet, niejaki Broshning. Odlatywali z *Tak, drogi panie* ostatecznie.

– Wiemy, gdzie się wybierali?

– Nie mam pojęcia.

- Ale *ktoś* ma, prawda? Jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć?
- Nie wiem. Jestem kapitanem statku, nie prywatnym detektywem.
- Zapytaj Gazsona Magnuta. Jeśli mieli w ładowniach jakiś bagaż, którego nie zabrali ze sobą na prom, będą musieli poprosić o wysłanie go gdzieś.
- Właśnie go wyładowaliśmy. Teraz zajmuje się tym stacja imperialna.
- To wyślij kogoś, niech *ich* zapyta.
- Łatwiej powiedzieć niż zrobić.
- Mamy na karku pierdoloną Gwardię Imperialną, która uważa, że próbujemy zamordować imperoksa – zirytowała się Kiva. – Myślę, że w związku z tym możemy się zdobyć na *odrobinę* wysiłku.

Blinnikka milczał przez chwilę.

- Ma pani włączony tryb głośnomówiący?
- Możliwe.
- Mówiła pani, że nie chce, aby ktoś panią usłyszał.
- Stwierdziłam, że jednak bardziej jest mi potrzebny prawdziwy prysznic.
- Wolałbym tego nie wiedzieć.
- Znajdź mi tych ludzi. Muszę wiedzieć, gdzie są.
- Nie mogę nic obiecać.
- No to chyba zobaczymy się w więzieniu.

Kiva usłyszała, jak Blinnikka westchnął.

- Nie będę oddzwaniał. Strach pomyśleć, przy czym mógłbym panią zastać. Wyślę wiadomość.
- Zaszyfrowaną.
- Oczywiście – odparł Blinnikka i się rozłączył.

Kiva skończyła się myć, zakręciła wodę, wytarła się i otworzyła drzwi, za którymi ujrzała sierżant Pitof.

- Wiesz, że jest łatwiejszy sposób na znalezienie tych ludzi – powiedziała gwardzistka.
- Ja pierdołę, podsłuchiwałaś pod drzwiami? – zapytała Kiva z niedowierzaniem.
- Tak.
- I co usłyszałaś?
- Większość z tego, co zostało powiedziane po włączeniu głośnomówiącego.
- Jesteś niewiarygodna.
- To, że uprawialiśmy seks, nie znaczy, że przestałam wykonywać swoje obowiązki, pani Kivo.

Kiva otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

- Na to nie mam dobrej odpowiedzi – stwierdziła wreszcie. – Powiedz, co miałaś na myśli, mówiąc, że jest prostszy sposób na ich znalezienie?
- Każdy, kto przybywa na dowolną stację imperialną z zamiarem pobytu stałego, musi

poinformować celników, gdzie się zatrzyma. Urząd imigracyjny musi wiedzieć, gdzie się znajdują, dopóki nie okaże się, gdzie zamieszkają na stałe.

– Więc służby celne wiedzą, gdzie oni są.

– Prawdopodobnie.

– Czasami ludzie kłamią w kwestii tego, gdzie się wybierają.

Pitof potrząsnęła głową.

– Musisz pokazać swoją rezerwację hotelową albo nazwiska i adresy ludzi, u których się zatrzymujesz, zanim dostaniesz odprawę celną, a oprócz tego zgłosić się, gdy tylko dotrzesz na miejsce.

– A potem wychodzisz przez drzwi i nikt o tobie więcej nie usłyszy.

– W najgorszym wypadku będziesz o krok bliżej znalezienia ich niż jesteś teraz.

– Więc jak pogadać z celnikami?

– Ty nie pogadasz. Ja to zrobię.

– Dlaczego miałabyś mi pomagać?

– Nie ma powodu, dla którego nie miałabym ci pomóc. Oczywiście musisz mieć świadomość, że o wszystkim, co dla ciebie zrobię, muszę zameldować swojemu szefowi.

Kiva uniosła brew.

– Może nie o wszystkim.

– Nie, o seksie też zamelduję.

Kiva przez chwilę nic nie mówiła.

– Czy to nie jest nieetyczne? Pieprzyć się z osobą, którą ma się pilnować?

Sierżant Pitof wzruszyła ramionami.

– Powiedziano mi, że mam się trzymać blisko ciebie.

Kiva się zaśmiała.

– Chyba panią lubię, sierżant Pitof. Jest pani dupkiem w moim stylu.

– Dziękuję, pani Kivo. A teraz powtórz mi te nazwiska. Nie usłyszałam ich dobrze przez szum wody.

Taffyd i Chun Lewyynowie zatrzymali się na stacji imperialnej, w średnio drogim hotelu o nazwie Pierwiosnek. To nie było na rękę Kivie, która utknęła na Hubie. Postanowiła zająć się nimi później. Czekwała na informację o Georku Broshningu, kiedy z lobby hotelu doszedł do niej trzask i krzyki. Sięgnęła do szafy po szlafrok i otworzyła drzwi, a następnie wyjrzała na hotelowe atrium i zobaczyła leżące trzy piętra niżej, roztrzaskane ciało. Spojrzała w kierunku dachu hotelu, szesnaście pięter wyżej.

– Znaleźli go – powiedziała z pokoju sierżant Pitof.

Ubrała się w drugi szlafrok i podeszła do pasażu, żeby pokazać Kivie na tablicie

informację, która zawierała również zdjęcie Broshninga. Kiva zerknęła na nie.

– Jestem raczej pewna, że też go znalazłam – odrzekła i wskazała ciało na podłodze atrium, wokół którego zebrali się już ludzie. Pod nim powiększała się kałuża krwi. Kiva zauważyła coś jeszcze i ubrana nadal w szlafrok zaczęła iść korytarzem ku windom. Pitof ruszyła za nią.

Na poziomie lobby Kiva wyszła na atrium, minęła ciało, rozepchnęła tłoczących się ludzi i podeszła do jednej ze stojących tam donic, w której umieszczono ładne, sztuczne rośliny. W donicy leżała karta do drzwi, która utkwiała między liśćmi wielkiego, sztucznego sukulentu. Kiva ostrożnie ją stamtąd wyciągnęła, znów przeszła obok martwego mężczyzny i jego wielbicieli, podeszła do recepcji, gdzie spojrzał na nią asystent kierownika hotelu, który wyglądał na bardzo wstrząśniętego.

– Byłbyś tak miły i zadzwonił w moim imieniu do Georka Broshninga? Oczekuję mnie, ale zapomniałam jego numeru pokoju.

– Tak... oczywiście – powiedział asystent, wywołując odpowiednie menu na ekranie, aby poszukać nazwiska, a następnie przełączył się na panel komunikacji, żeby wstukać kod pokoju. – Brak odpowiedzi, proszę pani – oświadczył po około minucie.

– Pewnie nie będziesz mógł mi po prostu podać numeru pokoju?

– Przykro mi, proszę pani, nie mogę tego zrobić.

– Jasne – rzuciła Kiva, po czym odwróciła się, akurat kiedy Pitof do niej podeszła.

Minęła swoją opiekunkę i weszła z powrotem do windy, naciskając przycisk dwunastego piętra, kiedy Pitof do niej dołączyła. Sierżant zauważyła liczbę, ale nic nie powiedziała. Na dwunastym piętrze Kiva wysiadła, podeszła do pokoju 1245, który to numer odczytała, kiedy asystent kierownika wklepywał go na ekranie, a następnie wsunęła kartę do drzwi. Otworzyły się.

– Raczej nie powinnaś tu za mną wchodzić – powiedziała do Pitof. – Mogliby cię oskarżyć o naruszenie dowodów. Na dodatek w szlafroku.

– Zamknij się i otwieraj te drzwi.

Kiva wzruszyła ramionami i weszła do środka.

Łóżko w pokoju było w nieładzie, ale nie zdjęto narzut. Ktoś się z kimś w nim bzykał, ale niekoniecznie tam spał. Poza tym w pokoju był porządek, z nierozpakowanymi walizkami i innymi rzeczami. Na biurku Kiva zobaczyła notatnik i długopis, a na pierwszej kartce w notatniku widniał tekst. Podeszła tam i nie dotykając listu, zaczęła czytać słowa napisane wąskimi, drobnymi literami.

Na Kresie uprawiałem kukurydzę i banu. Te drugie obumarły z powodu grzyba. Mówią, że spowodowały to cytrusy, ale ja myślę, że kukurydza. Jej zbiory też się nie udały. Straciłem wszystko, a potem wojna sprawiła, że musiałem uciekać. Próbowałem wyjechać, ale nie mogłem sobie na to pozwolić. I wtedy zechciał się ze mną spotkać Ghreni Nohamapetan.

Powiedział, że za mnie zapłaci. Mówił, że czuje się odpowiedzialny za to, co stało się moim banu, i że byłem dobrym koncesjorczą.

Powiedział, abym po przybyciu na Hub skontaktował się z celnikiem o nazwisku Che Isolt, który powie mi, co mam tam zrobić. Isolt przybył na statek i dał mi skrzynkę z przekaźnikiem. Powiedział, żebym zostawił ją na promie, kiedy go opuszczę. Tak zrobiłem. Potem, kiedy przybyłem do hotelu, włączyłem monitor i zobaczyłem, co się stało z promem.

Wiem, że dojdą, jak to się stało. Wiem, że mnie znajdą. Wiem, że nikt mi nie uwierzy. Już straciłem tak wiele, a jeszcze zrobili ze mnie głupca. Myślałem, że może na Hubie będę miał szansę na nowe życie. Myliłem się.

Przepraszam za bałagan.

– Skurwysyńscy Nohamapetanowie – stwierdziła Kiva, po czym odwróciła się do Pitof. – Masz swój tablet? – Sierżant uniosła go do góry. – Zadzwoń do swojego szefa.

– Co chcesz, żebym mu powiedziała?

– Powiedz mu, że znalazłam coś, co zdejmuję mi i mojej rodzinie stryczek z karku.

– Nie przekona go list pożegnalny.

– To coś więcej.

– Mimo wszystko to zajmie trochę czasu.

Kiva skinęła głową.

– Taaa. Jak już skończysz, daj mi swój tablet.

– Po co?

– Bo muszę zadzwonić do swojego kapitana i powiedzieć mu, żeby przestał szukać Broshninga. A potem chcę zadzwonić do kogoś jeszcze.

– Do kogo?

– Kogoś, co do kogo mam przekonanie graniczące z pewnością, że cholernie przyspieszy proces zdejmowania mojemu rodowi stryczka z karku.

ROZDZIAŁ 18

Gwardzista imperialny pchnął drzwi, które otworzyły się przed Marce'em Claremontem, a on wszedł do bogato zdobionego, przepastnego pomieszczenia, gdzie komitet wykonawczy odbywał pierwsze tego ranka spotkanie. Jego oczy były wielkie jak talerze, a trzymana w dłoni teczka niemal wypadła mu z rąk, kiedy ogarniał barokowy wystrój potężnego wnętrza. Uświadomił sobie, że nieważne, jak długo zostanie w pałacu imperialnym, prawdopodobnie nigdy nie przywyknie do jego niedorzecznego przepychu. Był on, jednym słowem, przesadny.

Dotarł do stołu, przy którym zasiadał komitet wykonawczy, z wyjątkiem imperoks, nadal kurującej się po próbie morderstwa. Jego członkini u szczytu stołu, ta, którą Grayland II przedstawiła mu jako arcybiskup Korbijn, lustrowała go wzrokiem w milczeniu. Marce skłonił się jej i szybko rozejrzał za drugą osobą, której szukał przy stole – Nadashe Nohamapetan. Nigdy wcześniej jej nie widział, ale dosyć szybko ją rozpoznał. Była młodsza od pozostałych członków komitetu i wykazywała silne podobieństwo do swojego brata Ghreniego. Odwzajemniła jego spojrzenie. Było takie, jakie powinno być – neutralne. Nie miała wszak pojęcia, kim jest Marce ani co ze sobą przynosi.

– Jesteś nowy – powiedziała do niego arcybiskup.

– Tak, wasza wielbność. Nazywam się Marce Claremont, nowy asystent imperoks do spraw polityki naukowej. Zatrudniono mnie wczoraj, zaraz po przybyciu z Kresu.

To przykuło uwagę Nadashe, ale nieźle poradziła sobie z ukryciem tego faktu. Gdyby nie to, że Marce obserwował jej reakcję, na pewno by to przeoczył.

Korbijn się uśmiechnęła i wskazała komitet.

– To może być trochę dużo, jak na drugi dzień pracy.

– Tak, wasza wielbność. To dużo. Więcej niż wam wiadomo.

– Rozumiem, że przynosisz nam najświeższe wieści o stanie zdrowia imperoks – powiedziała Korbijn.

– Tak, owszem, ale także kolejną listę spraw, które imperoks chciała, abym zaprezentował komitetowi, jeśli pozwolicie spełnić jej życzenie.

– Oczywiście.

– Stan zdrowia imperoks się poprawia – oświadczył Marce. – Nadal doskwierają jej skutki wyziębienia i niedotlenienia spowodowanego uwięzieniem w tej szprysze dziesiątaka, z której uchodziło powietrze, ale na szczęście jej gwardziści, czy też raczej ci z nich, którzy ocaleli, zdołali ją odnaleźć, zanim doznała takich uszkodzeń ciała, które naprawdę zagrażałyby życiu. Miała szczęście. Miała go znacznie więcej niż pięciu gwardzistów, którzy

zginęli, chroniąc ją, oraz czterech innych, którzy ponieśli śmierć, próbując ratować pana Amita Nohamapetana. – Tu zwrócił się w kierunku jego siostry i skinął głową. – Moje kondolencje z powodu straty brata, pani Nadashe.

– Dziękuję – odparła.

– Oczywiście – kontynuował Marce, odwracając się z powrotem do Korbijn – doktor Drinin powiedział imperoks, że chce, aby pozostała w łóżku. Ona odpocznie, a on będzie mógł ją obserwować jeszcze przez kilka dni, tak żeby w spokoju wydobrzała. Zasugerował, by zostawiła komitetowi wykonawczemu zajmowanie się wszelkimi sprawami, jakie mogą się pojawić. Myślę, że chodziło mu o to, aby pozwoliła komitetowi zająć się autoryzacją przez parlament użycia siły przeciwko rebeliantom na Kresie.

– A co na to imperoks? – zapytała Korbijn.

– Powiedziała, że wobec jej nieobecności komitet może działać w jej imieniu, aby wprowadzić autoryzację w życie...

– Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj – wtrąciła Upeksha Ranatunga, która w parlamencie głosowała za tym, aby wysłać na Kres transportowiec *Proroctwa Racheli*.

– ... ale dopiero gdy ja zaprezentuję szanownemu gronu drugą część informacji, którymi imperoks chce się z wami podzielić.

– A cóż to takiego? – spytała Korbijn.

– To – powiedział Marce i otworzył teczkę, którą ze sobą przyniósł. Zawierała ona dziewięć wydrukowanych dokumentów. Wszystkie składały się ze sporej liczby spiętych ze sobą stron. Zaczął rozdawać raporty członkom komitetu.

– Co to jest? – zapytała Ranatunga.

– To wstępny szkic artykułu naukowego, jaki mój ojciec kilka lat temu otrzymał od doktorantki nazwiskiem Hatide Roynold. Wysłała mu go, bo chociaż ojciec był imperialnym kontrolerem na Kresie, wypełniał tam również inne zadanie, powierzone mu przez imperoksa Attavio VI. Ojciec jest fizykiem zajmującym się Nurtem, podobnie jak ja, a zmarły imperoks polecił mu zbierać dane na temat stanu prądów Nurtu, z których korzystamy w ramach Wspólnoty. Attavio VI martwił się, że pomimo zapewnień niemal wszystkich szanowanych fizyków Nurtu te kluczowe z punktu widzenia handlu trasy mogą się rozpaść.

– I rozpadną się? – zapytała Ranatunga.

– Działo się tak już wcześniej – odpowiedział Marce. – Najbardziej ewidentnym przykładem jest utrata ponad tysiąc lat temu prądu prowadzącego do Ziemi, naszego pradawnego domu. Kolejny prąd, który się rozpadł, prowadził do systemu gwiazdowego Dalasýsli, co nastąpiło kilkaset lat później. Od tamtej pory prądy Nurtu wykazywały zadziwiająco stabilność, który to fakt pozwolił na rozkwit i dobrobyt Wspólnoty.

Korbijn potrząsnęła raportem, którego wertowaniem na razie nie zaprzętała sobie głowy. Inni członkowie komitetu również je poodkładali. Nadashe Nohamapetan postąpiła tak

samo, aby zanotować coś na tablicy.

– Czy ten dokument sugeruje, że prądy Nurtu się rozpadają?

– Nie – odparł Marce. – Ten sugerował, że w prądach nastąpi radykalne przesunięcie, w wyniku którego ich układ się zmieni w ciągu dość krótkiego czasu. Większość z prądów Nurtu, jakie mamy do dyspozycji teraz, zaniknie, ale zastąpią je takie, które nadal będą umożliwiały handel w ramach Wspólnoty. Tyle że węzłem nowej sieci będzie Kres, a nie Hub.

– Czy to poprawna ocena? – spytała Korbijn.

– To właśnie chciała wiedzieć Roynold i dlatego wysłała szkic mojemu ojcu, który sam wcześniej napisał artykuł na ten temat. Odkrycia w nim zawarte przedyskutował z Attavio VI, z którym łączyła go przyjaźń. To właśnie na jego prośbę zaprzestał jawnych badań nad tą sprawą, ale ten wcześniej napisany artykuł już się ukazał. Roynold zakładała, że ojciec będzie jedyną osobą, która weźmie ją na poważnie.

– A co on odpowiedział?

– Nic. Prowadził prywatne badania dla imperoksa. Myślę, że jedyną osobą, z którą kiedykolwiek podzielił się wiedzą o tym szkicu, byłem ja, bo pomagałem mu w jego pracy. Hatide Roynold również zaprzestała badań nad tym tematem, przynajmniej publicznie. Jej doktorat poszedł w całkowicie innym kierunku. Jednak ostatniej nocy rozmawiali z nią imperialni gwardziści. Okazuje się, że Roynold, podobnie jak mój ojciec, zdobyła prywatnego patrona, który umożliwił jej kontynuowanie badań nad przesunięciami prądów Nurtu: Nadashe Nohamapetan.

Wszystkie oczy zwróciły się na wywołaną, która się uśmiechnęła.

– *Wiedziałam*, że się na to zanoszą – powiedziała i zwróciła się bezpośrednio do Korbijn: – Hatide jest moją przyjaciółką z uniwersytetu. Przyszła do mnie w okresie, kiedy miała problemy finansowe, a nie chciała jałmużny. Tak więc ufundowałam jej badania nad tym tematem. Zapewniłam jej stypendium, aby dokończyła tę oraz inną pracę. Co kwartał przesyłała mi sprawozdanie ze swoich postępów. Nigdy ich nie czytałam, bo nie o to mi chodziło.

– Pani wybaczy, pani Nohamapetan, ale są powody, żeby sądzić inaczej.

Nadashe odwróciła się do Marce'a i gdyby mogła, wypaliłaby mu wzrokiem dziurę w klatce piersiowej.

– A jakież to powody, mości Claremont?

– *Panie Claremont*, pani Nadashe – uściślił Marce. – A odpowiadając na pani pytanie: bo twój brat mówił co innego.

– Komu?

– *Nam* – powiedziała imperoks Grayland II, wchodząc do pomieszczenia.

Wszyscy wstali, z wyjątkiem Marce'a, który stał już wcześniej. Uśmiechnął się na to nagłe przybycie Grayland. Nie planowali tego, gdy rozmawiali wcześniej, ale była wyraźnie

poruszona, kiedy do niej przyszedł i opowiedział, co przekazała mu Kiva Lagos, dodając do tego własne informacje. Gdy imperoks powiedziała mu to, co sama wiedziała, wszystko ułożyło się w straszną całość. Gdy wykonała kilka telefonów, aby sprawdzić wszystkie tropy, usiedli we dwoje do pracy i ułożyli prezentację, którą teraz miał przedstawić Marce.

Imperoks dała mu również mikrofon, żeby słyszeć całą rozmowę. Dlatego właśnie mogła odpowiedzieć Nadashe Nohamapetan, mimo że gdy stanęła w drzwiach, znajdowała się o wiele za daleko, aby usłyszeć, co tamta mówi. Marce musiał przyznać, że wywołało to całkiem niezły efekt psychologiczny.

Grayland powoli podeszła do stołu i machnęła ręką, aby wszyscy usiedli. Arcybiskup Korbijn ruszyła, chcąc ustąpić jej miejsca u szczytu stołu, ale imperoks dała jej znak, żeby została tam, gdzie jest. Zamiast usiąść zbliżyła się do Marce'a i wsparła się na nim.

– Twój brat, pani Nadashe, ujawnił przed nami, że wasza rodzina wiedziała o pracy doktor Roynold – zaczęła Grayland. – Powiedział nam o wszystkim na krótko przed tym, jak zginął rozerwany przez tamten prom, który wbił się w wasz najnowszy dziesiątak. Wtedy nie rozumieliśmy, o co dokładnie mu chodziło. Potem jednak odbyliśmy rozmowę z obecnym tu panem Claremontem, a on wiedział, o czym mówił twój brat, bo widział wczesną wersję pracy pani doktor. Wiedział, co ona zawiera, jak również to, że jest błędna.

– Istotnie, jest błędna – potwierdził Marce. – Matematyka, na której się opiera, jest niedbała. Nie widziałem jej najnowszych badań, ale jeśli nadal sugeruje, że nastąpi przesunięcie Nurtu, to nie poprawiła swoich początkowych błędów.

– Tyle że wy o tym nie wiedzieliście – kontynuowała Grayland, mówiąc do Nadashe. – Tak więc ty i twoja rodzina działaliście w oparciu o założenie, że Kres stanie się nowym centrum Wspólnoty. Wasze działania zmierzały do tego, aby odebrać rodowi Wu kontrolę nad dostępem do Nurtu, kiedy nastąpi przesunięcie. Wspieraliście rebelię na Kresie, wysłaliście tam twego brata Ghreniego, żeby nią pokierował, opracowaliście wirusa atakującego uprawy, aby ją dodatkowo podsycić, a winę zrzucić na rodzinę Lagos, zacierając w ten sposób ślady i uderzając we wrogi wam ród.

– Tu, na Hubie, postulowaliście wysłanie pomocy wojskowej na Kres, żeby wesprzeć tamtejszego księcia, a potem wykorzystaliście piratów, by przejąć tę broń dla swojej rodziny i pchnąć władcę planety do jeszcze bardziej desperackich działań – przejął relację Marce. –

Równocześnie nadal naciskaliście na szerszej zakrojoną interwencję wojskową, planując i przeprowadzając ataki terrorystyczne tutaj i w innych systemach Wspólnoty.

– To kłamstwo – powiedziała Nadashe.

– Mamy w areszcie Gwardii Imperialnej Che Isolta, pani Nohamapetan – poinformowała ją Grayland – czyli waszego człowieka w urzędzie celnym i imigracyjnym. Wydał was niemal natychmiast. Opowiedział, jak działał w charakterze pośrednika między wami a emigrantami z Kresu. O tym, jak albo ich wykorzystywaliście, albo wrabialiście w działania terrorystyczne. Opowiedział nam nawet o wczorajszej próbie zamachu, o tym,

jak dał niczego nieświadomemu emigrantowi przekaźnik, dzięki któremu można się było włamać do systemów promu przez program serwisowy i skierować go na wasz statek. Czy wiesz, dlaczego wydał was tak łatwo?

– Bo dowiedział się, że z rozmysłem zabiłaś swojego brata tylko po to, żeby wszystko wyglądało na zamach na Nohamapetanów – powiedział Marce.

– Najwyraźniej bratobójstwo to było za dużo nawet dla niego, mimo że apróbował wrobienie we wszystko rodziny Lagos. Stwierdził, że to ostatnie było sprytnym posunięciem.

– Lagosowie nie są jednak z tego powodu zadowoleni – zaznaczył Marce.

– Nie – zgodziła się Grayland. – Ani odrobinę. Podobnie jak my, pani Nadashe. Z żadnej ze spraw, które zostały tu omówione.

Wokół stołu zaległa grobowa cisza, a cały komitety wykonawczy wpatrywał się w Nadashe Nohamapetan.

– Smuci mnie, że wasza wysokość uwierzyła w którąkolwiek z tych rzeczy – zaczęła Nadashe.

– Och, przestań pieprzyć, Nadashe – zirytowała się Grayland. – Gra skończona.

– Nie, Cardenio – odparła Nadashe i tylko kilka gwałtownych wdechów zasygnalizowało, że ktoś zauważył użycie osobistego imienia imperoks, co stanowiło rażące naruszenie protokołu. – Gra nie jest skończona. Może dla mnie tak, ale nie dla rodu Nohamapetan. Uniosła swój tablet, który cały czas trzymała w ręce i rzuciła go na stół. Wycelowała weń palec. – Minutę po tym, jak twój przydupas wręczył mi raport Hatide, wysłałam wiadomość na *Proroctwa Racheli*, transportowiec z dziesięcioma tysiącami marines i całym ich sprzętem. Kiedy się tu zjawiała i zaczęła swoją tyradę, obsada mostka zamknęła się i zaczęła przemieszczać okręt w kierunku płycizny Nurtu. Znajdował się już w miejscu umożliwiającym natychmiastowy przerzut. W niecały kwadrans *Rachela* wleci w Nurt i znajdzie się w drodze na Kres. Jest za późno, aby go zatrzymać.

Grayland spojrzała na Korbijn, która chwyciła swój tablet ze stołu i zaczęła dzwonić. Następnie znów spojrzała na Nadashe.

– Ta twoja obsada mostka nie może tam pozostać wiecznie.

– Nie bądź głupia – powiedziała Nadashe. – Nie tylko oni są z nami. Pracowałam nad tym przez lata. Kiedy *Rachela* zjawi się na Kresie, zdobędziemy kontrolę nad systemem. Najpierw przejmujemy stację imperialną, a jeśli mój brat nie będzie jeszcze miał kontroli nad powierzchnią planety, to wkrótce ją zdobędziemy. To wyłącznie kwestia czasu. Teraz zdołamy bez większych problemów obronić płyciznę wylotową. To też planowaliśmy. A kiedy nastąpi przesunięcie prądów Nurtu, zaczniemy negocjacje.

– Nic nie rozumiesz – oznajmił Marce. – Roynold się myliła. Nastąpi nie przesunięcie, ale *rozpad*. Wszystkie prądy Nurtu, co do jednego, zanikną w ciągu najbliższej dekady.

– Że co, przepraszam? – wtrąciła się Upeksha Ranatunga.

– Właśnie dlatego tu jestem – kontynuował Marce. – Mój ojciec to potwierdził. Obaj to potwierdziliśmy w oparciu o dane ze statków, które przybywały na Kres. Wszystkie prądy się zamykają. Wszystkie. Kres zostanie odizolowany, tak jak każdy z pozostałych systemów.

– Taka jest wasza interpretacja danych – rzuciła Nadashe.

– To już się dzieje – powiedziała Grayland. – Prąd z Kresu do Hubu już się zamknął. Następny będzie z Hubu do systemu Terhathum. Rodzimego systemu waszego rodu, Nadashe. *Twojego domu.*

Nadashe potrząsnęła głową i się uśmiechnęła.

– Nie. A zresztą to bez znaczenia. – Wycelowała palec w Marce’a. – Jeśli on ma rację, zginą miliardy ludzi. Kres to jedyny system we Wspólnocie z możliwą do zamieszkania planetą. Każdy inny potrzebuje do tego sztucznie stworzonych habitatów. Przetrwają one wiele lat, może nawet dziesięcioleci, w końcu jednak wszystkie ulegną zagładzie. Z wyjątkiem Kresu, który znajdzie się pod kontrolą Nohamapetanów, o ile już się tak nie stało.

Drzwi do pomieszczenia znów się otworzyły i weszła przez nie czwórka gwardzistów, którzy ruszyli w kierunku stołu. Za nimi szedł Hibert Limbar.

Nadashe spojrzała na nich, potem na imperoks i zapytała:

– To po mnie?

– Owszem.

– Pozwolisz, że dam ci radę, Cardenio – powiedziała Nadashe, kiedy gwardziści stanęli tuż przy niej. – Zachowaj mnie przy życiu i traktuj bardzo dobrze. Nadciąga kres Wspólnoty, w ten czy inny sposób. Jakkolwiek to nastąpi, ród Nohamapetan będzie wtedy istotnym elementem gry, czekając na to, co mu się należy. Nie za dobrze będziesz wyglądała w tej sytuacji, jeśli coś mi się stanie.

– Będziemy o tym pamiętać – odparła Grayland. – Tymczasem dziękujemy ci za usługi w Komitecie Wykonawczym. Zostajesz zwolniona.

Nadashe zaśmiała się, po czym wstała od stołu i wyszła w towarzystwie gwardzistów. Cały komitety przyglądał się jej odejściu.

Kiedy już wyszła, Upeksha Ranatunga odkaslnęła.

– Chciałabym wrócić do tej sprawy z prądami Nurtu, które mają się rozpaść w ciągu najbliższej dekady. – Spojrzała na Marce’a i Grayland. – To prawda?

– Tak – odpowiedział Marce.

– I mówicie nam o tym dopiero *teraz*? – spytała z niedowierzaniem Ranatunga.

Marce słyszał, jak Grayland westchnęła, i zauważył, że szybko na niego zerknęła, a następnie odwróciła się do Korbijn, która właśnie wracała do stołu.

– *Proroctwa Racheli* już odleciał przez płyciznę Nurtu – powiedziała. – Znajduje się w drodze na Kres.

– To zaledwie dziesięć tysięcy marines – zauważył Marce. – Na tamtejszej stacji

imperialnej na pewno nie ma nawet tyłu. Macie setki okrętów i setki tysięcy marines.

– Wszyscy oni będą musieli wylecieć wąskim gardłem płycizny Nurtu – powiedziała Grayland. – Do jej obrony wystarczy Nohamapetanom niewielka ilość broni i kilka okrętów.

– Wasza wysokość zdaje się być tego pewna.

Grayland gorzko się roześmiała.

– A myśli pan, że jak ród Wu tysiąc lat temu stał się rodziną panującą, panie Claremont? Dokładnie to samo zrobiliśmy tutaj, w przestrzeni nad Hubem. Przejęliśmy kontrolę nad płyciznami i kazaliśmy każdemu, kto nadlatywał lub przelatywał, płacić odpowiednie myto. Zmusiliśmy ich do płacenia, panie Claremont. Dokładnie tak samo, jak Nohamapetanowie planują to zrobić na Kresie względem każdego, kto będzie chciał tam przybyć. Koniec końców zostaną nowymi imperokсами, albo przynajmniej tak uważają.

– No to odetnijmy Kres całkowicie – zaproponowała Korbijn. – Jeśli Nohamapetanowie chcą się udać na dobrowolne wygnanie, dlaczego im na to nie pozwolić?

– To nie takie proste – odparł Marce.

– A to dlaczego?

– Bo Nadashe miała rację – odpowiedziała zamiast niego Grayland. – Jest tylko jeden system, który umożliwi ludziom życie bez dodatkowych instalacji, kiedy Nurt się rozpadnie. To właśnie Kres. Możemy przygotować na to wszystkie pozostałe systemy. Dać im, co tylko będziemy mogli, aby przetrwały, jak długo zdołają. Jednak to właśnie na Kresie przetrwa ludzkość, kiedy wszędzie indziej zapadną ciemności. Potrzebujemy tej planety. Musimy tam przewieźć przynajmniej część ludzi z każdego systemu.

– A Nohamapetanowie stoją nam na drodze – dodał Marce.

– Właśnie – kiwnęła głową Grayland.

– Więc co zrobimy? – zapytała Upeksha Ranatunga po jakiejś minucie. – Co teraz zrobimy?

EPILOG

– Nie masz nic lepszego do roboty niż przesiadywanie tutaj? – zapytał Attavio VI córkę siedzącą w Pokoju Pamięci.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Pamiętam, że już kiedyś ci je zadałem, gdy spędzałaś ze mną czas, a ja umierałem. Trochę dziwnie pytać cię o to ponownie. Sprawia wrażenie, jakby mi zależało. A to ty tego potrzebujesz.

– Wiesz, że wszystko psujesz, ujmując to w ten sposób?

– Przepraszam. Ale podtrzymuję pytanie.

– Tak, mam lepsze rzeczy do zrobienia – przyznała – ale i tak mam zamiar tu posiedzieć.

Symulacja Attavio VI pokiwała głową i usiadła obok niej, a przynajmniej wyglądała, jakby siadała obok.

– Też tu przychodziłem. Gdy czułem się przytłoczony albo wyczerpany, albo po prostu chciałem się znaleźć daleko od innych ludzi. Wtedy zawsze przychodziłem tutaj i rozmawiałem z matką, dziadkiem lub innymi imperokсами.

– Działo?

– Mniej więcej tak jak w twoim przypadku teraz – odparł. – Moim jednak zdaniem działało dostatecznie dobrze.

Cardenia się uśmiechnęła.

– Tak, dostatecznie dobrze.

– Ostatnio nie bywałaś w Pokoju Pamięci tak często.

– Będziesz za mną tęsknił, kiedy odlecę?

– Kiedy odleczysz, ja nie będę istniał, więc nie – odpowiedział Attavio VI.

– Jestem zajęta końcem wszystkiego – wyjaśniła Cardenia. – Kazałam panu Marce'owi zrobić prezentację dla parlamentu. Rozkazałam wojsku opracować plan odzyskania Kresu. Zawiesiłam prawa eksploatacji i monopole rodu Nohamapetan, a następnie przekazałam administrację nad nimi Lagosom.

– Jestem pewien, że wszystko poszło dobrze.

– Tak, przynajmniej ze strony Lagosów.

Cardenia przypomniała sobie spotkanie z hrabiną Lagos i jej córką Kivą. Obie były bezwstydnie uradowane z powodu upadku Nohamapetanów i powiększenia ich własnej fortuny. Hrabina za pozwoleniem Cardenii przekazała pani Kivie odpowiedzialność za monopole ich wrogów.

– Prezentacja Marce'a nie była już tak udana. Wszystko przedstawił tak prosto

i przystępnie, jak tylko się dało, a jednak większość parlamentu nadal uważa, że to nonsens, pomimo że mamy dowód.

– Ale przecież nie macie jeszcze dowodu – powiedział Attavio. – Od czasu przybycia pana Claremonta nie minęło więcej niż dwa tygodnie. Przyłot statków z Kresu może się opóźnić z powodu wojny domowej. Prąd Nurtu prowadzący na Terhathum pozostaje otwarty.

– Nie wiem, czy nawet to będzie miało jakieś znaczenie. Nieustannie muszę się borykać ze skłonnością ludzi do ignorowania lub odrzucania faktów tak długo, jak tylko zdołają. Czasami nawet wtedy, kiedy jest już kilka dni po wszystkim.

Attavio VI pokiwał głową.

– Właśnie dlatego nigdy nic nie powiedziałem na ten temat.

– Tak, a teraz ja dostaję swoją porcję gówna z *tego* tytułu, wielkie dzięki, drogi ojciec – sarknęła Cardenia. – Siedemdziesiąt procent parlamentu jest na mnie wściekłe, bo nie wierzą, że zbliża się rozpad, a czterdzieści procent jest wściekłe, bo nie powiadomiłam ich o tym wcześniej.

– Coś mi się tu nie zgadza z rachunkami – orzekł Attavio VI.

Cardenia potrząsnęła głową.

– Wszystko w porządku, bo niektórzy mają problem z jednym i drugim. Są jeszcze sojusznicy Nohamapetanów, przekonani, że Nadashe została wrobiona albo przeze mnie, albo przez Lagosów, ewentualnie są zdania, że taka drobna zdrada czy rebelia to nie jest jakaś wielka rzecz. I tu kolejna sprawa, za którą muszę ci podziękować, bo pozwoliłeś temu rodowi zdobyć tak wielkie wpływy.

– Nie można mnie za to winić.

– Oczywiście, że można. Właśnie to zrobiłam. Winią za to mnie, a ja teraz przekazuję ci część tego uczucia. Mam nadzieję, że źle ci z tym.

– Ja nie żyję. Z niczym nie czuję się dobrze lub źle.

– To musi być przyjemne.

– Nie jest.

Cardenia zamknęła na chwilę oczy i oparła się o ścianę Pokoju Pamięci.

– Wiesz, że nie chciałam być imperoksem.

– Tak – potwierdził ojciec. – Pamiętam.

– Ty też nie chciałeś, żebym to ja była imperoksem.

– To też pamiętam. Niezależnie jednak od tego, czego chciało każde z nas, fakty pozostają niezmiennie. A jeden z nich jest taki, że jesteś imperoksem. Prawdopodobnie ostatnim imperoksem Wspólnoty. Możesz sobie teraz zadać pytanie, czy chciałabyś, aby ktoś inny był na tym miejscu.

– Nie – odparła. – Nie chciałabym.

Attavio VI skinął głową.

– Pamiętaj, że nie zasugerowałem ci imienia Grayland bez przyczyny. Chciałem ci przypomnieć, co trzeba zrobić. Natchnąć cię, abyś była osobą, która to zrobi.

– Myślisz, że ci wyszło?

– Nie mam już opinii – przypomniał Attavio VI.

– Udajmy, że masz.

– Prosisz o opinię heurystyczną sieć komputerową.

– Właśnie tak. Myślisz, że ci wyszło?

Nastąpiła przerwa i Cardenia mogłaby przysiąc, że na ułamek sekundy dostrzegła w hologramie Attavio VI iskierki świadomości.

– Tak, myślę, że się udało – odpowiedział wreszcie.

Cardenia się uśmiechnęła.

– No i proszę. Nie było to takie trudne, prawda?

– W zasadzie to owszem, było.

Cardenia roześmiała się i znów milczała jakiś czas.

– Wspólnota została zbudowana na kłamstwie, wiedziałeś o tym?

– Tak, wiedziałem. Jeśli nie było to kłamstwo, to co najmniej wyrodzenie się pierwotnych zamiarów.

– To kłamstwo – orzekła Cardenia. – Ja to wiem. Ty to wiesz. Wiedział to każdy z imperoksów. Wiedziały o tym wszystkie główne rody, te, które pozostawały u władzy od powstania Wspólnoty, a te pomniejsze miały przekonanie graniczące z pewnością. Wszyscy zgodnie żyliśmy z tą świadomością i podtrzymywaliśmy kłamstwo. Przez stulecia.

– Tak – potwierdził po prostu Attavio VI.

– Wydaje się, jakby teraz nadszedł czas rozliczenia za nie – powiedziała Cardenia, po czym uniosła dłoń. – Żebyśmy mieli jasność, to tylko odczucie. Nie ma w tym nic z racjonalnego myślenia. Jednak myślę o tym bardzo intensywnie. Stworzyliśmy Wspólnotę dla naszej własnej korzyści, a twierdziliśmy przy tym, że korzystają z niej wszyscy. Wygląda to tak, jakby kosmos teraz wydawał osąd o naszych wyborach.

– Nie wydaje.

– Wiem. Nurt nie ma z nami nic wspólnego. Nic go nie obchodzimy. Po prostu jest. Trudno się jednak oprzeć takiemu odczuciu.

– Ludzki mózg już taki jest – stwierdził Attavio VI. – Doszukuje się wzorów tam, gdzie ich nie ma. Wyobraża sobie przyczynowość tam, gdzie nic podobnego nie zachodzi. To jest po prostu weń wpisane. Z gruntu chce oszukiwać.

– I wierzyć w oszustwo.

– Tak – zgodził się Attavio VI.

I wtedy Cardenia wpadła na pomysł.

– Ha! – wydała z siebie dźwięk, kiedy pomysł odpakował się w jej głowie.

– Co się stało?

– Wspólnota zaczęła się od kłamstwa.

– Tak.

Cardenia się uśmiechnęła.

– Myślę, że u swego kresu będzie potrzebowała kolejnego – powiedziała.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze uważam za niezwykle ważne, aby podkreślić, że książka to coś więcej niż słowa, które do niej trafiają. Kiedy ją kończę, przechodzi przez mnóstwo rąk, a wszystkie one sprawiają, że staje się lepsza, zanim trafi do Was. Tak więc niech mi będzie wolno podziękować następującym osobom: Patrickowi Nielsenowi Haydenowi, mojemu redaktorowi (który został awansowany na asystenta wydawcy w Tor, kiedy pisałem tę powieść; gratulacje, Patrick); Miriam Weinberg, która dostała niewdzięczne zadanie dopytywania się, kiedy będzie gotowy manuskrypt; dyrektorce plastycznej z Tor Irene Gallo oraz autorowi okładkowej grafiki Sparthowi za świetny rysunek; korektorce Christinie MacDonald za wyłapanie wielu moich błędów; Heather Saunders, zajmującej się składem; dziewczynom od reklamy w Tor – Alexis Saareli oraz Patty Garcii; no i oczywiście Tomowi Doherty'emu, który prowadzi Tor.

Jestem im szczególnie wdzięczny, bo oddałem tę książkę później niż zamierzałem (już drugą z rzędu) i niewątpliwie nadużyłem w tym względzie ich cierpliwości. Jedyne, co mogę zrobić, to każdemu z nich z serca powiedzieć, iż jest mi ogromnie przykro, że już drugi raz byłem dla was bólem dupy. Plan był taki, że miałem skończyć ją wcześniej. Myślę, że jeśli trzecią książkę też oddam z opóźnieniem, to każdy, kto przy niej pracuje, będzie mógł mnie solidnie rąbnąć po grzbiecie.

(Uwaga na marginesie. To nie żadna wymówka, ale ja pierdzielę, kto mi powie, że wybory prezydenckie z 2016 roku nie sprawiły, iż trudno było się skupić na pisaniu powieści. Miałem ochotę co pięć minut upewniać się, czy nie wpadliśmy na sposób wysadzenia się w cholerę w powietrze. Piszę te podziękowania w październiku 2016 roku i nie wiemy jeszcze, jaki będzie ostateczny wynik wyborów, więc obawiam się, czy wszystko nie spłonie w ogniu. Z drugiej strony, pisząc tę powieść, przynajmniej na razie nie mam dodatkowych zmartwień na głowie).

(Druga uwaga na marginesie. Chciałbym powiedzieć, że tytuł tej książki, *Upadające imperium*, nie został pomyślany jako komentarz do obecnej sytuacji Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy też ogólnie zachodniej cywilizacji. Wymyśliłem go całe lata temu. Po prostu przypadkiem tak wyszło, bo spójrzmy prawdzie w oczy, rok 2016 był z *historycznego* punktu widzenia popierdolonym rokiem i mogę mieć tylko nadzieję, że 2017 będzie lepszy. Bo jeśli nie, to naprawdę czas zejść do bunkrów z zapasami fasoli i ryżu).

A wracając do podziękowań, chciałbym je wyrazić Ethanowi Ellenbergowi, mojemu agentowi. Zawsze mu dziękuję, ale tym razem chcę go docenić szczególnie. Niektórzy z Was może już wiedzą, że ta książka stanowi pierwszy tom niesamowicie wręcz dobrego

cyklu, w ramach wieloletniego kontraktu z wydawnictwem Tor, z którego podpisania jestem niezwykle zadowolony (Hej! Będę pisał powieści co najmniej do 2027 roku! Całkiem nieźle!), a który Ethan bardzo pieczołowicie negocjował. Miałem wielkie szczęście, kiedy został moim agentem, i jestem mu wdzięczny za tę kupę dobrej roboty, którą dla mnie wykonuje przy każdej książce. Dziękuję również Bibi Lewis, która zajmuje się moimi kontraktami na tłumaczenia książek; Joelowi Gotlerowi, agentowi od spraw filmowych i telewizyjnych; oraz Mattowi Sugarmanowi, mojemu prawnikowi od własności intelektualnej. Innymi słowy jestem teraz człowiekiem, który ma mnóstwo agentów i prawników. Wiem, również uważam, że to dziwne.

Wreszcie serdeczne słowa uznania dla Steve'a Feldberga, który przygotowuje wersje audio moich książek. Liczba przyjaciół, którzy mnie wspierali, kiedy pisałem tę książkę, jest zbyt wielka, aby w tych podziękowaniach wymienić wszystkich, więc niech mi będzie wolno użyć odwiecznej formuły i napisać: „Wiecie, kogo mam na myśli” i dziękuję wam (jeśli nie jesteś pewien, czy to dotyczy również Ciebie, to hej, po prostu przyjmij, że tak. Dziękuję! Jesteś super). Dziękuję również czytelnikom. Tak, Tobie również! Pozwalacie mi żyć z pisania. Czy to nie zasługuje na wdzięczność? Mam dom, jedzenie i zwierzaki, które nie zezrą mnie z głodu, a wszystko to dzięki Wam, ludziska. Nie chcę, abyście myśleli, że tego nie doceniam. Doceniam. Naprawdę.

Oprócz tego chciałbym podziękować organizatorom i wolontariuszom HawaiiCon w 2016 roku za zaproszenie mnie jako gościa. Napisałem naprawdę zaskakująco dużą część tej powieści, przebywając na Big Island w ramach tego konwentu, i myślę, że znalezienie się tak daleko od kontynentu, jak tylko człowiek może, oraz równie daleko od nieustannego dopływu informacji, jaki zapewnia stały ląd, sprawiło wielką różnicę. Nie wspominając, no wiecie, o byciu w raju. Dzięki, ludziska.

Zakończę te podziękowania tak jak zwykle to robić, wyrażając wdzięczność mojej żonie Kristine i córce Athenie. Muszą ze mną żyć w czasie, kiedy piszę te wszystkie powieści, i nie jest to życie usłane różami. Potrafię być nieznośny i mrukliwy, zwłaszcza kiedy (tak jak w tym przypadku) jestem trochę do tyłu z harmonogramem i ktoś nieustannie mi przypomina, że pisanie powieści to prawdziwa praca. Mimo wszystko mnie kochają, nawet jeśli to, czy zasługuję na ich miłość, pozostaje kwestią dyskusyjną. Wdzięczność, jaką wobec nich odczuwam, jest bezgraniczna i dozwolona. Kocham je bardziej niż połączenie ciasta i churros. Wszyscy wiedzą, jak bardzo kocham jedno i drugie. A one są jeszcze cudniejsze, możecie mi wierzyć.

John Scalzi

5 października 2016 roku

1 Ang. *hub* – centrum, środek, punkt węzłowy (przyp. tłum.).

2 Niemożliwe do oddania w języku polskim podobieństwo brzmienia angielskich słów. Christian (chrześcijanin) wymawia się niemal identycznie jak imię Kristian (przyp. tłum.).